

Z MARSZU KU SPŁNIENIU

1993 - 1994

© ARCHIWUM WSCHODNIE

© 1994

Ukochanym Rodzicom i Siostrze
poświęcam

autor

JESIEN 1939 ROKU

Lato w swych końcowych, lecz czułych pieszczotach,
pozwalalo w pełni doznawać spokoju
zwykłej codzienności, a słońca pozłota
przenikała kanwę radości i znoju,
która pewnie wsparta błękitem sklepienia,
a kobiercem z trawy u swego podnóża,
wpatrzona w Trzechkrzyską Górę Zawierzenia
niczym nie wieściła, że nadchodzi burza.
Błogość dojrzewania spełniając swe cele,
radowała serca, napełniała dumą,
nie żądając w zamian dziękczynienia wiele,
bo wszelki trud działań był jej skutków sumą.
Hojność zachwycała nie szczędząc uroku
w gamie ich kolorów i przeróżnych smaków,
które przerastały założenia roku,
rodząc uśmiech starszych i radość dzieciaków.
Na polach kapusta dorośnie wyrosła,
marchew swe rumieńce soczyscie znaczyła,
pietruszką korzeniem zgrabniutka i prosta
z sąsiadem selerem cicho się kłóciła,
kto z nich więcej znaczy w jarzynek zespole,
gdzie głównie pomidor dźierży znaczną chwałę,
będąc zawsze pierwszym na rodzinnym stole,
przy którym najczęściej zdobywa pochwałę.
Ziemniaki obfitym urodzajem godnie
świadczyły o zbędnym przerastaniu troski
dla wsparcia przetrwania, gdy zimy tygodnie
w mroźną biel otulą miasta oraz wioski.
Korony drzew słońcu blasków podkładały,
rączo je chwytając w zawikłość konarów
i zmieniając wystrój, liście malowały,
potęgując urok barwnych drzewostanów.
Ostatnie akordy dojrzałego lata,
w przebogatej gamie złocień i kolorów,
przybrały wspaniałą panoramę świata
szczerą aureolą należnych honorów.

Radość wypełniała utrudzone serca,
darem czystej wiary, nadziei, miłości,
zapatrzone w niebo, gdzie jedyny niewca
pomnała urodzaj człowieczej godności.
Naród wznosił modły dziękczynne do Pana,
z pełnią zawierzenia wyznawał swe troski
i znojne dni życia, na zgiętych kolanach,
składał mocą wiary przed majestat boski.

W tym czasie wieść niesła, że ten pokój błogi,
pełen nabożnego oddania w miłości,
może być zepchnięty z jasnej, prostej drogi,
srogą zawieruchą zbrodni i podłości.
Bo los, ten okrutny, który ogniem zionie,
mając swe poczucie w podłej, ludzkiej duszy,
wichrem z piekieł goni, nienawiścią płonie,
nie szczędząc nikomu potwornych katuszy.
Wiatr niósł od Zachodu wieści pełne groźby
i swymi harcami sięgał szczytów nieba,
gdzie dziękczynne śpiewy i nabożne prośby,
gromadziła w wierze ludzkich serc potrzeba.
Pokój był niezbędny jak powietrze, woda,
powszedni chleb życia, zwykła pewność siebie,
w duszach i umysłach spokój i pogoda,
w dłoniach znój codzienny - przyjaciel w potrzebie.
Nie wadząc nikomu, naród kraj budował
w trudzie dnia każdego, pomny swej przeszłości,
oraz swe dwadzieścia lat wolnych miłował,
snując ogrom marzeń o przyszłej wielkości.

Na niebo wkraczały ołowiane chmury,
osłaniając szczerze radosną twarz słońca,
a cienie skrywały uroki natury,
choć nie cierpiały z nadmiaru gorąca.
Wiatr oznajmiał burzę. Tym razem rzecz dziwna,
pragnął ją wyprzedzić w swoim chyłym biegu
i śmiało uderzył w dachy miasta Wilna,
wtulonego w żywą gładkość Wilii brzegu.

Kiedy groźnie grzające zwały chmur na niebie,
przecięła złocista gromu błyskawica,
było to stwierdzenie, przekazane gniewnie,
że rządy objęła przestworzy dziewica.
To ona zerwała trzeszczące zapory,
wyzwalając z matni tusz srebrzystej wody,
aby obmyć z kursu lasy oraz bory,
a potem zaprosić na pełniejsze gody.
Rostanczone drzewa moczył deszcz soczysto,
obmywał ramiona - sękane konary,
diamentowym lśnieniem osiadał na liście,
ożywiając radość z niesłabnącej wiary,
w wyzwolony świat potęgi natury,
co w gestach swej śródziemności zamaszycie,
perlistą kaskadą szarpane kontury,
gdzieś u styku z niebem, kreślone wzorzysto.

Odcinające chmury porywały cienie,
wiatr stał się grą szeptów, a słońca promienie
śmiało i zuchwale, jak młode sporzenie,
ciepłem czaru życia syciły istnienie.
W listowiu zalśnika srebrna nić pajęczna,
na niebie błysnęły połacie błękitu,
które wsparła łukiem wielobarwna tęczą,
wepaniała zwiastunka pogodnego bytu.
Jedynie samotna, strzelista topola,
pozorując postać starego chochoła,
wyczuwała dziwny nerwostan przedpola,
kiedy słała w błękit pokłon swego czoła.
Przenikana wiatrem, szeptała wyznanie -
modlitewną wiarą ufności, nadziei,
na doznanie ciepła, gdy jesienne granie,
w gromadzie jej liści, barwę życia zmieni.
Zielone rozmowy, szepty i czułości,
splatały się w całość melodyjnej treści
o radości życia, na kanwie wolności,
tkanej jego czarem, mimo dziwnych wieści.

Uwaga, nadchodzą! To stalowe sępy -
mówił głos spikera rodzimego radia.
Uwaga, nadchodzą! To wrogie zastępy,
co napadły nagle - taką była prawda.
Wojna! Zbrojne hordy na rozkazy wroga,
uderzyły z mocą wściekłej bezwzględności,
w plecy pochylone w modlitwie do Boga,
dziękczynnej za dary łaskawej hojności.
Padł człowiek pod ciosem bandyckiej przemocy,
nie znając przyczyny ani sensu śmierci,
która go zwała w głęboką czerń nocy,
z rozwaloną głową na skrwawionej piersi.

Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty.
Świat zadrzął w posadach, gdy potworne wieści,
krwią zamazywały wszystkie ludzkie kąty -
gwałtem bandytyzmu, przemocy, bóleści.
To w pierwszy dzień września, krwawa zawierucha
ogarnęła cały kraj, co ciągle wierzył,
że wróg się udławi, a Wszechmoc wysłucha
modlitwy o wolność i skutek przymierzy.
To moc super diabła wyzwoliła z piekieł,
nordercze zastępy okrutnej falangi,
które uzurpując wszechmoc nad człowiekiem,
swą zbrodnię wyniosły do najwyższej rangi.
Zaczął się maraton powielanych śmierci,
ludzi w sile wieku i młodych nadziei,
mieszając je z piachem na rozrytej piersi
ojczyzny i matki, co żona nie dzieli.
Naród mężnie walczył i krwawym oporem
sięgał po najwyższe szczyty heroizmu,
aby zjednoczony walką i honorem,
być w jedności losów z krwawiącą ojczyzną.
Czas gonik historię czarnymi skrzydłami,
które się rozwarły nad brzegiem przepaści,
z której jak z wulkanu, lawa krwi strugami
powlekała ziemię, na czas jej zapaszi.

Świadoma, że życie to wolności grona,
ziemia choć zasnuta dymami pożarów,
pragnęła w słabości i cierpieniu żona,
nie stracić nadziei na czas przysiężnych darów,
kiedy przeorana pragnieniami ludzi
oraz umurzona w krew i łzy sieroco,
stanie się jak chwała, co szacunek budzi
i wolnego życia pomnoży owoce.

Z Zachodu sfastyka tonąca w czerwieni,
w krwawej łunie nieba, taranem ze stali,
drogo płacąc śmiałość zagrabiania ziemi,
wdzierając się gwałtem na rozboju fali.
Śmierć znaczyła drogi w nowe drogowskazy,
które wiodły tylko w labirynt bez wyjścia,
gdzie wszystko szarzało, jak wickowe głązy
strącone ze szczytów, blokujące przejścia.
Gdy naród samotnie walczył ponad siły
z barbarzyństwem wroga, brocząc krwią obficie
i czekał na wsparcie, dla tych co się bili,
aby swe zachodnie utrzymać pozycje,
na bezbronnym Wschodzie doświadczono zdrady -
nagłego zerwania paktów i układów,
przy wtórse podłości, bluźnierstwa, zniewagi
oraz ciosu w plecy, bezprawiem napadu.
Nabrzmiało bezprawie, wzmagając cierpienia -
więzienia i mordy, jedynie kat bliski,
a w koło podłości, gwałty, złorzeczenia
oraz te nieludzkie konwojentów pyski.
Bydlęce wagony, płacz kobiet i dzieci,
kwilenie niemowląt, krzyki pożegnania,
głód, smród i choroby - zwiastun wielu śmierci,
na przeklętych drogach w katorżne zesłania.

Bitwa się kończyła. Jej wynik był srogi.
Ojczyznę dzielono między wrogie strony,
a naród ten dumny, tak nagle ubogi,
pozbawiono prawa do własnej obrony.

W potwornościach wojny i srodę oparach,
swój tryumf głośiły krwiożerczość, zabójstwa,
wpisane czerwono na wrogich sztandarach,
orgią bezceństwa - znakiem ludobójstwa.
Tworzone obozy - katongi zagłady
dla wziętych bez walki, w imię tej taktyki,
aby się spełniały plany i układy,
dwóch diabłów spod znaków - gwiazdy i sfastyki.

Pełne trudu drogi, z woli Opatrzności,
wywodki walecznych w różne światła strony,
a z nimi gorące i pełne wierności
serca, wciąż gotowe do dalszej obrony.
Był to koniec bitwy, przykry oraz krwawy,
pełen dni tragicznych i smutku zawodu,
lecz nie koniec wojny, nie koniec rozprawy
z wrogiem, co zamierzał kraj wtrącić do grobu.
Ojczyznę nękała dola okupacji,
nasycona chłodem jesiennego deszczu,
który cichym łkaniem moczył nie bez racji,
okna pełne smutku, tragicznego zmierzchu.
Nastał czas niewoli umęczonych ludzi,
stłamszonych nadziei i wszelakich złudzeń,
dławiących krzyk gardeł, który bestię ludzi
i wzmaga niepewność - spokojnych przebudzeń.
Był to czas wampirów, nękających groźnie
ludzi, nawiedzonych doznaniem Golgoty,
której wystrój z cierni, spłodzony bezbożnie,
boleśnie kaleczył myśli, serca, stopy.
Był to ogrom zbrodni, która ludzkie czucie
zniewalała gwałtem, czynionym przez wroga,
co swoje zбочzone, ludobójcze chucie,
nieustannie wznagał, drwiąc z przykazań Boga.
Wielka niewiadoma, strach i przerażenie,
kreśliły tragedię jakiej doznał człowiek,
zmuszony najczęściej trawić zniewolenie,
w koszmarach Łukiszek, pod osłoną powiek.
Lęk wypełniał serca, choć pozór był chwacki.
Przygasał blask oczu wobec groźby śmierci,
która dopełniała cele w swoje macki
i nerwowym kaszlem szarpała za piersi.

Owa beznadziejność, porażała cieniem
każdej myśli kształty, więdnącej jak kwiaty,
bo życie się stało totalnym cierpieniem,
a żut nadziei mdłym blaskiem zza kraty.
Tylko Bóg wie ile, za tymi murami,
było bólu, męki, tej tragicznej nocy,
objętej chłodnymi, rdzawymi kratami,
przypisanych przesy bezprawiem przemocy.
Na zewnątrz, w mgie białej jesień tego czasu
rozwarła ramiona, łaknące pieszczoty,
strojna bielą szronu w pozłoceniach lasu,
w diamentowe lśnienia otulała stopy.
Tęcza opadając spod sklepienia nieba,
kryła kolorami każdą poślad ziemi,
a szczególnie barwnie chylące się drzewa,
pod ciężarem wielu owoców jesieni.
Był to czas władczyni uroków zbierania,
co się pojawiła w baśniowym rydwanie,
aby pastelowe bogactwo doznania,
zebrać w kolorowy seans - przemijanie.
I chociaż tak hojna, to jakże bezwzględna,
kiedy warzy radość smutkiem przemijania,
gdy gromnie płomieniem znaczy listki małe,
by szelestem śmierci strącić je niedbale.

W tym czasie wieść niesła, że gdzieś tam na Wschodzie,
świat zaczął się kurczyć i miejsca nie staje
dla tych, co zamknięci w jenieckim obozie,
żyli złudą wolnych, choć w koło szafale.
Mówiono Ostaszków, szeptano Starobielsk -
nazwy, jak to nazwy, niewiele mówiące.
Do tych dwóch dodano jeszcze trzeci - Kozielsk,
by stały się bardziej tym niepokojące.
Dzieliła je przestrzeń, wiązała niewola -
efekt barbarzyńskiej przemocy kanalii,
aby narzucona bezprawnie niedola,
gnębiła tysiące serc godnych batalii.
Na Wschód ich zesłano, aby cne przymioty
wiarę i nadzieję w ich sercach, na raty
pozbawiać osłony, wyrzucać za płoty,
a resztę dobijać, wieszając na kraty.

Niewolnicze żagry - ustronia bezprawia,
wypełnił grabieżca jeńcami bez wojny.
W szatańskim działaniu ich godność znieważał,
pozbawił wolności nakazem niegodnym.
W tym piekle wśród starszych, także młodych serca
snuży w swoich myślach to, co mogły przetrwać
i żywo kreślone w swych marzeniach miejsca,
pragnęły nieść w przyszłość i w pomysłność wierzyć.
Bo młodość, to siła wiedząca w czas godów,
to wiara, nadzieja, złota strzała burzy,
kaskada barw życia niechęca zawodów,
nawet w trudnym czasie, co śmiertelnie nuży.
Niestety, czas wojny nie sprzyjał młodości,
bo w miejsce serdecznej pieśni i parady,
wypełniał jej życie bezmiar podłości,
mnożąc krwawe śniwo morderczej zagłady.
Pogrążona młodość w gąszczu krwawych zdarzeń,
dumna choć bezsilna, boleśnie tragiczna,
wiedziała jak irysy w fiolecie swych marzeń,
choć z wolą przetrwania, bardzo anemiczna.
Nękana przez wroga, skulona na pryczy,
skażona upiornym grymasem oblicza,
zatrutowana co dzień naparem gorzycy,
wyniszczana głodem - gasnący znicz życia.
Uwięziona młodość, smutna, pokutnicza,
wcześnie tętejąca, wciśnięta w mdłe ściany
niewolniczej hali, gdzie blade dziewczę
kreowała świętość - byt niepokalany.
Kasza zamulała burczące jelita,
śledziem wyzwalało w nich ogień żaknienia,
a potem znów kasza, chociaż mniej obfita,
jako panaceum na pewność przetrwania.

Pomiędzy nadzieją, a brzegiem spełnienia,
zwały chmur zwątpienia gubiły wołanie
o należytą wolność z matni zniewolenia,
którą wciąż tłamszono próbą na konanie.

Krwawiły im wargi w modlitwie pragnienia,
bowiem opuszczeni jak wyschnięta studnia,
w czasie złęgo losu, pod jego brzemieniem,
nie mogli się czerpać z ojczyzstego źródła.
A mimo to, mocno zaciskając pięści,
nadzieją zwalniali więzy uwięzienia
i wciąż balansując na tycia krawędzi,
pocieszali serca tonące w westchnieniach.
Uparcie wierzyli, że czas ich ugości,
aby ciepłem słońca nacieszyć się wreszcie,
oraz całą duszą chłonąc czar wolności,
idąc w trudy życia po tęczowe szczęście.

■

Już zabędzimy puchem, tytanową bielą,
okryła się ziemia chroniąc hojność żona,
aby czas dni mroźnych upewnić nadzieją,
że z nastaniem wiosny będzie odnowiona.
Rozłożyste sosny, jak świąteczne babki,
obłożone śniegiem chyląc się ku ziemi,
pochylały głowy przyodziane w czapki,
wtapiając swą całość w tło błękitnych cieni.
To strojna dostojność - subtelna powaga,
otulona puchem gładzika swe kontakty
i czuła jak radość jej smysłowość wzмага,
mimo przebywania wciąż w układzie zwartym.
A gdy na zimowym zadaszniu ziemi,
słońce promieniste szlaki przecierało,
wszystko to co w śniegu, wyrastało z cieni
i lśniąc diamentami, srebrzyście się śmiało.

Niestety, ta zima mimo swych uroków,
nie ograniczała bólu ani smutków,
nie zmniejszała działań wiodących do szoków,
stanowiąc makabrę przeżywanych skutków.
Mróz pomagał biedzie, co siadła okrakiem
na zmrożone barki wypędzonych z domu,
których przykazano napiętnować znakiem
niszczącym człowieka, jak rateniem gromu.
Najpierw, nie pytając o chęci lub zgodę,
zaliczono wszystkich do grona podanych,

wydając paszporty, by wskazaną drogę
mogli już przemierzać na prawach uznanych.
Czerwone pieczęcie świadczyły, wybranym,
że oto do rajów, przecież z ^wolnej woli,
zacierają radośnie traktem poznawanym,
ofiary wyzysku i pańskiej niewoli.
Słońce konstytucji rozjaśniało drogi,
które wystrojono w transparentów rany,
aby rańniej wiodły umęczone nogi,
w przytulne schronienia - za gwałtów bramy.
Był to już rok tysiąc dziewięćset czterdziesty,
w którym świat wciąż trawił skutki poprzedniego
i pragnął umocnić, w sposób oczywisty,
nadzieję pokoju na dni następnego.
Nastał czas nerwowych starań i zabiegów,
aby poniesione jak dotąd ofiary,
mogły zamknąć bilans tragicznych przebiegów
wyjątkowych zdarzeń, choć bez większej wiary.
Wszak ten, co swe drogi trupami okładał,
ogniem oras mieczem kreslił superplany,
z pogardą, brutalnie wszelkie prawa łamał,
rozliczając krwawo następnych wybranych.
Beznadziejność starła wszelkich starań tryby,
podpalacz wciąż nowe rozniecał pożary
w całej Europie, samykając w dyby
tych, co nie ^{na} swoje liczyli ofiary.
Zabrakło jedności wbrew prostej logice,
stąd każdy z osobna doznawał katuszy
i tracąc swą wolność, ulegał sfastyce,
która bezczęściła świętość każdej duszy.

✱

Opuścilesz Boże naród ci oddany
w czasie zniewolenia, zakuty w kajdany,
leżący pod krzyżem, z szat swych odzieranym,
bezdomny i nagi, krwawo wyniszczony.
Nie pozwól o panie, byśmy ginąć mieli,
ratuj nas Najświętsza Jasnogórska Pani -
Perło Ostrej Bramy - Królowo Nadziei,
wysłuchaj serc naszych, by los je nie ranił.



Naród prosił, błagał i gorzkimi rzami
zraszał stopy Pana śląc duszy wołania,
aby na swym krzyżu, męczeństwa znakami,
wciąż umacniał wiarę w przyjście zmartwychwstania.
Tak się też modlili ci, co przebywali
w obozach: Ostaszków, Starobielsk i Kozielsk,
skąd skapo i rzadko do bliskich pisali,
że żyją i myślą, jak to czyni człowiek,
którego zamknięto na odludziu w klatce,
aby zniewolony milczeł oraz drętwiał,
byle się nie żalił żonie albo matce,
jak okrutnie tęsknił i bez winy cierpiął.
Codzienne świtanie, niezmiennie budziło
tysiące żołnierskich, wychudłych postaci
ze snu, w którym względnie prawdziwie się żyło
po to, by w realiach znowu wszystko tracić.
Niespokojne myśli, ich gromada cała,
nie mogły odnaleźć niezbędnej pewności,
że ogrom sadyzmu w zniewalaniu ciała,
nie osłabi wiary w nadejście wolności.
Tylko przypuszczenia, ciche medytacje
oraz święte słowa wewnętrznej modlitwy,
raczyły każdego jakąś akceptacją
tego, co dzień każdy niósł na ostrzu brzytwy.
Te były realia rodem z huraganu,
które wyniszczały gnębione postacie
i tłamsiły ducha, przywodząc do stanu,
niestety, niemocy w niewolniczej szacie.
Nostalgia za domem, rodziną i krajem,
przerywała szacie przykrej niemożności
i jak wolny orzeł nad szumiącym gajem,
na skrzydłach tęsknoty wiodła ku wolności.
Zaś ta, jeszcze wolna od wrogiej przemocy,
sięgała najwyższych szczytów cichych marzeń
i różańcem bóli wszystkich dni i nocy,
wzmacniała nadzieję na pomyślność zdarzeń.

Tymczasem wróg zmieniał podejście do sprawy,
którą w swej podłości bez potrzeby stworzył,
a pragnąc się pozbyć skutków wiele razy,
diabło złych pomysłów coraz więcej mnożył.

Sugestie i plany niedojrzałe jeszcze,
oprócz niepokoju rodziły nadzieję,
że może to pierwsze, jeszcze nie złowieszcze
działanie na zmianę, co może gdzieś dnieje.
Mówiono o zmianach miejsca zatrzymania,
o większym zbliżeniu ku ojczystej miedzy,
o systemie małych grup do uwalniania,
z uwzględnieniem szaty i zakresu wiedzy.
Rodziły się różne, ciche przypuszczenia,
wrócenie z zachowań dostojników wroga,
lecz nic nie stwarzało znaniom uwierzenia,
że wnet się otworzy ku wolności droga.
Czas niezmiennie mijał, w tej samej osnowie
nakazów, zkorzeczeń, ludzkiej bezsilności,
które poruszone chytrym pustostawem,
budziły niepokój i noc niepewności.
Wciąż było oczekiwanie i wiara w radosny
dzień, który wyzwoli serca udręczone,
łaknące uroków nadchodzącej wiosny
i wyjścia ku swoim, w swą rodzinną stronę.

■

Wiosna, zniewolonych szczerze powitała
soczystą zielenią, słoneczną pieśczętą,
i nową nadzieją serca rozgrzewała,
wzmacniając je świętą do życia ochotą.
Świat ze snu się budził, stare bliźny goił,
pod błękitnym stropem wiosnianej radości
i swoje pejzaze w barwne szaty stroił,
przetkane wabiącą mozajką różności.
Rzeki swoim nurtem stale uciekały,
przenikane do dna słoneczną hojnością
i pełne zachwytu raśnie przebiegały
przez lasy i pola, z dostojną godnością.
Biały świt się kąpał w kryształach poranka,
kiedy las modlitwą wspierał rozspiewane,
zielone alkowy, gdzie wiosna kochanka,
chłodziła oblicze świeżo malowane.
Ciepły wiatr przenikał smukłych świerków krocio
z pełnią zawierzenia, że szczerze się wprasza

i schodził od góry do dołu w paprocie,
bo tam srebrna rosa kono ziemi zrasza.
Panorama cudu - czas przeistoczenia,
przepotężna siła na drodze świtania,
co swoją wszechmocą szarość w piękno zmienia,
z którego wciąż nowe życie się wyłania.

■

Wówczas to, w okresie nawiedzenia wiosną,
zamilkły ze Wschodu wszelkie wiadomości
z jenieckich obozów, niwecząc radosną
porę odrodzenia stanem niepewności.
Na nic się nie zdały wszelkie interwencje,
prośby i błagania, niepokój, pytania.
Batrapa wciąż milczał, skrywając zawzięcie,
przyczynę tej ciszy w miejscach zatrzymania.
Zamilkła tętnota, jej tysięczne głosy
pochłonęła przestrzeń, bez śladu kierunku,
niby wędrujące oddziały dusz bosych,
naznaczone losem zmiany kwaterunku.
Przypuszczenia wiodły myśli niespokojne,
w syberyjskie tajgi i lody północy,
z których wybierała tworzyła potworne
obrazy tragedii, białych dni i nocy.
Wszelki ślad zaginął o tych, co wierzyli
w nadejście dni jasnych, po czasowym mroku,
a w intencji których bliscy się modlili,
o ich wyzwolenie i powrót bez szoku.
Rozpaczały matki, żony oraz dzieci,
dla których milczenie było równe śmierci
grzebiącej nadzieję, że gdzieś tam się świeci,
choćby marny płomyk serdecznej pamięci.
Tylko mocą wiary i szeptem modlitwy,
wyciszano rozpacz serc osamotnionych,
które wróg uwięził nie doznając bitwy
i uznał ich trwanie za los potępionych.
Czas jednak wciąż mijał bez jaśniejszej chwili,
w którym nawet ziuda nie wносиła racji
na to, aby wzdąć, tym co się gubili,
że jeszcze nie pora ulec rezygnacji.

Nie było powrotów, ani żadnych wieści,
tylko rozbiegane myśli w niepewności
i ból, co w zboleźnych sercach się nie mieścił
atmosferą smutku i beznadziejności.
Tylko ta grobowa cisza i milczenie,
groźnie utajone w zamierzeniach kata,
były tak upiorne, że wszelkie wierzenie
wiodły pełne bólu, gdzieś na krańce świata,
Tymczasem oprawcy, w pełni krwawej pracy,
jednak na Wschodzie, jak i na Zachodzie,
kradli i grabili, w zamysłach jednacy,
jak złożyć nadzieję niewolonych w grobie.
Rosły okrucieństwa, mnożąc swe ofiary,
ludobójstwo było powodem do dumy,
a ponad tym piekłem zawisły sztandary,
krwawe są czerwienią - straszliwe całuny.



II. TRAGICZNE WIEŚCI I LOS WILENSZCZYZNY

Pośród rozrzuconych pagórków Kosogór,
Dniepr wiosennym szeptem przetaczał wyznania
o krwawym zdarzeniu, wygasłym na pozór
w nakazach milczenia, z woli nie kalania
tej radzieckiej strony, pełnej niepokoju,
co chciała modlitwą niespokojnej duszy
wywabić krew mordu, zatracić się w znoju,
było ująć od p^łtna bolesnych katuszy.
Potworny strach ludziom zakneblował usta,
krzyk dławiony siłą nie wyznał słowami,
potworności zbrodni - zbrodni ludobójstwa,
którą wyciszono ziemią i drzewami.
Katyń - moc sadyzmu już katowskim cieniem
wypełnia treść nazwy, i nie przypadkowo,
bo tam ludobójca żegnał się z sumieniem,
a śmierć niosło z sobą jego każde słowo.
Zakatować, zabić, zniszczyć tabun cały!
Pozbawić nadziei i wiary przetrwania!
Stkamsić uswięcone pokolenie chwały,
likwidując wszystko boleścią konania!
Tak, to tam w Katyniu, oddział krwawych zbirów,
powtórzył nie pierwszą, i też nie ostatnią,
historię swych podłych, nieludzkich wyczynów,
które z cicha zwano - sadystyczną kaźnią.
To tam okrucieństwo, krwiożercze szaleństwo,
przekroczyły szczyty ludzkiej czytelności,
bo tam ludobójca przerósł barbarzyństwo
oraz swoją normę superzwierzęcości.

Czarne doły kaźni, ukryły tysiące
zgasłych serc ofiarnych oraz głów dziurawych,
z których uleciały modlitwy proszące -
wezwania do Boga, ludzi mordowanych.
A było to dzieło, tych w kremłowskim chórze,
pełnym bezlitosnej wgardy do Polaka,
który wychowany w odmiennej kulturze,
w niczym nie pasował do zbira - zwierzaka.

Pozbawieni życia w wojskowych mundurach,
złożeni jak śledzie w beczkodołach kałni,
brat wciśnięty w brata, a duże ich w chmurach,
upraszały Boga o moc wyobraźni,
bo bez niej nie pełne było rozumienie
tego, co się działo i pojąć nie mogły,
gdy diablo czerwone, zdziczałe szerszenie,
boleśnie żądliły i ku śmierci wiodły.
Strzałami w tył głowy, każdemu osobno,
odbierano życie, myśli i pragnienia,
zamykając księgę doznaniem zasobną -
nieboską litanię tragedii, cierpienia.
Choć ręce spętane, każdy swoją dolę
piętnował przekleństwem, krzykiem i wetchnieniem,
a gdy knebel w ustach zamknął słowa rolę,
oczy słały gromy, gniew i potępienie.
Krew póki nie skrzepła, spływała do dołów
wąskimi strugami śmiertelnej ofiary,
stając się twórczynią dogranych kolorów -
bieli i czerwieni, unęzczonej wiary.
A kiedy czerni ziemi przykryła kształt dołów -
jeszcze pulsujące makabryczne wnętrza,
zgraja krwawych zbirów, nie szczędząc mozoków,
maskowała przestrzeń ziemi i powietrza,
wciskając lepki oprawców łapami,
w porażone łono niewolonej ziemi,
nowe zadrzewienia, aby kurhanami
rządził czas milczenia i lesistych cieni.
To tam mordowano najprzedniejsze kadry,
dojrzałe swym wiekiem i zasobem wiedzy,
a z nimi też młode bataliony prawdy,
o czasie niewoli i jenieckiej biedy.
Ginęli ojcowie, synowie i bracia,
którym na odchodne wskazano milczenie,
jako pewny sposób cichego zatarcia
ból, w którym nawet wyłyby kamienie.

Ileż w tym szatańskiej perfidii, obłudy,
ile zakłamania, brudu i małości,

kiedy pozbawiając niewolonych zgudy,
strzelano im w głowy z bliska, dla pewności,
że dłoń barbarzyńcy - plugawego kata,
jednym, celnym strzałem pozbawi istnienia
człowieka, żołnierza, słowianina, brata,
dając mu śmierć nagłą zamiast uwolnienia.
To zbrodnia - mordować bezbronych żołnierzy.
To zbrodnia - jeniecki, przerażeniem szczery,
krzyk buntu uważać wezwaniem na żowy.
Wszak ofiary w pętach, nawet w formie gestu,
nie mogły oznajmić wgardy dla padalców,
ani plunąć w oczy, jako znak protestu
tym, co stanowili o zbrodni oprawców.
Kto spłodził te ludzkie potwory bez serca ?
Kto je w swej zwierzęcej, zwyrodniałej chuci,
mnożył porażoną skazą okrucieństwa -
prymitywne mózgi małopokształtnych ludzi ?
Katyn - to katowskie, ludobójcze mordy,
na tysiącach jeńców, pojmany bez wojny
i sadyzm oprawców stalinowskiej hordy,
której specjalnością był mord na bezbronych.
Katyn - to świątynia pod otwartym niebem,
to ofiarny ołtarz pośród leśnej głuszy,
gdzie ból i wetchnienie obarczone gniewem,
zegnały odejście każdej ludzkiej duszy.

Człowiek - to brzmi dumnie, gdy już leży w trumnie.
Oto wyjątkowa zasada miłości,
którą wciąż stosował i wyznawał dumnie
ten, co się wynosił nad wszelkie wielkości.
To z jego rozkazu kretyn i sadysta,
nie pytał o słuszność przyjmując rozkazy,
które bez oporu, jak wierny czekista
spełniał, aby strzelać w głowy wiele razy.
A czyje to głowy, nie wiedział, nie pytał,
bezmyślnie je zniatał jak owoce malin
i tonął w krwi ludzkiej bohater - bandyta,
jak całość watachy, którą rządził Stalin.

W Katyniu ginęli pierwsi - ci z Kozielska,
lecz śmierci nie uszli i ci z Ostaszkowa,
także zagubieni jeńcy Starobielska,
ich też mordowała stalinowska sfera.
Więść niesła żałobna, że to Bożogoję,
że może ofiary pochłoneży morza,
albo, że Dergacze mają miejsca swoje,
nad którymi wiosną płonie krwawa zorze.
Gdzie tych kilkanaście tysięcy żołnierzy
utraciło życie oraz to, co mieli ?
Gdzie ich zabijano ? Gdzie ich oddział leży ?
W imię czego oni tak bardzo cierpieli ?
Gdzie są ich mogiły, które lasy kryją,
a ludzie w pogoni za runa bogactwem,
nieświadomi losu tych, co pod nim gniją,
urągają grzesząc swych czynów prostactwem ?
Wciąż zmowa milczenia skrywa miejsca zbrodni,
którą w sobie dąwiga ta nieludzka ziemia,
gdzie świadomość winy trawia w sobie podli,
co krwią ludobójstwa splamili sumienia.
Lecz idą czasy, co przerwą to milczenie,
a świat pojmie bezmiar owej przestępczości,
wobec której nawet bezmyślne kamienie,
byłyby wstrząśnięte masą ludzkich kości,
które rozrzucono w różne krańce ziemi,
aby nie zakwitły skargą, potępieniem,
będąc sagą śmierci pośród leśnych cieni,
jaką kryją; ziemia, lasy i kamienie.

Straszna kreaturo podłego poczęcia -
skazo bandyckiego dziedzictwa Kaina,
o szmatkawej duszy, tonąca w przeklęciach,
coś przybrała imię krwawego Stalina.
To on, super Herod, opętany, krwawy,
za rzeź nieskalanych, o czym stale marzył,
stojąc w pozie błazna, wydawał pochwały
z uśmiechem satrapy, na czerwonej twarzy.
Przeklęty poganin, kanalia u władzy,
ambasador z piekieł, dziabeł ponad diabły,
a przed nim niewinni, chociaż prawem nadzy,
wciąż jeszcze obecni, lecz to świat umarłych.

Ich ostatnie myśli, choć sły los je warzył,
bescielesnym truchtem przemierzały drogi
wiodące ku swym, gdzie młodzi i starzy
wciąż oczekiwali powrotu swych drogich.
Zbądne były skargi, przekleństwa i żale,
niepotrzebne prośby i szloch cichych płaczy,
zbędny krzyk sierocy, głoszący w swym szale,
bezmiar krzywd, boleści, ogromu rozpacz.
Daremne czekanie, bo nikt nie odwróci
tego, co w Katyniu zostało skończone,
bo nikt nęk nie skróci i życia nie wróci
tym, którym zabrały watachy szalone.
Krwawy zachód słońca warzył zielen lasu,
barwiąc je fioletem coraz głębszych cieni,
z których porażony odchodził szmat czasu,
gdzieś w otchłan wieczności, która go oceni.
Przycichły rozmowy wśród wolnego ptactwa,
a las wypełniły - strach i przerażenie,
bo gromy bez burzy - byłego dźwięku,
zrodziły nieznane słuchu otępienie.
Wieść niosła, wraz z czasem, potworne nowiny,
które wciąż śmiertelnym zagrożeniem życia,
zmieniały przeczucia w upiorne godziny,
a te pełne strachu, w koszmarnie przeżycia.
Już tylko milczenie zawisło nad lasem,
gdzie przenicowana przestrzeń drzew i ziemi,
znaczyła ślad płamy zamkniętym tarasem,
którą spostrzegali, ale zawsze niemi.
Milczenie to nakaz, nie tylko dla trupów,
lecz także bezwzględny rozkaz dla oprawców,
co w kaźni niewinnych nie znajdując łupów,
w zamian mieli przyszość głuchoniemych starców.
A może i oni zamilkli na zawsze,
jako niewygodni świadkowie - oprawcy,
którym zamknąć usta - niepożądane paszcze,
wystarczyło strzelić w każdy łeb służalczy.
Lecz czy tak się stało, powie już historia -
czas przyszłych dociekani, faktów i wyznań,
mając na uwadze, że żadna teoria,
nie może stanowić prawdy tych wydarzeń.

Każdy świt następny, w mgle obojętności,
snuł się po terenie nieświadom już tego,
co ukryła ziemia z wydarzeń przeszłości
oraz co swą głębią pochłonęło niebo.
Czas zacierał ślady, milczenie gęstniało,
strach stawał się stary i przemijający,
na pozór już nic się dokoła nie działo,
choć każdy dzień nowy był niepokojący.
Bieg nowych wydarzeń, jak wybuch wulkanu,
swą ognistą lawą przeorywał ziemię,
wciąż tkwiącą w marazmie ubogiego stanu,
na który się kładły wszystkich przekleństw cienie.
Ta strona krwią żywną i głodem znaczone,
przekleństwem wiązała zawsze koniec z końcem,
a będąc tragedią, cudzą poruczone,
traciła widzenie w zetknięciu ze słońcem.
Tam boga wygnano, wiarę zaorano,
a przemoc uznano jako sposób nowy
dla budowy jutra, którego nie znano,
choć go strojono wciąż w kolor czerwony.
Tamtejszy lud milczał, spełniając nakazy,
zniewolony strachem na samą myśl kaźni -
zbrodni ludobójstwa, którą wiele razy
przywoływał w myślach nocą wyobraźni.
A te wspomnienia obrazem upiorne,
przywoływały fakty ciche wspomniane,
które choć potworne, to jednak pokornie
w każdej drętwej mowie były pomijane.
W tym kraju milczenie i przytakiwanie,
stanowiły sposób na względne przetrwanie,
gdzie zamiast nadziei, tylko przeklinanie,
było wsparciem zły na wszelkie czekanie.
Człowiek czuł się stale, jak w nie swojej skórze,
myślał co innego, a inaczej mówił
i wciąż wegetował wyśpiewując w chórze
zakłamane treści, w których sam się gubił.
Gwałt zadany ludziom, wciąż zubożał życie,
które przyodziane w rzekomą ludowość,
tumanilo masy, penetrując skrycie
serca i umysły - intymną duchowość.
Podłość była siłą rodzącą giganty,
sławne pustosłowiem i gestami kata,

które określały wciąż nowe warianty,
jak wykończyć ojca, lub własnego brata.
a to przyodziane w świętość patriotyzmu,
zwodziło prostackie, prymitywne głowy
i wiodło z rynsztoku wprost do komunizmu,
gdzie grały fanfary, choć tyłek był goły.
I tak się wypełniał mroczny dwór podłości,
w którym dobierano według pustogowia,
możliwie najlepszych w skali bezwzględności,
pragnąc tym lepszym świat tworzyć od nowa.
Podzielono ludzi, na tych co siedzieli,
aktualnie siedzą i co siedzieć będą.
Na tych, co w swym życiu niczego nie mieli,
niczego nie mają i takimi zwiędną.
Wciąż się uganiając za wrogami ludu,
wyszac wszędzie zdradę niecznych sprzedawczyków,
nie widzieli własnych, nawarstwionych brudów -
mieszanki błota, krwi i nieboszczyków,
których nawet zliczyć już nie potrafili,
bo ilość w milionach, to sprawa nie prosta.
Stąd w tej buchalterii stale się gubili,
gdyż wielość zgładzonych ich mądrość przerosła.
Mimo to rządzili, zmieniając odłogi
w zbiorowe mogiły tych, co pełni trwogi
nie mogli uwierzyć, że ich los ubogi,
zmieni ścieżki nędzy w dobrobytu drogi.
Ten naród wciąż czekał na kaskawość losu,
oraz przez dziesiątki lat przecierał oczy,
aby móc to pojąć, że chcąc dojść do głosu,
trzeba nieustannie ku wolności kroczyć.
Kto tak pojął prawdę, nie tracąc odwagi,
pragnąc się określić jako człowiek wolny,
najczęściej swym losem wypełniał gułagi,
albo kończył grobem - zwany mazurem.

■

Te same zwyczaje oraz obyczaje,
jako najprzedniejszy towar eksportowy,
jeszcze tegoż roku poznały te kraje,
które nadbałtyckie zajmowały strony.
Pośród nich jak perła, swojska Wileńszczyzna,
ponownie doznała szczególnego gestu,

bo ją pochłonęła radziecka ojczyzna,
ponoć na życzenie, bez słowa protestu.
Aby jednak wszystko było zgodne z prawem
uczyniło radość zagrabionym stronom,
Litwę z Wileńszczyzną połączono razem
oraz bez pytania objęto ochroną,
która choć nie chciana, jednak dobrowolna,
na prawie przemocy manrotała dzielnie,
że rodzinna całość szczęśliwa i wolna,
stanowią o życiu budowanym pewnie.
A tym szczęściem miała być nowa ojczyzna
liwsko-radziecka, jako część mocarstwa
w jedności z innymi, niepewna i dziwna,
taka niby wolna, bez własnego państwa.
W ten sposób, po prostu na fali przemocy,
zagarniając wolny kraj bez żadnych racji,
wróg na czołgach wnoszą życie w barwach nocy,
rządząc bezwzględnością przewość demokracji.
Grabież i bezprawie nazwano wolnością,
a przemoc aneksji szczytem wyzwolenia,
które spięte w całość, wnet stały się kością,
dźwiącą krzyk gardeł w pętach zniewolenia.
Aby było raźniej, hasłami w czerwieni,
wystrojono wszystkie miasta oraz wioski,
w których falą nieszczęść ludzie nawiedzeni,
z bojaźnią dźwigali swego czasu troski.
Dalszy bieg wydarzeń, w dobrze znanej formie,
powtarzał to samo swyczajne działanie
mnożące więzionych, nekanych potwornie,
wypędzanych z domów na stałe zesłanie.
Wszystko nagle wielkie tragedie tworzyło -
krzyki, płacze, bóle, rozpasa i przekleństwa,
a piekło czerwienią ofiary znaczyło,
dławiło, dusiło, wiodło do szaleństwa.
Nieodmiennie nekął ten czas pełen blagi -
dla jednych więzienia na ojczyznej ziemi,
dla drugich wciąż nowe Katynie, gułagi,
katoranicze asytki, ludzie zagubieni
na bezkresach dali, bluźnierstw i zniewagi,
w kopalniach i lasach, w stepowej spiekocie,

albo w wiecznych śniegach, gdzie świat bywa nagi,
a śmierć śmiało mnoży swoich zalet krocie.
Wystarczyło słowo rysztykowej bestii,
aby się zaczęła epepeja męki,
pod znakiem czerwono malowanych kwestii,
w których osadzono niepowседневnie lęki,
stanowiące prolog do opery śmierci.
Zaś ten pewnie wsparty sierpem oraz młotem,
obdarzał uznaniem zawsze tych, co pierwsi
padali jak muchy, swym ostatnim lotem.
Wszak wszystkim to było pewnie przypisane,
gdyż każdego winą był sam fakt istnienia,
i to wystarczyło, by to co zesłane,
nie mogło wykrztusić własnego imienia.
Życie na krawędzi piekielnej przepaści,
to rachunek godzin, dni, nocy i klęski,
miara pustki w głowie i powietrza w garści
oraz bieg ku śmierci, zawsze cichy, męski.
Ojczyzna stawała się tylko pragnieniem,
które w krzywdzie, biedzie, jak w katyńskim gaju,
było tym jedynym, wciąż jasnym promieniem,,
na drodze z ludzkiego, do bożego raj.

Świat tymczasem milczał, poznając po mału,
ogrom podłych faktów rozboju, bezprawia,
co w niczym nie mogło pomniejszyć zawału,
na jaki wróg liczył, gdy diagnozę stawiał.
Powszechnie wiadomo, że bliższą od innych,
zawsze własna skóra, więc po co się wdawać
w niebezpieczne skutki bitwy o niewinnych,
gdy pewniejszym zyskiem jest mądrze udawać.
Szczególnie, gdy słaby trafił na Goliata,
który jedną ręką ścisnął gardło srodze,
by to wystarczyło dla dalszego świata,
co to w niepewności, stał na jednej nodze.
Chodziło więc o to, by zyskać na czasie
i móc się dobroić, co było konieczne,
oraz nic nie tracić w owym ambarasie,
bo pokój, wiadomo, to nie dzieło wieczne.
A świadectwem tego, była klęska Francji,
co w sposób stanowczy umacniało słusność,

przebudowy wszelkich, mylnych orientacji,
skazanych jak dotąd na nużącą gnuśność.
Uczono się patrzeć, widzieć i rozumieć,
oraz mądrze słuszne wyprowadzać wnioski,
na tą wyjątkową - którą trzeba umieć,
taktykę wiodącą przez burze i troski,
po wolność dla ludzi i pokój dla świata.
O prawo do życia w bezpiecznych granicach,
aby nigdy więcej jakaś losu krata,
nie padała cieniem na ludzkie oblicza.
Świat oddany ludziom we władanie czyste,
winien być przystankiem do wielkiej podróży,
po gwiazdzistych szlakach w akweny wleczyste,
w których nieskończoność wszechistnieniu służy.
Aby jasne myśli, marzenia, pragnienia,
w zgodzie z jakże krótkim trwaniem na tej ziemi,
nie musiały stygnąć martwością kamienia,
pozbawioną słońca, pośród chłodu cieni.

Na Zachodzie Hitler, a na Wschodzie Stalin,
rzekomo tworzyli nowe prawa ładu,
wsparte trupim smrodem i dymami spalin,
niszczących dobytek polskiego narodu.
Pierwszy tworzył ludziom obozy zagłady,
w których dręczył, męczył, zabijał i palił.
Drugiemu starczyły bandyckie układy,
gułagi, Katynie, by swe dzieło chwalił.
Mówił, że konkretne, pewne, radykalne,
będące przykładem oraz twórczym wzorem,
jak należy skracać działania formalne,
skoro ludobójstwo stało się honorem.
Kamraci choć różni rasowo od siebie,
w szatańsko przewrotnym, mafijnym działaniu,
wspierając się zgodnie w bieżącej potrzebie,
dumni byli z siebie w owym opętaniu.
Jeden marzył stale o zwycięstwie rasy,
w hitlerowskiej osłonie, o narodzie panów,
a drugiemu wciąż się majaczyły klasy,
które pragnął zrównać w czerwonych baranów.

Obaj równocześnie swe szaleńcze plany,
kreślili na grzbietach podbitych narodów,
lecz w skrytości, każdy furją rozsadzany,
żarłocznie pożądał wciąż nowych podbojów.
Im śniła się władza hegemonów świata,
jednakowo czerwona w ramach socjalizmu,
zachłanna, bezwzględna, chociaż stale krata
oddzielała faszyzm od sił komunizmu.

Nby razem, wspólnie, w przyjaźni się żyło,
co miało ich jednać nad ofiar grobami,
przy czym reszcie świata oczy się mydliło,
choć uparcie sobie wciąż nie dowierzały.
Widocznie niestrawne bywały biesiady,
kiedy zamiast wina lśniły krwi puchary,
a pośród nich, podłych, nikt nie dawał rady,
jak wznosić toasty, choć to zwyczaj stary.
Istniały obawy i zahamowania,

nie pozwalające na znak rozproszenia
stałej niepewności w sferze pojednania,
którą wciąż szarpały ciche złorzeczenia.
I chociaż kamraci w swym trefnym uznaniu,
to działając w mocy tegoż zakłamania,
budowali przyjaźń na ludzkim konaniu,
nie czując tragedii, którą czas osłaniał.
A ta, tak upiorna jak śmierci kostucha,
bezcieleśnym kształtem straszyla szakali,
że nadejdzie pora, gdy świadomość krucha
kończąc swoje trwanie, też grobem ich scali.

Świat w okowach trwogi oraz niepewności,
z przerażeniem patrzył jak nienawiść krwawa,
pęczniała wulkanem wszelkich okropności,
a ziemię paliła śmiercionośna lawa.

Już się wydawało, że Bóg Wszechmogący -
jedyna opatrzność wszechnieskończoności,
miłosiwy i w łaskach i wszystko wiedzący,
tym razem poskapił ludziom swej miłości.
Owoc zła, szatańskim piekieł kołowrotem,
miażdżył, szarpał, zgniatał, strojąc umieranie
w blaski nocnych orgii, co kładły pokotem
tych, co umierając, pluli przeklinaniem.

Gejzerami ognia, grzmotami wybuchów,
zgiełkiem, krzykiem, jękiem, świat diabłu się kłaniał,
zniewalając duszę pętami łańcuchów
i jak nigdy dotąd piekłu się oddawał.
Zgotowano ludziom życie w niepewności,
bez chwil pocieszenia, pod pręgierzem zbrodni,
która przerastała w swojej zwierzęcości
ludzką wyobraźnię, w tle głupich teorii.
Na nic się nie zdały wszelkie medytacje,
snucie wniosków z bólu i rosnącej biedy,
gdyż wszelka nadzieja traciła oparcie,
nie znajdując siły równej do potrzeby.
Lecz niepewność jutra, stopniowo i stale
rodziła bunt w sercach - pragnienie odwetu,
za potworne krzywdy, krwawe łzy i zale,
mordy na niewinnych, bandytyzm kacetów.
Za krzywdy zesłanych, zmarłych, zagubionych,
za nieludzkie męki, podłość, okrucieństwa,
za dławienie gardeł, tortury bezbronných,
za wyrosłe z bólu jęki i przekleństwa.
Pośród niezliczonych aktów barbarzyństwa,
rozwalonych świątyń, połamanych krzyży,
w gęstych smugach dymu, oparach szaleństwa,
rodziła się siła, co mknąc jak wiatr chyży,
ożywi nadzieję i wiary oktarze,
na których w jedności trudu i ofiary,
znowu błysną światłem świątyni witraże,
stając się oknami dla zwycięskiej chwały.

*

Wiodła ich lesista, wyboista droga,
a na ustach nieśli najdroższy sercu smak -
deszczu, słońca, lasu, zielonego pola,
oraz ból spierzchniętych i popękanych warg.
Odważnie ruszyli z gąszczy leśnych kniei,
aby swym istnieniem dać godny światu znak,
że nawet w niewoli płonie znicz nadziei,
oraz ogniem zionie rodziny każdy krzak.

Ze ofiary, trudy i codzienne znoje,
zapisane w walkach daniną ludzkiej krwi,
zrodzą pełnię chwały, moc dumy i glorię,
bo naród wciąż walczy o wolność przyszłych dni.
O wolność jedyną, wspólną, dumną, świętą,
co wyzwała sobą szczególną ludu moc,
aby ową siłą - jakże niepojętą,
przywrócić blask światła, gdzie nuży ludzi noc.
Szarym zmierzchem, nocą, albo w brzasku ranka,
zmięli postoje dla zmylenia wroga,
i snuli marzenia na leśnych polankach,
albo na zroszonych, zacienionych drogach.
To były początki twardego oporu,
o prawo do życia w swoim własnym domu,
który zapluskwiali czeroni pospołu,
nie dając się nawet podrapać nikomu.
Choć to samo niebo o błękitnych oczach,
czasem zapłakane, chmurne, mniej radosne,
podziwiane za dnia, kradzione po nocach,
było częstką życia wmontowaną w wiosnę,
która nieodmiennie przykazanym prawem,
stawała się bardziej hojna i dorodna
czując, że czas mija i musi niebawem
przejsć w układy z latem, dla wspólnego dobra.

z

W tym czasie na Litwie i wileńskiej ziemi,
nieproszony sąsiad rozpoczął władanie,
i szczerł psie zastępy szczególnie za tymi,
którzy swym zwyczajem mówiąc - mocium panie,
mieli na uwadze grzeczność, uniżenie,
współczucie dla bliźnich oraz wspomaganie,
kiedy czas okrutny, nadziany cierpieniem,
raczył to przyjmować za wrogie działanie.
To zaś przedstawiało stare drogowskazy,
radziło uciekać, skrywać się dokładnie,
bo ten, kto te rady, niechcąc zlekceważy,
dozna zniewolenia, w którym wnet przepadnie.

Nie było to proste, bo wróg z każdej strony,
swoim wilczym pyskiem straszył oraz groził,
coraz sprawniej niszczył przejawy obrony,
a tych których pjął, natychmiast wywoził.
Wileńskie Żukiszki, przerastając siebie,
swoją gościnnością, potwornie pęcniwały.
Brud, smród i ubóstwo, lub kibel w potrzebie,
stanowiły przykład tej haniebnej sprawy.
Dzień za dniem, jak co dzień, każda noc za nocą,
stanowiły jakoś stachanowskiej pracy,
która tych co płaczą i w strachu się poca,
ugniatała raźnie, jak placuszki macy.
To tam potwierdzano w swym twórczym początku,
teorię dzielenia na tych co siedzieli,
aktualnie siedzą, oraz dla porządku,
na tych, co wnet będą tę przyjemność mieli.



III. UCIECZKA Z OBOZU INTERNOWANYCH
1940 r.

Również tam, daleko, na cyplu rubieży,
gdzie Żejmiana wolno toczy swoje wody,
a nad nią miasteczko zapomniane leży,
pozbawiono ludzi jedynej przygody,
tej co zwykle wiosną, uśmiechem radosna,
miłą pieśnią życia chwaliła urodę,
którą w swe władanie przejmowała wiosna,
proponując siebie na życia osłodę.
Tym razem miasteczko zdane na swe siły,
zagubione w lesie, jakby się zgarbiło,
a przeróżne myśli mieszkańców gubiły,
bo na zmianę losu w nim się nie liczyło.
Dzień każdy był cichą nadzieją na jutro,
którego nie zawsze można było dożyć,
bo wszystko co mogło, pocieszało krótko,
a ulotnej złudy nikt już nie chciał mnożyć.
Wiele rodzin z miasta wysłano w nieznane,
jeszcze sporo trwało w przykrej niepewności,
a to co się miało, bywało chowane
przed oczyma wrednych, nie proszonych gości.
Wszystko było fantem diabelskiej loterii,
w której obojętnie jakby się nie grało,
każde za i przeciw z tej samej materii,
oczy, ręce, nogi, jednako wiązało.
Władzę nad miasteczkiem miało NKWD-e,
na czele z Jewrejem Szermanem - lejtnantem,
którego wspierały, by móc pochłać wodę,
rynsztokowe szuje, w spóźnie z okupantem.
Układano listy osób podejrzanych,
niepewnych w uznaniu nowego porządku,
albo tych z poprzednią władzą powiązanych,
lub nie przystających do wskazań obrządku,
w którym miejsce Boga zajął ojciec Stalin,
zaś witalną siłą była konstytucja,
wiodąca radośnie jednych na Sachalin,
a drugich w więzieniach mekka rewolucja.

Znane powiedzenie, że podróże kształcą,
miało tak ogromną moc do sprawdzenia,
że nie było w stanie stwierdzić, jak to traci,
chęci poznawania katorżne cierpienia.
Kogo nie ruszono, bo jeszcze nie pora,
czujnie śledził ruchy podłego oprawcy,
aby na pozorach przechytrzyć potwora,
co przystawał tylko do miana szubrawcy.
Czasem się udało przetrwać chwile trwogi,
uciec od nagłego napadu znieczeka,
ratując swą wolność i zasób ubogich
myśli, sądów, wierzeń - cichego bogactwa.
Był to czas błądzenia, szukania lepszego
wyjścia z sytuacji, która stale pełna
przeciwności losu, miała z dwojga złego
wskazać na tę drogę, co może być pewna.
A więc wybierano, licząc na los szczęścia,
na męskie spojzenie nawet śmierci w oczy,
byle się nie gubić w tańcu do wzięcia,
jak obóz Ukmerge, w którym każdy psoczyk.

Mało było zwierzeń, bo sprawa nie prosta.
Decyzja odważna, efekt niewiadomy.
Droga uciążliwa, nieznanym porosła,
a obcość dokoła i ON zagubiony.
Wiele dni i nocy, przecierało trasę
wiodącą ku swoim, do żony i dzieci,
a księżyc latarnią nad szumiącym lasem
rozrzedzał czerni nocy, gdy życzliwie świecił.
Wiosna podsycala płomień gorejący
w sercu rycerskiego internowanego,
który postanowił los urągający,
zmienić w przypomnienie człowieka wolnego.
To nie ostateczność, ani bohaterstwo,
ale najzwyczajniejsze ludzkie prawo życia,
kazało w wyborze wyznaczyć pierwszeństwo,
pragnieniom wolności hołubionym skrycie.
Ono rosło burzą, jako znak protestu,
w zniewolonym sercu byłego KOP -isty,
aż przybrało formę tego manifestu,
który serce zbroił w sposób oczywisty.

Ta nagła ucieczka, mogła każdej chwili
przerwać pełen wiary bieg dalszych wydarzeń,
wszak ludzie nie zawsze są dla siebie mili,
szczególnie w okresie wylnych wyobrażeń.
Również leśne drogi nie bywały puste.
Czasem lis lub sarna błyskawicznym skokiem,
przemierzali trasę wyłożoną chrustem,
napędzając strachu trzaskiem, grożąc szokiem.
ON mimo utrudzeń i chwil niepewności,
w nieustannym głodzie oraz chłódach nocy,
z całą siłą woli, nie tracąc czujności,
brnął przez pola, lasy, resztkami swej mocy.
Wiodła go nadzieja rychłego spotkania
z żoną, córką, synem oraz obowiązek,
co głowie rodziny, po prostu zabrania
nękać niepewnością ten najświętszy związek.
Wszak wszyscy czekali z serca niepokojem,
na wiadomość o tym, że żyje i tęskni,
że pragnie powrotu, a doznania swoje
przełożył na godny obowiązek męski.
Były dni słoneczne, zielone, kwieciste,
radujące serce zmęczonego zbiega,
który wznosząc oczy w niebo barwą czyste,
doznawał radości, że oto już sięga
własnym, wyostrenym, zaborczym spojrzeniem,
w błękit drogiej strony, pod którym poznawał
jezioro wśród cieni, wabiące swym lenieniem,
a to było znakiem, co mu pewność dawał.
Znał jego uroki i historię z baśni,
która nasycona barwami przenośni,
miała na uwadze bezsens owych waśni,
jakie pozbawiały tutejszych jedności.
A kiedy już stanął przy nim na murawie,
obmył twarz i ręce, wyprostował nogi,
to pełen spokoju, kładąc się na trawie,
przywitał snem twardym swego wyjścia progi.
Sniła mu się dziwna sceneria zdarzenia,
które było skutkiem nieustannej skargi,
wyrosłej z najgłębszych boleści, cierpienia,
pośród kęz zielonych, przez zielone wargi.



Pośród traw soczystych cichego ustronia,
B dala od gwarnego, kipiącego życia,
bezpiecznie ukryte w gęstwinie sitowia,
smakowało radość spokojnego bycia
baśniowe jezioro, które mgławce chmury
w grzecznie wygładzonym seledynie toni,
powielalo kreśląc niekształtne kontury,
by mogły się ujrzeć, kiedy wiatr je gonik.
Fragując dopełnienia wdzięku oraz czaru,
przybrało swe gładkie i nadobne lico
klipsami świeżutkich kwiatów nenufarów,
aby tym podkreślić subtelną dziewiczość.
I tak wystrojone spoglądało śmiało
w nieskończoną głębię otwartego nieba,
oraz w samolubstwie szczerze przyznawało,
że więcej mu szczęścia chyba nie potrzeba.
Stąd niezrozumiałe bywały dlań żale
dwóch wierzb, które rosły tuż przy jego brzegu,
co stale uparcie były wyznawane
i żalosnym szeptem wlatowały ku niebu,
powtarzając skargę, że żył los je rzucił
na przeciwne brzegi, daleko od siebie,
a brak zrozumienia jezioro wciąż smucił,
zwiększając udrękę oraz liści drżenie.
Lecz dumne jezioro, po prostu nie chciało
wikłać się w historię obcej dlań tęsknoty,
i w tym samolubstwie mu się wydawało,
że są to przypadki wierzbowej głupoty.
Nie umiało pojąć, że to właśnie życie
niesie w swoim łonie przeróżne zdarzenia,
te nieprzewidziane oraz tkwiące skrycie
w czasie, który rodzi wymiar ich znaczenia.

Mijały dni, noce, a pycha jezioro,
jako nieodmienny wciąż atrybut trwania,
czyniła niezmiennie, że w jego paciorkach,
pęczniała li tylko szluda doznawania.
Także w owym czasie, dwie wierzby płaczące
rosły w swoim żalu, symbolem proroczym,
okrywając wnętrza, smutne oraz drżące,

zieleniutkim splotem wspaniałych warkoczy.
Lecz kiedy nadeszły, nieprzewidywane
czasy zawieszenia w tle morderczej suszy,
słońce swym bezmiarem energii wezbrane,
wywiodło na mękę fragment ziemskiej duszy.
Poszarzała zieleń, omdlewały kwiaty,
osłabione wierzby wnet płakać przestały,
a wszystko co żywe, porzucało szaty,
obnażając własne kształty obolałe.

W tym czasie jeziorko wnet istnieć przestało,
bo słońce wysało toni łaknącą burzy,
a gładziutkie lico w swym kształcie się stało,
piegowatą plamą zmętniałej kałuży,
nad którą jedynie, w skromniutkiej grze cieni,
dwie chudzielcze wierzby pochylały głowy,
osłaniając resztę znikomej nadziei,
na nadejście deszczu oraz sił odnowy.
Okrucieństwo zdarzeń dokonało swego.
Bolesne doznania umocniły wiarę,
a ta wspólną troską budowała z tego,
prawdziwość przyjaźni na serdeczną miarę.
A kiedy powrócił na ramionach burzy,
znów głęboki oddech, który wiatrem dzwoni,
wnet ożyły wierzby, a ich cień się nurzył,
miło drżącym kształtem, już w przyjaznej toni.

¶

Przebudzenie było nagłe, lecz przytomne,
spojrzenie obiegło całą linię brzegu,
wrażenie dla oczu zachwytem ogromne,
szukało oparcia w krzaczastym szeregu,
który swym dorodnym, gęstym żywopłotem,
osłaniał ciąg dalszy zielonej przestrzeni,
tej z wiary, nadziei, nawilżonych potem,
na drodze wiodącej ku serdecznej ziemi.
Ku temu ustroniu, wśród gęstego lasu,
gdzie ON nieraz gubił jakoś odpoczynku,
w upartym czuwaniu, tracąc wiele czasu,
by chwycić płotkę, tam zwana sardynką.

Unosząc się wolno, cicho i ostrożnie,
badał najdokładniej całe otoczenie,
aby przez przypadek nie omotać groźnie,
niemalże pewności w sprawy powodzenie.
Potem szybkim krokiem wkroczył między gąszcze,
przenikając zieleni wspaniałą, bogatą,
a czyniąc uniki, spędszał muchy, chrząszcze,
aby jak najszybciej zjawić się przed chatą,
tak wkomponowaną w drzewa oraz krzaki,
że kto się z nią zetknął, bywał zachwycony,
gdyż ona w zieleni, zielona dla draki,
w tym obrazie gąszczy, jej kształt był gubiony.
Była to gajówka, a w niej rzeski wyga,
swoje pustelnicze i samotne życie,
na swych mocnych barkach wciąż odważnie dźwigał
z jeziorkiem, co wiodło także żywot skrycie.
Gajowy, mężczyzna szanowany wielce -
tutejszy, jak zwykle się tam prezentował,
był pełen przyjaźni, kiedy bratnie serce
mógł wspomóc, doradzić, ugościć, przechować.
I tak też się stało, gdy dobrzy znajomi
uściskali dłonie, choć powaga chwili
radość hamowała, bo wiadomo "oni",
choć to na bezludziu, już nieraz tu byli.
Przyjęcie serdeczne było budujące,
rozmowa bez strachu, wszystko wyjaśniała,
poczęstunek godny, a danie gorące
wnet przywiodło ducha do sprawności ciała.
Dopiero północą, uznając że czas już,
aby pewnie spocząć i dobrze się wyspać,
odłożyli zgodnie tworzony scenariusz
do dnia następnego, aby zeń korzystać.
Cisza wypełniała dom i otoczenie,
na niebie mrugały gwiazdy niecierpliwe,
a księżyc nie bacząc na swe wybrzuszenie,
zmierzał własną drogą powoli, cierpliwie.
Na nic się nie zdały wszelkie medytacje,
bowiem prawda była trudna do przyjęcia,
i śądne cwaniactwo, ani kombinacje,
nie dawały wiary w efekt przedsięwzięcia.

A każdy przypadek był do przewidzenia,
bo zdani na siłę własnego myślenia,
bez wsparcia możniejszych, godnych zawierzenia,
nie mieli tej mocy, aby gromem z cienia
przetrzeć szlaki tęsknot, podłości, przemocy
i zdobyć się na to, by serca potrzeba
mogła się wynurzyć z tej potwornej nocy,
gęsto zawieszanej pod kopułą nieba.
Sen był wybawieniem, bo błogą niemocą
pozwalał na snucie pożądanых zdarzeń,
które swój początek wzięły przed północą,
rodząc się z serdecznych pragnień oraz marzeń.
Szczęście było blisko, wciąż oczekiwane,
spełniało tęsknotę - życia pożądanie,
stroiki kwiatami to, co ukochane,
kwitnące uśmiechem w wiosennym rydwanie.
A przecież to tylko senne majaczenia,
pozwalaly tworzyć upragnione chwile
i wzbogacać nimi w strzępach swe wierzenia,
które mówiąc szczerze, nie były tak miłe.
Bo nadzieja złudą - palącą się świecą,
którą byle podmuch nieuchronnie zgasi,
a bukiety myśli lupierzem poleca,
i nic się nie zmieni, gdy się wszystko straci.
Pozostając w matni, czasem mała dziura
może w niej ukazać promyczek - ślad życia,
który może stłamsić nabrzmiała krwią chmura -
morderczyni złudzeń, wleczonych z ukrycia.

Poranne świtanie, swą anielską dłońią,
wilgotną od rosy, chłodną, kryształową,
muskalo twarz bladą czując, że ją gonia
słoneczne promienie, zawisze nad głową.
Tylko ta pieszczota, zdolną teraz była,
przegnać senne mary, przywrócić świadomość,
aby ta z uśpienia raźnie powróciła,
wzmacniając konieczną, bojową gotowość.
Najprostszym zwyczajem, kubek chłodnej wody
od razu przywrócił pełnię świadomości,
a świeże powietrze w rejonie zagrody,

pozwalając szczerze na oddech wolności.
Taki, ot po prostu, pełny i głęboki,
o smaku żywicy, lekki, balsamiczny,
trawiący zaborczo kojące uroki
mimo, że od wschodu zmierzał czas tragiczny.
Przywykać to ludzka, często trudna sprawa,
lecz godzić się z losem, to jeszcze trudniejsze
wówczas, gdy wiadomo, że się nie ma prawa
na pełniejsze życie, tak zwane tutejsze.

Na imię miał Jerzy, a nazwisko jego
najczęściej mylono z browarem Okocim,
co często myliło nawet najbliższego,
lecz on wciąż powtarzał, że zwię się Ochocim.
A skoro to ludziom ciągle się myliło,
beztrosko machnąwszy ręką bez znaczenia,
zgadzał się bez żalu i to wystarczyło,
aby zgodnie przytacać na te uproszczenia.
Teraz, kiedy droga do domu znalazła,
kurcząc się do kilku ledwie kilometrów,
jego wszystkie myśli i nadzieje cała,
żądne były rychłych działań i efektów.
Mnożyły się plany, dobre i złe wieści,
lecz nikt nie potrafił tak trafnie poradzić,
aby dojść do celu bez większych boleści
i co dalej czynić, by nie dać się zdradzić.
Porenną modlitwą, jak samotna dusza
wzlatywała w górę mocą świętej więzi,
aby sięgnąć nieba, które gęsta puszcza
przytknięła zwartym dachem swych gałęzi.
Pragnęła uprosić litości i mocy,
jasności widzenia i wyboru drogi,
aby źródłem światła rozproszyć czerń nocy
i pocieszyć serca smutnych i ubogich.
Aby dać nadzieję na dalszy trud życia,
które się wpisało w nowe katakumby,
i tylko modlitwą szeptaną z ukrycia,
jeszcze tkwi wśród żywych, a nie w mroku tramwy.

Podjęcie decyzji trudno przychodziło,
bo lęk - ludzka słabość, wciąż wszystko gmatwała,
a serce niepewne w przyspieszeniu biło
i w znowie z rozumem wyjście blokowało.
Mijały dni wolno, z pozoru normalne,
a przecież tak trudne, w stałej niepewności,
że o każdej porze zdarzenie fatalne,
może pociąć skrzydła rzekomej wolności.
I mimo, że bliskość rodziny kazała
podjąć ryzykowną decyzję odwiedzin,
przyjacielska rada wciąż dom zamykała
i swą bezwzględnością przesuwwała termin.
Dziesiąty dzień mijał, dziesiąty przeciwny
temu, po co uciekł - pragnieniu na życie,
by razem z bliskimi i w gronie rodzinnym,
utrwałać wierzenie o radosnym świecie.
O świtaniu, które zabłyśnie pewnością
gdzieś, w nieokreślonych oddaleniach świata,
a dobro zwycięży zło, które podłością
pozwalając na to, by brat niszczył brata.
Wszak człowiek z osobna może słaby, lichy,
to jednak stanowi wizerunek boży
i bez względu na to, głośny jest czy cichy,
nie może być wolny, kiedy jest w obroży.
Jeszcze gorzej bywa, kiedy naród cały
ulega w bojaźni sławie hegemonu,
bo wówczas jednostka, to przedsiocik mały
bez własnej godności, stale poniżana,
poddawana woli niecnego satrapy,
który patrząc z góry na swe gnuśne stada,
nie widzi podmiotów i swe chciwe łapy
zanurza w ten motłoch pozbawiony prawa.
Życie mocna, choć trudno, w jaskiniowym stylu,
oczekując stale łaski na ochłapy,
patrząc aby w owym wymuszonym drylu
nie zagubić głowy, padając na łapy.
A że taką podłą była rzeczywistość,
w owym niewolonym skrawku tego świata,
świadczyła niepewność ludzkiej wiary w przyszłość,
na którą cień kładła wciąż więzienna krata.

Mimo owych przestróg i własnej bojaźni,
spiąwszy się wewnętrznie na ile potrafił,
pozbywszy się zwątpień własnej wyobraźni,
ostatecznie w sedno swych zamysłów trafił.
Nie mogło być innej myśli ani drogi
jak ta, którą podjął jeszcze tam, w Ukmerge,
bo one w jedno ści wiodły w domu progi,
gdzie czekały serca kochające, wierne,
Bóg świadkiem, on nie miał w życiu większej troski,
jak ta, co do zgonnie każe trwać w jedności
i bronić skutecznie, zgodnie z prawem boskim
tych, co są owocem jedynej miłości.

Słońce już się skryło za drzewami lasu,
kiedy pożegnanie dwóch mężczyzn kończyło
dziesiąty dzień wspólnie spędzonego czasu,
w którym mówiąc szczerze, nic się nie zdarzyło,
co mogłoby zburzyć logiczny porządek,
sensowne wskazania, rady i przestrogi,
szczerłość zawierzenia, stanowczość, rozsadek,
które budowały gotowość do drogi.
Wieczór coraz szybciej zmieniał swoje kształty,
wtapiając swą wątkość w mocniejsze odzienie,
na tle których gasły anemiczne kwiaty,
w obrębie polanek, wystrojonych w cienie.
Droga niedaleka, lecz samotność w lesie
i zmierzch przejmujący chłodem niepewności
mogły sugerować, że strach go poniesie,
gdy czarna noc zmniejszy skalę widoczności.

O płochliwe duszki - leśna cyganeria,
głosząca swą radość w wyzwolenie dziecię,
zawsze nocną porą, gdy wszyscy już śpią,
raczej w sennym transie, chłodzą swe oblicze.
Lotem nietoperzy czynisz dziury w ciszy,
oczyna puszczyka penetrujesz gąszcze,
wówczas drżą chomiki, strach ogarnia myszy,
w pajęczynie jęczą zniewolone chrząszcze.

Strach ma wielkie oczy, a szczególnie w lesie,
bo wszystko jak gdyby zmienia swoje kształty,
rosłojsze są drzewa, a ich szepty niesie
lekki wiatr, sasotnik ciekawy, uparty.
Chodzi przecież o to, aby duszków krocie
mogły się przenieszczać, swobodnie w pewności,
że noc jest ich porą, bo kwitną paprocie,
które tylko one zbierają w ciemności.
A gdy świt zawita i swoją jasnością
przebije się pewnie, przez zapory dżicze,
wszystko w prawym ładzie, z należą godnością,
zmywa ranną rosą zielone oblicze.

On nie tracąc czasu, twardym, równym krokiem,
coraz więcej drogi zostawiał za sobą,
bo przewodnią siłą i losu wyrokiem,
było świt powitać i spełnienia dobą
wejść w ulice miasta, złożone przez słońce,
by ogrzało serca, co wciąż zatroskane,
w modlitwie do Boga serdecznej, gorącej,
prosiły o powrót osoby kochanej.
Nie straszone mu były w tym lesie chochoły,
co jak straż specjalna stały obok drogi,
bo On powracając, był po prostu goły,
a sprawne miał oczy oraz szybkie nogi.
To mu wystarczyło, aby w mgle świtania
wkroczyć, jak gladiator, na arenę miasta,
pamiętając o tym, by ostrość czuwania
nie straciła mocy, którą się nie szasta.
Nikogo dokoła pozwalało sądzić,
że to wczesna pora nie sdołała jeszcze
rozwiązać senne mary, w których można błądzić,
karmiące wyobraźnię nie tym co najświetlejsze.
Skoro jednak cisza sprzyjała celowi,
bez większej obawy szedł śmiało, a serce,
chciało go wyprzedzić i wybić mu z głowy
wszystko, co po drodze mogły dotknąć ręce.
Ono uderzając mocno i prosiąc, nie chciało by wcale
nie chciało by słabość wzięła nad nim górę

i zamiast dom własny, witałby gorąco,
każdą napotkaną nawet w płocie dziurę.
Pośpiech był wskazany, a nawet konieczny,
aby zła nie kusząc, dobrać do rodziny,
omijając każdy zakręt niebezpieczny,
byle się spełniły nadziei godziny.

Już ptactwo na drzewach przecierało oczy
i pierwszą, radosną melodię śpiewało,
witając wiosenny świt po chłodnej nocy,
w koleżeńskim chórze ze sobą gadało.
Przez ulicę przebiegł pies - kawaler nocy,
by zniknąć w zaroślach przy znanym mu płocie,
inny gdzieś zaszczekał, wzywając pomocy,
bo chyba usłyszał w krzakach harce kocie.
Wróbelki szaraczki, pogodne i głodne,
najprostszym sposobem, jaki im był prawy,
buszowały raźnie, zbierając co godne
było ich żołądków na rabatach z trawy.
Słońce coraz wyżej swoją twarz wznosiło,
aby lepiej dojrzeć przebudzenie ziemi,
i swoim spojrzeniem niżo nawiedziło
życie, wyzwolone z chłodu nocnych cieni.
Ulica Wileńska - trakt wszem dobrze znany,
była mówiąc szczerze, wśród ulic wiodąca,
w mieście głoszącej, że Nowe Święciany -
to nazwa już sama o sobie mówiąca.
Nowe, a więc młode, co Żejmianą nani,
otoczone lasem, uznania proszące,
na linii łączącej Wilno z Turmontami,
aby mimo wszystko, było coś znaczące.
Wszak była to trasa międzynarodowa,
wiodąca na Łotwę z Rzeczypospolitej,
kiedy były wolne - przyjaźń oraz mowa,
przy wspólnej kondycji, zawsze znakomitej.
To właśnie już tutaj, przed pokaźnym skrzyżowaniem
drogi, która wiodła ku brzegom Żejmiany,
stał domek nie-duży, co drewnianym piętrem
zamykał pod sobą parter murowany.
Kiedy stanął przed nim, oczy żą nabiegły,

a serce głośliło w każdym uderzeniu
ogrom uczuć szczerych, które z nim przybiegły.
A więc był u siebie. Jeszcze kilka kroków
dzieliło go tylko od sony i dzieci,
którzy nieświadomi już bliskiego szoku,
spokojnie czekali aż ich sen uleci.
Lecz głośnie pukanie przerwało sen nagle,
niepokój przeleciał strachem po mieszkaniu,
kobieta niepewna, z pełnią suszy w gardle,
poczęła otwierać, gubiąc się w pytaniu:
kto tam, zaraz, proszę, kto tak wcześniej puka?
To ja! - usłyszała i ten głos poznała.
Boże mój! - krzyknęła, ręką klamki szuka,
nerwowo ją szarpieć, już cicho płakała.
Wyciągnięte ręce oburącz chwyciły
postać, co się nagle chyliła ku ziemi
i jej twarz pobladła ku sobie zbliżyły
całując serdecznie, a smuga promieni
przenikając okna, na tle ściennej bieli
złocika postacie, które cud przemienił
w obraz pełen życia - zwycięskiej nadziei,
która połączyła, co zły los rozdzielił.
Potem syn radośnie uściskał tatę,
dumny jestem z ciebie - wyszeptał serdecznie,
czule ucałował, niwelując stratę,
na rzecz siostry, która uparcie, koniecznie,
zawisała u szyi kochanego taty,
mocno całowała i coś mu szeptała,
a ON taki biedny, czuł się tak bogaty
uczuciami, które rodzina dawała.
Radość była szczera, suma faktów smutna,
kreślona pod strachem prostymi słowami,
wszak dobrze wiedzieli, że niepewność jutra,
to głęź zawieszony ponad ich głowami.
Wzajemnych przekazów było bardzo wiele,
a wszystkie malował czas mrocznych wydarzeń,
które dni powszednie, a także niedziele,
równały w makabrę wciąż tramszonych marzeń.
Lecz ponad to wszystko, powrót i spotkanie,
stanowiły święto rodzinnego grona,

i było wiące w szczere przekonanie,
że ON jest ich siłą, a miłością ONA.

Czas stopniowo zmieniał, wiadomo jak, kiedy,
narzuconą kanwę szarego istnienia,
faktami okrutnej i powszechnej biedy,
która poszerzała granice cierpienia.
Miłość, rozumienie, wiele dobrych chęci,
to słodycz rodzynek do smacznego ciasta,
którego prawdziwie, nie psioząc pamięci,
w tym domu od dawna nie piekła niewiasta.
Aby chociaż trochę zmienić sytuację,
syn podjął się pracy prostej, byle jakiej,
przy głównej ulicy twierdząc, że na rację,
wychodząc na przeciw możliwości takiej,
która go równała w rządzie ludzkich cieni,
zarazem chroniła przed osądem wrednych,
bo przecież tak jawne tłuczenie kamieni,
stwarzało mu szansę, być wśród bardziej pewnych.
A to, że się miało za sobą naturę,
stwarzało pozory rozumienia czasu,
w którym to, co głębsze, wyrastało w górę,
unikając pewniej nagłych ambarasów.
Zarobek nie duży, bo sił nie starczało,
aby więcej natłoc tak swanego szabru.
Dlatego urobek w przyzmy się stawiało,
najczęściej w obczarze dojrzanego garbu.
W taki prosty sposób, oszukując śmiało,
urastał zarobek otywiając głosy,
bo znośniej się żyło, a to pozwalało,
aby wreszcie ojcu kupić papierosy.
Uśmiech choć nie częsty, od czasu do czasu,
zjawił się na twarzach mimo niepewności,
które niby zwierzę pozbawione lasu,
nie mogła zaufać ludzkiej uczciwości.
Ten pozorny spokój, nie stanowił wiary,
że nagle się wszystko korzystnie odmieni,
albo że powróci znów porządek stary
i pełnią wplności kraj ten opromieni.

Mijały tygodnie względnego spokoju,
które pomniejszały skalę niepewności
tak, że nawet ojciec, nie bojąc się znoju,
pragnął zatrudnienia szybko i w godności.

W takim, niby pewniej przeżywanym czasie,
przetrwano w spokoju, choć w koło rzecz wściekła,
nie dając się zepchnąć w kaśliwym hałasie,
gdzieś na doży nędzy czerwonego piekła.
A był to ostatni dzień rodzinnej złudy,
że może się uda, życie swe ułożyć
w bezpiecznym dystansie od wszelkiej obłudy,
i zgodnie z sumieniem, lepszych czasów dożyć.
Niestety, podłości ludzkiej nie ma granic,
bo zawsze wśród wielu znajdzie Barabassa,
co bliźniego swego ma po prostu za nic
i chętnie powisła to, co jest z Judasza.
Tak właśnie się stało. Przyszli, i zabrali.
ON nawet nie zdążył pożegnać rodziny,
bo ci z NKWD-e mu nie pozwalali,
strasząc swym bandyckim grymasem gadziny.
Tak skończył się okres rodzinnego szczęścia,
a nastał ponownie czas wielkiego smutku,
w którym każdy wiedział, że nie ma pojęcia,
jaką będzie skala dokuczliwych skutków.
Tymczasem oprawcy, sprawni w swoim dziele,
wspierali im znane sprzedawczyków pyski,
tając kto im pomógł, nie żądając wiele,
by ON poznał głośne, wileńskie Łukiszki.

Boże, ile krzywdy, bólu, zagubienia,
wypełniło serce wciśnięte za kraty,
bez poczucia winy i krzty rozumienia,
za co kradli wolność ludziom, te psubraty.
Gołe śpiany celi, a w nich jak zwierzęta,
wgniecenii bez reszty na pożarcie śmierci,
by głodna i chłodna ich dola przeklęta,
nie mogła odradzać stłamszonej pamięci.
Świat został za murem, a tam za kratami,
rodziły się strzępy snu przetwarzanego
na szczyptę nadziei, iż maltretowani,
potrafią znieść przemoc czasu okrutnego.

Na krawędzi śmierci mijał czas niewoli,
bez nieba i słońca, prawie ostateczny,
w którym doznawanie wszystkiego co boli,
było dniem powszednim, bardzo niebezpiecznym,
Bo ci, co rewirem zagłady zarządzili,
wyglądało na to, iż nie z tego świata
przyszli i sadyzmem ludzi ugościli,
a to ponoć było, wyzwoleniem brata.
Tragedia pojmanych, stanowiła radość
na pewne działania, dla tych co przywykli
do masowych mordów, a swą podłą małość
umacniali krzykiem, iż są tu niezwykli.
W tym piekle nie znano uczucia litości,
bo człowiek stanowił przedmiot do zniszczenia,
który jeśli pragnął wyjść z tych okropności,
musiał strawić wszelkie dane mu cierpienia.
Tam już tylko wiara w jedynego Boga,
w jego wszechobecność i godną łaskawość
pozwaliała wierzyć, że i z piekieł droga
może stać się traktem prowadzącym w prawość.



IV. WYBUCH WOJNY RADZIECKO - NIEMIECKIEJ
1941 r.

Była to już druga wiosna okupacji,
niespełnionych złudzeń, które wicher pędził,
a zła rzeczywistość, pełna degradacji,
zadręczała serca, które los nie szczenił.
Bo ten, co obłudę wyniósł na ołtarze,
aby prawa boże tłumaczyć niewiernie,
znieścacka uderzył na radzieckie strażę
taranem blitzkriegu, przerywając brednie,
którymi zawzięcie świat faszerowali,
swe bezbożne pały nad Boga wynieśli,
choć tylko w teorii wszystko przerastali,
wieszcząc bój ostatni słowami swej pieśni.
Świat był zaskeczony, bo dotąd kamraty,
teraz w krwawym swarcu pychy i obłudy,
wścickie zaciągali czerwone krawaty,
duszac się wzajemnie perspektywą zguby.
Wyła w bólu ziemia, krwawo nicowana
wśród gejserów ognia, w ludzkich łzach topiona,
zasłana trupami, śmiercią znakowana,
doświadczana nędzą, w ogniu pogrążona.
Nie znano litości, bo to szabość wszawa,
niegodna rycerskiej odwagi i męstwa
tam, gdzie ludzkie trupy - zwykle miazga krwawa,
były drogowskazem, jak iść do zwycięstwa.
Ginęły miliony pełne zawziętości
w walce, co szerała ludzki obraz Boga,
oraz przechodziły w akweny wieczności,
dokąd z ziemi wiodła prawie każda droga.
I chociaż twierdzono, że Boga już nie ma,
że wszechmocnym prawem jest wola Stalina,
to ci co ginęli, często snakiem krzyża
segnali się z życiem w ostatnich godzinach.
Im zabrano Boga, bo podłości skręty
rosły w gigantyczną uwerturę śmierci,
którą ciągle grały grzmiące instrumenty,
uderzając hukiem w napotkane piersi.

Krwiożerczość jak bielmo gasiła widzenie,
co się zanurzało bez reszty w topieli,
pośród drzew czerwonych i brunatnych cieni,
albo w krwawej nocy wśród lepkich kamieni.
Dzień za dniem wydłużał ten maraton śmierci,
przestrzeń pożerała wszelką wyobraźnię,
pozbawioną zwykłej, logicznej pamięci
o prawdach historii, co okropnie drażnią
ambicje nadludzi, którym się marzyło,
że na ziemi można stworzyć raj wybranym,
o jakim się jeszcze nikomu nie śniło,
gdy się zdepcze prawo życia pokonanym.
Deptały to prawo obie wrogie strony,
topiąc w krwi masowo godność, męstwo, krzyki,
bo żniwo to wielkie - ginęły miliony
pod zaskami młota, sierpa i szastyki.
Już wówczas mówiono, że sierp łącznie z młotem,
to głód i śmierć razem, jako wdzięczna para,
rządząca morderczym katów kołowrotem,
który miele, zciera, katorgą zniewala.
A wszystko to czyni aby ludzkość zmienić,
pozbawić ją Boga, wiary i ojczyzny,
by móc w socjaliźmie z czerwonych kamieni
budować komunizm - marezem wśród golizny.
Nie lepszą też była czarnucha - szastyka,
symbol na czerwieni podłego faszyzmu,
który w każdym żywym widział niewolnika
dla narodowego, również socjalizmu.
Z jednej strony Stalin - super kotr nad kotry,
z drugiej Adolf Hitler żarłoczny i krwawy,
w swoich zwyrodnieniach każdy wielokrotnym
sprawcą ludobójstwa, oprawcą, tyranem.
Obaj przypadkowo spłodzeni dla świata,
stali się powszechnie wiadomą przyczyną
skutku, który w rękach bezdusznego kata
był wyrazem tego, czym ich czas zasłynął.
Ci ludzie po prostu nie mieli sumienia,
odurzeni władzą tracili granicę,
gdzie kończy się sława, a grom potępienia
uderza w okręty, co gubią kotwice.

Na razie, agresor nie tracąc wigoru,
niszczył bez pardonu co na drodze stało
i wznosząc rzeź krwawą do rangi honoru,
mężczył, palił, łamał, co potwierdzić miało,
że oto nadchodzi ostateczna pora,
która wnet uchyli wrota lebensraumu,
zrodzonemu w głowie sadysty - potwora,
co to w ludobójstwie nie znosił marazmu.
Tymczasem niedawni kamraci po fachu,
przytłumieni strachem, gubiąc orientację,
patrzyli jak gwiazdy opadały z dachów,
bo ten kto je strącał miał siłę i rację.
A strącał je często, gęsto i z radością,
bo to ponoć one miały być tym znakiem,
co pewnie mu stanie w gardle niby ością,
kiedy się odważy pomiatać wschodniakiem.
Nie pomogły jednak wroźby i rachuby,
adolfowe armie gnały nieustannie
tych, co zamierzali zbawiać świat od zguby,
a tymczasem sami wpadli w krwawą łaźnię.
Ginęą miliony zwykłych, prostych ludzi,
zcierano z powierzchni wioski i miściny,
by nikt się zbyt dużą nadzieją nie ludził,
że ominie piekło, nie ponosząc winy.
Żniwo śmierci hojnie syciło krwią ziemię,
niebo w krwawych kunach traciło swe barwy,
głębokim fioletem wyostrzone cienie,
zmieniały kalekie kształty na wulgarny,
pełen deformacji sensu i znaczenia
obraz człowieczeństwa, co gubiło Boga
na trasie do nikąd, gdzie giną sumienia,
a głowami martwych straszy każda droga.
Powodzenie w walkach i zaborczość krwawa,
rażnie wspomagały wrogie zamierzenia,
a idąc wciąż naprzód, tylko własne prawa
ustalały sposób na ubezpieczenia.
Nienawiść wzmagająca zwierzęcość człowieka,
podłość górowała nad ludzkim sumieniem,
ofiara się stawał ten który uciekał,
a goniący zawsze wnosił zniewolenie.

Lecz było to zgubne potęranie czegoś,
co nie przysparzało niezbędnej pewności,
że to uciekanie oznaczało słabość,
która nie pozwoli myśleć o wolności.
Im dalej zachłanność wdzierąca się wyjąc,
w krajobraz przestrzeni o bezkresnej dali,
trudno było mierzyć, jak długo się bijąc,
pozwoli bitego na kolana swalić.
Z czasem opór tężał, pozycje twardniały,
a ten co uciekał nie mając wyboru,
mimo że zmarznięty, głodny i sterany,
podejmował walkę w obronie honoru.
Pragnął wyzwolenia niesłusznie bitego,
co w najprostszy sposób kochał swoje strony,
i chociaż nie wiedział, co mu przyjdzie z tego,
o prawo przetrwania stawał do obrony.
Zaś tych co liczyli, że tylko miesiące
wystarczą na pogrom Radzieckiego Związku,
musiały opuścić marzenia gorące,
bo już nie widzieli w swych myślach rozeądku.
Wszystko się stawało parodią pewności,
nienawiść tętejąc, wciąż dławiona gardła,
ziemia kryła świeżo szarpane wnętrzności,
a śmierć oprócz życia, niczego nie kradła.
Pożary i zgliszcza, zczerniałe ruiny -
szkielety świadczące, że było tam życie,
które po wybiciu ostatniej godziny,
stało się już tylko czymś pustym w niebycie.

X

Zmieniły się czasy jednej okupacji,
na drugiej przemocy bezwzględne działanie.
W miejsce młota z sierpem, symbolem wazzechracji
stała się sfastyka i jej wierni dranie.
Miejsce NKWD-e zajęło Gestapo,
Łukiszki zmieniły część pensjonariuszy,
pomieszczenia nadal służyły satrapom,
by kierat przemocy nowym wrogo^u służył.
Niestety, czerwoni choć w strachu, zdążyli
większość uwięzionych wywieźć w swoje strony,

aby na swą wolność nadal nie liczyli,
gdyż nic się nie zmieni w czasie niewolonych.
Zmieniły się miejsca kaźni i bezprawia,
pęczniały radzieckie tury i katery,
bliżej była Moskwa, a dalej Warszawa,
myśl biegła ku Wiśle, lecz od strony Wołgi.
Zawiodły nadzieje, ich wątłe kontury,
chociażby na skromny promyczek wolności,
który osaczyły kraty oraz mury
wrogich kazamatów - piekła bezwzględności.
A gdzieś tam w oddali, grzmiało nieustannie,
a wiatr trupim smrodem przenikał przez kraty
i zamiast rozpaczy, każdemu bezkarnie
rozdawał łzy gorzkie, bo los był garbaty.
To były łzy prośby, wspierające ducha,
co w ciałach już prawie ginących dla świata,
tlił się jeszcze wiarą, że Bóg ich wysłucha
i te żywe cienie wyzwoli od kata.

W gronie owych cieni, nie zabrakło tego,
który miał odwagę opuścić Ukmerge
licząc, że podoba dopiąć celu swego,
znosząc każdą podłość i każdą obelgę.
Niestety, czas zawiódk jego zamierzenia,
a plany zburzyło wiele nagłych zdarzeń,
które zniweczyły odważne pragnienia
i nastał czas tury - wyjątkowych wrażeń.
Swe życie dzielono teraz na etapy,
w czym Łukiszki były doznany początkiem,
bo tam wywieziony do najbliższej rampy,
na kolanach musiał godzić się z porządkiem,
jaki miał zapewnić zbrodniczym psubratom,
że ON - pańskie ścierwo, nie zdoła się wynknąć,
aby pełen glorii, przekazać swym bratom,
jak mu się udało od czerwonych prychnąć.
Następnym etapem znów było więzienie,
w miejscowości Gorkow na radzieckiej ziemi,
gdzie wyładowano jeszcze żywe cienie,
co nie mogły stąpać po drodze z kamieni.

Tam obcość dokoła i drużyna zbirów,
niczego dobrego rekować nie mogły,
gdyż było to raczej spotkanie wampirów,
ze stadem swych ofiar bezsilnych i głodnych.
Kształtem niby jeszcze do ludzi podobni,
o zgasłych spojrzeniach i woskowych licach,
niewinne ofiary stalinowskich zbrodni,
bezmyślnie oplute przez plebs na ulicach.
Ileż nienawiści i wściekłej podłości,
wypełniało serca prymitywnych gapiów,
gdy zamiast ochłapów człowieczej litości,
słyszano beczenie pospolitych capów.

O, ludzka istoto, jak nisko upadłaś
z błękitnej wyżyny bożej łaskawości,
w grzeszne zapadliny i wnet się wyparłaś
miłości bliźniego, dla własnej małości.
Pełna nienawiści, choć w tym samym prawie,
skazana na podłe traktowanie z góry,
czekałaś na własne w kolejce doznanie,
radości tworzenia w gułagach komuny.
Nie było współczucia dla tych, co cierpieli
za to, że się czuli wolni jako ludzie.
Przemocą porwani z ojczyźnianej ziemi,
szli dumni swą męką, chociaż w obcym brudzie.
Z nimi szła nadzieja i niezłomna wiara,
w ostateczną chwałę z trudu i cierpienia.
Z nimi szła historia gucha oraz ciała,
przez nieludzką ziemię, drogami z kamienia.
Dla nich były tiumny, ssyłki i gułagi,
obojętnie w której stronie przeżywane,
stanowiące wyraz hołdu i odwagi,
bo dla swej ojczyzny w ofierze składane.
Dla nich - nie zginęła, znaczyło że żyje,
że noszą ją w sercach potomkowie Lecha,
bo ona to chrobry naród, co odbije
swój kraj oraz wolność - walki nie zaniecha.
Wojna to nieszczęście, to ludzka tragedia,
nawałnica zbrodni dławiąca nachalnie,
huragan niszczący, burza niepowszednia,
gubiąca fizycznie, psychicznie, moralnie.

W tym czasie w miasteczku nad rzeką Żejmianą,
drugi wróg wprowadzał porządku od nowa,
ręczę wspomagany zgrają dobrze zgraną
tych, co wnet poczuli, że to do nich mowa.
Nie wnikał w tego czasu zawziętości,
oraz nie tłumaczył historii na opak,
życie się jawiło w pętach okropności
i dźwiży gardła, goniąc czas w podskokach.
Wszystko było nagłe, pilne, bez pytania,
i chociaż niektórym jakby pasowało,
praktycznie rzecz biorąc, strach na co dzień ganiał
od domu do domu, choć go się nie chciało.
Wnet nastał czas różnych, groźnych porachunków.
Wiadomo, że z cichym przyzwoleniem wroga.
Szukano przyczyny dla potwornych skutków,
byle się wykazać, że to wspólna droga.
W tych usłużnych gestach, miejscowi Litwini,
przedobrzyli nawet zamiar okupanta,
który chcąc ułatwić zarządzanie nimi,
dopuszczał maluczkich do grania w palanta.
Oni zachwyceni, przerastali siebie,
i w napadzie furii, wspartej alkoholem,
rozstrzelali pierwszych dziesięciu, by w niebie
złożyli meldunek, bijąc krwawym czołem
w podnózek wszechmocy, z bojaźnią i żalem,
że oto niewolna dłoń srodze karząca,
w przyjaźni s faszyzmem, choć będąc wasalem,
wszystkie łby niechciane wnet z karków postrąca.
Straciła, o Boże, lecz niewinne głowy,
bo ci, co się w jakiś proceder wplątali,
zawczasu uciekli, mając plan gotowy,
i na osąd losu wcale nie czekali.
Na złocistych piaskach nad brzegiem Żejmiany,
zabito niewinnych w wyniku podłości -
zabito płaczących i sponiewieranych,
jedynie dla zemsty za własne małości.
Wróg śmiał się po cichu, nie dając nic w zamian,
i skrętnie notował katowskie skłonności,
zapewniając sobie umniejszenie starań
o chętnych do mordy, w chwilach konieczności.

Wiedział również o tym, że nie wszystko sami
zdołają wykonać zgodnie z rozkazami,
a przecież wygodniej cudzymi siłami,
osiągnąć bez kosztów to, co innych rani.

Życie w dużej mierze, z racji konieczności,
stało się hazardem na różne sposoby,
w zdobywaniu środków niezbędnej żywności,
celem uniknięcia głodowej choroby.
Miejscem takich targów bywały Łyntupy,
gdzie handel wymienny był pewnym sposobem
na zdobycie tego, co człowiek zaszczytu,
szukał aby przetrwać czas podły z honorem.
Tam nie używano litów ani rubli,
a niemieckich marek jeszcze nie poznano,
stąd sposobem na to, aby móc coś kupić,
trzeba było służyć jedynie wymianą.
Wymieniano ciuchy, pierścienie, obrączki,
zegary, zegarki, różne instrumenty,
buty z cholewami, wprost z rączki do rączki,
aby nikt na dudka nie był wystrychnięty.
Za masło, cebulę i mięso wieprzowe,
za udziec barani, jaja i kurczaki,
za groch i fasolę, lub mięso wołowe,
oraz za kapustę, ziemniaki, buraki.
W ten sposób bezwiednie ludzie się zmieniali,
bo czyniąc niezbędne gesty i okrzyki,
po raz pierwszy w życiu jakoś handlowali,
utrwalając w sobie te nowe nawyki.
Od czasu do czasu, jakaś tam policja,
stworzona z miejscowych oprychów i fusów,
napadała nagle na wiejskich ulicach,
pozbawiając kupców głównie spirytusu.
A gdy się wracało z torbą smakołyków,
dość często też Niemcy, jak zwykli rakerze,
chwywali wnet tego, kto bał się ich krzyku,
i łupiąc z nich wszystko, wzmacniali swe gęty.
I tak się kręciła karuzela strachu,
stała wypełniona ryzykiem w potrzebie,
byle się nie poddać w tym perskim rajwachu,
i wcześniej niż trzeba, nie narzekać w niebie.

Jakoś się wiązało z trudem koniec z końcem,
nie tracąc czujności, aby chęć przetrwania
była mocą wiary, że nad ziemią słońce
nie zakryją chmury męki i konania.
Że ludzka cierpliwość i niezłomność ducha,
pozwolą pokonać oznaki słabości,
a z czasem przeminie groźna zawierucha,
przywracając godność światu i ludzkości.
Takie były szczere, serdeczne odczucia
w złym galimatiasie, co nękał na co dzień
nakazami, które swoją mocą trucią
stanowiły sygnał, że nikt nie jest godzien
doznawać pokoju, gdzie rządzą równiejsi,
doskonalsi rasą kreującą panów,
którzy zgodnie z prawem swoich pojęć pierwsi,
zarządzali ludźmi, jak stadem baranów.

W pierwszej kolejności ofiarami tego,
szczególnie podłego zwyrodnienia rasy,
było polowanie prawie na każdego,
kto swoim wyglądem znieważał te czasy,
w których na szczególną wzdarcie, potępienie,
wskazano z semickiej rasy "untermensche"
i im poświęcono główne wyróżnienie,
traktując ich sprawy jako najpilniejsze.
Pośpiech był uznany i wielce ceniony,
zgodnie z instrukcjami wprost z jaskini diabła,
aby każda dusza gettem zniewolona,
prawdy o swym losie przedwcześnie nie zgadła.
W związku z tym, bossowie wszelakiej tyranii,
rozpoczęli dzieło szczególnych zamierzeń,
i z pełnią precyzji prześladowczej manii,
budowali dzieło dla teutońskich wierzeń.
Na przeciwnym brzegu spokojnej Żejmiany,
szmat zielonej ziemi zwano poligonem,
gdzie w ciszy na baczność stał szereg drewnianych,
żołnierskich baraków z pomarszczonym czołem.
Właśnie tu sadyści, w imię swoich racji,
budowali ołtarz przeciwny logice,
bo zamiast go wznosić w górę chwałą nacji,
schodzili w głąb ziemi, hołdując taktyce
już wypróbowanej, pewnej i skutecznej,
że każda ofiara im głębiej złożona,

rodzi pożądaný efekt w ostatecznej,
formie satysfakcji, iż dobrze spełniona.
Z całego powiatu - dawniej święciańskiego,
pędzono tabuny żydowskiej mniejszości,
nieświadome w owej ciżbie losu swego,
ani celowości tejże nikczemności.
Kobiety i dzieci, mężczyźni i chłopcy,
dziewczęta jak kwiaty w czasie rozkwitania,
a w koło zielony, cichy i gorący,
dzień wczesnego lata w pełni dojrzewania.
Młode matki czule tuliły do piersi,
niemowlęta krzykiem wieszczące swe prawa,
Starzy i ukomni, stale jako gorsi,
byli popędzani przez nadzorców stada.
Nie było sprzeciwu, wszyscy dobrowolnie
dali się prowadzić w swoje przeznaczenie,
bacząc tylko aby zachować się godnie,
nawet jeśli losem będzie ich cierpienie.
Baraki w całości wypełniły ciała,
ludzi pozbawionych swobodnego ruchu,
nad którymi tylko sufit - biała plama,
próbował pojmany pokrzepić na duchu.
Każdy dzień pogarszał psychiczną odporność,
głód coraz wyraźniej osłabiał fizycznie,
strach ogarniał myśli, gasła ludzka godność,
starano się podejść do sprawy praktycznie.
Poszły w ruch pieniądze, biżuteria, złoto,
kuszając chciwość straży pełnej zakłamania,
lecz był to jedyny, pewny sposób na to,
by uniknąć gwałtu głodnego konania.
Za oknami radość zielonego lata,
pożerały oczy łakome i głodne,
które pozbawione doznawania świata
i jego uroków w dni jakże pogodne.
Dzieci pozbawiono swobody biegania,
piachu, trawy, wody i uśmiechu słońca,
wyciszając w małych serduszkach wołania
o chwilę radości, gdyż przemoc karząca,
te filigranowe człowiecze istoty,
zniewoliła formą dzikiego pośpiechu,
wtłaczając je w ramy bolesnej brzydoty,
pozbawiając prawa nawet do uśmiechu.

A starci i starzy, kalecy, ukonni,
stłoczeni jak w beczce żałośnie jęczeli
i tracąc nadzieję, wszyscy byli skłonni
oddać swoim katom to, co jeszcze mieli.
Komu się udało przekupić strażników,
w wielkiej tajemnicy, w garniturach z kocy,
chyżkiem opuszczali obóz katorżników,
miejsce męki bliźnich, pod osłoną nocy.
Lecz nie wszystkim dane było ująć do życia,
bo nie mieli złota, ani tego szczęścia,
by trafić na łotra, który też z ukrycia,
liczył na przypadek i władzy potknięcia.
Były to wyjątki ryzykowne, groźne,
bez żadnej pewności na dalsze przetrwanie,
lecz ten kto je doznał, pragnienia przemożne
wiązał ostatecznie z wolnością konania.
A ci, co nie mogli korzystać z ryzyka,
będąc przytłoczeni faktami tragedii,
próbowali sięgnąć u straży języka,
w sprawie doznawanej nieboskiej komedii.
Choć z trudem, część prawdy kreśliła powoli,
sadystyczny obraz nie do uwierzenia,
że jest to możliwe, aby człowiekowi,
drugi człowiek - wolny, pozbawion sumienia,
szukował dantejskie sceny ludobójstwa,
pragnąc swoją krwawą przyczynę szaleństwa,
przeistoczyć w glorię spitego pospólstwa,
które miało stać się - symbolem zwycięstwa.

Był to dzień słoneczny, pod błękitem nieba,
na tle jeszcze w pełni zielonego świata,
kiedy prowadzonych, rozkopana ziemia
witała złym trzaskiem spod buciorów kata.
Spostrzegane doły, tak jak oczodoły
pozbawione oczu, w ślepej sytuacji,
przyjmowały ciała martwych oraz gołych,
skazanych na wieczną drogę deportacji.
To sgraja pijanych, litewskich szaulisów,
bezmyślnie usłużna woli superpanów,
spełniała ludobójczą, misję wściekłych lisów,
wordując niewinnych ludzi jak baranów.

Cichy szloch niemocy i zębów zgrzytanie,
stanowiło męski akcent owej kaźni,
kiedy strzałem w głowę kończono wołanie
i gaszono światło ludzkiej wyobraźni.
Wyjące o łaskę, szalone kobiety,
na zgiętych kolanach stawiano nad dołem,
ciągając za włosy, nagie dla podniety,
z krwawymi plamami i dziurawym czołem.
Przestrassone dzieci, zawodzące płaczem,
w pełni bezgranicznej skali przerażenia,
strącano do dołów, a każde inaczej
kończyło swe życie w potwornych cierpieniach.
Niemowlęta matkom, często wprost od pierai,
wrywano w krzyku z kurczowej uwięzi,
oraz na ich oczach, kaci najpodlejsi,
unosząc je w górę siłą lewej pięści,
wyrzucali w przestrzeń nad dołami śmierci,
a z prawej strzelali, choć nie zawsze celnie,
byle jakoś trafić i krzyk ten przewiercić
na wylot ołowiem, gasząc go bezwzględnie.

Ongiś krwawy Herod tracił niemowlęta,
pragnąc z wszystkich żywych - nowonarodzonych,
zniszczyć to Jedyne, nakazem pierwszeństwa,
jako niebezpieczne dla działań rządowych.
A teraz po wielu, jakże różnych wiekach,
ponownie objawił swój niepokój władzy
ten, co ponoć z Żyda przyjął los człowieka,
ale fakt ten uznał przyczyną obrazy.
Stąd jego obsesją był mord bezzasadny,
z którego się rodził rytuał szczególny,
raz jako przyczyna bojowej pogardy,
innym razem bełkot dziki i czopurny.
W swoim opętaniu, bez sensu i racji,
uznał nację Żydów za groźnego wroga,
przy czym nie wnikając w treść interpretacji
swojego twierdzenia uważał, że droga
przez masowe groby jest tylko przesiadką,
świadczącą dogodny sposób wyzwolenia
od goryczy świata, na niezłomnie gładką
trajektorię w nicość, wolną od cierpienia.
A więc mordowano, z sadyzmu grymasem

na zachlanych gębach pewnych swojej mocy,
od wczesnego ranka nie licząc się z czasem,
do chwili gdy słońce uchodziło nocy.
Mordowano wszystkich okrutnie, bezwzględnie,
z bluźnierstwem na ustach jako satysfakcją,
że los był tak hojny i wciąż takim będzie
w walce z każdą obcą, niewygodną nacją.
Było to mniemanie w głupocie na wyrost,
oparte na złudnych, rzekomo sukcesach
tych, co traktowali obcej ziemi przyrost,
jako ostateczny ich tryumf na Kresach.
Po cichu mówiono, że blisko tysiąca
niewinnie pojmanych skreślono ze świata,
a jedynie za to, że moc ich wiodąca
pewnie przerastała człowieczeństwem kata.
Pozbawiono życia sposobem totalnym
tych, co się zdążyli dopiero urodzić,
po tych którzy starczym, a jakże odważnym
krokiem czas mierzyli, umiejac odchodzić.
Ile w tym odejściu było bólu, krzywdy,
albo ile cichej, pełnej łez modlitwy -
ile gwałtu, krzyku, nie dowie się nigdy,
kto nie przeżył mordu bez formalnej bitwy.
Tu bitwy nie by , lecz rzeź niewiniątek,
w najnowszym wydaniu ludzkiej potworności,
które mówiac szczerze, wzięła swój początek
w bolszewickim rajku krwawej zaborczości.
Także to w ich stylu, na dziko pod lasem,
wyrosły mogiły nikomu nieznane,
które zgodnie z prawem i goniącym czasem,
stracą swą wymowę, będąc zapomniane.
Tak było z Katyniem, choć świat o nim wiedział,
a teraz miał możność, nie gorsze wyczyny
podziwiać od nowa i w bezruchu siedział
nie pojmując sensu poczynań gadziny.
A przecież na Wschodzie, jak i na Zachodzie,
taki sam rytuał ludobójczej miary
spekniał krwawy Adolf - spec w owym zawodzie
i równy mu Stalin, jako drugi z pary.

Mord był ich rzemiosłem. Śmierć niosła sztandary,
które w krwi barwiła wieloma śladami,
a obaj pragnęli wazschporządek stary,
po prostu odwrócić do góry nogami.
Na razie przewagę nad swym przeciwnikiem,
powiększał z dniem każdym, poślerając przestrzeń,
faszystowski taran, szarpiąc bolszewikiem
na wszystkie sposoby, taktycznych przemieszczeń.
Czerwoni raz srodze zachłyśnięci strachem,
nie mogli przywrócić pełnej równowagi,
bo w ich świadomości, gdzieś pod mózgow dachem,
wciąż się nie angidywali bojowej odwagi.
Jedynie przestrzenie - beskresy i dale,
stanowiły atut jeszcze na przetrwanie,
gdzie wróg się zagubi, tracąc siły stale
w rozproszeniu, które przyniesie konanie.
Bój trwał nieustannie, rosnąc stale w sile
morderczej napaści dla przeciwnych racji,
które coraz bardziej bywały wątpliwe,
w sugestjach o szybkiej wroga likwidacji.
Żadne przepowiednie ani przypuszczenia,
już nie stanowiły proroczych tematów,
bo każdy swe skryte najgłębsze wierzenia,
osłaniał najszczelniej przed spojrzeniem katów.
Żyjąc pozorami w świecie zakłamania,
czas stawał się pustym bełkotem frazesów
i wolno przemijał w grzmotach przeklinania,
na pohybel dwojga w stanie wojny biesów.



V. UWOLNIENIE

Sierpień 1941 r.

W pewien dzień niezwykły, choć bardzo ponury,
rozwarły się bramy bolszewickiej tiumy,
aby człowiek twardy, lecz dotąd nijaki,
ponownie uwierzył w narodowe znaki.
I chociaż przybrany w katorżnicze łańcuchy,
jak te szare, polne na kikutach strachy,
wywiedziony w martwe ugory i pola -
ni to szare stepy, ani żyzna rola,
ruszył w dal choć była jego sercu wroga,
nie wróżąca kresu jego smutków droga.
Ta ziemia daleka i tak bardzo obca,
której nie dostrzegał początku ni końca,
wciąż raczyła bólem i gorzkimi łzami,
kiedy gnany losem, okrutnie sterany,
przemierzał zmarznięte, niemal martwe dale,
zmrożone trawiaste, śnieżnobiałe fale
i w krasie anielskiej, nieskalanej bieli,
kudził się nadejściem wolności niedzieli.
Lecz kiedy w nim dusza modlitwą się tliła,
ta ziemia go mocniej ku sobie chyliła,
a niebo wciąż smutne, szarookowiane,
rozpaczliwie zwałem ciężkich chmur zasłane,
było dachem doli nieszczęsnej człowieka,
który od swej śmierci zawzięcie uciekał,
chcąc jakoś przechytrzeć moce złego losu,
aby się wyzwolić z wrogiego chaosu.

Dla najszczęśliwszych pragnień, pośród mroźnych cieni,
wiodącym był głuchy szlak aralskiej ziemi,
a w stroskanych sercach duch czysty, ubogi,
pragnął mocno wkroczyć na pewniejsze drogi.
Mało kto dostrzegał trud tych nędznych wraków,
wywiedzionych obcą siłą na żebraków,
którzy skutkiem doli podle udręczeni,
szli pewnie ku swoim, jak wicher szaleni,
rozmieniając wszelką, znaną moc przekleństwa,
na ostatnią próbę męstwa lub szaleństwa.

Lecz gdy drżące ręce śmiałej wzniesli w górę,
kierując ku słońcu wspartemu o chmurę,
przejął Pan niejedną duszyczkę znękaną,
w marszu ku wolności prawie zapomnianą.
I tak w obcej ziemi, licznie pozostały
szczątki bohaterów - te z albumu sławy,
świadcstwo ofiary pozbawionej siły,
w aureoli wiary, po prostu mogiły.
A na nich znak krzyża skromny, bo z badyli,
który wiatr bezmyślny wciąż ku ziemi chylił
i wytrwale niszczył ten stary znak wiary,
świadczący gehennę najwyższej ofiary,
która w niemej ciszy martwa oraz goła -
przebacz im o Boże - wciąż ku niebu woła.
To ojcowie, bracia - ludzie młodzi, starzy,
ci od najprzedniejszej ojczyznianej straży,
podle niewoleni bez zasadnych racji,
ginęli przez zbirów zagubionych w nacji.
Skazani na rozpacz, mękę, zapomnienie,
jak na szaniec śmierci rzucone kamienie
wówczas, gdy już wszystko zostało przegrane
oprócz tej jedynej i nie pokonanej
mocy, co jak ogień wciąż żar rozniecała
i w skrytości serca umacniała wiarę,
że jeszcze powstaną, godnie na swą miarę.
Choć noc była długa, każdy z nich w to wierzył,
kiedy licząc kroki w swojej celi mierzył
czas, co przestrzeń zwęzał tak bliską każdemu
i szeptem wyznawał dziękczynienia niebu.
Taką była prawda i z taką schodzili
ze szlaków nadziei, którą wciąż żywili,
że wodząc ich krętą drogą ku wolności,
pozwoli strudzone wyprostować kości
i radośnie spocząć na ojczystym łonie,
gdzie kwitną bzy wonne i białe jabłonie.
Niestety, tam pustka oraz obca strona,
gdzieś na krańcach świata całkiem zagubiona,
gdzie człowiek człowieka spotyka raz w roku,

bo one mijając tracą swe godziny
w tęsknocie, pragnieniu, gdyż nielitościwy
los błądzącej duszy, tylko swą gorczyzą
może wspomóc innych, którzy na to liczą.
Najczęściej bywało, że milczenie głuche,
raczej spotykało bezwzględną kostuchę,
co o nic nie pyta, a swe dzieło czyni,
i ledwie zipiących swą mocą przyskrzyni.
Jej żniwo obfite było w owym kraju,
co tworzył bajeczki o czerwonym rajcu
i swym zakłamaniem rozsadzał przyjaźnie,
aby nie skaziły tępe wyobrażenie,
kreślące historie rzekomo epickie,
choć w rzeczy samej, zawsze bolszewickie.
Pośród tych, co czysty obraz własnej wiary
wzmocnili doznaniem, które kryminaży,
katongi, zesłania, jak piekielne ruszta
znaczyły do kości, była przestrzeń pusta,
już tylko wiązką przekleństw omotana,
bo wiodła do grobu na zgiętych kolanach.
Owszem, byli tacy, co słabość przetrwali,
i z czasem u swoich się zameldowali,
a potem stuknąwszy głośno obcasami,
z tego, na ten wieczny świat wnet się udali.
I tak się gubili na tej dziwnej drodze,
walcząc o przetrwanie, umęczeni srodze,
bo siły stracili w jarzmie komunizmu,
który ich pozbawił reszty optymizmu.
Przesuwając stale swój marsz na południe,
gdzie wędrowne wieści wspomagały głównie
dążenia, marzenia, o pieśni wolności,
co dzwięczała dumnie melodią pewności,
że zbliża się gwiazda - jutrzienka nadziei,
która zmieni życie, pokojem obdzieli.
Ta gwiazda wywiodła tych co wytrzymali
i obcej przemocy zniszczyć się nie dali,
w strony także obce, lecz gdzie ludzkie twarze,
pełne życzliwości z powagi wyrazem,
witały serdecznie pielgrzymów nadziei,

którzy jeszcze tyle siły w sobie mieli,
aby wzięwszy oręż w wolne własne dłonie,
od nowa poświęcić swe serca obronie.
Obronie ojczyzny nękaną przez wroga,
co o wolność swoją upraszała Boga,
i szczerze wierzyła w głębi swego ducha,
że on tej modlitwy i próśb jej wysłucha.
Wszak to on ich wywiódł z tej ziemi niedoli,
gdzie człowiek był ścierwem w przeklętej niewoli,
względnie częstą akcją tworzonej cyklicznie,
w której się wykańczał nagle, błyskawicznie.
W tym kraju sprzeczności, gdzie rządziła dzikość,
niełatwo bywało sięgać po uczciwość,
bo każdy dźwięk obcy wnet rozpoznawano
i za ludzką szczerą surowo karano.
Wprowadziła propaganda internacjonalizm,
osadzała gwałtem w realny socjalizm,
lecz prawda bywała zwykła, barbarzyńska,
podła i niszcząca, po prostu katyńska.
Wiedzieli to wszyscy, maluczcy i ważni,
ale nie umieli własnej wyobraźni
wynieść ponad losy powszechnie nie chciane,
które bez sprzeciwu były przyjmowane.
I tak to bywało przez dziesięciolecia,
aby niewolona świadomość człowieka
pełna niepokoju, strachem nasycana,
miała prawo życia tylko na kolanach.
Lecz teraz, gdy wojna i jej krwawe łuny,
niweczyły plany zachłannej komuny,
poczęły się rodzić te kształty myślenia,
które rozbudzały wolności marzenia,
co to jak wiosenne pąków rozkwitanie
świadczyły, że teraz budzi się wołanie
o swobodę wiary, o prawa człowieka,
o świadome wreszcie odrzucenie wieka
z trumny, co żywego wciąż martwym czyniła,
choć jego godzina jeszcze nie wybiła.

Wojna trwała nadal, a wrogowie wrogów,
do reszty wyzbyli się wszelkich pozorów
i wznosząc się hardo na szczyty podłości,
nie gardzili żadną formą zwierzęcości.

Zabijanie było prawem do istnienia,
bohaterstwem w zbrodni, formą wyróżnienia,
w owej wielkiej burzy pomylnych racji
i potwornych skutków krwawej wegetacji.
Prawo było w rękach zwykłych ponyleńców,
co się zaplątali w kretyństwo szaleńców,
którzy w swych bezpiecznych, luksusowych schronach,
żądali sukcesów, po obydwu stronach.
Tymczasem na wojnie różnie przecież bywa -
raz bitwę się wygra, drugi raz przegrywa.
Tylko śmierć ma stale dogodne pozycje,
nie wnosi zażaleń, ani śle petycje.
Dłapięj żniwa w pełni bywają wygrane,
bez względu na stronę, zawsze są udane,
bo żniwiarzy sporo ofiarnością służy,
a doznawszy chwały, im czas się nie dłuży.

Na razie czas sprzyjał wyznawcom sfastyki,
którzy będąc wierni nakazom taktyki,
skutecznie gonili i gromili srodze
tych, co uciekając po swej klęski drodze,
prostowali błędy własnej wyobraźni,
że są tacy wielcy i tacy mocarni,
bo nadal tryumfy święciła sfastyka,
nie widząc godnego siebie przeciwnika.
Sierpy przeszły w ręce ubogich żniwiarzy,
młoty wniosły usmiech kowalowych twarzy,
a gwiazdy spadały, jako znak spełnienia,
w owym trudnym czasie bólu i cierpienia.
Ruiny i zgliszczona, nędza i ubóstwo,
a w tym nieszczęść ludzkich i tragedii mnóstwo,
pozwalało sądzić, że zbliża się klęska,
której nie odeprze nawet bohatera
postawa obrońców, co wciąż się cofając
i swej nienawiści do wroga nie tając,
przegraną widzieli jak doznanie zdrady,
przed którą ich kryły trupów barykady.
Straty były wielkie w ludziach, sprzęcie, ziemi,
a jednak wierzono, że los się odmieni,
że ten naród wielki, a taki ubogi,
potrafi odnaleźć swego jutra drogi.

On wroga wypędzi, w walce go rozgromi,
zwycięsko z połogi wolny się wyłoni,
aby razem z całym światem nowej ery,
związać swoje troski w sposób bardziej szczerzy.
Świat uwierzył owym zapewnieniom strony
i w sposób wszechstronny wspierał czas obrony,
zwiększając dostawy w szerokim zakresie
wierząc, że ta pomoc wnet wroga rozniesie.
Zresztą, mówiąc szczerze, rachunek był prosty -
rosły straty w ludziach, oraz rosły koszty,
wyrównując krzywdy, wcześniej innym znane,
ból i cierpienie własnych za te zadawane.
I to było słuszne, godne odpłacanie,
za ogrom bezprawia - ludzi mordowanie,
za wszystkie Katynie, krwawe ludobójstwa,
za gułagi nędzy, podłości, oszustwa.
Każdy umie krzyczeć, gdy go los przyskrzyni,
ale gdy sam krzywdzi szarpiąc niewinnymi,
pragnie wymyślonę przez siebie pozory,
wcisnąć najzdrowszemu twierdząc, że jest chory.
Kiedy jednak siły własnej już nie staje,
ogarnięty strachem, że istnieć przestaje,
śle błagalne prośby do całego świata,
o skuteczną pomoc w ratowaniu brata.

Świat nie miał wyboru, bo walczące strony;
uznawały głównie czerwone kolory
i obie skłynęły z potworności zbrodni,
w czasie których zwykle ginęli bezbronni.
Rozumnym więc było cierpliwe czekanie,
nieustanne zdarzeń analizowanie,
aby w odpowiedniej i dogodnej chwili,
kiedy jeszcze obie strony się niszczyły,
tak pewnie określić tę jedyną stronę,
która wzmocni wspólną bojową obronę,
a następnie dzięki sprawnym uderzeniom,
przyniesie kres wojnie i ludzkim cierpieniom.

Świat nie mógł i nie chciał zapomnieć tej prawdy,
że to właśnie owe siły pełne wzdargy,
które teraz w walce krwawo się niszczyły,
w bandyckich zapędach cały świat paliły.
To one w oparciu o podłe zamiary,
burzyły porządek uświęcony, stary;
i dławiąc się własną pychą ponadludzi,
nadzieją zwycięstwa każdy z nich się łudził.

Liczenie sukcesów wciąż było przedwczesne,
bo prócz chwil krzepiących, były też bolesne,
i to niezależnie gdzie, po czyjej stronie,
czy w akcie natarcia, czy w twardej obronie.
Straty i ofiary były tak potworne,
że wszelkie gdybania bywały niegodne,
bo ludzka świadomość, bez ideologii,
spostrzegała krwawy bezsens owej orgii,
co obłądne racje stawiała na styku,
wyluczania glorii z masy nieboszczyków.



VI. W Y W I E Z I E N I
Marzec 1942 r.

Po raz trzeci zima, lśniący nurt Zejmiany,
spięta tafłą lodu grubo ośnieżoną
i trwając w tej bieli - czasowej odmiany,
zachwycała wiernych, co schyloną głową
swe szczere uczucia głośno wyznawali,
a przy tym jej imię, bez krzywienia słowa,
w przedwojennym brzmieniu tylko uznawali,
nie widząc potrzeby chrzczenia jej od nowa.
Poza tym, nikt przecież na szerokim świecie,
nie widział potrzeby wspomnienia tego,
że gdzieś tam w nieznanym, święciańskim powiecie,
zesztywniała rzeka od mrozu wielkiego,
który w swych okowach niewolił kraj cały
i ludzi zajętych swoim przeżywaniem
tego, że on taki bezradny i mały,
stawał się bezwzględny wrogów zamrażaniem.
Czekano na skutki licząc, że się zmieni
pochmurny i mroźny czas wyczekiwania,
aż Ziemia Wileńska wynurzy się z cieni,
którymi dławiła ją obca tyrania.
I chociaż wróg pierwszy podmienił drugiego,
stan powszechnej klęski skuł bezradne ręce,
bo choć były zmiany stanu wojennego,
każdy dzień przeżyty, był wciąż drogą w męce.
Obcość, jak zabaza dręczyła świadomość,
co się nieustannie musiała ocierać
o fakty istnienia tam, gdzie chłodna wrogość,
pozwalała ludziom płakać i umierać.
W tym czasie naiwność, lecz litewskich braci,
pozwalała pewnym grupom swych odmieńców,
sprzedawać się wrogu i swój honor tracić,
na poczet bezmyślnych iluzji szalenców.
Kraj stał się brązowy, nakrapiany czernią,
wszędzie oczy kłuła łamańcem sfastyka,
lecz miasteczko pewnie swą postawą bierną,
skutecznie chłodziło głowy przeciwnika.
Oczywiście różne bywały układy,
bo to kraj wielości narodowych nacji,
gdzie z trudem się mogły godzić pewne rady

mimo, że zupełnej nikt nie głosił racji.
Sława zeszała w kąty, by nie stać się skutkiem
przyczyny, powszechnie zwanej bohaterstwem,
bo czas, ten skażony bezgranicznym smutkiem,
zasiany był wrogim gwałtem i morderstwem.
Więści z wszystkich frontów bywały okrutne,
po prostu przeciwne intencjom myślenia,
bo stałe stawały w poprzek, bałamutne,
odbierając wszelką szansę wyzwolenia.
Malała nadzieja, oczy łyż roniły,
serca z niepokojem gubiły się w wierze.
Jedynie modlitwy ku niebu wznosiły
szczerze powtarzane o litość pacierze.
Tym razem Bóg jednak nie bywał pomocny,
choć doń modlitwy szano różnorakie -
po polsku, litewsku, rusku za dnia, nocy,
bo mówiąc najprościej, nie były jednakie.
Każda nacja swoje widziała nieszczęścia
i tylko dla siebie prosiła o łaski,
zaś one przeciwne, nie były do wzięcia,
gdyż twarze proszących okrywały maski.
Mimo wspólnej biedy, niepewności jutra,
w tym zakątku świata nie było jedności,
bo myślenie ludzi, jak zwierzęce futra,
jeżyły się stale pod działaniem złości.
To bracia Litwini niepomi przeszłości,
zachwyceni fałszem pustej obietnicy,
naiwnie myśleli, że w swej uległości
doznają przerostu mądrości krynicy.
Im się wydawało w ciemnej, zgubnej nocy,
że może się uda na bliźniego biedzie,
zajechać do Wilna w błazeńskiej karocy,
by gościć Adolfa na wspólnym obiedzie.

Złuda jest wytworem niepewnego życia,
lecz ma swą przydatność, kiedy ból łagodzi,
a nie gdy naiwność wlecze ją z ukrycia
i szukając celu, w krwi swych bliźnich brodzi.
To były naiwne sądy i mniemania,
że wróg, co ze światem podjął swe zmagania,
dla jakiegoś karku po prostu zbaraniał,
chcąc stworzyć zeń wsparcie swego panowania.

Prawda była zawsze odmienna od złudzeń,
bo dyle gest starczył by maluczki drętwiął,
a stały niepokój codziennych przebudzeń
pytał, czy poranek w swej rześkości mętniał.
Różnie to bywało, nawet dosyć często,
że gwałt budził ludzi ze snu niepewnego,
bo ci nieproszeni, lubili na gęsto
spożywać śniadania z cyklu wstrząsowego.
A czynili to tak, aby untermensche,
nie mogli osądzać spostrzegane czasy,
bo ich przeznaczeniem, jako prawo pierwsze,
było służyć panom przedującej rasy.
Owszem, byli tacy, znaczeni niechlujstwem,
rynsztkowe szuje, co kopali doły
na masowy ubój - zwany ludobójstwem,
gdzie składano martwych i bluźniercze gołych.
Byli również tacy, co chętnie strzelali,
przeżywając sukces dziurawienia głowy
i w swoim zboczeniu orgazmu przeżywali,
patrzac jak padają - goła, a z nią goły.
Potem wytłamszeni w sytej krwi rozkoszy,
gdy działanie wody częściowo odeszło,
wylili i rzygali na paletę noszy,
gdy ich wynoszono, aby im to przeszło.
Jednym przechodziło i snów byli sprawni,
gotowi do rzezi bez specjalnych skutków,
a słabsi, bez czucia stawali się marni,
i zwykle trafiali wprost do świata czubków.
Tylko wróg korzystał z głupoty maluczkich,
oraz ich rękoma czynił co najgorsze,
stwierdzając bezbłędnie, że pośród głupiutkich,
tych dwunożnych stworzeń, rozkazy najprostsze,
bywały okazją chętnie przyjmowaną
z twierdzeniem, że trzeba działać w bezwzględności,
zwierzęcym rozpędem, z gębą zakazaną,
skoro mord się staje celem zaborczości.
Wataha tumanów swą ograniczoność,
w hołdowniczym skłonie kładła u stóp panów,
którzy wyzyskując ową podłą małość,
za nos ją wodzili, jak stado baranów.

Podobno im dobrze było w tej symbiozie,
gdzie wielki polecał i rejestr malował,
a mały bez krzywdy o każdej pogodzie
moccowacy służył, wyręczał, mordował.
I tak się rodziła obłuda przyjaźni
tego, co swe prawa kreślił pod dyktando
diabła, który wielce chwalił dzieło kaźni
i w dowód uznania stworzył im komando,
aby wiernie sprawie przysparzało glorii
wodzowi, co w bunkrze szukał swe medytacje,
a narzając swe myśli w labirynt teorii,
dochodził do wniosku, że zawsze ma rację.
Jak drugo czas sprzyjał, wódz kapę unosił,
dźwięcznie pozdrawiał i chełpił się mocą,
wiedząc, że jak dotąd nikogo nie prosił,
bo był pewien siebie i zdrowo spał nocą.
Czerwone sztandary stale kopotały,
a na nich szastyka była czernym znakiem,
że świat coraz bardziej staje się tak mały,
iż można się na nim przejechać okrakiem.
Szaleństwo ma w sobie rosgardiasz psychiczny,
bo daje widzenie świata, lecz na opak,
a to co normalne, w sposób diaboliczny
poniewiera brodzie, tarzając w ryzostokach.
Tym razem ryzostoki ludzką krwią znaczone,
wskazywały drogę gdzie cuchło szaleństwem -
obłąkane w swej gali słowa ponylonne,
które bieg do śmierci zwąży - bohaterstwem.

O ludzką istotę, która się raczytas,
nazwęś obreza podobieństwa Bogu
aino, że najbardziej właśnie ty grzeszytas,
poczawszy od chwili przekroczenia progu
własnej świadomości o realnym bycie,
na tym, jak nazwęś - padła rozpacz,
gdzie dano ci rozum i realne życie,
abyś pojąć mogła ile ono znaczy.
Lecz ty zagubiona, pyszna i bezradna,
pazna złości zamiast serdecznego wsparcia,
złoniessz nienawiścią na użytek diabła,

gotowa bez reszty na piekielne pożarcie.
Już nie chcesz wiedzieć, czyj historii wątek,
z wszechstopy istnienia zrodził każde życie,
które nie z ludzkiego prawa swój początek
wzięło w innej celu, jakim jest wszechbycie.
Ty zaniast miłości i serc dziękczynienia,
za świadome bycie w przecudownym świecie,
i ze wielką gwałtownością wśród męczarni,
które się unoszą ponad ziemskie życie -
ty z jędrą boleści, panceru, potępienia,
wysławiasz potworność piekielnych otchłani,
aby niezmoczyć piękno i w nim te pragnienia,
którymi Bóg darsy przed nieba brałmi.
A przecież wystarczy tylko spojrzeć w oko,
aby pojąć prawdę, którą świat nam głosi,
że kiedyś w niebycie pierwszym było słowo,
co z nieskończoności nieustannie prosi,
byśmy je przyjęli jak dobro wszechstopy,
które nas wewnętrznie w inny świat unosi,
ratując przed zgubą w wiekulej nocy,
będącej bezmiarom jedynie nicości.
Nic nie jest przypadkiem, lecz tym samierzeniem,
które w nieskończoność wiecznie ludzkie dropi,
znaczone miłością, a nie stworzeniem:
ze to, że sens czynów naszych tak ubogi.
Błądząc pielgrzymami własnej doznaności,
najczęściej ginimy w gęstwinach pokusy,
które sypia szubrowa sięga do wnętrza,
gubiąc zgodność myśli z cichym szeptem duszy.
I kiedy zło nagle pomiesza szał trwania,
i riasz zacnie walkę w spokojny krwi obieg,
oczy nęty zachodzą, a poza barania
jednocześnie świadczy, że gubi się człowiek.
To arak ponurości i ładza ochłapów,
co z ludzkiego wnętrza przemocą wyrwane,
krucie czas ze wnętrza, jako ścierwo capów,
w koleiny świata ściercią udeptane.
Porzekałi jedon wrogiaj nienawiści,
gubiąc się w mgłach nocnych, albo krawnych świtach,
swoją nęgość duszy, jak garść suchych liści,
pozwalamy kruszyć przez losu kopyta.

Bo ten los, jak chmura ciemna i ponura,
skutecznie zasłonił błękitnożłocisty
pułap ziemskiej strony, którą krwi purpura
bogato przetkała, tworząc uroczysty,
a mimo to małtwy i śmiercią dostojny,
nieboski, lecz ludzki sposób oczywisty,
wiodący jedynie w tło morderczej wojny,
jako sposób krwawy, ale prawnie czysty.
A efektem tego, przemoc jako prawo,
barbarzyństwo - godność superczłowieczeństwa,
które bez oporów samo to uznało
bohaterstwem, jakie tworzyło szaleństwo.
To zbrodniczy obłąd wszechuzurpatorów,
niweczył porządek i pokój dla świata,
w którym nagle wzrosła rozrodczość potworów,
głośno żądających akcesoriów kata.
Nagle świat z pokory i zbożnego ładu,
zaczął się przestawiać na mordercze harce,
pragnąc się uchronić przed gwałtem napadu,
lub przed nędzą życia w dryfującej arce.
Coraz bardziej wojna - ten zły duch ludzkości,
rącho pomnażała bezlitosne czyny
i swą bezwzględnością, na złość uczciwości,
w miejsce cudu życia, mnożyła mogiły.
Wszystko się stawało małoduszną tezą,
co nie była godną spojrzeć prawdzie w oczy,
aby wreszcie pojąć, że z serca protezą,
człowiek nie jest w stanie pewnie w życie kroczyć.
Lecz czas, który nastał i nękał świat cały,
okropnością strasznej sodomy, gomory,
na razie się starał być wyrozumiały,
i pozwalał na to, aby wciąż potwory,
te o ludzkich kształtach i tępych obliczach,
niweczyły prawa człowieczej godności,
na wciąż przemierzanych drogach i ulicach,
które teraz wiodły tylko do nicości.

Już trzeci rok wojny osiągał półmetek,
gdy pierwsze dni marca, jeszcze pełne zimy,
bieliły się śniegiem, chociaż czerni poletek,
swą golizną ziemi, już wiosnę głośiły.

Był to okres smutny, lecz pobudzał wiarę,
że to może teraz wreszcie coś się zmieni
i że umęczony człowiek ponad miarę,
poczuje się sobą nie tracąc nadziei.
Zaś ona, jak ziarno wysiane do gleby,
pewnie w ciepłe słońca, co przywodzi wiosnę,
da plon upragniony, spełniając potrzeby
poprzez wydarzenia, być może radosne.
To były pragnienia, nabożne życzenia,
ciche słowa każdej, serdecznej modlitwy,
które mimo wszystko, gorące pragnienia
wciąż wiązały tylko z postępną bitwą.
A te w swym czasie wreszcie zdecydują
o wyniku wojny, w której dwa kolosy
pełne nienawiści, srodze się mordując,
swe naki i krzyki słały pod niebiosy.
W tym ataku trwogi o każdy dzień życia,
nowe rozkazanie wróg nagle ogłosił,
pozbawiając wielu możliwości bycia
w związkach które jeszcze, człowiek w sercu nosił.
Widocznie czas zaczął stępląc miecze gwałtu,
co spowodowało wiele niepewności,
które wciąż dalekie od groźnego kształtu,
wnet stały się źródłem nowej bezwzględności.
Wróg pilnie zażądał wielu robotników,
dla wzmocnienia swego twórczego zaplecza,
które stanowiło podstawę pewników,
wzmacniających ostrze wojennego miecza.
Było to żądanie słane do Litwinów,
które swą jakością wzmacniało prostaków,
co fałszem zrodziło niegodziwość czynu,
dając w miejsce swoich, niechcianych Polaków.
I tak się poczęła epopeja zdrady
tych, których szubrawie odarto z godności,
tłamsząc ich rodowód, by te eskapady
pewniej budowały ich przyszłość w podłości.
To chytre maluczkich świadczenie obłudy,
jakoś nie wzbudziło podejrzeń u Niemców,
którzy pomagając transportowi złudy,
zarządzili podróż w wagonach zwycięzców.

Bo nie w towarowych, ani też bydłych,
wagonach wieziono rzekomych Litwinów,
co to bez oporu, w chłopięco - dziewczęcych
pragnieniach poznania, wieźli chęć do czynów.
Wieźli swe zamiary pracy dla zwycięstwa,
które budowały w obcych sobie stronach,
oddziały Wehrmachtu w aureoli męstwa,
o czym się czytało na wszystkich peronach.
Dopiero nad ranem, zgrzytnęły hamulce,
i pociąg natychmiast cały znieruchomił
przed budynkiem dworca, gdzie wszystko pokrótce,
jakiś mundurowy głośno awizował.
Na ścianie budynku napis informował,
że to miasto Hanau przyjezdnych witało,
których rząd litewski do pracy zwerbował
na uzupełnienie, gdzie ich brakowało.
Potem, na wezwanie pociąg opuściły,
dziewczęta i różne swym wiekiem kobiety,
pełne niepokoju, w którym się gubiły,
nie mogąc przewidzieć ostatecznej mety.
Tutaj odłączone siostry oraz żony,
a mężowie, bracia i ci pozostali,
jak nagle spłoszone strachliwe gawrony,
jękiem przerażenia swych bliskich żegnali.

Ja także wraz z nimi, poraz drugi w życiu,
doznałem przykrości smutnego rozstania,
bo tu, na tym dworcu, w wagonowym skryciu,
serdecznymi łzami, bez słów pożegnania,
traciłem mą siostrę, a ona mnie, brata.
Także naszą mamę, też nie z własnej woli,
oddzielono od nas na nieznane lata,
abyśmy poznali, jak rozstanie boli.
I tak, pod przybranym krajem pochodzenia,
nie zdradzając prawdy o narodowości,
pociąg wiózł nas dalej w stronę przeznaczenia,
wypełniony ciszą pełną niepewności.
Dzień szary, pochmurny, swym mglistym okapem
przyskaniał mijane wioski i miasteczka,
które zaprzeczały, iż są wojny znakiem,
a ten kraj to pełna dynamitu beczka.

Po kilku godzinach przeróżnych domysłów,
nasza podróż wreszcie dobiegła do końca,
i tak jak poprzednio, prosto, bez pomysłów,
Wetziar nas przyjmował pochmurny, bez słońca.
Wyglądało na to, że ta strona świata,
chciała nam powiedzieć sposobem najprostszym,
że tu nie doznamy serdeczności brata,
lecz to, co być może w wydaniu najgorszym.
Teraz krok za krokiem, przejęci swym losem,
wskuchując się w chaos pomieszanych kroków,
szliśmy jak skazańcy pochrzając nosem,
na spotkanie własnych przyszłości wyroków.
To miasto płakało, gdy znużeni trasą,
mieliśmy wnet poznać, jaki los nas czeka
tutaj, gdzie nad rozum wyniesiono rasę,
choć każdy mówił, a nikt tu nie czekał.
Mieliśmy okazję wnioskowania z tego,
że choć rasa - klasa, to najczęściej nogi,
nie było nam dane dojrzeć coś miłego,
bo stan wyobraźni raczej był ubogi.
Zmęczenie wiadomo, krzywiło widzenie,
i nam się zdawało, że ten strop zbrudzony,
złośliwie dziurawiąc, kłuży go w siedzenie
fabryczne kominy dla swojej obrony.
Potem była brama pokaźna, dostojna,
a przy niej wachmani, jako straż od godła,
która nas przyjęła i jak szpica zbrojna,
przez teren fabryczny swoją zdobyła wiedza.
Dobrnawszy skutecznie do hangaru z blachy,
o rozmiarach, które były szokujące,
kazano nam złożyć przywiezione łachy,
unąć się i czekać na jadło gorące.
Dwie trzecie powierzchni zajmowały prycze,
obłożone słomą, przykryte kocami,
które stanowiły niemalże dziewicze,
kojce podzielone czterema piętami.
Taki był początek, świadczący wymownie,
że z prawem człowieka są tutaj na bakier,
bo my dotąd wolni, czuliśmy to zgodnie,
że nas traktowano, jak w ustępie papier.

Wieczornym posiłkiem była z brukwi zupa,
oraz kromka chleba z jakiejś czarnej gliny,
czego by nie zjadka zaniedbana w trupa,
bardzo głodna krowa, lub baran sędziwy.
Mając jeszcze własne zapasy donowe,
gwiżdząc na gościnność, własne smakołyki
wzmocniły kondycję, by wszystko co nowe,
nie gubiło szansy właściwej taktyki.
Po tych anemicznych narazie doznaniach,
nawet nędzna pryca przerosła znaczenie,
gdy sen nas ogarnął i w swoich działaniach
wspomagał nas pewnie, dając ukojenie.
Lecz i to być może jedyne i skuszone,
założenie chyba trafne na początek,
tym razem zawiodło, stając się bezużyteczne,
gdy głośną aufstehen zmieniło porządek.
Był to Flugeralarm, który nakazywał,
aby wszyscy śpiący natychmiast powstali,
i nie świecąc światła - Wachman przypominał,
do schronu na zewnątrz biegiem się udali.
Czyniąc zadość temu poleceniu władzy,
wyrwani z sennego bezwładu, narazem,
biegliśmy przejęci będąc prawie nadzy,
jak cyrkowe stado jeszcze śpiących błaznów.
Gdzieś od chmur na niebie burczały motory,
a w nas obudzonej gwałtem świadomości,
mogliśmy dziękować za wieści z przestworzy,
że lecą bombowce - rew naszej wolności.
Potem były chwile cichego czekania
i niepewność każdej mijanej minuty,
wszak byliśmy celem do bombardowania,
a skutek nalotów był zawsze okrutny.
Tym razem, los jeszcze nie był ostatecznym,
a gdy cisza znowu na niebo wróciła,
jedynym i pewnym pragnieniem serdecznym,
było wreszcie zasnąć, bo to noc rządziła.

Następnego ranka, każdemu z osobna,
przydzielono miejsce przymusowej pracy,
informując krótko, czego tu nie można,
i jak wiele dla nich tajemnica snaczy.
Króciutki instruktaż wnet nas uświadomił,

na czym nasza twórczość będzie polegała,
kto ją będzie zlecał i kto jej przewodził,
aby ją kontrola dobrze przyjmowała.

Mnie przypadło miejsce przy tarczowej pile,
która pewnie cięła stalowe kawały,
na różne długości i bardzo cierpliwie,
przez dwanaście godzin, zawsze na dwie zmiany.
Ale przykładowo, koledze czołgście,
który miał za sobą kampanię wrześniową,
przyszło kląć w rozpacz po cichu, soczyście,
bo wpadł w samo piekło, jak szarżą bojową.
Ongis miał Rzotkiewicz tankietkę i troski,
a teraz przy piecu, gdzie w piekielnym żarze,
grzano do białości metalowe klocki,
musiał je wyjmować i jak barman w barze,
z wyjątkowym sprytem podawać na formę,
stojącą na prasie, ze stalowych dragów,
która z czarta mocą, zachowując normę,
wyciskała koła potrzebne do czołgów.
Innym też przypadły przeróżne różności,
często przypisane wyglądem zewnętrznym.
Jednym dano taczki, drugim dla pewności
łopaty i młoty, a tym najmniej chętnym
miotły, szufle, grabie, aby w swartym szyku,
sprzątały tereny giganta przemysłu,
dbając sprawnie o to, byle na śmietniku,
nie stać się sbytecznym wrakiem bez pomysłów.
Byli również tacy, którym powierzono,
i ich skierowano w odpowiednie działy,
gdzie ich nauczono, potem powierzono
pneumatyczne młoty, aby dobrze grały.
Pewną grupę również przydzielono cieślom,
z zadaniem budowy drewnianych baraków,
dla nowoprzyjezdnych, którzy się nie mieszczą,
wypekniając przestrzeń złomowanych wraków.
I tak bezimienni, wpięci do zaprzęgu,
jak ongiś w kopalniach oślepione konie,
skazani na wszystko, jako pierwsi z rzędu,
dbaliśmy o własne głowy, nogi, dłonie.

Dbaliśmy szczególnie o słowa i zwroty,
bo czas naszej doli może być okrutny,
kiedy uwiązani w wojny kołowroty,
zgubimy rozsądek, patrząc na świat smutny.
Na nas się sprawdzało znane powiedzenie,
bośmy się znaleźli między twardym młotem,
a kowadłem losu, na któryś marzenie,
miało smak cierpienia mieszanego z błotem.
Nam kazano słu^ochać, spełniać polecenia,
które przekazywał lepszy sługa pana,
a ten uwierzywszy w wyższe pochodzenie,
w każdym obcym widział tępego barana.
Wrogość do bezbronnych, jako szczyt głupoty,
jawiała się stale w pozie głupka - błazna,
który się odróżniał gestami idioty,
i twierdził z zachwytem, że on postać ważna.
Oczywiście byli również ci normalni,
którzy w pocie czoła pracowali dzielnie,
w stosunku do obcych byli naturalni,
stwierdzali współczucie, choć bardzo niepewnie,
bo i oni stali przed wrotami jutra,
zniewoleni prawem swych partajgenosse,
których tępe głowy, jak pusta makutra,
mściwością mościli sw^oje mózgi bosc.

W atmosferze pustki i niemego trwania,
mijały dni nasze wśród obcych ludzi,
bo nawet ci swoi, co z z "P" na ubraniach,
a którym już wcześniej czas wojenny strudził,
nie bywali szczerzy, obawą spętani,
bez pewności znaku żeśmy tacy sami,
bo ich oznaczono w jedność literami,
a nas oficjalnie zwano Litwinami.
Przykre to bywało, nie do załatwienia,
bo nadmiar szczeroci w owym trudnym stanie,
mógł tylko powiększyć obszary cierpienia,
nie dając nic w zamian, by wzmocnić przetrwanie.
To nie była słabość, lecz logiczny skutek
analizy czasu i warunków życia
w stałej niepewności, które zwiększał smutek,
jako wyraz tego wewnętrznego skrycia.

To było mądrością, darem rozeznania
szczupłych możliwości, jakie nam tu dano,
które nam groziły stratą korzystania
z tego, co nam obcym jeszcze nie zabrano.
Inne pojmowanie własnych racji bytu,
mogło być nonsensem, szczytem naiwności,
ulegając której, bez nadziei świtu,
mogliśmy wnet jęczeć w kieracie podkości.
Potwierdzeniem tego była rzeczywistość,
spięta niewolniczym prawem do tyrania
dla tego, kto owych działań makabryczność
uznał, jako pewny sposób wykańczania.
Bo tam każdy obcy był jedynie rzeczą,
służącą potrzebie spełniania nakazów,
gdyż należał do tych, co to mówiąc beczą,
a w sumie mniej znaczą, niż filety z krabów.
My, jak to czyniono, mogliśmy ze strachem
patrzeć na przykłady sprawności nadludzi,
którzy swym stalowym w rękach automatem,
walili po głowach zniewolonych ludzi.
A byli to jeńcy, radzieccy żołnierze,
dla których już wojna zmieniała oblicze,
bo w miejsce walk srogich i nadziei w wierze,
zostali zepchnięci w tryby niewolnicze.
I tak na bezbronnych wciąż spadały ciosy,
bez prawa odwetu, choćby śmiercią płacąc,
krew zlepiła włosy, kneblowała nosy,
a oni szli dalej, spokoju nie tracąc.
Nie dla wszystkich podkość była smakiem znanym,
i to pozwalało unikać praktycznie
sytuacje, które sposobem nachalnym
obracały błachosć w skutki zbyt tragiczne.
Bolesna świadomość o ^gwłasnej niemocy
i groźba zderzenia z siłą złego wroga,
wyswalały czujność za dnia oraz nocy,
bacząc aby słabych nie złamała trwoga.
Był to tywot trudny i sponiewierany,
daleki od ludzkich norm z przepisu prawa,
spostregany tylko z jednej strony bramy,
bo druga na razie, to późniejsza sprawa.

Wiedzieliśmy tylko, że nas przypisano
zakładom o nazwie Stahl und Eisenwerke,
a Röhling - Buderus, których choć nie znano,
stanowili prawo i działania wszelkie.
Lecz dla wzrostu siły u gigantomana,
a tym się znaczyło wówczas panowanie,
ustalono twarde na życzenie pana,
po dziesięć tysięcy nas na każdej zmianie.
Nasze perspektywy ginęły w tej masie,
bośmy stanowili owoc okupacji,
które się zmieniały, każda w swoim czasie,
powodując różność kraju oraz nacji.
Byliśmy z rubieży, to też razem z nami
było kilku pełnych, lecz polskich Litwinów,
był też Białorusin i młody Rosjanin
oraz kilkunastu zwykłych anonimów,
skutkiem wymieszania tych narodowości.
Pomimo to wszyscy, nie działając w smowie,
potwierdzali swoje miejsce w zbiorowości
i trwali w wspólnocie oraz polskiej mowie.
Dobrze, że niewiele o nas tu wiadano,
bo nas ominęła wale złośliwość,
oraz w miarę dobrze w pracy przyjmowano
i nikt nas nie straszył przeliczaniem kości.
Tworzyło to pewne jakby rozumienie
sytuacji, w której nas wrogiem nie zwano,
a więc i nadzorców marsowe spojrzenie
pełne nienawiści mniej nas spotykało.
Być może to właśnie stało się przyczyną,
że naszą litewską grupę bez urazów,
po prostu uznano jako tą jedyną,
która była godna wiejskich obyczajów.
W ten sposób z nakazu, zmieniliśmy miasto
na wieś, co się zwała Oberbiel nad Lahnem,
gdzie być było prościej i spać nie tak ciasno,
a Robert Kling stał się naszym nowym panem.
Właściciel należał do tej grupy ludzi,
dla których interes stanowił jedyny
akt pełnego życia, jaki go nie nudził
i pozwalał czuć się ważnym, sprawiedliwym.
Zwano go seniorem niewielkiego rodu

oraz właścicielem niewielkiej fabryki,
której specjalnością i trudów nagrodą
była nieustanna, twórcza treść muzyki,
tworzonej przez linie wielu różnych maszyn,
stanowiących zespół istic symfoniczny,
a on dyrygował też zespołem naszym,
sposobem najlepszym, bo ekonomicznym.
Pomagał mu w dziele szef junior - synalek,
wielce zadufany snob, partajgenose,
tryskający zdrowiem pośród stada kalek,
dziwacznie nadęty i z zadartym nosem.
Był także syn drugi, do rsądów za młody,
bardziej swojski w gestach, niewiele mówiący,
po cichu przyjaciel - zwolennik swobody,
równy pośród obcych, nawet ujmujący.
Tenże tryumwirat rodzinnego klanu,
działał dbając o to, aby w czasie wojny,
budować swą przyszłość bez kruchego miazgu,
stawiając fundament pewny, niezawodny.
A mówiąc najprościej, była to fabryka
różnorodnych żołyk kulkowych, rólkowych,
na które widowniacy przemysł czekał,
by wesprzeć tworzenie dla potrzeb bojowych.
W tym jakże niechcianym przez nas procederze,
nie było warunków na własne osady,
a groźba słych doznań pozwalała szczerze,
jedynie milczeniem pokrywać poglądy.

Nyśmy nie widzieli żadnej ludzkiej racji
w tym, że się za czuby wzięły wrogie strony,
które nam stworzyły reżim vegetacji
oraz pozbawiły prawa do obrony.
Mogliśmy przypuszczać, że skoro się stało,
aby faszyzm walczył w boju z komunizmem,
naszej sytuacji to sugerowało,
umocnienie pewnej dozy optymizmu,
że może z tej wojny w sposób ostateczny,
prawo do wolności dla narodów świata,
stanie się realnym i wreszcie skutecznym,
aby nikt już nie był igraszką wariata.

Tymczasem dni nasze powoli mijały,
dzieląc czas wyzysku stale na dwie zmiany.
Po dwanaście godzin brygady tyrały,
a stan walk na frontach wciąż nie był nam znany.
Cenne, chociaż skromne były wiadomości,
które z opóźnieniem przenikały do nas,
z zachowaniem wszelkich reguł ostrożności,
od Francuzów, którzy przybyli tu po nas.
Przybyli pachnący tanią brylantyną,
będąc dla nas stroną wielce niepojętą,
bo zamiast strzec godnie jedności z ojczyzną,
wdali się w historię przez innych przeklętą.
Sporą grupę również stanowili młodzi,
wielce wygłodzeni z sowieckiego kraju,
którzy w zakłamaniu wciąż ich za nos wodził,
karmiąc stale hasłem, że są rodem z rajów.
Była też Holendrów gromadka beztroska,
oraz bardzo mała, lecz zwarta tubylców,
których z różnych przyczyn nie wzięto do wojska,
lecz kazano pełnić rolę podłych hyclów.
Był też sanitariusz niespełna rozumu,
który dla rozrywki zadreptał chorego
psychicznie Sowietę, a stroniąc od szumu,
w chwilach samotności, zasurzał głupiego
w wannie pełnej wody, nadmiernie gorącej.
A kiedy ten piszczał pełen przerażenia,
okładał go kijem po chudej i drżącej,
nieszczęsnej postaci, by zdechła z cierpienia.
Trudno było pojąć tę losu parodię,
kiedy wariat - władza, mścił się na pariasie,
będącym też głupkiem i podniecał zbrodnią,
co mu było wolno w tym wariackim czasie.

Całością obozu twardo dyrygował
katowsko bezwzględny, rosły Lagerfurer,
zwany panem Marksem, choć był to konował,
bo leczył nas piekłem sadysta, lucyfer.
To on zmasakrował Holendra młodego,
co się nie pozwolił opluć bezkarnie,
zesłał do obozu koncentracyjnego,
by go wykończono pewnie i przykładowo.

Nie lepiej się stało z Francuzem zbyt dumnym,
który miał odwagę uderzyć wachmana
za to, że ten w swoim zapale usłużnym,
wpuścił go do schronu jak ściervo barana.
A on opieszale posuwał się w grupie,
bo pragnął naczynię ujrzeć ruch na niebie,
a nie w kesonowej zamknięty skorupie,
czekać na złe skutki wszystkich wokół siebie.
W końcowym rachunku bilans był okrutny.
Podły Marks ze zgrają wiernych mu wachmanów,
zgasił u Francuza wyraz twarzy butny.
Zas ten nieprzytomny, nie mógł liczyć razów,
które cięły skórę i rwały porcięta,
czyniąc z niego krwawą, niemal martwą masę,
wrzuconą na skrzynię, jak ściervo prosięcia,
byle szybko wywieźć podźlą, obcą rasę.
Jeszcze gorszą była Rosjanina bieda,
w której głód go zmusił, by wbrew rozsądkowi,
zdożyć się na kradzież gliniastego chleba,
chcąc zadość uczynić swemu tołądkowi.
Za tę kradzież z głodu i stratę rozsądku,
Lagerführer odark człowieka ze skóry,
bo w jego pojęciu skaza na porządku,
nie mogła wspomagać obce kreatury.
Bo te tylko linczem, działając bezkarnie,
uwzględniając wszelkie wskazania Führera,
można było niszczyć pewnie, radykalnie,
jak ta przysłowiowa dżuma i cholera.

Spośród nieszczęśliwych, którzy mieli pecha,
doznając szatańskich wyczynów od Marksa,
tylko Francuz wrócił, jako symbol echa,
a reszta przepadła w krematoriach czarta.
Ile zła, sadyzmu i ludzkiej podłości,
mieściło się we łbie bandyty - kretyna,
co rozgrzeszał swoje zwierzęce skłonności,
wiarą w sens ofiary na rzecz kabotyńna.
Jako jeden z pierwszych, wsłowych twardogłowych,
partyjny trubadur przodującej rasy -
prymitywny człowiek, służą uniązony,
strzegący dobr pana oraz jego kasy.

Poza tym to pustka - pusty czerep głowy,
co całą treść mózgu oddał w zwierza łapy,
by wszystko co z niego, wspatrze krzykiem nowy,
rwało cudze życie na krwawe ochłapy.
Nienawiść zdziczała to nieludzkie ścierwo,
choć uśmiech pokrywał oblicze potwora,
gdy ciało bitego w krzepnącej krwi grzęzło,
a nikt nie miał prawa wołać o doktora.
Potem już zwyczajnie, dziękując niezmiennie,
wrzucano za ręce i nogi człowieka,
do samochodowej skrzyni, gdzie daremnie,
jąwszy delikwent na ratunek czekał.
Kiedy wóz odjechał, wnet wszystko musiało
powrócić do normy bez oznak oporu,
bo w przeciwnym razie, mogło czyjeś ciało,
natychmiast się znaleźć w pozie według wzoru,
który jak śmierć nagła ciążył nad obozem,
męczył, dręczył, raził mocą zniewolenia,
jakie znać dawało tym katowskim wozem,
odwożącym bezmiar gwałtu i cierpienia.
Na nic się nie zdały wszelkie złorzeczenia,
zaciskanie pięści, szeptane przekleństwa,
bo powrót do normy bez oporu cienia,
stawał się też wiarą w nadejście zwycięstwa.
Z czasem przerażenie wiedło, jak jesienią
liść opadły z drzewa, czyniąc wolno miejsce
dla nowych nadziei, które dni odmieniają
i wiosną odrodzą listeczkowe serce,
aby nasycone do pełni zielenią,
oraz pieśczeniowym muskaniem przez słońce,
doznało wolnego nieba, co nad ziemią
śle szepty błękitne w liście cicho drżące.
W ten sposób, niezmiennie powracając w kierat,
zniewolonych ludzi bez prawa protestu,
nikt z nas się nie łudził, że ten ważny temat,
może być zciszony na zasadzie ~~gest~~ gestu,
którym nieraz raczył szef się jękać, jękać,
stwarzając pozory potępienia złego
i w bezduszny sposób, często szokujący,

nie umiał, bo nie chciał wspomóc krzywdzonego. Nie trudno o przykład, raczej anormalny, w który się uwikłał stary szef niechęący, gdy czynił kontrolę sposobem zwyczajnym, w pewien dzień pogodny, letni i gorący. Na schodach wiodących do wnętrza budynku, przypadkowo spotkał Wowkę Rosjanina, a nie mogąc pojąć jego odpoczynku, mocno się zająkał, głowę w bok przeginał, by głośno zapytać: gdzie ten w czasie pracy, opuściwszy halę, zmierza oraz po co? A Wowka wiadomo, nie umiał inaczej, również się zająkał głośno i ochotczo, byle w sposób szczerzy sprawę wytłumaczyć, dlaczego się szwędą w czasie godzin trudu. Lecz stary nie pojął, co to miało znaczyć i rąbnał go w papę, krytą cieniem brudu. Być może to było nieporozumienie, przypadek, bo obaj jękali się szczerze. Tymczasem szef myślał, że to wydarzenie, mogło być nietaktem i sżem w jakiejś mierze. W ten sposób przypadek, pozwolił ujawnić niewłaściwy odruch sędziwego pana, który choć nie pojął, to zapragnął zganić mimo, że ta scena była wyjąkana.

Na tym się skończyło to dziwne spotkanie tych dwojga jednakich, choć z odmiennej rasy, bo ich, mówiąc szczerze, równało jękanie, lecz nie przynależność do tej samej klasy. Jeden grał w tym rolę rasowego pana, a drugi był tylko skórą niewolnika, garbowanie której w majestacie prawa, zawsze na łopatkach kładko przeciwnika. Z czasem, gdy historia ludzkich okropności, coraz dalsze drogi i połacie ziemi, kryła jak asfaltem, masą krwi i kości, świat tracił swój urok, a w miejsce zieleni, śmierć czarną mgłą zaszała w rowy oraz doły, w których się mieszały ludzkie trupy zgodnie, nie mając pretensji, który z nich jest goły.

a który swą głowę wcisnął w cudze spodnie.
Dla nich się kończyły klasy oraz rasy,
bo ziemia jednak, nie bez dozy smutku,
przyjmowała ciała żegnające czasy
przemocy i zbrodni, nie liczące skutków,
co miały potwierdzić, gdzie zwycięska racja
przechylił blask glorii i wieńcem laurowym,
ozdobił cię skroni, gdy przegrana hacja
sztywniejąc, wypełni swe grobowe doły.

Nasze wiadomości wyjątkowo skromne,
z czasem poszerzyły horyzont widzenia,
bo niebo najczęściej głośnie, niespokojne,
mówiło nam wiele tą formą zwierzenia,
która wnet się stała prosta, zrozumiała,
gdyż tym razem wszyscy, bez usług tłumaczy
wiedzieli, że wolność do nas się zbliżała
w pełni rozumienia, co to dla nas znaczy.
I chociaż niepewność jutra była wielka,
gdyż wolność szła do nas przez zburzone miasta,
w morderczych płomieniach, wciąż jeszcze daleka
była, jak w nadsieci brzemienne niewiasta,
która mimo groźby trudu rozwiązania,
pragnie dać początek życiu całym sercem,
darzyć je miłością, przed złem je osłaniać
i wierzyć, że na tym świecie jego miejsce.
Wierzyliśmy szczerze, wszyscy bez wyjątku,
że to coraz częstsze naloty na wroga,
stanowiły głośny sygnał o początku
spełniania się marzeń, których trudna droga
wciąż nas przybliżała ku bramie wolności,
za którą też Rudzie, także w imię Boga,
śmiercią torowali miejsce dla miłości,
wiedząc na pohybel przeklętego wroga.
Myślny nie sądzili owych różnych racji,
które swoją mocą rozdzierały ziemię,
aby w konsekwencji grzechem profanacji
kaleka wszelką słuszność, każde ludzkie plemię.
Dla nas każdy naród miał swą godność prawą
i historię wieków, kultury, zwyczajów,

walki o przetrwanie oraz dumę starą,
zwykle w aureoli dobrych obyczajów.
Wierzyliśmy w prawość i dobro człowiecze,
które się pokona w sposób ostateczny,
a narzędzia śmierci - krwią splamione miecze,
będą relikwiami - orężem zbytecznym.
Zapanuje zgoda, czas zagoi rany,
człowiek człowiekowi będzie zawsze druchem,
abyw swoim trudzie ciąglej karawany,
pozostawaj dobrym, a nigdy złym duchem.
I chociaż zagrożeni było bardzo wiele,
coraz bardziej pewnie czuliśmy przemiany,
jakie były skutkiem tego, co się dzieje
na bitewnych polach, wojną przeoranych.
Wiadomości rosły treścią i rozmiarem,
niepewność tutejszych stawała się jawną,
duch wyczekiwania nad całym obszarem
niweczył dryl pracy, czyniąc ją mniej sprawną.
Armia powołała końcówkę rezerwy,
opychając resztę do wojennej pralki,
mając na uwadze, że nawet ofiermy
winny swym udziałem wesprzeć trudy walki.
Odszedł sanitariusz niespełna rozumu,
po to, aby mądrze polec dla ojczyzny,
co mu się udało niedaleko muru,
który miał mu pomóc uniknąć żatwisny.
Nie lepiej postąpił czas okrutnej wojny
z najmłodszym z rodziny, lecz szef nie narzekał,
a gdy go zabrano na szlak działań zbrojnych,
ślad jego zaginął, a ojciec wciąż czekał.
Spec od normowania niewolniczej pracy,
w towarzystwie pięknej pracownicy biura,
udał się do Wetziar wyjaśnić co znaczy,
że wszystkie działania, jak potworna dziura,
pochłaniały cały wysiłek tworzenia,
który coraz bardziej stawał się niemrawy,
gauzający nadzieję i szumne marzenia
o wielkiej wygranej rasistowskiej sprawy.
Tym razem te podłe, nazistowskie chęci,
zderzyły się z twardym dniem rzeczywistości,
oraz pozbawiły logicznej pamięci
tych, co chcieli w bunkrach chronić własne kości.

Kiedy ogłoszono syren głośnym rykiem,
że w błękitnie nieba lśni niebezpieczeństwo,
strach zapędził ludzi, z przerażenia krzykiem,
do piwnicznych schronów - w zamknięte szaleństwo.
Potem burza ognia, huk głośnych wybuchów,
walące się domy - nawiedzenie śmierci,
w sposób błyskawiczny, bez straszących duchów,
kończyli wędrówkę wszyscy tam zamknięci.
Spec od normowania razem z koleżanką
schronili się w jednej z napotkanych piwnic,
która wnet się stała super niespodzianką -
czyniąc ich więźniami zasypianych ciemnic.
Na nic się nie zdały krzyki, jęki, wycie,
bo wyjścia nie było, a ciemność i woda,
wypełniały groby w których gasło życie,
i tak się kończyła ich życia przygoda.
Oczywiście smutną była wieść o śmierci,
szczególnie tej młodej i pięknej dziewczyny,
którą los uraczył gromem okropności
mimo, że w jej sercu nie było kraty winy.
Ona pośród wielu, jak kwiat w pełni wiosny,
pragnęła żyć godnie i cieszyć młodością
mimo, że jej dany czas nie był radosny,
lecz pełen pogardy, zwrzozony podłością.
I chociaż żyć chciała, stała się ofiarą,
niepotrzebnym pionkiem z szachownicy diabła,
który swym zwyczajem i zasadą starą,
sięgnął po niewinność, czyniąc by przepadła.
Dla niej wojna była okrutną przyczyną,
z której się wykonik ostateczny skutek -
nagła śmierć potworna pod domu ruiną,
szczelnie wypełnioną w makabryczny smutek.
Żałoba widocznym oieniowaniem twarzy
oraz łez gorzkością powielając bladość,
a ból wśród najbliższych rozumienie warzyk
i niweczył wiarę w jakąkolwiek prawość.
Cichło hajlowanie, a rozum brak górę,
nad krzykiem bez sensu ludzi odurzonych,
ręce opadają, kiedy każdą dziurę
wypełniały krwawe, sterty ciał zmiażdżonych.

Zaś nam pozostało ~~ci~~ cierpliw~~o~~ czekanie
i cicha nadzieja, że może się uda
przetrwać czas niepewny na owym wulkanie,
co często bywało - czekaniem na cuda.
Ilość oraz jakość nalotów wzrastała,
czego doznał Wetzlar, Gisen przeżywało,
śmierć coraz to liczniej ludzi nawiedzała,
lecz nas w Oberbielu piekło omijało.
Bywało, że spadała beczka po paliwie,
napędzając strachu mniej opanowanym.
Czasami myśliwiec przepędzał złośliwie
płochych pasażerów, wciąż strachem nadzianych.
Dzień każdy niepewnym stawał się dla życia,
śmierć wyłapywała tych niefrasobliwych,
co mimo ostrzeżeń, wychodząc z ukrycia,
grali bohaterów, raczej niewłaściwych.

Sen przerwany nocą, często kilkakrotnie,
nie stwarzał powodów dobrego nastroju.
Nadzieja w zwycięstwo słabła wielokrotnie,
pogłębiając rozpacz codziennego znoju.
To prawda, że ludzie nie byli jednacy,
nie każdy podnosił kapę pozdrawiając,
nie każdy świadomość swą nosił na tacy
aby się wykazać, chociaż drżał jak zajac.
Dla nas ⁱⁱausländerów, zawsze było ważne
przyśpieszanie działań, mimo niepewności,
czy to nasze życie, choć tak bardzo marne,
zdoła się uchować by doznać wolności.
Cieszyły nas gesty i słowa stolarzy,
którzy się witając z nami bezpośrednio,
w towarzystwie kumpli - wioskowych murarzy,
potrafali śmiało, z miną niepowszednią,
prorokować szybkie zakończenie wojny,
że skończy się męka, Hitler kaput będzie,
wówczas każdy człowiek poczuje się wolny,
żyć będzie bezpiecznie, po prostu już wszędzie.
To samo podejście do spraw spostrzeganych,
miała również miła nam Elizabet Hess,
młoda i wesoła, nas nieuznawanych
stale ostrzegająca, wskazując kto tu bies.

Była wyjątkową w masie własnej rasy,
przerastając innych ludzką uprzejmością,
starając się zmniejszać niesione przez czasy
złe, obrosłe w zgardę, smierdzące podłością.
Dla niej słowo godność, znaczyło człowieka,
który wobec innych ludzi na tej ziemi,
powinien być szczery, przyjaźnią urzekać,
unikając bezprawia i ponurych cieni.
Jej szczerą sympatią przerastała normy,
które określały rasową nienawiść -
bezsensowną bzdurę, idiotyzm bezsporny,
uczące jak tłamsić, niszczyć albo zabić.
Ona chciała kochać, tego wybranego,
którego darzyła serdeczną miłością,
lecz ci, co jak hycle tropiąc niewinnego,
straszyli ją stale z bezwzględną podłością.
Grozili jej branką - poborem do armii,
wysłaniem na linię wojennych boleści,
a jego straszono stryczkiem na latarni,
z uprzednim sadyzmem pokamania kości.
Nie mając dowodów na rasową zradę,
w swoich domniemaniach byli tak rasowi,
że zebrali wsiową swych półgłówków radę
i zdecydowali przekazać losowi
dałszy byt dziewczęciami, które chciało kochać
jakiegoś przybłądę, co z nieznanej strony,
tworząc jej możliwość, aby mogła szlochać
i ten gwałt przeżywać, będąc bez obrony.
Zesłano ją wówczas poza kraj ojczysty,
wcielając do armii aby zapomniała
i uznała piękno swoich uczuć czystych
za złudę miłości, która nie istniała.
Tak zgraja półgłówków mocą nienawiści,
spełniła najgłębsze przykazanie wiary,
którą odurzeni żarłocznymi naziści,
pragnęli porazić bólem swe ofiary.
Dla nich tylko przemoc - styl iście bandycki,
to ten ceremoniał, który uznawali,
jako godny chwały w kruzgankach kapliczki,
w której swoje łapy z plam krwi obmywali.

Nas chroniła wiara i z niej owa pewność,
że przyjdzie czas prawa i pragnienia ziści,
a w sercach wygaśnie wszelka niedorzeczność;
oraz je uwolni z jadu nienawiści.
Życie na krawędzi wojennego strachu,
w obcym środowisku niekrytej sprośności,
stanowiło obraz dziurawego dachu,
przez który przenikał warkot wiadomości,
jakie przecież mogły być dla nas, niestety,
też wyczekiwaniem na tą ostateczność,
co to niesie z sobą śmiertelników kwiaty,
żegnające życie na drogę w wieczności.
Dla nas przecież innej drogi tu nie było,
jak wiara w przegraną bzdurnego rasizmu,
lecz to mogło stać się w swarciu siły z siłą
i krwawe ofiary wolnych od faszyzmu.
Przykre, lecz prawdziwe były spekulacje,
które jednoznacznie określały siebie
twierdząc, że to będą jedynie te racje,
jakie się ujawnią na wrogów pogrzebie.
Tymczasem cierpliwość była wsparciem sprawy,
choć wróg nas poniżał, a pluskwy się śmiały,
jak gdyby pospołu z pryncyphałem starym,
na utarczkę z losem wystawić nas chciały.
Mijały dni trudne, pełne niepokoju,
gdyż nikt z nas nie wiedział jaką prawda była
o tym, co się działo, o wynikach bojów,
z których suma skutków przyszłość nam wróżyła.
Jedynie co pewne i przez nas widziane,
to były reakcje nazistowskich panów,
których blade twarze dziwnie wykrzywiane,
były znakiem końca krwiożerczych szatanów.
W tym czasie nostalgia za rodzinnym domem,
za tymi co w pełni smutku i bóleści
rozdzieleni siłą - nieprzyjaciół gromem,
rodziła tęsknotę i pragnienie wieści,
które w pewnym czasie ustały zupełnie.
Wrogowie choć różni, w działaniach jednacy,
swoją bezwzględnością zniewalając pewnie,

świadczyli praktycznie, co to wojna znaczy.
Nie dane nam było wiedzieć co się dzieje
tam, gdzie nasi bliscy tak jak my tęsknili
i stale liczyli mijane niedziele,
oraz coraz bardziej w smutku się gubili.
I tak nieświadomi po obydwu stronach,
gubiąc się w domysłach, jak komu się wiedzie,
niepokojem myśli i w modlitwy słowach,
łączyliśmy serca w naszej wspólnej biedzie.
Daleko od siebie, w ciągłej niepewności,
całym swym istnieniem świadczyliśmy Zgodnie,
że naszą wolnością będą dni przyszłości,
na które czekamy cierpliwie i godnie.



VII. W Y Z W O L E N I E

1945 r.

Mówiono - już idą. Strachliwa niepewność
niosła odrętwienie i żałobnym smutkiem
wchodziła w ulice, gdzie ludzka naiwność,
nie umiała godzić przyczyny ze skutkiem.
W tym dniu niebo szare, od samego ranka,
mogło się wydawać pustym oceanem,
na którym zdziwienie i szeptów wiązanka,
kryły się wetydliwie, jak za parawanem,
który dla niejednych miał być ową tarczą,
co uchroni głowy pełne niepokoju,
przed czasem wydarzeń, dla których nie starczą
puste słowa ludzi, unurzone w gnoju.
No bo czym to było nazistowskie piekło,
krwawe jak sztandary z połamany krzyżem
i te dzikie hordy, które zło urzekło,
bogacąc rozrodczość diabolicznym wyżem.
To było szaleństwo, wściekłe opętanie,
obłąd prymitywnej ludzkiej kreatury,
pełnej nienawiści, w której mordowanie,
miało być jedynym znakiem jej struktury.
Teraz, jak te szczury, każdy szukał nory,
aby przetrwać owe załamanie ducha,
który już nie widząc dla siebie podpory,
na samą myśl truchlał, że idzie kostucha.
Widocznie tak bywa, że ten kto z lubością
spełnia zawód kata przez wiele lat życia,
kiedy ma okazję udławić się ością,
wyje przerażony perspektywą gnicia.
Niepomni swych własnych okrucieństwa czynów,
rozdziawiali gęby kiedy ich odbiorem,
zamiast wymarzonych, zwycięskich wawrzynów,
stawała się klęska, grożąca im grobem.
W owym zagubieniu, będąc w pętach losu,
jedynym życzeniem czasu niepewnego,
było się uchronić przed skutkami ciosu
ze strony niewiernych - Związku Radzieckiego.
Wszystkie inne ciosy, chociaż także wrogie,
przyjmowano zgodnie, jak przegraną kartę,
która z czasem straci swoje prawo srogie

i przestrzenie życia będą znów otwarte.
Tak budując przyszłość, pragnęli choć w szoku,
przegranej, lecz tylko idącej z Zachodu,
i stamtąd czekali historii wyroku,
pewniejsi przetrwania, choć w bólach zawodu.

Marzec wieścił wczesne nawiedzenie wiosny,
która miała stać się uznaniem tych ludów,
co to już rok szósty, wierząc w dzień radosny,
czekały na chwilę wyrównania długów.
Ten czas się przybliżał na skrzydłach tych ptaków,
co srebrzyscie lśniły na wyżynach nieba
i zionęły śmiercią w aureoli znaków
mówiących, że taką stała się potrzeba,
aby opór złamać zatwardziałych w zbrodni
i przegnać szaleństwo niepoprawnej nacji,
w sieciach której inni nie mogli być wolni,
będąc stale w jarzmie nędznej wegetacji.
Cichy ~~u~~ pijne brednie herefolku,
wijąc się w konwulsjach, jak zraniona srodze
groźna ośmiornica, którą po kawałku
ciąga błyskawica, rwąc nogę po nodze.
Ona pozbawiona ruchu oraz siły,
spadała bezsilna na dno swej podłości,
gdzie czas jej wydzwaniał ostatnie godziny,
byle ziemia chciała przyjąć proch jej kości.
Zmieniał się bieg zdarzeń na dalekim Wschodzie,
gdzie radzieckie armie z całą bezwzględnością
gnały napastników, jednako w sposobie,
nie przyznając żadnych rozgrzeszeń litością.
Od Zachodu także armie sprzymierzonych,
z coraz większym skutkiem rozbijały opór,
sprawców i oprawców - bestii rozwydrzonych,
z rąk których wypadał krwawy wojny topór.
Zwierały się kleszcze dławiące zbrodniarzy,
aby ich pozbawić wszelkiego działania,
bo świat wolnych ludzi już nie tylko marzył,
lecz o pokój walczył i prawem osłaniał.
Zbliżała się wolność - wytęskniona pani,
pełna bożych darów, sprawiedliwej chwały,
a idąc wszystkimi świata ulicami,
darzyła pokojem znękany lud prawy.

Już grzmiąły wiwaty, cieszyły się masy
udręczonych ludzi katogą czekania,
a u nas wciąż jeszcze te szczególne czasy,
miały różne wersje i oczekiwania.
Jedni się żudzili, że bieg spraw się zmieni,
że Fuhrer nie uzna iż wszystko przepadło,
wywiedzie rezerwy z betonowych cieni
i zniszczy co wrogie z najwyższą pogardą.
Drudzy załamani strachem, niepewnością,
gotowi już byli przyjąć ostateczność,
byle się wyzwolić od tych, co podłością
każde żniwo śmierci brali za konieczność.
Zaś my nieboracy, najmniej tutaj ważni,
a raczej zbyteczni w owych chwilach grozy,
kiedy każdy obcy tutejszych wciąż drażnił,
bo był raczej zbędnym sgrzytem owej prozy,
która coraz pewniej z każdym dniem kreśliła,
ponury w swych barwach obraz pokonanych,
wówczas, kiedy wiosna w błękicie wchodziła,
niosąc pokrzepienie wszystkim zatroskanym.
Lecz dla nas ta wiosna była wyjątkowa,
tak bardzo pachnąca kwiatami nadziei,
nasycona wiarą rodzącą od nowa
ową moc pewności, że wszystko się zmieni,
bo idzie czas, który wywiedzie z niewoli,
utrudzone masy w różnych krańcach świata,
zepchnięte tragedią na dno swej niedoli,
spętane przemocą i groźbami kata.
Wpatrzeni w wiosenny blask jasnego słońca,
chłonęliśmy boski czar przeistaczania
zimowych szarości, a zieleń wabiąca,
rodziła spojrzenia żądne miłowania,
cichej serdeczności, szczerzej wzajemności,
ludzkiego doznania miłości, kochania,
pod błękitem nieba wśród ziemskich radości,
hojnie wzbogacanej przez wiosenne grania.
Pozorami szyte - pewność, siła, buta,
co rzekomo jeszcze były stale górą,
już wszyscy wiedzieli, że była to nuta,
baraniego beku pod żałobną chmurą.

Wiedzieliśmy przecież również doskonale,
że to zegar szajew wydzwonił południe,
bo wreszcie historia przechyliła szalę
na rzecz sprawiedliwych, czyniąc ten gest dumnie.

Budzono nas nagle, kiedy pierwsze kroki
wschodzącego słońca, jeszcze nie zdążyły
rozproszyc ciemności nocy, a nasz sen płótki,
jakieś głośne krzyki pewnie rozpędziły.
Potem była zbiórka w zwartym dwuszeroku,
zwrot w prawo i wyjazd za bramę zakładu,
bez wykonania przyczyn takiego zabiegu,
który nie miał sensu, skłama ani celu.

Dwóch starych wachmanów wiedło nas do lasu,
co nam pozwoliło, wnet w zajętych skokach,
ułatwić się w gąszczu, gubiąc miarę czasu,
skryliśmy się pewnie na leśnistych stokach.
Nie wiedząc co wówczas dzieło się dookoła,
czekaliśmy w ciszy na jakiś znak z nieba,
który by wyznaczył pokarszozone czoła,
wskazując co należy uczynić potrzeta.

Te kilka godzinach istnej niepewności,
ujrzeliśmy jakiś wóz z zaprzęgiem konnym,
który ciekawie pewnie, w bliskiej odległości,
zmiernie wąską drogą truchtając powolnym.
Ciekawi skąd jeszcze oraz dokąd zmierzano,
wysialiśmy z ukrycia pytając niepewnie,
co to woi się dzieje, jaka wersja świata
może skrócić naszą niepewności brednie.
Odpowiedź woźnicy, tak jak my Polaka,
była szukająca i wiele mówiąca -
panowie wychodźcie, skończyła się uraka,
a wojna pomóż zbliża się do końca.
Wzruszenie są żołnierze Stanów Zjednoczonych,
nas w obywateli pracy, radość wyzwolenia
ogarnęła ludzi dotąd niewolonych,
którzy w obłąd szacunku stracali cierpienia.
Pocieszeni taką wiadomością brata,
ruszyliśmy za nim, jak za przewodnikiem,
było jak najprędzej powrócić do świata

i być jego godnym, przewym uszczelnikiem.
Po drodze nam było dane ujrzeć trupa,
jednego z obokaj pokaźnego dziala,
którego stalowe, patrząc w niebo lufa,
była w swym milczeniu wtydlizie nieśmiała.
A ten nieboraczek, leżąc wyciągnięty,
śmiertelną swą porą świadczył, że uciekał,
że chciał pożyć jeszcze, jednak los przeklęty,
niechcąc mu w tym pomóc, kary nie zaniechał.
Potem niepodzianie, posiedszy drzewami,
ujrzeliśmy scenę dziwnego przywiera,
jak w czarnych mundurach jakiś esesmeni,
pędzili przed sobą zwykłego żołnierza.
Gonili go śpiesznie, pod groźbą naganów,
a on był bezbronny, niewiedzący strochem,
bo to śmierć szła za nim w postaci szatanów,
którzy jeszcze wolni przemykali lasem.
Widocznie ci czarni - przodownicy rasy,
uznali że żołnierz mógł być deserterem,
lub myślał, że wrzaskie kończyły się czasy
mówiące, że człowiek jest po prostu zerem.
Rzekono najlepiej, sprawy krwawych czynów,
gonili miernotę, który w ich smienieniu,
zrezygnował z walki, głonii i wierzynów,
a więc jako zdradca podlegał karaniu.
Wiedli go więc karnie, pędząc jak barana,
któremu już obaj liczyli godziny
nie wiedząc, że na nich, także śmierci brama
czekała otwarta i są sprawiedliwy.
Lekki wiatr poruszał rozgałone drzewa,
słońce między pniami jasnymi smugami
nawiedzało ziemię, jakiś ptaszek śpiewał
prolog co wydarzeń idących drogami.
Przechodząc ostrożnie nad urwistym brzegiem,
ujrzeliśmy w dole asfaltową drogę,
którą przebiegali niemal linie biegiem
żołnierze wermachtu, przestraszeni srodze.
A w połowie drogi naszego widzenia,
na płaskozystym węgorku, złożony do strzału,
kastygł z pancernym w momencie mierzenia
żołnierz, który stracił czas swego udziału.

O sto metrów dalej nad tym samym brzegiem,
tarasując drogę do naszego celu,
stał amerykański czołg z włączonym biegiem,
otwarty, z załogą, obok jeńców wielu,
siedzących na ziemi z czarnymi twarzami,
okropnie styрани z własnej przecieź winy.
Oni przestraszeni, w błocie wytarsani,
odmierzali w myślach niewoli godziny.
Natychniast nas dostrzegł oficer na "dąbpie",
a gdy się dowiedział żeśmy Polakami,
spytał - czy nam jeszcze miłym bywa życie
i kazał umykać bocznymi drogami.
Usłuchawszy owej życzliwej nam rady,
zeszliśmy posłusznie w gęstą cień wąwozu,
patrzac gdzie mech pokrył masywne konary,
gdyż był to ^{dy}gowskaś drogi do obozu.
Okolo godziny trwało namierzenie
kierunku, czy oby nie czynimy błędu,
który mógł nas zepchnąć nagle, niespodzianie,
w tło wielkiego strachu, lub złego obłędu.
Przecieź też tym lasem chyłkiem uciekali,
żołnierze rozbitych jednostek Weermachtu,
i gdyby nas nagle w zaroślach spotkali,
niewiadomy byłby wynik tego aktu.
Tym razem, nas jednak Opatrzność chroniła,
bośmy cali, żywi i w dobrym humorze
przybyli do celu, gdzie wolności siła
rodziła szaleństwo szumiące jak morze.
Przeróżne bywają oblicza wolności,
lecz te, które dane nam było przeżywać,
było rozhukane sztormami radości,
jakie Bóg nam sesłał byśmy mogli witać
swe prawie ponowne, nowe narodziny,
dla ludzi i świata, s wnętrza jądra piekła,
gdzie duch bólem tężał w niewoli godziny,
a natura czysta stawała się wściekła.
To było szczególne wolnych świętowanie,
w którym pierwsze skrzypce zagrali Francuzi,

na co pozwolili im Amerykanie,
uznając ich jako najpewniejszych ludzi,
Wnet ruszyła kuchnia i świeże dostawy,
jakich nie widziano tutaj od lat kilku,
opadły napięcia i ciągłe obawy
przed dzikim spojrzeniem złych, brunatnych wilków.
Było sporo mięsa, masła oraz miodu,
a wino wiadrami stale donoszono,
bo obok na stacji, dla przegnania głodu,
niespodzianie utknął, co wnet ogłoszono,
transport kilkunastu wagonów z prowiantem
oraz dwie potężne, pełne wina beki,
co w naszym wypadku uznaliśmy fantem -
żaską Opatrzności oraz jej opieki.
Jedną stronę nasi pewnie oczyszczali,
a z drugiej miejscowi, ci bardziej odważni,
na użytek własny wszystko zabierali
mimo, że niejednych taki widok drażnił.
Mieliśmy nadzieję, że stare nie wróci,
choć to zawierzenie było bardzo wątkie,
bo według sygnału, który mocno smucił,
był fakt żeśmy byli wciąż w niepewnym kotle.

Pierwsza noc wolności minęła bezpiecznie,
racząc nas snem twardym po tak wielu latach
wilczego drzemia, aby ostatecznie,
powrócić do normy w nowych tarapatach,
które się rodziły z biegiem tego czasu,
co niosąc już nową falę optymizmu,
nie był pozbawiony jednak ambarasu -
wielu niepewności oraz pesymizmu.
Wojna jeszcze trwała, a już się zmieniała
panorama wierzeń i wielu nadziei,
bo nas Europa tutaj wyzwalała,
ale tam, na Wschodzie, gdzieśmy bliskich mieli,
nowa rzeczywistość zmieniała kolory,
a ci co najwięcej srodze ucierpieli,
ponownie musieli przeżywać pozory
wschodzącej wolności, której wciąż nie mieli.

My tutaj już wolni, nie byliśmy pewni,
czy to co zwaliśmy dotąd rubieżami,
będzie nam ojczyzną mimo różnych bredni,
które nas karmiły wciąż zakłamaniem.
W ciągłej niepewności, mając na uwadze,
że wojna czas jakiś jeszcze będzie trwała,
ulegając hasku - pożyjmy w odwadze,
ruszyliśmy zwarci w gromadzie, co chciała
przenieść się do Francji, gdzie wolność już była
w pełni, namacalna i mogła pozwolić,
aby w nas się także pewniej odrodziła,
pozwalając śmielej po tym świecie chodzić.
Nasz marsz ku wolności bez większych zagrożeń,
trwał saledwie jedną dobę uwierzenia
w zbawczą treść wędrówki, bez pewnych założeń,
że tam nas przywita pełnia zrozumienia.
Niestety, to były jedynie złudzenia,
szczególnie dla takich jak my trubadurów,
bo chociaż mieliśmy czyściutkie sumienia,
przepuszczano tylko śpieszących Francuzów.
Zaś nas zatrzymując, rozmieszczono w domach
wskazanych przez władze wojsk okupacyjnych,
byśmy rozliczając kilometry w nogach,
mogli zasiłkiem i w sposób biblijny
spożywać swą mannę - wciąż ryżowe fuchy,
które serwowano niemalże codziennie,
aby nas upewnić, że skoro my zuchy,
to tą eskapadę zakończymy pewnie.
I tak też się stało w jakiś dzień słoneczny,
gdy nas przewieziono za obozu bramy
dla obcokrajowców, gdyż był to konieczny
sposób na bezpieczne przetrwanie zebranych.
A było w nim sporo pozbieranych nacji
z całej Europy, w barwach swej różności,
z których każda chciała wzorem dyplomacji,
uwić jakiś sposób do własnej wolności.
Obóz podzielono na dwie różne części,
z których jedna była enklawą dla Wschodu,
zaś druga w strukturze pragnień oraz chęci

stanowiła naszą, choć pełną zawodu.
Francuzi, Belgowie, Holendrzy i Włosi,
w bardzo krótkim czasie poszli w swoje strony
biorąc z sobą radość, którą czas przynosił -
czas pełnej wolności stronom wyzwolonym.
Niestety nie dla nas wydzwaniały dzwony,
te oczekiwane wieści o zwycięstwie,
bo przez nasze ziemie przetaczał swe gromy
Ares, który tonął w czerwonym szaleństwie.
Idąc wciąż na Zachód, brodził w krwi mieszanej,
bohaterskiej, świętej, za wolność dla ludów,
oraz w tej podstępnie, podle wytaczanej,
która miała stać się zaczynem do brudów,
jakie w zakamarkach szatańskich czerepów,
rodziły się w marszu niemal równoległe,
wprost od bram gułagów i bezkresnych stepów,
aż po wody Wisły, przestępczo, choć biegle.
I znowu kazano nam cierpliwie czekać,
aż się ostatecznie stanie wszystko jasne,
byśmy nie musieli bez przerwy narzekać,
ale móc podziwiać to, co będzie własne.
No cóż, cierpliwości nigdy nam nie brakło,
bo ona historię ducha przypomina,
przechodząc wytrwale i wcale nie rzadko,
od dziada na ojca, a z ojca na syna.
Musieliśmy wierzyć, że krwawe ofiary,
składane na różnych ołtarzach dla świata,
w imię tej jedynej, zwykłej, ludzkiej sprawy,
którą była wolność dla każdego brata,
przywrócą nam również wolny kraj w godności,
byśmy mogli znowu rozwijać w pokoju,
pełnię demokracji i praworządności,
wspierających trudy codziennego znoju.
Narazie nas UNRA wzięła w swą opiekę,
byśmy w naszej trudnej, życiowej potrzebie
uwierzyli w takich, co podają rękę
i służą rzeczowym wsparciem ludzi w biedzie.
UNRA nam stworzyła, jak na owe czasy,
warunki godnego przeżywania losu,

pozwalając na to, aby nasze masy
w jakiejś mierze także mogły dojść do głosu.
Chodziło więc o to, byśmy w nowym świecie,
traktowani jako sprawni oraz zdolni,
mogli pewnie unieść na wzmocnionym grzbiecie,
dalszy bieg wydarzeń, jako ludzie wolni.

Wojna jeszcze trwała. Kwietniowe dni rączo
wspomagały słońcem, likwidując cienie
na obliczu wiosny, co teraz kusząco,
tęczą barw radosnych mnożyła kwitnienie.
Wiosna swoim czarem rozbijała pilnie,
posępne myślenia oraz bladłość twarzy
i wówczas w marzeniach już było się w Wilnie,
lecz realia nadal gubiły nas w gwarze,
który niby burza wypełniał ulice,
nagłośnione mową oraz śmiechem ludzi,
co chcieli się pozbyć urazów w psychice,
aby w nich prawdziwy człowiek się obudził.
Nawet te naćpane swym rasizmem gęby,
w nawrocie do ludzi odrzuciły raźnie
ppętańcze bzdury, które jak otręby
zamulały myśli, dławiąc wyobraźnię.
Teraz w tłumie wielu kolorowych twarzy -
białych, szarych, czarnych i jasnobrązowych,
czas nowej przyszłości różną jakością warzył
i wiódł młode pary na szczyt doznań nowych.
Rodziła się przyjaźń, wspólne rozumienie
wielu spostrzeganych i serdecznych okazji,
które miały szansę wzbogacić marzenie,
doznaniem przeżycia wiosennej atrakcji.
Lecz obok chwil błących z pogranicza żartu,
rodziły się także uczucia gwałdziste,
pełne uwielbienia, gotowe do startu
w życie wspólnej troski, dojrzałe i czyste.

Przyspieszając w czasie, wnet także w obozie
mieliśmy kaplicę i swojego księdza,
który dobrze wiedział, że przy serc pogodzie,
miłość zakochanych do ołtarza spędza.
A pragnąc swym siostrom i spragnionym braciom,
umożliwić życie w zgodzie z prawem boskim,

ślub dawał grupowo z zachowaną gracją,
co czyniło zadość obyczajom polskim.
I tak na obczyźnie, tęskniąc ku ojczyźnie,
rodziła się miłość i radość kochania,
a z tych ludzkich uczuć nawet na mieliźnie,
potrafił zakwitać czar owocowania.
Nie mieliśmy złudzeń, że nasza normalność
wciąż daleką była od granic pewności,
dlatego przyjęto, jako aktualność,
godne przeżywanie swej tymczasowości.
Lecz kiedy słoneczna kładź, pełna promieni,
uniosła się wyżej na falach błękitu,
aby swą majową jutrzenką odmienić
niepokój czekania na sensowność bytu,
świat zagrział wivatem wszelkiego istnienia,
które miało szczęście dożyć owej chwili,
w której wszystkie dzwony w głośnych uderzeniach,
koniec strasznej wojny radośnie głosiły.
To głoszone koniec szatańskiej makabry,
bohaterskich śmierci, ludobójczych bojni,
krwawych pól bitewnych, gdzie gnijące kadry,
kończyły bezprawie uprawianej zbrodni.
Odchodził czas krwawy w aureoli sławy,
zwycięstwa nad wrogiem, który pokonany,
zmieniał wnet tragiczne niespełnienie chały,
w lisią doskonałość ludzi oszukanych.
Świat pełen radości święcił dzień pokoju.
Słońce rozjaśniało strudzone oblicza.
Wówczas na milionach grobów krwi i znojów,
zapalono znicze i zapadła cisza.
Życiem się cieszyli wolni, co przetrwali
gehenną lat wojny, stworzoną przez ludzi
o dzikości serca ~~odwrotnych szatańskich~~,
których wściekłość zawsze dobro świata brudzi.
A ci, co w swych grobach skazani by mnożyć
obrazy przeszłości ludzkich medytacji,
woleliby raczej zwykłym życiem pożyć,
niż doznawać chwały w sztywnej wegetacji.

Wiosna dojrzewając, radość przywracała,
soczystą zielenią wystroj wzbogacała,

mozajką barw kwiatów do serc przemawiała
oraz śpiewem ptaków życie wypełniała.
Każdy świt się modlił w kryształ poranka,
Lahn kojąco szumiał, las symfonię płodził,
i tak się tworzyła melodii wiązanka,
gdy nowy poranek rosą stopy chłodził.
Dzień pozwalał chłonać spostrzegane znaki,
które stanowiły wielość drogowskazów,
kierujących myśli w labirynt nijaki,
często formą prośby, lub próbą nakazu.
Z końcem dnia świat wkładał ciemne okulary,
pragnąc równać plamy gęstniejących cieni,
a księżyc szedł wolno, jak wędrowiec stary,
gdy cały dach ziemi lánieniem gwiazd się mienił.
W każdej noc czar życia o intymnej treści,
wyzwalał się hojnie z zakamarków serca,
i jako przewodnik do źródła miłości,
wiodł je po uroczych, wiosennych kobiećcach.

Strzałami Amora bezbłędnie trafiony,
radość i nadzieję jednałem w przymierze,
które burzę myśli wiodły w lot szalony -
nieskałane grzechem spełnienia pacierze.
Dążyłem wraz z nimi w upatrzoną stronę,
szlakiem zmierzającym do owej przystani,
gdzie czas nic nie zmienia, bo serca szalone,
stałe wodzi drogą srebrzoną gwiazdami.
Zjawiła się ona - dzika róża polna,
rzeska jak poranek niebiańskiego daru,
aby swoim wdziękiem, subtelności wolną, mu,
sachwycać urokiem młodzieńczego czaru.
Ciekawość ją wiodła na ścieżkę poznania,
gdzie młodość tańczyła w radosnym ciał splecie,
aby móc pocieszyć serdeczne wołanie,
że ta noc jest pierwszą o gwiazdzistym locie.
Radosna w marzeniach o czystej miłości,
ufna swemu sercu, co uczuciem mamą,
nie ujmując w niczym, szczególnie godności,
składała hołd wiosnie sypiącej kwiatami.
Intymność zdarzenia osłaniały drzewa,
których szept radosną piosnkę ^{śpiewał} ~~śpiewał~~ ^{śpiewał} ~~śpiewał~~,

sugerując treścią srebrzystych lśnieli nieba,
był je całowaniem z jej oczu wybierał.
To nowy czar życia wzbogacał serdecznie,
pełnię szczerých uczuć, potwierdzanych słowem,
oraz świadomością przebrnięcia bezpiecznie,
przez czas podłych zdarzeń z podniesionym czołem.
Będąc wspomoczeni zgodnością wierzenia,
chcieliśmy być czystym zaczynem przyszłości,
z którego wyrosnąć ma owoc marzenia,
jaki tylko rodzi uczucie miłości.

Tymczasem, myślami biegnąc w dal ojczystą,
szczególnym pragnieniem było, dać tęsknocie
możność uwierzenia, że już bardzo bliska,
staje się realność sprawy o powrocie.
Ta myśl nieustannie stawiała się skutkiem,
nawału przeróżnych wahań, niepewności,
które wszelką radość szpikowały smutkiem,
nie gardząc na co dzień, gorzkim smakiem złości.
Czas rwał nieustannie, głębokie wierzenia,
w szczerą sprawiedliwość tych, co swoje ręce
nie sdażyli obmyć z krwi, a złorzeczenia
wplatali w zdarzenia tworzone naprędce.
Niestety, ta prawda coraz bardziej przykra,
wpływała na nastrój zawiedzionych ludzi,
i zamiast pocieszać, jak wulgarna dziwka
twierdziła, że cnotą nie warto się trudzić.
A nam się zdawało, że wszystko stracone,
że ktoś poprzestawiał porządki i prawa,
bo sprawiedliwości koła obłoczone,
nie dały znać nawet, czy wolna Warszawa.
Mówiono o Moskwie, Paryżu i Rzymie,
o nowej Europie prawa i wolności,
lecz w sposób bezwstydný niczego o czynie,
narodu co teraz ginął w samotności.
Judaszowy zaczyn, zawsze ferment czyni,
z którego wyrasta obłuda i zdrada,
a ta nawet z Boga ofiarę uczyni,
byle własnej pychy nie gięła zniewaga.
W takim dziwnym czasie gasnących nadziei,
przyszło nam przeżywać przykre opuszczenie
przez tych, co nam ponoć, obiecując chcieli,

stworzyć pełnoprawne w wolności istnienie.
Jak to zwykle bywa, syty do głodnego
pasuje jedynie, jak ta pięść do nosa,
która dopekniwszy bezpieczeństwa swego -
mając do wyboru, wybiera kolosa.
A że kolos trafny, odwiący na opak,
jakoś się ułoży - twierdzili naiwni,
i niby do rzeczy przystający prostak,
nie musieli wiedzieć, jak czują się inni.
Skazani na ową bezsensowną prawdę,
mogliśmy swobodnie nucić piosnkę sobie
mówiącą, że wolność - pomijając wzgardę,
ma już ten, co wcześniej doznał miejsca w grobie.
Tymczasem realizm owej sytuacji,
która coraz bardziej stawiała się jasną,
obnażała obłudę tej interpretacji,
jaka w swej wymowie była diablo ciasną.
Byliśmy wolnością cudzą zniewoleni,
co wołała przyjaźń przez gardła, bez ducha,
z obcej łaskawości nurzeni w czerwieni,
by wolność ta była spętana i głucha.
Ponownie czas mijał w stałej niepewności,
która była źródłem żalu i obrazy,
a te nie dawały powodów radości
i wciąż przedstawiały życie drogowskazy.
Jedni nam mówili - czekamy, wracajcie,
a drudzy usilnie prosili - zostańcie.
Reacji było wiele, lecz na owym starcie,
można było zginąć w niepewnym wariacie.
Dlatego czas mijał, a myśwy czekali
na lepsze poznanie kreślonej letwisny,
aby zdobyć pewność w maksymalnej skali,
że ten portret wiedzie do wolnej ojczyzny.



VIII. BEZCELOWA WEGETACJA

1945-46

Wetziar coraz bardziej wypełniał się życiem
zwykłej normalności, najprostszą na co dzień,
oraz głośno dawał znać, że swoim byciem
wkracza w nowy okres bez zbędnych obciążeń.
Tak rozpoczynając ten rozdział najnowszy,
każdy blask świtania budził go radośniej
i kazał sposobem ludzkim, najprostszym,
chłonąć czar istnienia wracający w wiosnie.
Mijały obawy z wrogiej propagandy,
że świat wnet zapadnie w krwawą noc odwetu,
a mnogość zniewagi i wrogiej pogardy,
będzie jadem z piekieł kipiącym w człowieku.
Dni nowe szły jednak w zwykłej życzliwości,
a w nich człowiek znaczył, na ile zasłużył,
zaś większość jednakowo prawem obecności
świadczyła, że minął czas co wszystko burzył.
W parku na ławeczkach, szczególnie o zmierzchu,
szepc wielu czułości szedł w konkury z ptactwem,
kiedy różno smakiem, cukru albo pieprzu,
czarne pocałunki nie zwano dziwactwem.
Była to mozaika różnobarwnych twarzy,
na tle świeżuteńkiej, soczystej zieleni,
którą tylko niemy gest pragnienia warzył,
czekaniem na głębszą tajemniczość cieni.
To wszystko się działo bez koniecznej mowy,
gdyż każdy miał własną, a nie znał tej drugiej,
cały więc ambaras sposobem migowym
załatwiano zgodnie, choć trwało to dłużej.
Zwolnione z zaprzęgu ludzkie wyobraźnie,
przerastały nieraz logikę rozumu
i nie bacząc skutków, chłoneły doraźnie,
słodycz pomieszaną ze smakiem piekunu.
Na razie o skutkach nie myślano wiele,
bo życie od nowa, jak sztormowe fale,
uderzało w ludzkie wyobraźnie śmielej
i kazało szukać treści doskonałej.
Czy je znajdująwane? Różnie z tym bywało,
bo życie zmieniano raczej na użycie,

a w tym poplątaniu wszystkim się zdawało,
że trzeba iść naprzód by stanąć na szczycie,
gdzie wszystko się stanie źródłem przemienienia,
dającym też złudę prawa do utopii,
po gehennie losów, gdy wolne marzenia,
czas przeszłej niemocy w pustce życia topił.
Teraz jako wolni po obydwu stronach,
każdy pragnął krzycheć głośno i swobodnie,
aby swoje wnętrza, garbione w ukłonach,
wyprostować pewnie, prezentując godnie.
Jakiś czas nam wszystkim mogło się wydawać,
że wolność krążąca po arenie świata,
jest spektaklem czasu, chcącym wynagradzać
jednako ofiary, grabarzy i kata.
Dlatego przeróżne bywały mniemania,
wspierane przez posłów z Londynu i kraju,
bo pierwszy nam stale tragedię odszaniał,
a drugi malował trakt do furty raj.
W ten sposób, najpewniej szło to kołowanie
bez racji i sensu, po obydwu stronach,
przedłużając stale niezdecydowanie
wyjazdu winieznane, na cudzych ogonach.
My chcieliśmy prawdy jedynej, uczciwej,
bez fałszu proroków i podłej obłudy,
by nam było dane, sądzić sprawiedliwiej
o losach przyszłości, bez otoczki złudy.
Lecz to, co się działo, było obrzydliwe,
podobne do targu o zmęczone dusze,
które zagubione i jakże płochliwe,
nadal zadręczano przez swojskie katusze.
Mieć wolność, być wolnym, i nie być jej panem,
stale błądzić w gęstych oparach przekleństwa,
było tylko złudą świtania nad ranem,
w każdy dzień pochmurny, cichego szaleństwa.
Dla nas świat choć wolny, stale był bez słońca,
lecz nie będąc nocą ani kryminałem,
nie rodził pewności szczęśliwego końca,
ważąc los nieznanym sercem, duszą, ciałem.
Dla nas nasza przyszłość wciąż była niepewna,
co o tym świadczyły każde nowe wieści,

które dostarczała prawie każda jedna osoba powrotu, z tych co wyszli pierwsi. Nasza sytuacja była bardzo trudna, gdyż ziemię i domy z tym co pozostało, prawem silniejszego, zachłanność obłudna pożarła bez reszty, i to nas bolało. Za sześć lat upartej walki z wrogiem świata, za miliony śmierci i krwawe tragedie, przyszło nam się godzić z życzeniami kata, wobec których każda sprawiedliwość blednie. Za tysięczne zsyłki, katongi, gułagi, za katyńskiej kaźni żałobne ołtarze, za tysiące grobów, pełne bólu skargi, zabrano nam wszelkiej nadziei witraże. Wyrwano je z trzępkiem, jak w świątyniach Wschodu, lekceważąc rozbój takiego działania wobec braterskiego rzekomo narodu, pożerano wszystko prawem zagrabiania. A mówiąc po prostu, nie było nam dane powrócić z niewoli w wyzwolone strony, bo tam się rodziła prawem oszukane obce, często wrogie, bez prawa obrony. I tak, świadomi tego co się stało, mieliśmy swobodę w podjęciu decyzji o naszym powrocie, a w głowach szumiało, lecz wszelka decyzja nie uszła rewizji. Ci co się godzili z nowymi faktami, szybko wyjechali w radzieckich transportach, zaś nas zawiedzionych tymi powrotami, nadal miała UNRA na darmowych kotłach. Życie biegło dalej, lecz już bez pośpiechu, bo tylko świadome mogły być decyzje - powrót do ojczyzny o obcym uśmiechu, albo poznawanie trudów na obczyźnie. Tak też wybierano komu się śpieszyło, lecz nas tu w obozie ciągle było wielu, smutno więc nie było i jakoś się żyło, czasem na pogrzebie, czasem na weselu. Wszak jedno i drugie było normalnością, po prostu człowieczej, zbiorowej pamięci,

że nie wolno gardzić radosną miłością,
ani też to czynić naturalnej śmierci.
Młodość ma swe prawa, stąd zdziwienie zładne,
że głównie to ona szybka do ryzyka,
obalala pewnie starszych raczej względy
i działała sprawnie, nie strzegając języka.
Wówczas powiedzenie, że jakoś to będzie,
było miarą siły i sporej odwagi,
bo przecież nie zawsze oraz też nie wszędzie
można coś budować, kiedy jest się nagie.
A mimo to życie było ową nocą,
wzniesającą w sercach ogrom przekonania,
że ten dzień wolności nie może być nocą,
skoro z woli Boga dał nam noc przetrwania.
Oczywiście różne były zamierzenia,
które wiodły ludzi w różne strony świata,
aby swą niepewność oraz złorzeczenia
uznać, że to zbędna tylko czasu strata.
Chwytano się różnych sposobów na życie,
zgodnie ze swoimi upodobaniami.
Jedni wybierali służby wartownicze,
a drudzy czym mogli cwanie handlowali.
Byli również tacy, którym się udało
wyjechać do innych, wskazanych im krajów,
bo niektórym wówczas tak się wydawało,
że wszędzie żyć pewniej, niż w czerwonym rajju.
Każdy wybór często polegał na szczęściu,
które pewnie z czasem mogło się ujawnić,
czy był on trafionym strzałem w rozpoczęciu
tworzonej historii, co całe się sprawdziło.
Czas mijał, uciekał, sterpał spokój myśli,
powodując burzę przeróżnych zamierów,
które niby gromy bity sby pywały,
kolorowe banki słonecznych obrazów.
Marzenia, pragnienie i wszelkie tęsknoty,
stanowiły źródło dla tworzenia ziudy
mimo, że dalek każdy swoistej prostoty,
coraz bardziej smacili doznawaniem nudy.
Jedynie handlarze mieli swoje credo
mówiące, że pewnym środkiem na przetrwanie,
może być skuteczna walka z własną biedą,

a ta w sposób jasny, ułatwi wybranie
tej jedynej drogi w nieklamane życie,
gdzie człowiek na własnych twardo nogach stanie,
stwierdzając pogodę w swoim godnym bycie,
by móc powspominać losów przeżywanie.
Jedyną rozrywką w obozowym trwaniu,
było podziwianie sprytu i odwagi
tych, co swe zdolności w wolnym handlowaniu,
zmieniali na efekt, nieraz pełen blagi.
Na tym, jakże perskim rynku, darmożjady
przekładali towar od rączki do rączki,
sprytnie unikając niepotrzebnej zwady,
albo niebezpiecznej handlowej gorączki.
A że towar nie miał metki pochodzenia,
często bywał trefny, obciążony grzechem,
zaświniął niejedno opryszków sumienie,
kryjąc strach przed prawdą fałszywym uśmiechem.
Pewien czas bezkarność stanowiła o tym,
że te karkołomne handlowe dziwactwa,
zmieniały się szybko w zwący potok złoty,
który wiązał speców w tworzeniu bogactwa.
Jedynie pytanie - skąd towar się bierze,
było niespokojnym dociekaniem prawdy,
aby się uchronić, chociaż w pewnej mierze,
przed przekleństwem bliźnich oraz ich pogardy.
Wszak patrząc przez palce, każdy dobrze wiedział,
że towar w sprzedaży, to złodziejskie łupy,
przy których niepewnie sprzedający siedział,
będąc świadom tego, że znieważa trupy.
Nie było to przecież żadną tajemnicą,
że anonimowe grupy pewnych łowców,
spełniając ~~zaskomo~~ daną obietnicę,
w odwecie karały przestępczych zaborców.
Owezem, byli tacy, którym wróg rozstrzelał
rodziców i liczne najbliższe rodzeństwo,
a tylko dlatego, że ktoś z nich zaśpiewał,
ojczystą pieśń chwały, wieszczącą zwycięstwo.
Taki odwet karał doznane gdzieś krzywdy,
nieraz bardzo krwawo i w sposób tragiczny,
lecz bez znamion gwałtu, nie ruszając nigdy
czegoś, co by mogło w sposób nieetyczny,

rzutować na słuszność ślubowanej zemsty,
która choć obciąży udręka sumienie,
nie może mordować w sercu uczuć świętych,
bo one już przeszły swoje zbezczeszczenie.
Byli również tacy, co w kacim odwecie,
szukali mamony na rozpustne życie,
i ci właśnie często na trupiej lawecie,
wozili towary kradzione obficie.
A że ten proceder groźnie się rozszerzał,
przyspieszono sprawę jego likwidacji,
powołując służby, których zapal zmierzał,
do skutecznych działań oraz penetracji
rodsących się gangów, mafijnych powiązań,
jakim pasowały luzy demokracji,
oraz czas przeróżnych, brudnych zobowiązań,
służących jedynie niecnej profanacji.
Na murach poczęto lepić listy gończe,
rewizje w kwaterach stały się nachalne,
a czasem bywało, że prawo obrończe,
działało na opak, jako niemoralne.
Po każdej rewizji czegoś brakowało,
a wówczas mówiono, że dostało nogi,
zaś uszkodzony - tak zwykle bywało,
że stawał się bardziej, po prostu ubogi.
Oczywiście rzucał mięsiwem soczyście,
grożąc wywołaniem groźnego skandalu,
oraz postanawiał, gębą oczywiście,
że wnet się odegra, a gasnął pomalą.
Owszem, czasem były składane mełdunki,
że w trakcie rewizji popełniono kradzież,
lecz mistrz ceremonii, gasił porachunki
mówiąc - ukaramy, gdy złodzieja wskażesz.
Na tym się kończyła zwykle konwersacja,
złodziejską działalność ochraniało prawo,
a więc po ich stronie zawsze była racja,
zaś po naszej, stale sków prawdy za mało.
Potem było zwykłe, ludzkie przywykanie
oraz odpowiednia lustracja przedpola,
tak, że wszelkie dalsze nas rewidowanie,
stanowiło skutek - chybionego gola.

Z czasem, życie nasze określały normy,
pewnie je wtłaczając w określone ramy,
aby jego prawo oraz nurt spokojny,
stanowiły jakość naszej panoramy.
Nostalgia za domem, rodziną i krajem,
stanowiła balast nie do pokonania,
a ten nie pozwalał godzić się z rozstaniem
istniejącemu źródła przekonania.
I choć pod ciężarem gorzkiego zawodu,
nurt serdecznych myśli tracił swą klarowność,
duch niepokonany parł stale do przodu,
by modlitwą pragnień uchylić niemożność.
W sercach dojrzewiała pomalą decyzja,
która swą przemożną sugestią pewności
chciała nas przekonać, że tylko ta wizja
ugasi tęsknotę mocą swej miłości.
Ona nam mówiła, że łaskawość świata,
na którą liczyli wszyscy zawiedzeni,
jest na tyle słuszna i na tyle warta,
na ile nas obcy bezdusznie oceni.
Trudy na obczyźnie, nie zawsze owocne,
zbyt często stanowią po fakcie stwierdzenie,
że wybór był błędem, a dumania nocne
bywały jedynie wędrówką w marzenie.
Nostalgia przytłacza każdą radość serca,
pamięjsza tęczy wizerunek życia,
bo nawet najbardziej wychwalane miejsca,
nie zastąpią kraju poczęcia i bycia.

Odchodziła wiosna, odstępując latu
kreowanie wielu śnionych wyobrażeń,
które nie odchodząc od wielu kłopotów,
jeszcze ciągle tkwiły gdzieś w krainie marzeń.
A mimo to, ludzka wiara i nadzieja,
niezmiennie tworzyły los oczekiwany
w najmielszych kolorach, jakie każdy zbierał,
tworząc wyobraźnią obraz pożądaną.
Zaś ten malowany własną wyobraźnią,
niezmiennie się jawił w dawnych rekwizytach,
wystrojony nową otoczką doraźną
sposstrzeganych zjawisk na obcych ulicach.

Teraz, gdy wolności przypięto nam skrzydła,
nawet ten nasz skromny okres przeżywania
wydawał się rajem, w którym cne marzydła,
pozwalały pewniej snuć przewidywania.
A że marzeniami żyć bywa zbyt trudno,
realizm brał górę nad fikcją, tworzenia
najbliższej przyszłości, której sprawą główną
miała być najkrótsza droga do spełnienia,
oczywiście tego, co było snem stałym,
przez trudne trzy lata ciągłego liczenia
na cud wyzwolenia, który wszystkim słabym,
mógł pozwolić wreszcie spełnić swe życzenia.
Jednak, gdy wolności były pełne drogi,
nasze określano jako nie przetarte,
bo one wciąż szare i jakże ubogie,
budziły niepokój przed niepewnym startem.
Trawienie sprzeczności stawało się nudne,
a niepewność stale osłabiała ducha,
który zagmatwany w informacje złudne
uznał, że obecnie nikogo nie słucha.
Stąd każda decyzja była wciąż niepewną,
nostalgia szarpała serca nieporadne,
chęci było sporo, lecz one na pewno
nie mogły zapewnić tego, co normalne.
Zaś tam, gdzie ojczyzny nowy kształt rozkwitał,
czekały rodziny na wygnańców losu.
Każdy wiadomości oczekiwał, pytał,
pragnąc tylko dobrych wieści, a nie ciosu.
Lecz wieści nie było, i nikt nie był w stanie
rozwikłać makabry dziwnych zawiłości,
bo tam, w stronie wyjścia, rządziło niechciane,
dobrze znane wszystkim ze swej zaborczości.
Wnioskując skutecznie, patrząc się na mapę,
na Wschodzie zachłanność sąsiada przerosła
wszelką wyobraźnię, która wciąż na gapę
jadąc w Europę, pęczniała i rosła.
Tymczasem świat tego jeszcze raz nie umiał,
albo mówiąc szczerze, pojąć tego nie chciał,
że czerwony olbrzym propagandą szumiał
i bezkarnie czynił, po prostu co zechciał.

Nic się nie zmieniło, bo stare układy
pomiędzy faszysmem oraz komunizmem,
nadal bez przeprosin historii zostały,
jako z piekiel wziętym bycia realizmem.
Świat wiedział, że Adolf z kamratem Józikiem
uzgodnili tajne, szatańskie podziały
starej Europy wspólnym traktacikiem,
w którym ustalenia nadal wciąż działały.
Lecz teraz, gdy jeden z nich na dechach leżał,
w drugim rósł apetyt na większe profity,
co mu pozwalało, by stale poszerzał
kartę żarłoczności, gdyż kamrat pobity.
Korzystając z owej historycznej karty,
wszystkim innym wmawiał, że nie jest kapryśny,
nawet kiedy bywa taki nienażarty,
jak teraz po wojnie z przyczyn oczywistych.
Skutek tych pozorów bywał namacalny,
w imię wyższych racji nie stał się przyczyną
choćaby protestu, by partner nachalny
nie krył swą żarłoczność zwycięstwa godziną.
Niestety, kto kradnie gołocąc bliźniego,
obojętnie jaki byłby tego sposób,
nie uznaje woli i prawa świętego
do pełnej wolności narodów i osób.
Tak właśnie się stało tam, w ojczystym kraju,
gdzie wolność dawano kaskami na raty,
bacząc pilnie na to, aby z woli "raju",
nie zniszczono w oknach osadzone kraty.
Było też doraźne budowanie władzy
z osób, które wolność widziały na opak
i w miejsce tych godnych, wskakiwali nadzy,
na czerwone stołki, w zwierzęcych podskokach.
Wolność miała w sobie wiele podłych racji,
bo pośród usługnych, posłusznych wasali,
prym wodzili obcy, często z wrogich nacji,
którzy ponoć nagle nasz kraj pokochali.
Obłuda tym razem pewnie rozkwitała,
powodując kłopot pełnią urodzaju,
a w niej byle głupek - ich plejada cała,
choć niepiśmienna, zapragnęła raj.

To co prymitywne, żyło bacznością,
wprowadzając kłamstwo jako źródło wiedzy,
zaś szkolną uznano zdradliwą przeszłością
w fabrykach i biurach, lub na chłopskiej miedzy.
Wszystko było nasze, wasze i ludowe,
a to co przeszłością choć trochę trąciło,
stanowiło niemal bole porodowe,
w pojęciach czerwonych już się nie mieściło.
I tak wzbogacając własną wiedzę o tym,
co się dzieje w stronie miłowanej szczyrze,
którą przemalować rozkazał kabotyn,
klepiący na co dzień czerwone paciërze,
ból rozsadał serce, a dusza płakała,
bo Wilno, o Boże, i Nowe Świąciany,
a mówiąc dokładniej, Wileńszczyzna cała -
kraj tutejszych wiernych, poczuł się sprzedany.
Zaś my, oszukani i zlekceważeni,
mieliśmy już tylko prawo do płakania,
za tę ziemią wspólną więzi i nadziei -
perłę naszych dziejów i umiłowania.
Na nic się nie zdały skłóć i złorzeczenia,
bezsilność nękała umysły gorące,
a fakty choć godne pełni potępienia,
były w doznawanej wolności gorszące.
Oczywiście w niczym takie osądzenia,
nie zmieniały prawdy o nieszczęsnym losie
tych, którym kazano stronę urodzenia
uwielbiać z oddali w czerwonym bigosie.
Żyć choć były gorzkie, nie traciły lénienia,
będąc diamentami wspaniałej godności,
jedyne w świecie świętego imienia -
Rzeczypospolitej i własnej polskości.
Wszelkie medytacje były tak płochliwe,
że nie pozwalały logicznie spiąć myśli,
aby ostatecznie podjąć nieszkodliwe
decyzje na życie, tam skąd żeśmy przyszli.
Nie wielu podjęło ową ostateczną,
zgodę dotyczącą powrotu w swe strony,
bo świadomość krzywdy była zbyt bolesną,
że porządek faktów został odwrócony.
Tak więc zamiast wracać, wciąż się oddalano,

przestawiając a żalem życia drogowskazy,
bo tam gdzie ojczyzna, ludzi zniewalano,
zaś nam były znane te "rajskie" obrazy.
Syberyjskie lasy i tajgi północy,
tury i gułagi - kołowroty śmierci,
wciąż były gotowe za dnia oraz nocy
przyjmować i świadczyć powroty pamięci
tym, którym czas skrzywił normalność widzenia,
oraż poprzestawiał mebelki w umyśle,
aby przez zwiększenie uczucia na siedzeniach,
mogli w swym oddaniu żyć socjalistycznie.

Czas, który nam dano, czas naszej wolności,
stawał się tragedią, a jej przeżywanie
stanowiło nowy rozdział okropności,
nie pozwalających na pełne oddanie,
stronie co ojczyzną była przez nas zwana,
ogromu miłości, która w złej niewoli
była enem, modlitwą życia uwielbiana,
wciąż w swoich nieszczęściach, wspólnej nam niedoli.
Ten czas wyzwolenia, nie dla nas niósł radość,
od lat układaną z ludzkich myśli, marzeń,
sercem malowaną jako orlą całość,
na białoczerwonej kanwie wielkich zderzeń.
Tamtą ziemię, nasi przyjaciele z musu,
zagarnęli sobie, bo im zawsze mało,
czyniąc radość chwili swym wróceniem z fusów,
by wszystko co dla nas, z ich woli się działo.
Będąc uraczeni więzami przyjaźni
oraż dziękczynieniem za fakt wyzwolenia,
mogliśmy spokojnie, jako też mocarni,
budować kształt nowy, lecz tylko w marzeniach.
Zaś ten oficjalny był z woli niedoli,
która jak przystało, wciąż spadała z nieba
i mogł się wydawać - zresztą jak kto woli,
że taką to była narodu potrzeba.
Nasza romantyczność i chęć zawierzenia,
trochę się gubiły gdzieś w gęstwinach lasów,
lecz ta nowa, która zaieniara wierzenia,
była przepowiednią przeklętego czasu.

Luźnie tak jak mogli, pilnie się szukali,
pragnąc ostatecznie rozwiąć swe obawy,
czy aby okrutny los na zbrodni fali,
z tych najbliższych sercu nie skrzył ofiary.
Być może, że boleść niejednej tragedii,
czyniła satory w przenikaniu serca,
a nasz chleb powszedni w tej życia komedii,
nie raczył już smakiem i zapachem szczęścia.
W tym codziennym chlebie, ponoć przyjaciele,
zgodnie przyswolili dać szczyptę gorzkości,
być może go zjadając, nie żądali wiele,
szczególnie gdy większy brat tak sobie życzy.
Nie wnikając w koszmara tej rzeczywistości,
nasze życie skromne spełniało życzenia,
które w pewnym sensie były z tej ciągłości,
w jaką nas wplątały obcych usgodnienia.
Wnet ci, pewni swojej niemalże wszechmocy,
gubią się w zachwytach z własnego sukcesu,
nie unieśli dostrzec rodzącej się nocy,
która nacierała na plan marginesu,
zamazując biel poważne polacie,
planami o kształcie wielkiej osiornicy,
co w swoich ramionach sciskała uparcie
ostatnie fragmenty gwałconej dziewicy.

Wszystko, co w tym czasie mogło nas przymierzyć⁶
do prawdy o kraju, który wciąż tęsknotą
absorbował myśli, aby chciały wierzyć,
że nasza nostalgia może być pieszczotą -
być może krzywym śladem jakiejś serpentyny,
wiodącej w gąszcz dźwięków o różnej tonacji,
lecz także niepewnych jak ich narodziny,
które nie tworzyły tym faktem atrakcji.
Odzyskana wolność nie mogła stanowić
wiernopoddanego stosunku wasali
do tych, co ucieleli w mętnej wodzie kowid,
a gromko głosili, że nas wyzwolali.
Przecież każdy wiedział, że idąc ze wschodu,
aby dojść do celu, a więc do Berlina,
należało przebrnąć kraj tego narodu,
który już tym faktem swą wolność otrzymał.
A znając niedawną przyjaźń były teraz wrogów

i potworne skutki wspólnej ich grabieży,
nie mogło być mowy o stępieniu rogów
tym, którym to naród w niczym już nie wierzył.
Stąd mylnymi były niektórych zozwienienia,
że nie korzystamy ochoczo z pokoju,
gdyż nie chcemy wracać, by wreszcie marzenia
spełnić czarem życia i twórczego znoju.
Ten kto nie rozumiał naszej sytuacji,
miał prawo przypuszczać, że to nasza wina,
skoro wciąż błądzimy bez konkretnych racji,
byle móc dowoli na wszystkie przeklinać.
Im się wydawało, że skoro już oni,
korzystają z prawa normalnego życia,
to także i dla nas świat otworem stoi,
byle weń uwierzyć oraz wyjść z ukrycia.
No cóż, ich widzenie było właśnie takie,
jak je sobie wcześniej mogli wyobrażać,
bo ono się w pełni zjawilo jednakie
i co wytęsknili, mogli teraz wdrażać.
A skoro na świecie zapanował pokój,
należało w życie wchodzić śmiało, raźnie,
oraz je przeżywać nie stojąc na boku,
pobudzając własną twórczą wyobraźnię.
Wszyscy mieli rację i prawdę mówili,
zgodnie z odczuciami tego co nastąpiło,
bo oni w swą wciność szczerze uwierzyli,
a nasze doznanie z tym się nie równało.
Będąc w nieustannym zawodzeniu losu,
trwaliśmy uparcie oczekując cudu,
jaki mógł pozwolić prawdzie dojść do głosu,
mówiącej o kraju i wolności ludu.

Czas mijał nam szybko w starej medytacji,
kto miał, a kto nie miał w owym rozważaniu
dostatecznej mocy przedkładanych racji,
mówiących o losie oraz powracaniu.
Był to temat stały, wciąż absorbujący
serca i umysły o przetródnym wieku,
który tworzył klimat szczególnie gorący,
burząc krew i spokój w myślącym człowieku.
Mijały miesiące mimo tych kłopotów,

ciągle bez konkretnej wizji o przyszłości,
które wciąż bez treści oraz górnych lotów,
stanowiła szlaban w marszu ku wolności.
Wszyscy, którym dane było tu przeżywać
nieograniczony stał w wolim kieracie,
teraz mogli śmiało mówić, a nie gdybać,
gdzie są światła sensu oraz słusne racje.
Zaś ci zachłyśnięci wolności urokiem,
przeżywali redosć na swych rodzin łonie
i pewni w swym marszu, idąc równym krokiem,
chwytali bieg życia ochoczo w swe dłonie.
Jedynie my, biedni, podle oszukani,
trawiliśmy gorzko tak niepożądaną
i nadal jak błędne owce traktowani,
widzieliśmy przyszłość nieludzko upętaną.



IX. P O W R Ó T
(11.IV.1946 rok)

Decyzja choć trudna, była ostateczna,
kiedy dni kwietniowe wymoszczone słońcem
radośnie wschodziły, by prawda odwieczna
o prawie do życia, przed każdym dnia końcem,
mogła w swym rachunku trwania codziennego
jednoznacznie twierdzić, że była tęsknotą,
nostalgia do nieba tego szczególnego,
za którym marzono całą swą istotą.
To była krynica owych możliwości,
które pozwoliły przetrwać czas nijaki,
aby móc powrócić ku pełnej wolności,
choć jej obraz jawił się wciąż niejednaki.
Lecz teraz, po roku złudnego czekania,
że się jeszcze wiele w kraju zdarzyć może,
nie sposób już było tylko narzekania
traktować za wzorzec, który w czyns pomoże.
Twarda rzeczywistość, jak kamienne bloki,
wciąż była jednaka, bez oznak przemiany
i gwałciła życie wprost na wszystkie boki,
aby je wpasować w realizmu ramy.
Zbyt wiele rozmyślań osłabiało ducha
i obraz nadziei stale rozmywało,
a sercem miotała uczuć zawierucha
za tymi w oddali, których się kochało.
Ujrzeć ich, uścisnąć i radość spotkania
zamienić w niebiański poemat spełnienia,
aby dusza wolna, żaknąca kochania,
mogła już bez przeszkód spełnić swe życzenia.
To one moc wszelkich wyobraźni gnały
tam, gdzie się rodziły wciąż niezapomniane
obrazy ojczystej, jasnej panoramy,
na której prócz słońca, twarze zatroskane
wzbogacały wiarą to, co się zaczyna,
a mama samotna w głębokiej rozpacz
czekała na męża, córkę oraz syna,
pragnąc jak najszybciej ich wszystkich zobaczyć.

Cztery lata smutku i samotni życia,
pośród nieprzychylnych ludzi i wydarzeń,
było ciemną nocą - drogą do przebycia,
którą przemierzała w ciszy własnych marzeń.
Ona - Leokadia, łaknąca radości,
ciepłych uczuć serca, domu i rodziny,
mężowskiej opieki i jego miłości,
przeżywała ciągłej tragedii godziny.
Tak mijały lata, pełne niepokoju,
stałego szukania środków na przeżycie,
pełne smutku, żalu, wytarzane w gnoju
podłości, donosów, powielanych skrycie.
Ją też nie ominął, czas w którym siedziała,
co było wcześniejszym przywilejem męża.
Ona także cele Żukiszek poznała,
choć w tej przemocy inny wróg zwyciężał.
Jedyną korzyścią z traconej wolności,
było określone pisemnie stwierdzenie,
że męża wywieźli znani już i głośni,
w swe rodzinne strony - czerwone jelenie.
Ona w samotności, rozpaczy i biedzie,
liczyła dni pełne podłych okropności,
ginące w nawale zdarzeń i potrzebie
przetrwania ogromu wrogich potworności.
Nie tracąc nadziei, sercem utrudzonym
wiązała myśl każdą ciepłem żywej wiary,
że Wszechmoc swą mocą, ludziom umęczonym,
pozwoli odzyskać prawości sens stary.
Ta wiara krzepiła swą siłą jej ducha,
uwzględniając wszelką miarę poświęcenia
na rzecz wyzwolenia, chociaż zawierucha
niosła z sobą tylko potworne cierpienia.
Jej niezłomna wiara była owym blaskiem,
który w ciemnej nocy wrogich okupacji,
wnosił w smutek ducha ślad znaczony brząskiem
z bezkresów wszechświata, mocą wyższych racji.
Cierpiąc w samotności, każdy ślad nadziei
chroniła swym sercem, jako skarb szczególny,
który mimo wszystko wróci czar niedzieli,
tej jedynej, świętej - wolności dzień wspólny.

Wytrwale czekała na dzień wyzwolenia,
wierząc też w szczęśliwe powroty rodziny,
a swoje przeżycia, bóle i cierpienia,
składała w ofierze na rzecz tej godziny,
w której Bóg łaskawy, wolą swą wszechmocy
zetrze czarta znaki - przemoc, bezceństwo,
aby w tej szatańskiej, jakże krwawej nocy,
sprawiedliwość w świecie odniosła zwycięstwo.
Cierpliwość, wytrwanie i wiara w godności,
pozwoły wreszcie na losu przetrwanie,
lecz to nie zmieniało nadal niepewności,
która od lat wielu straszyla konaniem.
Niestety, choć obraz ponownie się zmienił,
czerwień zagłuszyła wyrazistość treści,
bo znowu wróg wroga jedynie podmienił,
stosując te same katorżne boleści.
Zaś ojczysta strona, rubieżami zwana,
według wszelkich znaków stawała się łupem,
bardzo zachłannego, po prostu "Iwana",
którego działania wciąż cuchnęły trupem.
Strach ponowną falą ogarniał kraj cały,
nadzieja wolności jak mydlana bańka
ostatecznie pryska, a miecz cudzej chwały
mordował Adama, bo górą był Wańka.
Historia świadomie popełniała błędy,
znane już z poprzedniej światowej wojenki,
kiedy przywracając nonsensów obrzędy,
spychała część świata w bezzasadne męki.
Efekt tego prosty, skutkiem jednoznaczny,
pozbawiał narody ich suwerenności,
w zawartych układach przyjaśni dziwacznych,
wyrosłych z obłudy i wrażej chciwości.
Tak, ową tragedię zaklepaliby więksi,
potwierdzając z cicha, całkiem jednoznacznie,
że przecież wśród równych, bywają równiejsi,
co ponoć nie grzeszą, choć czynią dziwacznie.
Bezprawie wpisano w decyzję zwycięzców,
w ciszy gabinetów, z poknią satysfakcji,
iż tak jednogłośnie, życzenie ciemnych,
zostało spełnione w prawnej profanacji.

Podkość wzięła górę na przekór logice,
przemoc wystrojona w odmienione szaty,
wiodła zakłamanie nie szczędząc w praktyce
obłudy, perfidii, nękania na raty.

A w kraju, co wolność tłumaczył z obcego
mówiono, że podłe małpie powielanie,
stawało się celem działania wszelkiego,
donań którego było zniewalanie.

Aby jednak pojąć, co w kraju się dzieje,
i co myśli naród uczony od nowa,
w co należy wierzyć, gdy od Wschodu wieje
niepojętej miary zadymka czerwona,
jedyną logiczną decyzją w prawości,
był powrót do swoich bez względu na skutki,
do owych z tęsknoty jedynych miłości,
bo to tylko one mogły przegnać smutki.

Ulegając własnej, stanowczej decyzji,
przyszłość osadziłem na jedynej szali,
która być pozwoli bez cudacznego wisji,
albo wszystko zniszczy, a nadzieję spali.
Jakiś czas niezbędny, w potrzebnym wymiarze,
przeznaczyłem głównie na szukanie siostry -
Danuty, aby móc przez wiary oktarze
słać słowa podziękki, za ów dzień radosny,
co z piekielnej magmy pozwolił wyjść cało
do nowego życia, godnego wolności,
w jedności z rodziną, którą się kochało,
i być się pragnęło mimo przeciwności.
Szczęście mi sprzyjało, bo moje szukanie
wnet zostało pewnie uznane sukcesem.
Odnalazłem siostrę, czyniąc powitanie
awizem powrotu, nawet walcząc z biesem.
Lokując się wspólnie w wetzlarskim obozie,
czyniliśmy radość najgłębszym pragnieniom,
pragnąc śmiało dążyć, choćby w obcyu wrozie,
ku nowej przyszłości, nie wadząc marzeniom.
A kiedy rzuceni, w nasie równych sobie,
w wagony transportu zwykłe, towarowe,
poczuliśmy wreszcie, że już w naszej mowie
rodzi się zadziorność, przybrana w tęczowe,

ojczyście złudzenia, pełne romantyzmu,
chwackie założenia wszelkiego spełnienia,
które wyrastały nie bacząc komizmu,
w jaki sposób parli pełni zawierzenia.
Jazda była zwykła, zwana - towarowa,
co przy drzwiach otwartych pozwalało stale
oglądać "landszafty", już znane od nowa
mimo, iż czyniono to raczej niedbale.
Rozbiegane myśli, szczerze zatroskane,
pragnęły w tym czasie szybkiego poznania,
jak żyją, co czynią, osoby kochane,
gdy "strachy na Lachy", wypadły już z grania.
Ten powrót był godny, choć w chwilach zadumy,
nie dawał pewności tym, co go wybrali,
bo każde pytanie było treścią sumy
wielu niepewności na myślowej fali.
Wszak to wyzwalone z niepewności życie,
dobrowolnie parło w przykre pojednanie
z wolą doznawania wstrząsów w dalszym bycie,
byle móc zakończyć bolesne rozstanie.
Mijaliśmy miasta, osiedla i wioski,
powleczone smutkiem, żałobnym dumaniem,
które jeszcze były znakiem cichej troski
o to, aby nowe nie było konaniem.
Mogło się wydawać, że ten kraj buńczuczny,
nagle pojął prawdę tego, co się stało,
i teraz był gotów swój opór niesłuszny
zmienić, uczłowieczyć, sercem, duszą, ciałem.
A ładunek ciszy stanowił wyznanie,
że odeszła przeszłość była opętaniem,
a nowe, to ludzkie z losem pojednanie,
stanowi już przyszłość i świata wezwanie.
Już prawie rok mijał od kapitulacji,
a w czasie co nastał, świat kreslił swą wolę
w nimbie pełnej glorii, aby demokracji
przywrócono prawa i sensowną rolę.
Aby każdy wolny obywatel świata,
miał prawo do życia godnego w pokoju,
a człowiek w człowieku widział swego brata,
bez względu na strony odmiennych kolorów.

Odliczanie czasu stało się sposobem,
na godzenie obaw w tym co nas czekało,
lecz on nam się dłużył, stając się potworem,
którego się chciało, chociaż bardzo bało.
Był to czas szczególny, rzadko powielany,
gdyż stanowił pewien ułamek historii
rodzącej się w nasach, jednak nie uznany
jako symbol, atut, narodowej glorii.
Po prostu to była mieszanina strachu
i wielkiej radości, goryczy, słodyczy,
tęsknoty, nadziei, wytarzanych w piachu
i jak dotąd ciągle wiszących na smyczy.
Byliśmy zwykłymi kundlami w powrocie,
których los bezpieczni nie przysparzał chwały,
bo dla nas nie laury, tylko męka w pocie,
stanowiła rozdział ponury i krwawy.
Nasz powrót bez zasług, mógł być źle widziany
przez tych, co wrócili z radzieckiego Wschodu,
bo nas okrywały podarte łachmany,
a tamtych mundury obrońców narodu.
I chociaż nie z własnej woli ani winy,
przeszłość zapisała naszych dziejów losy
garbowaniem skóry, sposobem jedynym,
byśmy mogli zgrywać gladiatorów bosych.
No cóż, tak się stało, mimo przeciwności,
które świerzbem skóry świadczyły o sobie,
chcąc nam uprzytomnić dla większej pewności,
że wnet się znajdziemy na właściwym tropie.
Lecz my, o radości duszy, serca, oczu,
byliśmy jak panna przed poślubną nocą,
strwożeni, niepewni, stojący na zboczu
sposzterzanych zdarzeń, które z życiem kroczą.
Mogliśmy jedynie różnie się pocieszać,
nie tracąc nadziei, że jakoś to będzie,
bo przecież w ojczyźnie nie będą nas wieszać,
a żyć i pracować, można raczej wszędzie.
Zaś to, że transportu i bezpiecznej jazdy,
strzegali przyjaciele, z USA żołnierze,
mogliśmy choć trochę dowiedzieć się prawdy,
jak oni kraj widzą, mając wieści świeże.

Niestety, nie były to krzepiące słowa,
jakie nas by mogły życzliwie pocieszyć.
Mówiono - tamperca, ale w Moskwie głowa,
a nam jakże trudno było w to uwierzyć.
Oni nie umieli także pojąć tego,
że po wielu latach walecznego znoju,
nas wciśnięto w kaftan jak obłąkanego,
i zmuszono grzecznie brnąć w czerwonym znoju.
Co za podłe racje kreśliły decyzje,
nie dające prawa ludziom do odrotu,
a w znękanym kraju wciąż obce dywizje
strzegły, aby czasem nie myłono kroku
w marszu ku świetlanej, radosnej przyszłości,
bez pańskich fornali, chemstwa i wycisku,
gdzie wszystkim po równo, głównie niemożności,
której miarą pewną - kaganiec na pysku.

Już pierwszy rok mijał twórczo, bez protestu,
pełen wniesionych haseł na rzecz odbudowy,
wspartych złotem myśli z karty manifestu,
hołubiącej głównie pragnienie odnowy.
Sprytnie pomieszczone zdania o wolności
z braterstwem, równością, pełnią wspomnienia,
gubiły po prostu rzecz suwerenności,
która była głównym prawem stanowienia.
To była teoria jeszcze nie sprawdzona,
groźna, tajemnicza, do końca nieznaną,
różnie przyjmowana wielką niewiadomą,
w ludzkich wyobraźniach różnie odbierana.

Tymczasem nasz transport raźnie parł przed siebie,
skutecznie skracając odległość do celu,
byśmy nie patrzyli wciąż tylko za siebie,
bowiem przestraszonych nie było już wielu.
Zaś tych, co wciąż jeszcze straszyla niepewność,
wybranego losu na ojczystej stronie,
wzmacniano wierzeniem, że tylko służebność
ma sens, gdy się działa po właściwej stronie.
Tą właściwą stroną była wierność sprawie,
mającej na celu skuteczne przetrwanie
w wierze i obronie tego, co bezprawie

obcymi siłami niszczy, kala, żamie.
Przeświadczeni o tym, że czynimy słusznie,
nasze wolne myśli śmiałej szybowwały
ku ojczystej stronie, spełniając poskuszenie
to, na co od wielu lat tęskniąc czekały.
Zbliżał się radosny moment powitania
ojczystego kraju, po latach wygnania,
niewolniczej pracy, stałego czekania
na ten świt jedyny - symbol zmartwychwstania.
Wracaliśmy żywi, cali oraz zdrowi,
licząc tylko na to, że bliscy czekają,
a dawne stosunki czas szybko odnowi,
gdyż nasze działania z faktami się zgrają.
To myślenie miało swoją rację bytu,
bo w logiczny sposób kończyło historię,
sprowadzając w doły z piekielnego szczytu,
bez gmatwania sprawy fałszywą teorią.

Lecz ja, razem z tymi, co ich wywieziono
z wileńskich obszarów zniewolonej Litwy,
byliśmy jak owce, które pogubiono,
w czasie rozpętanej do żłobu gonitwy.
Teraz zagubieni, pozbawieni domu,
nie mający żadnych wieści o rodzinie,
wracaliśmy zgodnie, nie wadząc nikomu
z wiarą, że na pewno nikt z nas tam nie zginie.
Mniej więcej w podobnym psychicznym nastroju,
powracała więkzość, licząc na łut szczęścia,
wspomożenie boże oraz czas pokoju,
co jednak stwarzało zbyt nikłe pojęcia
o tym, co nas spotka, jaka przyszłość czeka,
jaka miara trudów będzie do przebrnięcia,
aby móc uchronić gołego człowieka
od czyhającego zła, a z nim nieszczęścia.
Na tym się kończyły wszelkie medytacje
po to, aby znowu wszystko od początku,
mogło w ciężkich głowach odnajdywać racje,
które nieświadomie były ciągiem wątku
o tej samej masie, wadze i wartości,
wciąż wspierane czasem nam ofiarowanym,
który nasze myśli, w swym kształcie nagości,

mógł stroić sposobem wciąż nie zapomnianym.
Poważnie strudzeni skutkami podróży,
ulegając sennej przemocy - zmęczeniu,
przenieśliśmy wszystko w sen, aby wywróżyć
z naszych niepokojów, radość o spełnieniu.
Pociąg mknąc po szynach, rytmicznym kół stukiem
odmierzał czas dla nas chłodno, obojętnie,
by nad ranem raźniej przejść leciutkim łukiem
przez czeską granicę, pragnąc nadal chętnie
służalczą prostotą wędrującej troski,
ubezpieczać jazdę i pewność dobrnięcia
do rodzimej bramy - wyzwolonej Polski,
ojczystego kraju realnego szczęścia.
Potem była Praga i kilkugodzinny
postój, wymuszony przez tamtejsze władze,
co nam pozwoliło w sposób jakże pilny,
zwiedzić kilka ulic, mając na uwadze,
że jest to szczęśliwa chwila pojąć braci,
którzy mówiąc szczerze, udawając Greka
głośno nas pytali, cośmy za kamraci,
że od bram wolności tak wielu ucieka.
Pytanie na czasie, lecz odpowiedź nasza,
wnet zamknęła usta pozornie ciekawym
najprostszym stwierdzeniem, że my nie z Judasza,
lecz z narodu, który zawsze bywa prawym.
Że to było prawdą, świadczyły realia -
nasz powrót do kraju bez znamion przymusu.
Ten powrót był czysty, jak świeża kart talia
niosąca nadzieję, bez wróżenia z fusów,
że wszystko się z czasem pomyślnie ułoży,
kraj się odbuduje, powróci normalność,
a historia przeszłość do lamusa złoży,
aby żyć i tworzyć godną aktualność.
Taką była wizja tej wybranej drogi,
którą z wszystkich innych szczerze uznaliśmy
za jedynie słuszną, bo wiodła nas w progi
ojczystego domu, za czym tęskniliśmy
już prawie lat siedem, my - wygnańcy losu,
szarpani jak kundle w smyczy wrogich nacji,
nie mogący liczyć na oddanie ciosu,
skazani na skutki nędznej wegetacji.

Każdy własnym sercem, przyzwoleniem ducha,
nieustannie tęsknił za ojczystą stroną
i chociaż przeróżnych bredni się nasłuchał,
brał ją z całą mocą w należną obronę.
Bo to tylko ona, bez względu na losy,
potrafi przemienić nostalgię na wiarę,
a naród choć biedny, goły oraz bosy,
wnet wystroi w szaty godne i na miarę.

Takie były wolnych myśli założenia,
nie ulegające złośliwym podszeptom,
jakie wciąż się legły i chciały oceniać
to, czego nie znały, śląc rugi konceptom
głośnym, pełnym blagi. A było to granie
po prostu na nędznych grzebieniach rozpaczy,
bo to często było nasze pozowanie,
lecz ten, kto czuł szczerze, wiedział co to znaczy.
W swojskim rozumieniu czas wszystko przemienia,
wygładza odczucia i wiele zacierą,
a w ludzkiej pamięci już tylko wspomnienia
stanowią, że obraz całkiem nie zamiera.
I tak też się stanie, kiedy się włączymy
w karuzelę życia, dbając pilnie o to,
by móc przetrwać wszystko licząc na swe czyny
i nie dać się zepchnąć obcym w byle błoto.
Z takim przekonaniem o skali godności,
wracaliśmy chętnie na ojczyzny żono,
pełni dobrych myśli w osnowie miłości -
dograne jednością młodych ludzi grono.
Opuszczając Pragę stwierdzaliśmy pewnie,
że to już ostatnie kilometry męki,
które swym rachunkiem podsumują pewnie
nasz trud i oddanie oraz wszelkie lęki.
Mijaliśmy piękne tej ziemi obrazy,
miasteczka i miasta, równiny i góry,
powtarzając przy tym chyba wiele razy,
żeśmy nie dojrzeli, by czerwone mury
były wyszczerbione, albo w gruz zmienione.
Bo tu było wszystko czyste, wypieszczone,
składnie ustawione, tywo wybielone
i nie było wojną tknięte lub zniszczone.

Szczęściarze - mówiono. Im to się udało,
aby z zawieruchy na światową skalę
wyjść prawie bez szwanku, zdrowo oraz cało,
gdy ginęły kraje duże oraz małe.
To nie naszych losów pełne nieszczęść dzieje,
ani naszych ludzi heroiczne czyny,
co sławiły kraj nasz w wyzwalań dziele
i wzmacniały wiarę, iż my zwyciężymy.

Słońce już schodziło na zachodnią stronę,
przesuwając cienie w przeciwnym kierunku,
gdy nasz pociąg wkroczył przez dymną szaloną,
na teren polskiego wreszcie posterunku.
To były Dziedzice - miasteczko nieduże,
które nas witało swojskimi gestami,
biurami w barakach, gdzie też w dymu chmurze
szybko, błyskawicznie, grzecznymi słowami,
pytano o dane tylko personalne,
w oparciu o które, każdemu z osobna,
wystawiano dowód - świadczenie normalne,
z prawem do przejazdu - rzecz ważna, rozsądna.
Trzeba przyznać szczerze, że czyniono grzecznie
oraz bardzo sprawnie, jak gdyby tym miano
wywołać wrażenie, żeśmy ostatecznie
przekroczyli bramę, gdzie na nas czekano.
I z takim odczuciem, łęgając Dziedzice,
każdy z nas pociągiem, teraz osobowym,
podażał do celu rozważając skrycie,
co los da nam teraz, racząc wszystkim nowym.
Przed nami wciąż jeszcze, pomimo radości,
było także sporo cieni niespełnienia,
ból i goryczy, smutku, przeciwności,
bo właściwie nikt z nas, prócz swego wierzenia,
nie miał tej pewności, że tam dokąd zmierza,
wnet zastanie wszystko w obrazach z marzenia,
które przez lat wiele osadzał w pacierzach,
licząc stale na ten jasny dzień spełnienia.
Może niejednego spotka przykry zawód,
może żal serdeczny, lub nienawiść sroga,
bo to przecież różnie, cały w męce naród,
przeżywał potworne skutki działań wroga.

Przeróżne bywały ludzkie zakłamania,
sytuacje z których nie było już wyjścia.
Potrzeba rodziła także zakłamania,
aby w trudnych chwilach, móc zaniechać przyjścia.
W tym szczególnym czasie, rodziły się bratnie
siły wspomnienia, ale także podłe
odstępstwa od więzi, które nieprzydatnie
wiązały bieg życia, będąc niewygodne,
kiedy niespodzianie, różne sytuacje
zniewalały cnotę, kusząc nowym życiem,
szczególnie gdy partner tracił wszelkie racje,
nie dając nadziei na szybkie przybycie.
A że czas rozstania trwał przez długie lata,
mogło różnie zdarzyć się w niejednej porze,
i chociaż to przykre, czort z grzechami swatał,
ważąc ciężar zdrady na ludzkim honorze.
Wojna trwała długo, jednak ludzkie życie
miało swoje prawa i różne wymogi,
które były jawnie, albo czasem skrycie,
realizowane mimo krętej drogi.
Jak naprawdę będzie i co się przeżyje,
pewnie pozostanie nieznanym rozdziałem
wielu przeciwności, które życie skryje,
by stać się od nowa weselszym udziałem
tych, co nie zbłądzili czekając powrotu,
aby to, co snili i za czym tęsknili,
stało się doznaniem, a nie błyskiem grzmotu,
o co przez lat wiele gorąco prosili.
Niestety, w powszechnym rachunku historii,
po obydwu stronach rejestry głosiły,
że aby wyrównać straty z kontem glorii,
należy uwzględniać osąd osobliwy.
Wiadomo, że straty przekraczały zyski,
że ludzkich tragedii konto wciąż otwarte
pęczniało zapisem, nie rokując bliski
czas zapominania łez - choć już otarte.
Różnym różnie przyjdzie witać stan faktyczny,
zależnie od tego, co się wydarzyło,
lecz każdy z nas musiał przejść ten czas krytyczny,
aby poznać prawdę, jak będzie się żyło.

A więc zmierzaliśmy w różne kraju strony.
Jedni do rodziców, do brata lub siostry,
inni powracali do męża, do żony,
a każdy z nas wierzył w ów moment radosny,
który po złych latach ożywi przez Boga
treść serdecznych uczuć, płomiennie miłości,
aby odtąd życiu była obcą trwoga,
o bieg dalszych losów na drodze wolności.

Żegnając Dziedzice, pomimo zmęczenia,
natychmiast po trudzie wszelkich formalności,
ruszyliśmy w podróż swego przeznaczenia
z wiarą, że już wkrótce wszystko się uprości.
Jechaliśmy w trójkę - ja z żoną i siostra
z nadzieją, że każdy kilometr podróży
przybliży nas pewnie, a ostatnia prosta
stanie się początkiem pogody po burzy.
Celem naszym była - pustelnia dumania,
gdzie na pewno mama wciąż wiele wspomina,
zagubiona w tłoku rozpamiętywania,
śle prośby do Boga o męża i syna,
o jedyną córkę, co swą wczesną młodość,
traciła wśród obcych, w przymusie tyrania,
zamiast w szkolnej ławie, młodzieńczą surowość
wyglądać nauką - materią poznania.

Żegnając się z matką przed czterema laty,
kiedy mnie zmuszono, z siostrą mą Danutą,
opuścić rodzinne kąty oraz graty
i jechać w nieznane, na spotkanie z butą,
zawarliśmy wówczas rodzinną umowę,
że kiedy nastąpi wreszcie koniec wojny,
każdy z nas związany z przyrzeczoną słowem,
powróci do kraju jako człowiek wolny.
Potem, zapewniając sobie jakiś sposób,
na rychłe spotkanie tych, co się straciło,
i aby ponownie nie gubić tych osób,
grono nasze wspólnie wcześniej uchwaliło,
że każdy z nas żywy, swoje pierwsze słowa
o miejscu pobytu oraz sytuacji,
przekaże najszybciej do miasta Piotrkowa -
miejsca naszych wszelkich wówczas informacji.

Pamiętając o tym źródle możliwości,
zafierzaliśmy zgodnie w wiadomą nam stronę,
aby tam poszukać pierwszych wiadomości,
które nas pocieszą. Bo to tylko one
mogły stać się ziarnem zasianej radości,
co zakwitnie pewnie nadzieją spełnienia,
po latach gorczy traconej młodości,
bez żadnej pewności swego wyzwolenia.
Patrząc na ojczyzną panoramą ziemi,
którą wystroiło zachodzące słońce
w przesuwną gamę porzaczanych cieni,
tonących w zieleni, kładących na ścieżce
plamy dziwnych kontaktów, które swą szarością,
kresliły powolne zębanie się z czasem
dnia odchodzącego z całą wspaniałością,
gdzieś za horyzonty zamykane lasem.
Ojczyzna - mój Boże, szczerze podziwiana
przez okna wagonu, swymi obrazami
budziła z letargu, na duszy ekranach,
wspomnienie młodości, kreslonej znakami
owych serdeczności, doznań i uniesień,
jakie w młodych sercach rodziły się pierwsze,
niewinne swą treścią, które potem wrzesień
tragicznie zniweczył, choć były najszczęśliwsze.
Tęcza, w siódmym roku, po trudnym okresie
wszystkiego na opak - też zwanego życiem,
czuliśmy jak polew historii nas niesie
w to nowe, co było jakgdyby odkryciem
innych horyzontów, co w parze z błękitem,
wiodły nas odważnie w ten dar boskiej miary,
byśmy duszą, sercem i rozumnym bytem,
nie musieli czytać ponownej ofiary.
Wszystko jakby innym porwane życiem,
uderzało z każdej spostrzeżonej strony,
tworząc pikanteryę, którą przed spożyciem,
musieliśmy sprzedąć dla własnej obrony.
Wiele ciekawostek, stanowiło dla nas
sposób poznawania co dzieje się w kraju,
jaki jest porządek, lub w czym trwa ambaras,
na drodze już wcześniej głoszonego raję.

Nie stroniąc od luźnej, głośnej konwersacji,
chłonęliśmy wieści z dużą ciekawością,
nie wnikając ile w tym gadaniu racji,
względnie bzdur, co były zwykłą naiwnością.
Wysłuchując wielu rozgadanych ludzi,
jazda wydawała się nam bardziej znośną,
bo nikt z nas się zbytnio jej treścią nie nudził,
choć rozmowa często stawała się sprośną.
W ten sposób na nowym szlaku poznawania,
mieliśmy okazję uchwycenia miary
na niejedne sprawy, gdy u wrót Wrocławia,
ujrzeliśmy pierwsze realne koszmary.
Rozwalone domy, a na zwałach gruzu,
sterczące samotnie wygasłe kominy,
stanowiące znaki śmiertelnego luzu,
po konwulsjach, które kreśliły ruiny.
Była to pustynia, gdzie jedynym znakiem
jakiegos tam życia, były sporadycznie
spozstrzegane dymy, siedzące okrakiem
na tych grobach z gruzu, snute anemicznie.
Pustelnia nowego Noego, co bosy,
z misernym dobytkiem zamieszkał piwnice,
a pragnąc przetrwania, swoje dalsze losy,
chciał ujrzeć w przyszłości, jak hojną krynicę.

Wreszcie wykładunek nielicznych tobozków,
na peronie dworca, oraz oddech świeży,
lecz tam - mówiąc prosto, stada złych matozków
szukały okazji, do zwykłej kradzieży.
Mówiono nam o tym, że tam bardzo często,
Iwany i Wańki na rzecz swej przyjaźni
kradli, co się dało, pomnażając męstwo
i horyzont własnej, ciasnej wyobraźni.
Owe ostrzeżenia wzmożyły czujność naszą,
aby nie utracić tego cośmy mieli,
bo choć to niewiele, biedą zawsze raczą
tych, co w swoim życiu strzec się nie umieli.
Nie chcąc by nas także tak potraktowano,
tylko pojedynczo mogliśmy próbować
możności spojrzenia na to, co ujrzano
w sprawie wieczoru i w myślach zachować.

Było to, co wcześniej wielkim przecież zwano,
a teraz piętrowe zwaliska, ruiny,
patrzac w czarne niebo, to miasto wołało,
aby dzień następny mógł być sprawiedliwym.
Między ruinami, tylko wąskie ścieżki
wiodły w czarne wnętrza o przedziwnych kształtach,
a każdy krok śmielszy, stawał się zbyt ciężki,
by tknąć zamary w odważnych wariantach.
Tymczasem mrok szybko swe nadejście znaczył,
czyniąc, by co można jeszcze z trudem ujrzeć,
przerazało swoim kształtem, który świadczył,
że był to czas doli, który kazał umrzeć
na gruzach, tonących w koleinach męki,
albo na kikutach skierowanych w chmury,
aby wykrzywione gwałtem krzyku szczęki,
zamarły na zawsze plamą czarnej dziury.
Ta okropność zbrodni, co zadano miastu,
straszyła ruiną i krzykiem kamieni,
dając znać patrzącym, że ciężar balastu
niedawnej przeszłości, wśród głębokich cieni,
stanowi potworny znak ludzkiej podłości.
Zaś ta, pęczniejąca szaleństwem sadyzmu,
utraciła nośny wszelkiej logiczności,
stając się przyczyną super bandytyzmu,
Mimo to, kalekie miasto w swej tragedii,
dawało wśród ruin znak pewnego życia,
świetlnymi punktami na czarnej liberii
nocy, mrugającej nadzieją z ukrycia.
Patrzac z przerażeniem na to przenikanie,
światła przez dziurawą rzeczywistość trwania,
wierzyliśmy mocno, że jego mruganie,
to pierwsze płomyczki pełni smartwychwstania.
Resztę owej nocy daliśmy czekaniu,
nie czyniąc utrudzeń swemu przeznaczeniu,
i się nie poddając złemu narzekaniu,
wspólną cierpliwością wiliśmy marzeniu
wianuszki z tęsknoty, z niezapominajek,
co wciąż są symbolem serdecznych pamięci -
często wzbogacane darem pięknych bajek,
stanowią natchnienie - dla spełnienia chęci.

Wiedząc, że niczego przyspieszyć się nie da,
zdani na usługi państwowych kolei,
czekaliśmy smętni, bo żadna już bieda,
nie mogła nam zabrać jedynej nadziei,
która stanowiła eliksir na życie,
publacje się ciągle w gmatwaninie zdarzeń,
jakiś nas otwarcie, albo czasem skrycie,
spychały do roli niewolników marzeń.
I teraz nam przyszło pomierzyć serdecznie,
o chwilach radosnych witanie po latach,
tych najbliższych sercu, którzy już bezpiecznie,
czekali ~~z powrotem~~ powrotu, prawie jak z zaświata.
Tym razem cierpliwość spełniła nadzieję,
bo na peron wjechał ten oczekiwany
pociąg, który teraz niepewność rozwieje,
aby móc wysłuchać wieści posiadanych.
Zmęczenie wnet dało w pełni snad o sobie,
mglistym wizerunkiem wagonowych ławek,
potem i to także ssażło cieniem w głowie,
byśmy snuć nie mogli widma niespodzianek.
Wreszcie pogrążeni w senną obojętność,
mialiśmy okazję doznać rozluźnienia
wazelkiego ucisku, rozrzedając gęstość
narosłych przeciwieństw ciągłego myślenia.
Były to godziny pełnego wytchnienia,
regenerujące młode organizmy,
przysparzenia siły w drodze do spełnienia
osobistych pragnień, na łonie ojczyzny.
Byliśmy szczęśliwi, choć jeszcze niepewni,
że oto przeszłości wrota krwią anaczone,
teraz ludzka dobrość, jako chleb powszedni,
ustroi w girlandy z kwiatów ułożone.
Czas począł malować odmienne obrazy,
z tych najnowszych doznań, jeszcze zbyt ubogich,
czasem powtarzając, nawet wiele razy,
to co już minęło w osnowie wciąż wrogich
cieni dawnych nocy, dawnych okropności.
Lecz z każdym oddechem, każdym haustem życia,
rosła kolorowa mozaika radości
i tęcza droga jeszcze do przybycia.
Wtuleni jak dzieci w tej nocy ramiona,
czule ogarnięci peleryną śnienia,

skłoniłszy do krótsza, nasze myśi wywołana,
zakonczy niepowność naszego dżenia.

A handwritten signature in blue ink, consisting of a large, stylized loop followed by a vertical stroke and a small flourish.

X. W MIEŚCIE URODZENIA

13.IV.1946

Piotrków Trybunalski - ileż w nim historii,
królewskiej wzniosłości, szlachectwa i dumy,
ile chwały ludu oraz jego glorii,
które nasyciły stare miasta mury.
To one widziały, słyszały i skryły,
historię wydarzeń w swej kamiennej duszy,
ten czas, jaki odszedł, by o nim świadczyły
prawdę, którą nawet wieków czas nie zgłuszył.
Tu liczne kościoły są świadectwem wiary,
znamienitym dziełem odeszłych pokoleń,
tych, co w Imię Pańskie życie zaczynały
i kończyły w Bogu, gdy gasnął ich płomień.
Miasto Trybunałem godnie zaszczycone,
w splendorze prawości, godności, szacunku,
wytyczało ongiś prawo i obronę,
trwając na tym ważnym kraju posterunku.
I chociaż gród stary różne przeżył dzieje,
pozbawiony nieraz swego losu łaski,
zachował przywilej, co historią wieje
nieodmiennie, głośno, zwąc go trybunalski.

Kwietniowy poranek był dla nas wiodącym
w czar dalekich wspomnień, jakie skromnym słowem,
tylko ja umiałem ich potok gorący
ułożyć w fragmenty wpasowane w nowe
na mimo, że szarości i prostoty miasta,
jak dotąd nie zmyły deszczowe opady,
a z okresu wojny uboga omasta,
jeszcze nie zrównała wygląd do parady.
Jednak w moim sercu, burzą nawiedzenia
tryskały uczucia zachwytu, miłości,
bo to przecież miasto mego urodzenia -
pierwszego spojrzenia w płaczu i radości.
To tutaj w małej izbie na poddaszu,
pierwszy oddech życia i fakt tej godziny,
uczyniły bliskim wiele ambarasu,
jako pierworodny akt mojej rodziny.

Obok kościoła Farny sławiony wiekami,
w którym mi nadano imię z łaski Boga,
jako ten jedyny znak, co mi utwalił,
którędy wieść będzie mego życia droga.
Pełen nabożnego swej wierze oddania,
oraz z równym memu życzeniu mej siostry,
swe pierwsze dziękczynne słowa, na kolanach
wymawiane szeptem, w sposób szczery, prosty,
stałiśmy przed ołtarz - skromny dar pacierza,
za powrót do źródła życia oraz wiary,
za wytrwanie w znaku najświętszego krzyża,
który nas umacniał w trudach wiele razy.
Teraz w miejscu, w którym nas kiedyś ochrzczono,
z najszczerzym uczuciem oddania się Bogu,
tak, jak nam to przyszło, co ze słów złożono,
jako wieniec serca, kładliśmy na progu
tej bożej świątyni z pełnią przekonania,
że ten skromny wyraz naszej świętej wiary,
naszego bez reszty, jak dotąd oddania,
stanowi więź serca z świętą ciałą Fary.

Po wyjściu z kościoła, szwędając się pewnie,
trawiliśmy godnie wiekowe starocie,
co swoim ubóstwem dawały znać gniewnie,
że zły czas roztrwonik dawnych stoczeń krocie.
Teraz wszystko szare, srodze umęczone,
chylące się biernie pod nawałem troski,
garbem swej niedoli ku niebu zwrócone,
czekało na wyrok ludzki, albo boski.
Mimo to z przeszłości duch wspomnień tu chadzał,
stwarzając dla serca sporo sentymentu,
wrażliwość pobudzał, a wzrób wynagradzał
wspaniałością wielu szczególnych fragmentów.
Dla nas po tak wielu latach oddalenia,
jawilo się teraz miasto - gniazdo rodu,
co przez różne stany tworząc pokolenia,
stanowiło źródło rajskiego ogrodu.
I mimo szerokości, powojennej biedy,
skromności na starych fundamentach wspartych,
radosny nurt życia łagodził potrzeby
wiarą i nadzieją, sero szczerze upartych.

Spostrzegany uśmiech na braterskich twarzach
i kobieca lekkość w gestach oraz chodzie,
świadczyły dobitnie, że na tych obrazach,
nie będzie już życia w chłódzie ani głodzie.
Zachwyceni miastem swego pochodzenia,
już jako dorośli, z pełnią świadomości,
sercami w zachwycie, ciepłem uwielbienia,
chłonęliśmy urok z pietyzmem w wierności.
To nic, że staroci w kożo spora gama,
nużyła swym szarym kolorytem stary
tych, co tu wzrastali, bo stale ta sama
witała ich bierność, wciąż w układzie starym.
Dla nas jednak owe ciche podziwianie,
stanowiła radość w kaskadach zachwytu,
gdyż dla nas to było miłe odkrywanie
tego, co dawało świadomość zaszczytu.
To nas wzbogacało w szczerłość zawierzenia,
w świadomą mentalność romantycznych wzruszeń,
kreśliło szlachetną wizję pochodzenia,
nie snoszącą obcych nakazów, wymuszeń.
Tu byliśmy sobą, pewni i odważni,
świadomi historią dzielnego narodu,
wspólnotą przeszłości, w niej zawsze mocarni
wiarą i nadzieją, aż po ciszę grobu.
Teraz przemierzając uliczki staruszki,
z należąca powagą i godnym szacunkiem,
gdzieś na dnie swych wspomnień, szukaliśmy dróżki,
która nas wieść będzie właściwym kierunkiem.
Wszak chodziło o to, aby trafić pewnie
do naszej cioteczki Eugenii Wieczorek,
gdyż ona być miała tą, co umie dzielnie
zebrać i przechować wieści pełen worek.
Takie przecież były nasze ustalenia,
na wypadek skutków wiadomej przyczyny,
choć nikt z nas wówczas nie miał zapewnienia,
że zgodnie z życzeniem, tu wszyscy trafimy.
Mieliśmy za sobą sześć lat okropności,
które niemal stale niesły śmierć ze sobą,
a więc nie stwarzały najmniejszej pewności,
że nam w swym kieracie nic złego nie zrobią.

Tu byliśmy teraz żywi oraz cali,
z radozną nadzieją, że wszystko się spełni,
a szczęśliwy powrót od nowa nas scali,
byśmy mogli czuć się wśród swoich już pewni.
Zmieniając ulice w stronę celu swego,
wkroczyliśmy wreszcie na tę pożądaną,
jedną z najstarszych - na Wojska Polskiego,
gdzie mieliśmy spotkać cioteczkę kochaną.
Po drodze nam było przejść obok więzienia,
który jakże często w zawłóściach czasu,
wciąż zmieniał swojego pana - właściciela,
w historycznych chwilach pełnych ambarasu.
Ponura historia tego kryminaku,
spisywana była trzema językami -
rosyjskim, niemieckim i tym bliższym ciążu,
a najpewniej zawsze głośnymi krzykami.
Nie tracąc humoru, mimo że zmęczenie
coraz bardziej pewne swojej skuteczności,
kazało nam zadbać o własne siedzenie,
parliśmy przed siebie śądni wiadomości
o mamie i ojcu, bo to była sprawa,
która absorbując swoją celowością,
bezkompromisowo wszystko przerastała,
będąc dla nas sensem życia i godnością.
Przecież, mówiąc szczerze, gdyby nie te losy,
co w tragiczny sposób pogmatwały życie
i za burtą czasu przytłumiły głosy -
jedeny znak życia w kajdaniarskim bycie,
niewiadomo jaką byłaby ta nasza
wyboista droga, przez otwartą bramę
do wolnego świata, który nas zapraszał,
prezentując swoich możliwości gamę.
Gdyby nie ta miłość i pełne oddanie
rodzicom, los których nadal był nieznany,
kto wie jak mądrzejsze byłoby wybranie,
dróg wiodących w obzary od nowa nam dany.
Dlatego tak śpiesznie pragnęliśmy tego,
aby wreszcie ową usłyszeć wiadomość,
która nas wyzwoli od strachu wszelkiego,
wzmacniając kondycję i naszą bojowość.
Kiedy ostatecznie byliśmy u celu,

stojąc przed piętrową, małą kamieniczką,
szarą, poistaną - jedną spośród wielu,
która również była ówczesną rówieśniczką,
zabiły nam serca żwawiej oraz głośniej,
spojrzenia obiegły obiekt parę razy,
po czym uściskawszy swe toboły mocniej,
weszliśmy w mrok gęsty brudnych korytarzy.
Idąc po trzeszczących schodach - nieboraki,
dbaliśmy szczególnie aby bez wypadku,
dobrnąć na poddasze, unikając draki
lądowania w dole na zmęczonym zadku.
A skoro i to nam udało się sprawnie
przebrnąć, bez możliwych w czasie zahamowań,
pozostało tylko głośnie zapukanie
i akt powitania - wzruszeń, ucałowań.
Wszystko się odbyło szczerze i serdecznie
nimo, że właściwie myśmy się nie znali,
bo nawet gdy było zupełnie bezpiecznie,
rodzinne spotkania zbyt rzadko bywały.
Można też powiedzieć, żeśmy tak przedziwnie
byli wprowadzani w poczet naszych rodzin -
najprościej, po prostu korespondencyjnie,
w powojennej wersji ponownych narodzin.
W Piotrkowie nas znano jako małe dzieci,
a teraz byliśmy ludźmi dorosłymi,
którzy powracając na rodzinne śmieci,
mogą porozmawiać na równi z innymi.
~~xxxxxxx~~
Siedząc wokoło stołu, na przemian mówiono,
lub pilnie słuchano zdarzeń co gnębiły,
dosłownie każdego, oraz nie stroniono
od wielkich tragedii, jakie się zdarzyły.
Ciocia utraciła bezpowrotnie męża,
jej siostra Bałicka, męża oraz syna.
Każdy z naszych bliskich musiał przezwyciężyć
skutki długiej wojny. Zaś cała rodzina,
trawiła wciąż ogrom śmiertelnych rozpacz,
bo zadane rany goiły się wolno,
a owe doznania czas bólem wypaczył,
tworząc skamielinę ponurą i chłodną.

Brat cioci zaniesógł na zawsze psychicznie,
babcią wróg najechał ciężkim samochodem,
wielu rozstrzelało po prostu, publicznie,
aby strach przed śmiercią rwał myśli swobodę.
Wszyscy jeszcze pełni przeżytych boleści,
nie mogli uchwycić swego losu lejce,
a czas ich wolności, jeszcze się nie mieścił,
w nowo-spykowanej do jazdy kolejce.
Potem były nasze relacje z podróży,
oras określenie celu tych odwiedzin
w czasie jakże trudnym, lecz on nas nie nużył,
bo był przewidziany w skali kilku godzin -
na skromny posiłek, względny odpoczynek,
jednak przede wszystkim na te wiadomości,
które nas ukoją, jak szampański trunk, w
wypełniając lukę w naszej świadomości.
Tym razem przeczucia nasze nie zawiodły,
bo kiedy ciotuchna, grzebiąca w szufladzie
wyjęła kopertę, to nam dreszczyk chłodny
przeleciał po plecach w nerwowym nieładzie.
Oto - powiedziała - adres waszej mamy,
i kopertę w moje ręce przekazała,
a ja roztrzęsiony, niby chłopak mały,
czułem jak do skroni krew mi uderzała.
Szybko przeczytałem, choć drżały paluszki,
adres naszej mamy, choć był zamazany -
województwo Wrocław, ulica Kościuszki,
miasteczko Nowasól, a numer nieznany.
Ciocia zaskoczona, obszukała kąty,
i znalazła drugą kładąc ją na ławie,
bo na tej był numer - dwudziesty dziewiąty,
co nam ostatecznie załatwiło sprawę.
Dalszy tok rozmowy pozwalał już luźniej
oras pewniej siebie, przejść z tematu w temat,
zaś to wzbogacało treść rozmowy później
i z przeżyć tworzyło szczególny poemat.
Każdy miał w nim stronę przykrego doznania,
wielu lat przeżytych w potwornych warunkach,
ogromu tęsknoty i oczekiwania,
gubiących się stale w zawiłych kierunkach.
Teraz już nam było znane, cośmy chcieli

poznać jak najszybciej - gdzie znajdziemy mamę,
a to, że wciąż w próżni jeszcześmy wisieli,
to już nam czas wolno uchylał swą bramę.
Wierzyliśmy wszyscy, że jakoś to będzie,
bo skoro tu żyją narodu miliony,
to i nam się zdarzy sięć na jakiejś grzędzie
i nie być w tej masie całkiem zagubionym.
Z takim przekonaniem, kończąc swe rozmowy,
przyznaliśmy rację kochanej ciotuni,
że czas już się przespać, by poranek nowy
powitał nas raźniej, gdy słońcem otuli.
Jeszcze kilka zwykłych uwag, ciche słowa,
ukłon dziękczynienia żeśmy się spotkali,
a potem gościnie zasłana podłoga
użyczyła miejsca, byśmy się wyspali.
Tylko budzik cykał w pokoiku cioci,
odmierzając czasu spokojne mijanie,
a mnie się zdawało, że anioł dobroci
grając na swej harfie, słał to zasypianie.
W spokoju z nadzieją, że oto już dzielą
nas tylko godziny, które swoją mocą
przerwą pasmo sześciu lat i nas oddzielią
słonecznym powrotem, śnionym teraz nocą.
Ten sen był granicą, co przeszłość oddzielił
od tego, co jutro będzie współczesnością,
byśmy będąc nowym światem zachwyceni,
mogli w dalsze życie wyruszyć z radością.
Teraz pełni wrażeń oraz dobrych wieści,
znużeni podróżą przez pół Europy,
oddaliśmy sobie sennej opowieści,
w której gasły wszelkiej świadomości tropy.
Jednak pozostało uczucie pewności,
że świt nas przywróci już do dnia nowego,
byśmy mogli zaraz wszelkie zaległości,
odrabiać na poczet już czasu przyszłego.
Nic nam się nie śniło. Sen twardy jak kamień,
wziął nas w swe władanie. To była konieczność,
aby przemęczenie oraz nawał wrażeń,
nie musiały burzyć wewnętrzną stateczność.

Dopiero radosny świt nowego ranka,
potrafił przywołać w nas bieg świadomości
mimo, że na oknie wisząca firanka,
starła się zmniejszyć przyptyw zaborczości.
Zaś ta swym błękitem i złoceniem słońca,
wspomagała jakoś ludzkiej szczęśliwości,
która wypełniała utrudzone serca,
cudownym uczuciem doznanej błogości.
Przy skromnym śniadaniu, ponownym od nowa,
jedynym tematem były wydarzenia,
które jak konieczność, lub czasu choroba,
wlokły się za nami skutecznością cienia.
Historia rodzinnych nieszczęść z czasu wojny,
była pełna krzywdy i okrutnych śmierci,
gdyż wróg dla bezbronnych okrucieństwem hojny,
chętnie tworzył skutki dla świętej pamięci.
To co było jeszcze tego dnia możliwe,
odbyło się w iście ekspresowym tempie,
bo mogliśmy tylko ofiarować chwile
i raczej w pamięci odnotować skrzętnie
wszystko, co nam było dane ujrzeć pewnie,
serdecznie powitać, radośnie pozdrowić,
okazać współczucie dla mówiących gniewnie
twierdząc, że czas wszystko powoli uzdrowi.
Oczywiście pośród przez nas odwiedzanych,
była także mama naszego ojczulka -
szczupła starowinka, symbol opuszczonych,
niewidząca dobrze, pytała o Jurka,
którego od wielu już lat nie widziała.
Niestety, tym razem nasz udział w boleści,
pozwoił jedynie współczuć, gdy płakała
słyszając to najgorsze - że przepadł bez wieści.
Mój Boże - mówiła, tak mocno się bałam,
że los jego może być bardzo niepewny,
a ja go ze wszystkich najbardziej kochałam,
bo był taki dzielny i prawości wierny.
Słyszając owe słowa, żal ścisnął nam gardła,
bo to była naszej więzi wspólna sprawa,
i chociaż nadzieja jeszcze nie opadła,
to jednak skuteczność wciąż była niemrawa.
Tak więc w krótkich słowach pośpiesznej relacji,
podaliśmy babci znane fakty chłodno,

jak to NKWD-e, bez najmniejszych racji,
uwięziło ojca, a potem wywiogło
w dalsze kryminały, wrogie kazamaty,
za to, że był w KOP-ie, w swej rodzimej armii,
a to wystarczyło, aby te psubraty
mogli go powiesić na byle latarni.
Zaś tym, co pozbawił człowieka wolności,
był radziecki jęwej w randze lejtnanta,
o nazwisku Scherman - gadzina podłości
z wyrazem na gębie sprośnego palanta.
Dalszy bieg wydarzeń nie stwarzał możliwości,
pozyskania choćby odrobiny prawdy,
o losie człowieka, o nim wiadomości,
w czasie pełnym zbrodni i wielkiej pogardy.
Lecz my, wywiezieni w Hesji kraj daleki,
nie byliśmy w stanie swej wiedzy poszerzyć,
skazane na własną niedolę kaleki,
tylko w przypuszczeniach mogliśmy los mierzyć.
Jedno było pewne, że moc okrucieństwa
stanowiła wówczas oczywistą prawdę
o perfidii czynów - wściekłego szaleństwa
tych, co stanowili zaślepioną bandę,
wyjątkową podłość dwunożnych potworów,
którzy zabijając, wierzyli w skuteczność
swojego działania na rzecz komandiorów,
kiedy hukiem strzałów głosili swą wierność.
Nam było to dane poznawać naocznie,
oraz gubić z oczu wiele osób znanych,
gdyż był to wróg taki, co nigdy nie spocznie,
puki nie wypełni swej kaźni kurhany.
A to, żeśmy wiele widzieli przed laty,
pozwalalo sądzić te drapieżne stada,
od których miliony dostawały baty,
jakimi i swoich wróg stale okładał.
To była przedziwna odmiana wierzenia,
że wszystko w czerwone płachty otulone
jest warte tych ofiar, co trawia cierpienia
dla ideologii diabła pomylonej.
Stąd nasze przeczucia trudne i bolesne,
nie dawały żadnej pewności powrotu
tym, których wartości uznane, społeczne,
były wyniszczane w trybach kołowrotu,

jaki był potęgą, mądrością, uznaniem,
dla każdej przemocy - stałym opluwaniem
wszystkiego co ludzkie, jeszcze przed skonaniem,
chępiące się stałym śmierci powielaniem.
T o szatański zamysł rządził tym działaniem,
z czerwoną opaską mordów co niemiarą,
jako rzeczywistym ludzkości równaniem,
gdyż na nic się zdała wszelka stara miara.
Stąd nasza niepewność w cudowne powroty
ludzi, pogubionych w syberyjskich tajgach,
albo tych, co śmiercią opłacając cnoty,
tylko ślad modlitwy mieli na swych wargach.
Przecież tam nie znano uczucia litości.
Byli towarzysze, lecz nie było braci.
Nie było też bliźnich, ani ich miłości,
lecz były ofiary i ich losów kaci.
A to było znane głównie nam, niestety,
bośmy tak uparcie na rubieżach trwali,
gdzie jednych niszczyli tak zwani Sowieci,
a drugich faszyci nie mniej mordowali.
Tymczasem w Piotrkowie, moi wszyscy krewni,
nie mieli pojęcia o tym co na Wschodzie
działo się w tym czasie. Raczej byli pewni,
że nam było lepiej, jak im na Zachodzie.
Najpewniej, jedynie krwawy znak równości
był świadectwem prawdy dwustronnych wyczynów,
jakie były treścią wszelkiej przestępczości
o bliźniaczej twarzy obu tych wampirów.
Jedynie pytanie, wciąż bez odpowiedzi,
było nieustannych poszukiwań celem -
który z nich był uczniem w tej katyńskiej wiedzy,
a który szatańskim zła nauczycielem.
Przecież nawet teraz stroniono od prawdy,
przypisując wszelką nieprawość jednemu.
Temu, co rozpoczął marsz pełen pogardy,
a prawo do chwały, niesłusznie drugiemu.
A z nas każdy dobrze pamiętał te chwile,
gdy z obu stron nagle obaj napastnicy,
w imię wspólnych celów, hołdując swej sile,
wywiedli moc śmierci z czerwonej kostnicy.
A potem uściski i pocałowania,

przyjacielskie gesty i radosne rżenia,
tworzyły uciechę z ludzi mordowania
i żarliwszy sadyzm istot bez sumienia.
Teraz nagle wszystko zmienilo swe barwy,
katyńską niedolę zmieniono na przyjaźń,
karalne się stało dążenie do prawdy,
a srogość wyroków pomnażała bojaźń.
Lecz to dla nas było po prostu ohydą,
czymś, czego zrozumieć nikt z nas nie potrafił,
a będąc znużeni swą wojenną biedą,
życzyliśmy zawsze, by wrogów szlag trafił.
Lecz teraz, to były ponoć inne czasy
i sporo w moc wszelkich bredni uwierzyło.
Zmieniały się przecież nie tylko atlasy,
ale i pojęcia z którymi się żyło.
Aby być w porządku do tutejszych braci,
oraz nie urazić też naszych ambicji,
twierdziliśmy wówczas, że skoro są kaci,
muszą być oddziały specjalnej policji.
A skoro nie można uczciwie i szczerze,
wyrażać swych własnych poglądów, przekonań,
w które od lat wielu osobiście wierzę,
życie stać się może obłudą zachowań.
Zaś tam, gdzie zwycięska obłuda prym wiedzie,
to ludzka otwartość zasklepia się trwale,
snobizm na osiołku w pozie króla jedzie
i nie widzi cymbał bliźniego w cymbale.

Po wielu godzinach spotkań i rozmowy,
które dla nas były sposobem poznania
tego, co już prawie wypełniło głowy,
na skutek pierwszego roku budowania
świadomej przyszłości, żegnaliśmy swoich,
a czyniąc to grzecznie, chcieliśmy zachować
ten uroczych spotkań oraz sens słów moich,
które miały teraz nas lepiej firmować.
Przed nami był jeszcze spory kawał drogi,
podróży w nieznaną nadodrzańskie strony,
a stan posiadania był bardzo ubogi
i nam nie pozwalał na czas wydłużony.
Jeszcze tylko chwila bolesnej zadumy
i pacierz w intencji dusz siostry i brata,

a kiedy zło jeność ludzkości podzieli,
świat staje się piekłem istot pomylnych.
I chociaż to wszystko było już za nami,
cmentarna powaga kazała, dostojnie
wesprzeć się o ziemię twardo kolanami,
by wyznać myślami uczucia spokojnie.
Bo tam wszelka miara ludzkich możliwości,
tego co odeszło, nie jest w stanie mierzyć,
ani przewidywać dróg w nieskończoności,
w które my możemy i pragniemy wierzyć.
Wieczność, nieskończoność i bezmiar wszechświata,
to droga nadziei w wyrównanie losów,
do których myśl nasza nieustannie wzlata,
szczególnie gdy dozna w życiu wielu ciosów.
To dobrze, że mamy uznane dogmaty,
co sugestią swoją nieraz czynią cuda
i nie każą życia spisywać na straty,
nawet gdy niszczyła je ludzka obkuda.
Zaś kiedy goryczy życiowych doznamy,
wiara i nadzieja winny nas pocieszyć,
bo celowość życia nimi wzbogacamy
i choć z wielkim trudem, winny nas rozgrzeszyć.
Teraz w stanie smutku, z pochyloną głową,
skłóśmy modlitwę, prosząc o zbawienie
tych, co już odeszli, by poznawać nową
drogę w nieskończone duchowe istnienie.
Zamiast kwiatów, słowa głębokiej miłości,
padały na ziemię tak bardzo nam świętą,
a były to słowa żalu i radości,
modlitwy w mieszanych doznaniach poczętą.
Czas nagliż nas wielce, lecz mimo oporu,
byliśmy zmuszeni pożegnać to miejsce,
gdzie duch naszej wiary na skrzydłach aniołów,
wypełnił tę przestrzeń, a pokojem serce.
Lekki wiatr poruszał sędziwe konary,
przetkane świeżością wiosennej zieleni,
które w pochyleniach stały nam ukłony
i szeptem skławiły ciszę świętych cieni.
A kiedy za nami pozostała brama,
dzieląca świat żywych od enklawy zmarłych,
barwa naszych myśli, niepokojem zwana,
zamieniała się pewnie w tle budowli starych,

szczeremu podziwu dla wiekowych treści
miasta, które było w snach oraz marzeniach,
naszą arką życia oraz dobrych wieści.
Ładując swe wnętrza podziwem, zachwytem,
szybko zmiernaliśmy do miejsca postoju,
aby się pożegnać, syci kolorytem,
jakże wielu doznań w pogodnym nastroju.
Pożegnanie z ciocią było pełne wiary,
że nasze spotkania teraz będą częstsze,
a rodzinny Piotrków, chociaż taki stary,
z czasem też pozwoli na radości większe.
Dziękując za wszystkie serdeczne doznania,
a szczególnie za tę najdroższą wiadomość,
która pozwoliła nam ruszyć ku mamie
oraz wzbogaciła tym faktem świadomość,
że oto się kończą męki niepewności,
a radość przechyla pełną szalę szczęścia
ku nam, co traperskim trudem swej młodości,
zmiernaliśmy z wiarą w szczęśliwość dobrnięcia.
Żegnaliśmy Piotrków z pewną dozą żalu,
że nigdy nie ~~nie~~ było dane w nim pozostać,
i teraz po skutkach wojennego szaleń,
niechcąc musieliśmy ponownie się rozstać.
To już trzeci etap naszego powrotu,
który był ostatnim, wiodącym do mety,
aby siłą faktu końcowego zwrotu,
ostatecznie zaniejszyć niepokój kobiety,
która wyrzucona z domowych własności,
skazana na smutek wędrówki w nieznane,
żyła bez widoku najbliższej przyszłości,
gdyż nic jej na wsparcie nie zostało dane.
Bez męża i dzieci, w niemej samotności,
jedynie z modlitwą na proszących wargach,
błagała o powrót zabranych miłości -
męża, syna, córki, w powielanych skargach.
Wszak był to już siódmy rok bolesnych przeżyć
w stącej niepewności o następne jutro,
z nieustanną groźbą, choć nie chciała wierzyć,
że to może stać się ciągłością okrutną.
Takie także były naszych serc przecucia,
wsparte doznaniem, historią zasobną,
zmieniające gorycz w trudną do przeżucia,

skale niepewności wciąż jakże ogromną.
Dlatego, gdy pociąg wreszcie ruszył w drogę,
to nam się zdawało żeśmy uwolnili
s matni opętania, swych pragnień wymowę,
w którą teraz pewnie żeśmy uwierzyli.
Wszak był to ostatni etap naszej drogi,
na spotkanie z mamą, po złych czterech latach,
i chociaż nasz powrót był bardzo ubogim,
znaliśmy okropność życia w tarapatkach.
Z nami szła tęsknota i miłość najszczerza,
radość wypełniała po brzegi istnienie,
które dojrzywało, jako miarę pierwszą,
kresląc serc biciem nasze uwielbienie
tej, co nas powiła, potem wychowała,
przepełniona troską dla naszej przyszłości,
dla nas oraz za nas wiele wycierpiała,
aby nas utrwalić w prawdzie i godności.
I właśnie dlatego wszystkie nasze myśli,
wyprzedzały w czasie uroki spotkania,
które w wyobraźni, choć byliśmy czyści,
z trudem budowały obraz powitania.
A było to trudne jeszcze i dlatego,
że nasze widzenie wszystkiego co nowe,
było jeszcze mgliste, koloru czarnego,
i nie mogło tworzyć wniosków prawdziwych.
Byliśmy po prostu we wszystkim do tyłu,
odurzeni faktem zerowego powrotu,
jednak zagubieni, jak w tumanie pyłu,
przez który cierpliwie szliśmy krok po kroku.
Wszak nasz powrót nie był zrywem w wyzwolenie,
tylko koniecznością stworzoną przez życie,
która swym nakazem stłamsiła marzenie,
o pięknej przyszłości - na utopii saszycie.
Ona nam wskazała trudnych losów skutki,
które były gorzkim owocem przetrwania,
świadczącymi dobitnie, że nasz świat małej,
teraz musi jednać wolą wspomaganie.
Stąd nasza obecność, bez względu na dolę,
jaką nas uraczy goniący czas życia

i jaką przypisze na tej scenie rolę,
by wskazać kierunek drogi do przebycia.
A przecież byliśmy tak bardzo szczęśliwi,
zachwyceni pięknym wokół krajobrazem
i dumni, że było nam dane w tej chwili,
podziwiać ofcyraną wspartą nowym czasem.
Czasem, który począł obrastać w nieznaną
dogmaty religii niesione ze wschodu,
aby sugerując prawa wyrównane,
pustyni skowami pokrywać sten głodu,
tego za wolnością pełną w swym znaczeniu,
bez obcych małości wniesionych na szczyty
rękomych mądrości, co zakwitły w cieniu,
krwawymi płamami na dłońach elity.
W tych niepokojących, wciąż żywych przeczuciach,
rodziła się pewna doza optymizmu -
wierzenie, że naród tkwiąc w sprzecznych uczuciach,
nie może się zgubić w pętach komunizmu.
W tym czasie mówiono - wolna, lecz niepewna,
i tak też w posporach było znaczną prawdą,
ale nikt nie stwierdził, że jest suwerenna,
i to było w naszej świadomości skargą.
Zaś ta niby radość, gdzieś w skrytości ducha,
skręcała się w bólu nglistej niepewności,
czy nasz czas powrotu nie ukasi kostacha,
racząc go przekleństwem szubrawych radości.
Rwaliśmy do przodu, pokonując wszelkie
niepewności, które wlokły się za nami,
sugerując życie obce i nie lekkie,
w którym rozkazywać nam będą wybrani.
Lecz my lekceważąc natrętno przeczucia,
mknęliśmy ku sercu jedynej miłości,
w stronę, która nasze najczystsze uczucia,
wplecie w wieniec wspólnej, rodzinnej przyszłości.



XI. NA NOWEJ DRODZE ŻYCIA

Noc, jak to w wagonie, była mdłym drzemaniem,
w tabaczanym dymie zawziętych palaczy,
którzy nieustannym ómieniem powielaniem,
czynili wędzarnię sposobem prostaczym.
Owezem, były jakieś uwagi rozstropne,
że nie wszystkim przecież do gustu przypada
to dymne kędseńskie srodliwa, okropne,
jakie czynić nocą raczej nie wypada.
Niestety, były to jedynie życzenia,
wobec niepokojnych i licznych palaczy,
które nie znalazły u nich zrozumienia,
iż to w sferze doznań coś dla innych znaczy.
Wielce przekonani, że ich prawo pierwsze,
w czasie odzyskanej niedawno wolności,
czyli pojęcia grzesznościowe łacjsze
na bazie najnowszej, społecznej równości.
Zaś nam przyszło pojąć z owej konwersacji,
że to była klasa z rynsztoków ulicy,
i absurdem było tłumaczenie racji,
skoro ktoś powiedział, że to szabrownicy.
Dla nas to nazwanie było raczej obce
i nie miało związku z paleniem tabaki,
lecz ponoć to były ustawione sztorcem,
niektóre przejściowe obyczajów znaki.
Jak faktycznie było, pojęliśmy później,
gdy już pewne sprawy stały się realnym
tematem na co dzień, pojmowanym luźniej,
a formy przestępcze, faktem namacalnym.
Teraz, jak niemowly z wytężonym słuchem,
chłonęliśmy każdy przypadkowy temat,
gdyż on w nas poszerzał, rejestrując uchem,
najnowszy sens walki o życie poezji.
Gdy ma się za sobą cztery lata pustki,
obcości, pogardy wszystkiego co ludzkie,
poznawanie przesyln na niegodne skutki
było frapujące, choć treścią prościutkie.

Wszluchując się w słowa bez sensownej treści,
stanowiące pewną odmianę pyskówki,
mogliśmy podziwiać jak głupota pieści,
rozbrykane kozły w trakcie ich wędrówki.
Zaś my tracąc względną okazję do spania,
wewnętrzny skupieniem byliśmy u celu,
tworząc wyobraźnią chwile powitania
w aureoli doznań, chyba aż za wielu.
Ten temat był dla nas wciąż absorbującym,
nękającym stale nasz porządek ducha,
czy oby złe wieści - los ojca gubiący,
nie czynią, że sercem włada zawierucha.
Ciągłe niewiadoma osłaniała losy,
jak pajęczą siecią na wiekowym dębie,
w której się szamotał bezradny i bosy
czas, ten pytający - co z nim w końcu będzie?
Wciąż jednak nie było pewnej odpowiedzi,
ani żadnej mocy by ją gdzieś uzyskać,
bo tutaj pytanie - kto i na czym siedzi,
wciąż było parodią zakańczaną przez "mac".
Ci, co miłościwie spinali kajdany,
rozdawali teraz miłość i braterstwo,
a ten, kto był kiedyś przez nich ukarany,
ponoć miał okazję wykazać swe męstwo.
A skoro tak było, pytanie o losy
było nie na miejscu. Za los bohatera,
nawet jeśli zginął głodny oraz bosy,
winę ponosiła wojenna cholera.
I tak rozgrzeszając swoje nieczne czyny -
ludobójczą podłość nie mającą granic,
teraz ten co wrogiem był, choć nie jedynym,
do tych zbrodni nie chciał przyznawać się za nic.
A skoro mu w owym procederze chamstwa,
nikt nie chciał bandyckich serwować zarzutów,
to z pospolitego zaprzaństwa i draniaństwa,
powstawał różaniec zagubionych trupów.
Lecz nie on był prawdą, minioną przeszłością,
co winna być godną nowego przymierza.
Zakłamanie było współczesną miłością,
owianą złudami nowego pacierza.

Uznawano tylko kremiowskie świętości,
w jedynej świątyni czerwonego klanu,
bo tam świątoburcze płodzono wielkości,
które przerastały popów i kapłanów.
Boga zastąpiono Leninem, Stalinem,
świętych wyzwalaka moc czerezwykazki,
która innowiercą zwąka sukinsynem,
a historię wiary, jako trefne bajki.
Tak to pomalutku, wolno krok za krokiem,
szliśmy w nowe życie na oczyszczonej ziemi,
co prawda, nie traktem, ale jego bokiem,
pośród wyjątkowej, dławiącej czerwieni.
Wśród tego co teraz ześmy usłyszeli,
było sporo fałszu i mięsnej doktryny,
ponieważ ludziska się nie rozumiali,
a sens ich rozmowy wiódł wszystkich w maliny.
Dla nas, cośmy świeżo przybyli do kraju,
ta jakże wulgarna, pusta konwersacja,
stanowiła mocny atut, że w tym kraju,
wnet straci na sile każde szuszne racje.
Już się wyczuwało, że ścierna prostota,
próbowała zmieniać sens każdego zdania,
aby potem mogła skośliwa niernota
twierdzić, że ma prawo do przeinaczania.
I tak się rodziły pojęcia zastępcze,
które pozwalały pojnować na opak
już nie tylko słowa, lecz także najświętsze
przekonania wiary, iż osłowick nie robak.
Jednak w owej chwili wszystkie szuszne racje,
a z nimi wulgarne wyznania chołoty,
nie mogły wypaczyć nasze medytacje,
które były siłą szczególnej ochoty,
jaka coraz żywiej wtłaczała nas w życie,
pełne różnych doznań, gaszących tęsknoty,
aby wreszcie stanąć na wybranym znaczeniu,
rodzinnej zwartości i uczuć prostoty.
A kiedy po długiej męce naszej jazdy,
dobrańliśmy wreszcie do celu podróży,
na niebie wygasły wiodące nas gwiazdy,
a jasny dzień słońcem powodzenie wróżył.

Nowosól - mój Boże, miasteczko nad Odrą
witało swą ciszą i chyba nadzieją,
że nas oczaruje świeżą szatą modrą
i powiedzie w życie wybraną aleją.
Zaś my swym urokiem traperskiego trudu,
budziliśmy pewnie przechodniów zdziwienie,
bo oznakowani kolorami brudu
byliśmy mozajką, żywszą niż zmęczenie.
Przy pomocy bliźnich, omijając dróżki,
wkroczyliśmy w ulicę czysto utrzymaną,
a była nią właśnie ulica Kościuszki,
ta którą w Piotrkowie wcześniej nam podano.
Tak więc w ostatecznym uwieńczeniu starań,
byliśmy na prostej wiodącej do celu,
która miała zamknąć rozdział naszych działań,
jeden z najpilniejszych, spośród innych wielu.
Spełniały się nasze marzenia, tęsknoty,
kończyła niepewność i smutek rozstania.
Serca wypełniało łaknienie pieśszoty -
matczynej miłości i jej powitania.
Szlismy lewą stroną szerokiej ulicy,
wspólnie przeliczając mijane numery,
gdyż te właśnie wiodły do owej krynicy,
która wynagrodzi straconych lat cztery.
Nad nami błękitne nawosolskie niebo
stanowiło czyste, boskie tło wolności,
pod którym jedyną, serdeczną potrzebą,
było wyzwolenie ludzkiej serdeczności,
jaka wypełniała serca, rozum, dusze,
całość strudzonego jak dotąd istnienia -
nadziei i wiary, kończących katusze,
jakże steranego życiem pokolenia.
Wiedzeni tą burzą, wszystkie nasze troski
przeszły w otchłań cieży, poza krąg myślenia,
bo nas już wypełniał czwarty nakaz boski -
czci ojca i matkę, za prawo istnienia.
A kiedy spotkały się nasze spojrzenia,
ogrom zaskoczenia niby piorun jasny,
zgasił ostrość krzyku gdzieś na ust sklepieniach,
a ręce objąwszy swym uściskiem ciasnym,
świadczyły spełnienie rodzinnej jedności,

wznioslejszej nad zdarzeń wszelakie doznania,
które nie zdołały pomniejszyć miłości -
boskiej wiary dobra, jego przykazania.
Nie ma słów tak mocnych, aby ich dźwięcznością
i sensem znaczenia określić przeżycia
tego powitania, aby serdecznością
odtworzyć melodię z naszego serc bicia.
To było po prostu nawiedzenie rajy,
gdzie posród kwitnących krzewów ukojenia,
pod sklepieniem koron niebiańskiego gaju,
spotkały się serca pełne dziękczynienia.
Aby zaspokoić nagłość pragnień wszelkich
oraz poznać jakość i wielość tematów,
jakie się rodziły w tle wydarzeń wielkich,
często wymuszane bezceństwem katów,
musiała zaistnieć myśli równowaga -
atmosfera ciszy pogodnego ducha,
logiczny porządek, szczerłość i powaga,
budujące obraz tego co się słucha.
Lecz teraz w nawale uczuć i zmęczenia,
całkiem rozbrojeni ze swojej pewności,
nie byliśmy w stanie spełnić te życzenia,
co słusznie rodziły ogrom ciekawości.
Po krótkiej rozmowie, w błyskawicznym skrócie,
każdy na swój sposób dał świadectwo prawdzie
o tym, co przeżywał tracąc nieraz czucie,
gdy czas życia mijał we wrogiej pogardzie.
Potem zrozumienie, że na nas już pora,
aby dać wytchnienie fizycznej całości,
wiedzeni racjami mędrca lub doktora,
zeszliśmy ze sceny, lecz pełni radości.
Za to następnego dnia swego powrotu,
szczerze zbudowani realiami sceny,
wkroczyliśmy raźnie, wolni od kłopotów,
w sam środek ówczesnej, dziejowej areny.
Na początku było bardzo wiele pytań,
wiodących ciekawość w scenerię przeszłości,
utkaną z cierpienia, bólu oraz zgrzytań,
w makabrę obrazów wszelakich podłości.
Jeszcze raz jak w kinie, na ekranie duszy,
rozkręcana taśma w syntetycznym skrócie,

odtwarzała w ciszy potworność katuszy,
przeżywanych w prawym, jak i lewym rzucie.
Ogrom ludzkich cierpień i wielu tragedii,
stanowił gehenną narodowych doznań,
spiętych wspólną dolą szatańskich perfidii,
które zawsze były pełne diabolicznych pozwań.
Teraz te okropne wspomnieniowe treści,
obnażały prawdę rodzącą współczucia,
bo w barwach obrazów spod pędzla boleści,
nie było krzaty miejsca na pogodne snucia.
Nawiedzeni błogą ciszą szczęśliwości,
trawiliśmy radość wspólnego spełnienia,
nadziei i wiary w czar lepszej przyszłości,
tryumfującego życiem pokolenia.
Byliśmy jak dzieci oddane swawoli,
w czupurnej pewności nie znajdując mety,
syte szczęśliwością cukrzoną dowoli,
kolorowym życiem z niebiańskiej palety.
Narazie realizm faktycznego stanu,
swą pazerną jakość gubił w sennych marach,
albo przybierając kształt czarnych baranów,
beczał wciąż buszując w czerwonych kotarach.
Nasze majaczenia były sumą myśli,
które w swojej treści grzeszyły pragnieniem,
aby ci, co pewnie swoim katom uszli,
mieli prawo głosić swoje odrodzenie.
Każdy dzień następny był nowym wyrazem,
wciąż przekazywanych zdarzeń oraz doznań,
które przez lat kilka bywały obrazem
naszego istnienia, sumą wielu poznań
tego, co na stale gnębiąc otaczało,
co nasz świat młodości wiodło na wertepy,
nurząc w bólu smutku, duszę omotało
pętami nostalgii, bez wyjścia - niestety.
Każdy dzień poszerzał naszą wiedzę o tym,
cośmy przeszli przez te utracone lata,
w których nas łamały wrogie kołowroty,
działające w słuźbie szalonego kata.
W ten najprostszy sposób, tak jak każdy umiał,
skracaliśmy dystans, jaki los wytworzył,
pragnąc zrównoważyć czas, co już nam szumiał,

dając znać, że słabość przeszłości umożliwił.
Taką coraz bardziej bywała konieczność
mówiąca, że życie należy od nowa
budować, nie grzesząc pogrążaniem w wieczność
tego, co żądała дума narodowa.
Wnet dane nam było poznać prawdy czasu,
które dygotały w zakłamaniej glorii,
służąc niweczając każdy odgłos lasów,
gdyż ten nienawidził czerwonych teorii.
A te ponoć godne zaszczytów i chwały,
miały nas przerastać bohaterstwem czynu,
bo one każdego oraz świat nasz cały,
wniosą na szczyt szczęścia, glorii i wawrzynów.
Rosła nasza wiedza stale, krok po kroku,
daleka od złudy, tłumaczona szczerze,
językiem i wiedzą wolną od uroków,
stanowiąca święte matczyne pacierze.
To one rodziły w naszych sercach credo,
tak przybierające ton każdej modlitwy,
aby treść jej mogła umocnić każdego,
kto czuł, że nie doznał jeszcze końca bitwy,
tej co bardzo srodze, podle i okrutnie
wyniszczała ludzi duchowo, fizycznie,
a teraz fałszywie, nachalnie i butnie
radziła, jak życie układać praktycznie.
Co znaczy praktycznie, na razie niewiele
mówiły nam ciche dni w rodzinnym gronie,
pełne różnych wspomnień, skromne jednak w dziele,
zagmatwanych pojęć po zewnętrznej stronie.
Lecz aby je poznać i móc je zrozumieć,
należało w życie wkroczyć bez żenady,
oraz jak najszybciej nauczyć się umieć,
wybierać co czyste - bez odcieni zdrady.
Aby jednak ruszyć w burzliwą toń życia,
koniecznością było podjęcie się pracy,
bo na razie w ciszy, bezpiecznie z ukrycia,
trawiliśmy los swój, po prostu żebraczy.
I tylko nas mama pocieszała stale,
że wszystko powoli jakoś się ułoży,
a czas zatrze w sercach urazy i żale,
przywracając zgodę oraz pokój boży.

Decyzja musiała zapaść już, odwrotnie,
gdyż żyć wspomnieniami może tylko syty,
a wśród naszej szczerzej trójki wielokrotnie,
stwierdzaliśmy drogę na ubóstwa szczyty.
Aby to odmienić i ujrzeć swój światek
w odmiennych kolorach, decyzję podjąłem
z prawa do pierwszeństwa, a był to zażalenie
stwierdzający pewnie, że z reszty cień zdjąłem.
Jedynym problemem był wybór fabryki,
która mogła przyjąć ofertę moich chęci,
nie wzmocnionych wsparciem nowej polityki,
lecz zasobem wiedzy nie uszłej pamięci.
Byłem nowicjuszem nie znającym tego,
co było chytrą owego procesu,
ponieważ ja byłem owocem szczerego
pojmowania sprawy oraz jej zakresu.
W mieście były tylko dwie duże fabryki,
które swą sylwetką świadczyły znaczenie,
iż mogły zapewnić oprócz polityki
to, co wnet zakończy moje zubożenie.
A skoro wyboru właściwie nie było,
jedynym wskazaniem, względnie dobrą radą
było to, co oczy podziwiała, miło
zachwycone pięknych budowli paradą.
Była to fabryka kolorowych nici,
przędzonych z bawełny oraz lnu polskiego,
głosząca, że czystą robotą się szczyści
oraz pięknym prządek blasku szczególnego.
I tak dnia pewnego, majowego ranka,
w tle jakże soczystej dokoła zieleni,
pod błękitem nieba, gdy pieśni wiązanka,
ptasimi trelami wynurzona z cieni,
wypełniała przestrzeń wspaniałego aktu,
ruszyłem odważnie kwitnącym półkolem,
wsparty na obrzeżach Włodącego traktu,
ku głównemu wejściu, z jasnym w słońcu czołem.
W dziale personalnym, bo tak wówczas zwano
biuro przyjmowania nowych pracowników,
złożyłem podanie i to co kazano
dołączyłem sprawnie w formie załączników.
A kiedy spełniłem wszystkie formalności,

opuściłem biuro z decyzją w kieszeni
i folgując własnej, szczerzej ciekawości,
przyznając, z zachwytem ujrzałem w zieleni
wspaniałe budynek - pałac wielkopański,
w stanie pełnej ciszy, kształtem okazały,
pozujący teraz sposobem cygańskim,
na pustą odwagę, gdzie rosły platany.
Podziwiając piękno parku i budynku,
młodą wyobraźnią i luźnym pojęciem,
spstrzegałem w myślach obraz pojedynku,
jaki miał tu miejsce w krytycznym momencie.
Był to pojedynek znany oraz stary,
przejmujący swoją dziką okrutnością,
wyrosły ze zbrodni, choć świadom był kary -
ten, który powszechnie zwą sprawiedliwością.
Bo była to przecież jedna z kart historii,
zapisana śmiercią wielu bohaterów,
którzy na ołtarze wymodlonej glorii,
złożyli miliony serc i charakterów,
mózgów oraz marzeń o życiu w wolności,
tęsknot za radosnym, w pełni ludzkim światem,
gdzie wszystko rozkwitnie w kaskadach miłości,
zaś człowiek drugiemu zawsze będzie bratem.
I tak tonąc w myślach, które samorzutnie,
wsparte wyobraźnią żywo odtwarzały
to, co przeminęło boleśnie, okrutnie,
ujrzałem blask słońca wpleciony w platany.
Wszak była to wiosna z pełnią swoich darów,
wsparta na błękitnie sklepieniu nad światem,
tonąca w kwiecistym rydwanie tych czarów,
które sycą serca i krzepią wiatem.
W owych motywacjach na różne tematy,
ten najbardziej ważki zwiększał szybkość kroków
i wzmacniał moc bicia hukami jak z armaty -
oczywiście serca, wśród wiosny uroków.
Tematem tym była treść krótkiego pisma,
stwierdzająca czarno na białym papierze,
że wartość służbowa i moc oczywista,
stanowi decyzję w najuczciwszej wierze,
iż określa przedmiot w pełni sprawiedliwy,

dający mi pracę i wynagrodzenie
za skutek wartości twórczych i uczciwych
oras za rozumne, rzeczowe tworzenie.
Lecz to było wszystko, co było mi znane,
bo jak to się miało od wewnętrznej strony
miejsca, gdzie tworzono nowe kreowane
wartości, problemy, potrzeby odnowy,
jeszcze nie wiedziałem. I dobrze się stało,
bo byłem zbyt czysty w swej prostoduszności,
nie skalany grzechem tego, co się działo
za bramą królestwa kobiecej twórczości.
Ja jeszcze nie znałem zawikości życia
w tym wszystkim, co nowe było od podszewki,
a co wyrastało na co dzień z ukrycia,
jako produkt czasu w swej jakości klepski.
Na mnie czekał okres trzymiesięcznej próby,
która zdecyduje czy jestem dojrzały,
aby w owym starcie podokręcać śruby
i stać się człowiekiem odpowiedniej miary.
Teraz pełen wiary, iż wybór był trafny,
zmierzam do domu z wieścią o sukcesie,
aby bieg spraw dalszych stał się bardziej jasny
i nie kazał błądzić, jak w nieznanym lesie.
Wszak chodziło o to, aby swe kłopoty,
związane z codzienną, szarą egzystencją,
przegnać jak najszybciej, wyrzucić za płoty
stanowczo, natychmiast, z całą konsekwencją
tego, że nareszcie zmieniając profesję,
zaczę się wprowadzać w arkana tej sztuki,
która coraz bardziej gmatwając koncepcję,
wiodła w świat pozorów przez czerwone kruki.
Jednak móc poznać ową rzeczywistość,
co w obcych wymiarach pojęć i zwyczajów,
wypaczała wartość narodu na przyszłość,
nie mogliśmy tracić owych obyczajów,
jakie od tysiąca lat znojnego trudu,
kazały unikać wszelkiej zależności,
wiodącej jak zawsze w sieć zdrady i brudu,
ku nieodwracalnej, rodzinnej podłości.
W domu radość wielka zgodnie potwierdziła,
słuszność mej decyzji, licząc, że to zmieni

szarość dnia każdego, co nas nawiedziła
mimo wiosny, słońca, niepokojeń cieni.
Potem w moje ślady siostrunia ruszyła,
także z pozytywnym swych starań wynikiem,
z czego najbardziej mama się cieszyła,
witając ją dumną radosnym okrzykiem -
najdroższa Dariusiu, moja ty nadziejo,
w świecie moich cichych, smutnych oczekiwań,
gdzie tylko bezduszne stale wiatry wieją,
nie znoszące zwykłych, ludzkich rozczarowań.
Ja to rozumiałem i pełen współczucia,
serdecznym spojrzeniem darzyłem tą scenę,
w której matka z córką swe kobiece snucia,
wprzędkę w rydwan życia, zdejmuje jego cenę.
Wszak one wiedziały, że w małym mieszkanku,
nie da się pogodzić losów czworga ludzi,
bo ta rzeczywistość to chwila przystanku,
która wnet do zmiany sytuacji zmusi.
Taką była jakość naszego powrotu -
pełna wzniosłych uczuć oraz rozumienia,
że czas się już zbliża - czas własnego lotu,
w sferę osobistych sposobów tworzenia.
Z jednej strony, to nas naprawdę cieszyło,
lecz z drugiej, stwarzało konieczność rozstania,
i to nas po prostu świadomie smuciło,
sugerując bliskie chwile pożegnania.
I chociaż to miało dzieć się w jednym mieście,
wiedzieliśmy przecież, że to było prawo
do życia na własny sposób, oczywiście,
aby ono godny, ludzki obraz miało.
Wiek nam nakazywał wziąć życie za bary,
z pełnią świadomości dążeń oraz celów,
tych, co miały zmieniać majdan faktów starych,
jakie obciążały wciąż umysły wielu.
Ja w dwudziestym siódmym roku kreśląc życie,
miałem wreszcie możliwość, z własnego wyboru,
rozpocząć start wolny by stanąć na szczycie,
gdzie się gromadziły z przeróżnych kolorów
utkane marzenia, sny, oczekiwania,
które wciąż pod groźbą ich unicestwienia,
szczególnie musiałem skrywać i osłaniać,

aby się nie stały martwe jak z kamienia.
Na razie nie znając rodzimego stanu,
pełen zawierzenia i szczerzej ufności,
pragnąłem się wpisać w sferę tego klanu,
który był wiodącym ku lepszej przyszłości.
Ja pragnąłem pracą czynnie walczyć o to,
aby nasza przyszłość mogła być świetlana,
aby zła wszelkiego nie oprawiać w złoto,
a prawda nie była zbrodniczo karana .
Takim było moje widzenie przyszłości,
wsparte szkołą życia pierwszych lat dwudziestu,
które w wolnym kraju - wspólnej nam młodości,
kształtowały prawość bez zawiłych testów.
Wszystko było proste, jasne, jednoznaczne,
a zło nie zmieniało swojego nazwania,
gdy skutków wymyślne przyczyny pokraczne,
pozbawione były ludzkiego uznania.
Ja dopiero teraz, poraz pierwszy w życiu,
mogłem spojrzeć śmiało na uroki świata
z owym przekonaniem, że w mym skromnym byciu,
każda treść sukcesu będzie wiele warta.
Wiedziałem, że one staną się tworzywem
budującym chcianą formę odrodzenia,
myśli oraz dążeń, czyniąc je paliwem,
wzmagającym płomień wiary w noc tworzenia.
Świadomość spełnienia ogromem swej mocy,
rozsadzała wewnątrz świeżo nasycone,
jasnością swobody po potwornej nocy,
w której wszystko mogło zostać uśmiercone.
Teraz złota tarcza na błękicie nieba,
była boskim darem - radością na życie,
aby wieloraka jego barw potrzeba,
spełniała się godnie oraz należycie.
Dokoła wiosenne bogactwo natury,
szczególnym sposobem wzbogacało ^{przucie} ~~złoty~~
radosnego trwania, a pierwsze kontury
obrazu tworzenia w kolorowym rzucie,
uwijało z myśli upragnione sceny,
wypełnione spójnią wielu słów i marzeń,
wolne od wysysku i duchowej ceny,
w biegu za historią niesnanych wydarzeń.

Ja to rozumiałem i wszystkie pragnienia
spinałem nadzieją, wapertą wyobraźnią,
co nie pozwalało umocnić wierzenia,
że one praktycznie wnet się urealnią.
Była to konieczność pełna świadomości,
kreująca z mocą wizję nadchodzącej
na nowym etapie dojrzącej sprawności,
w tworzeniu przyszłości trwale budującej.
Była to konieczność najwyższego rzędu,
pełna człowieczego doznania wartości,
w intymnej oprawie boskiego urzędu,
co świadczył początek owocu miłości.
Świadomość, że wkrótce ktoś trzeci odmieni,
czas partnerskich uczuć w męski stan godności,
wnosiła w ten związek nową garść promieni
z błękitnego nieba - niebiańskiej miłości.

Wyznanie mej żony było stwierdzające,
powiedziane zdaniem wyjątkowo prostym,
a jednak tak wiele i pewnie mówiące
na temat szczególny, radosny, gorący.
Powtarzać nie muszę - było to wyznanie
wyrósłe z intymnej, ludzkiej prywatności,
nasycone treścią nazwaną kochaniem,
stanowiącą żywy owoc tej miłości.
Mieliśmy świadomość, że oto nadeszła
pora najwspanialszej naszej dojrzałości,
w słońcu owej wiosny, co stała się pierwsza,
pomyślną zwiastanką rodzinnej przyszłości.
Byliśmy szczęśliwi wkraczając na drogę
doznania najwyższej miary czkowieczeństwa
mimo, że warunki tak bardzo ubogie,
nie stwarzały nawet pozorów do szczęścia.
Mimo to radosne były nasze serce,
a myśli wlewały w nieskończoność nieba
z szczerym zaufaniem, że owoc poczęcia
wzmocni nasze siły, gdy wzrośnie potrzeba.
Wierzyliśmy mocno, że trudności czasu,
pokonamy mając przed sobą cel wielki -
stworzenie własnego dla życia atlasu,
wiążącego w całość ogrom potrzeb wszelkich.

Pośród wielu potrzeb, tą niewązoplanową
było zapewnienie własnego mieszkania,
co jednak już wówczas było tytanową
sprawą możliwości jego otrzymania.
Wszelkie oficjalne działania w tej sprawie,
były wciąż stanowczym sprzeczeniem tego,
czego w propagandzie - nie w snach, lecz na jawie,
nawołano w imię nadejścia lepszej.
Tymczasem uczciwość, prośby i błagania,
a nawet odważne dla sprawy pyśkówki,
nie spełniały prawie słusznego sądnia,
bo nie były wsparte potęgą zapędki.
A ja przecież tego nie mogłem uczynić,
bo byłem golutki, jeszcze bezrobotny.
Ja mogłem jedynie na uczciwość liczyć
i raczej w działaniu byłem wciąż samotny.
Jedyną nadzieją była tylko praca,
którą miałem podjąć od pierwszego czerwca
i liczyłem na nią, bo ona przywraca
zagubioną pewność co do swego miejsca
w hierarchii układów, związków oraz siły,
które określały różne priorytety,
jakie dla mnie jeszcze wciąż dalekie były
i pomoc w potrzebie nie mogły, niestety.
Pocieszały - mama, siostra oraz żona,
lecz na tym kończyło się jedyną wsparcie,
kiedy moja pewność szczerze zatruwiona
nie widziała siły potrzebnej na starcie.
Już wówczas wiedzieli, że życiem ulicy
od roku rządzili cwaniacy - szubrawcy,
znani ze słych czyków jako szabrownicy -
bezwzględni złodzieje, bezkarni oprawcy.
To oni w swym charakterze oraz przebiegłości,
godząc bez pardonu - twierdząc, że to draka,
znaczyli mieszkania najlepszej jakości
hasłem, że zajęte już jest przez rodaka.
W ten sposób uczciwy, wolny obywatel,
stawał się w swym godnym sposobie istnienia
przykładem niemocy, jak wygasły krater,
będący już cieniem mocy i znaczenia.
Tymczasem szubrawcy bezkarni w działaniu,

gołocili wnętrza upatrzonych domów
z wszystkiego, co miało w złodziejskim bajaniu
pewność sprzedawania, dla innych regionów.
W ten sposób złodziejstwo publicznego mienia,
buszowało pewnie w całej okolicy,
pod zmienionym szyldem swojego imienia,
w grasujących grupach, jako szabrownicy.
Idąc ich przykładem, miejscowi działacze,
szczególnie spod znaku mocnych z PEspeeru,
w sposób oficjalny, sknery i ciułacze,
przywłaszczali wszystko z kontrolnych spacerów.
A wśród dóbr zebranych dostrzec można było,
hińską porcelanę, posążki z hebanu,
meblowe starocie, o których się śniło
na fali wzmocnienia rodzinnego klanu.
Kryształy, dywany, kilimy i futra,
głębokie fotele obijane skórą,
stanowiły wsparcie dla lepszego jutra,
które się jawiło dobrobytu górą.
Przywłaszczanie było niepisany prawem
dla tych, co dosiedli służbowe kobyły,
a prawo okryli partii parawanem,
aby możliwości innych nie kusiły.

W takiej sytuacji wszelkie próby tego,
aby móc w cudowny i realny sposób,
zjednać sobie kogoś względnie ucziwego,
który miałby dojście do grona tych osób,
co swą mocą władzy mogli czynić wszystko,
bo przecież ich prawem było tu rządzenie,
nie zdały się na nic, choć mieszkania blisko
czekały spokojnie na swe przeznaczenie.
Niestety, ja z grona wszelkich tych ważności
nikogo nie znałem, co mógł być łaskawym
na rzecz wsparcia mojej smutnej ubogości,
świadczącej li tylko charakterem prawym.
Mnie również nie znano na miasteczka bruku,
bo byłem tu nowo przybyłym pionierem,
całkowicie obcym pośród stada kruków,
dla którego mogłem być jedynie zerem.
No cóż, taką była logika działania

w owym trudnym czasie powojennych treści,
kiedy przyjemnością władzy sprawowania,
była likwidacja swych własnych boleści.
Już wówczas mówiono - kochajmy bliźniego,
lecz nie w sensie skutków wojennej przyczyny,
bo teraz koszula była znakiem tego,
jak szybko zeń spadnie, jako fant jedyny.
Każdy kto miał prawo i wiele okazji,
zgerniał ile wlaźło, lecz zawsze ku sobie,
hołdując zasadzie sprowadzanej z Azji,
która się przyjęła w bezsumiennym snobie.
Zaś ja byłem z centrum ojczystego gniazda,
skażony na duchu kresową Gólgotę
i każda na opak wygłaszana prawda,
była dla mnie grzechem rządzącym chołotą.
Ale ci co pierwsi poszli na układy,
zmieniając swój honor na czerwone szmaty,
nimi owinęli wszystkie swoje wady,
by nową mądrości nabywać na raty.
Prymityw, jak dżuma lub inna zaraza,
opanował władzy prawie wszystkie grzędy
i swym pustostwem uczciwość znieważał,
wypełniając gęsto głupotą urzędy.
Nie matura, lecz chęć, byle tylko szczerą,
mówiono - wystarczy, byś się poczuł ważny -
ona cię ozdobi w szlify oficera
i natychmiast będziesz mądry i odważny.
Takim hasłem wsparci, najczęściej matole,
wspinali się hardo po szczebelkach władzy
i chociaż w swym życiu wstręt czuli do szkoły,
teraz byli pyszni, choć umysłem nadzy.
Trudno było pojąć celowość tej hecy,
hołdującej ludzkiej, prostackiej wartości,
która wszystko kładła po prostu na plecy,
aby móc poskładać pokamane kości.
A skoro w większości zamano, składano
to, co zgodnie z prawem winno stać na nogach,
najczęściej na pustej już głowie stawiano,
aby wnet się znaleźć na śmieci odłogach.
Cwaniaków, szubrawców oraz złodziejaszków,
zbiegła się do miasta już pokaźna zgraja,

i oni w purpurze swoich fatałaszków
prym wodzili w marszu na pierwszego maja.
To było ich prawo oraz obowiązek,
bo wszystko się działo na owych zasadach,
które przekazywał im Radziecki Związek,
ten tak dobrze znany na szumnych paradach.
A naszej większości starczyło pozorów,
aby to majowe święto ludzi pracy
potraktować lekko, bez większych honorów,
bośmy przecież w myślach nie byli jednacy.
To się wyczuwało mimo przeinaczeń,
jakie obwieszczały radość przymusowo,
masą transparentów i barwnych wypaczeń,
bo wszystko to było raczej na czerwono.
A my, "jacy tacy", jak to Krakowiacy,
przywykliśmy widzieć wszystko narodowe
w tradycyjnych barwach, wiedząc co to znaczy,
że nasze sztandary są białe - czerwone.
Mimo tych nowości protestów nie było,
bo trzeźwe myślenie wyprzedzało racje,
i choć w obiecany raj się nie żyło,
godność przerastała wszelkie dekoracje.
Nakazy szły z góry dla tych, co godzili
tradycje ze stanem nowych przeinaczeń,
bo to tylko oni w przyszłość uwierzyli,
że będzie świetlana i pełna odsnaceń.
Lecz naród inaczej pojmował te sprawy
i wcale nie świadczył, że jest taki pewny,
bo głodu nie zmieniają czerwone sztandary,
ani śpiew znad Newy, nawet bardzo żewny.
Hasło - wszystkim praca, miało swe znaczenie,
lecz nie wsparte treścią wymogów na życie,
było pustym dźwiękiem, trudnym w uwierzenie,
że wnet się znajdziemy w pełnym dobrobycie.
Kilogram rąbanki dany raz w tygodniu,
nawet wsparty kaszą albo ziemniakami,
nie mógł być przesytym lub obżarstwem sbrodnia,
gdy sklepy straszły pustymi hakami.
A to co dawano, był to gest pacańców,
którzy w imię dobra mas żyjących z pracy,
pragnęli zjednywać ludzi jak baranów,

za ochłapy ściernopodane na tacy.
Skutek oczywiście nie bywał jednaki,
co świadczyły o tym oblicza i miny,
tych obdarowanych, w sposób byle jaki,
za własne pieniądze mięsem wieprzowiny.
Byli również tacy, co chwalili władze,
za wspaniałość dbania o bliźniego swego,
która pamiętała, mając na uwadze,
ogrom pożądanego mięsa wieprzowego.
Na tym się kończyły oznaki zadbania
o tych, co swą pracą tworzyli dzień nowy,
bo na nic się zdały głośne narzekania,
że w ilości potrzeb brał tylko czerwony.
Owszem, był to jeden ze znanych sposobów,
zdobywania ludzi dla niegodnych celów,
bo to przede wszystkim mnożyło nierobów,
którym wnet nadano rangę oficerów.
Takim był początek budowania klasy,
tej posiadającej tylko chęci szczerze,
aby utrudzone pracujące masy,
stanowiące siłę, nie znaczyły wiele.
Zaś przewodnią siłą była tylko partia,
złożona z cwaniaczków na usługach "Brata",
wierząca, że tylko czerwona terapia,
stanowi zbawienie dla całego świata.
W takich to społecznych, zawiłych układach,
rodziła się nowej demagogii siła,
która się jawiła w radach i paradach,
lekceważąc innych, bo nimi gardziła.
W tym ja - nieboraczek koloru szarego,
natychmiast pojąłem, że moje starania
nigdy nie osiągną tu pozytywnego
załatwienia sprawy - przydziału mieszkania.
I chociaż ten temat był dla mnie tak ważny,
widząc zakłamanie możnych tego miasta,
doszedłem do wniosku, że człowiek tak marny,
nie zdoła zakalec zmienić w porcję ciasta.
Lecz dla mnie zawczasie jeszcze było na to,
bym mógł reagować świadom swojej biedy,
Myślałem - poczekam, gdy nadejdzie lato,
może wówczas będę mógł pokryć potrzeby.

Na tym się kończyły deluze medytacje,
aby nie przelewać wciąż z pustego w próżne,
a wszelkie siłowe faktów konfrontacje,
mogły zniszczyć nawet prośbę o jałmużnę.
Zad tą otrzymałem w podwójnym wymiarze,
będąc repatriantem z Zachodu i Wschodu,
a więc trzysta złotych przyznane mi w darze,
było kroplą szczęścia w moich potrzeb morsu.
Przekonany o tym, że gdy mocniej stanę
na swych własnych nogach, przecież jeszcze młodych,
będę miał prócz siły, pewniejszą odwagę,
aby mocniej żądać w kręgach urzędowych
tego, co mi słusznie winno być nadane,
a czego jak dotąd załatwić nie mogłem,
to to co żądałem było odkładane
decyzją formalną i pieszczą z godkiem.
Mimo przeciwności, nie traciłem wiary,
że nadejdzie chwila, co bieg spraw odmieni
i stworzy okazję godną owej miary,
która mą cierpliwość sukcesem obdzieli.
Z takim przekonaniem opuszczałem progi
urzędu co igrać z ludzką cierpliwością,
gdzie analfabetyzm uzbrojony w rogi,
przepędzał potentów z całą gorliwością.
Wiele tego chemstwa tłumaczyłem wojną
oraz niewłaściwą praw interpretacją,
co kazało widzieć urząd krową dojną,
który w beschołowie gubił orientację.
Piekarz był burmistrzem, a zastępcą murarz,
biureczka obsiedli półanalfabeci,
co w sumie tworzyło nieudany gulasz,
jakim chciano karmić starych, młodych, dzieci.
Mówiąc prawdę, wówczas jeszcze nikt nie wiedział,
dokąd nas wieść miały nowe drogowskazy
i nikt nie był pewien, że to na czym siedział,
będzie aktualne też u innej władzy.
Czasy były trudne, w otocze obłądy,
którą wyznawano szczególnie u góry,
a w dołach, wśród ludzi, już nikt się nie żudził,
że nowe porządki rozpędzą te chmury,
jakie ołowianą masą swej gęstości,

szanowały niebc ojczyźniansj doli,
jeszcze bez błyskawic, zgodnie z wolą gości,
lecz bez naszej zgody i wbrew naszej woli.
W mieście jakieś bramy tonące w czerwieni,
przecinały drogi, przejścia i ulice,
upstrzone haskami niepojętych bredni,
zamieniały w getto wybrana dzielnicę.
Za tymi bramami - niby przyjścieło,
stroniący od naszych, zgodnie z rozkazami,
a ponoć dlatego, aby nie za^{fi}lele
mogli poznać prawdy w obcowaniu z nami.
Przykre to, a jednak prawdziwe, niestety,
bo tak traktowano właśnie tych żołnierzy,
którzy wspólnie z nami - mężczyźni, kobiety,
walczyli o wolność, aby oddech świeży,
pozwolił na uścisk tych braterskich dłoni,
co wzniosły wysoko zwycięskie sztandery,
dla których czas hymnem narodowym dzwonił,
dając znak jedności, przyjeźni i wiary.
Tak jednak nie było. Ze murami domów,
zaknięci żołnierze mieli tylko kaca
i mogli pozdrowić w oprawie z neonów
wodza, który wisząc, ich wolności skracał.
A my podziwiając tę formę przyjeźni,
patrzyliśmy na to, jak można poniżyć
i pozbawiać ludzi własnej wyobraźni,
pozwalając tylko szyby w oknach liżać.
Prawda była prosta, rozkazami wsparta -
getto było po to, by nikt nie zaraził
odmiannym myśleniem noc idei czarnej,
który bez pardonu wciągnął za skórę własną.
Kontakty, zbliżenia, to forpoczta wroga,
która wnet rozbroi hardeś postaw własnych,
co może uczynić, że obrona droga
stanie się przegraną własnych pojęć ciasnych.
Zaś to, w świętej wierze kremłowskiej świątyni,
gdzie rządziły twardo bezwzględne dogmaty,
byłoby uznane za łamanie linii,
według której pewnie rósł geniusz satrapy.
A to mogło z czasem porządek odwrócić
i dziejową prawdę obdarzyć z czerwieni,

obłudę na śmietnik historii wyrzucić,
by poczuć się wreszcie w pełni wyzwoleni.
Że tak kiedyś będzie, mogliśmy w to wierzyć,
bo w nas wciąż się rodził znany smak wolności,
tej nie zapomnianej, jaką można mierzyć
miarą suwerennych praw i możliwości.
Lecz teraz godzenie znanych przeciwności,
stanowiło ponoć symbol naszych czasów,
w których dobrowolne zmniejszanie wolności,
usunięcie przyczyny zbędnych ambarasów,
co powodowały historyczne błędy -
niesnaski, nienawiść, okrucieństwo wojen,
które wnet rodziły aneksji zapędy,
w nawale szalonych i krwawych urojeń.
Z każdym dniem wyraźniej mogliśmy to wiedzieć,
że tylko w jedności posiadziemy siłę,
która nas uchroni, choć trudno przewidzieć
przed czym oraz przed kim, w nieznanej godzinie.
Dopiero co wojna dla nas się skończyła,
a już opętani czerwienią niezgody,
byliśmy wtłaczani w bieg, który tworzyła
kremlowska machina dla swojej wygody.
Świat stawał się obcy, daleki, nieznany,
przez wschodnich przyjaciół stale opluwany,
aby to co nasze, w sposób polecany,
było zasadnicze, choć sens był przegrany.

A

Z dniem pierwszego czerwca, już względnie nadziany
świadomym i trzeźwym ładunkiem poznania,
zgodnie do umowy, stanąłem u bramy
miejsca i początku mego pracowania.
Śmiało i odważnie zmierzałem przed siebie,
aby jak najprędzej poznać towarzystwo,
z którym mi przypadnie być w każdej potrzebie,
a także w przyjeźni, chyba nade wszystko.
Czułem dziwną lekkość przemierzania drogi,
gdyż oto nadchodził ten wyczekiwany
moment, w którym pewnie uchwycę za rogi
los, jak toreador, choć jeszcze nieznany.
W kadrach mi wskazano moje miejsce pracy,
a był to szacowny dział zwany technicznym,

gdzie stojąc przy deskach młodzi nieboracy,
oceniał wszystkich spojrzeniem krytycznym,
Mnie także ich bystre spojrzenie spostrzegło,
a na powitanie wyciągnięte dłonie
świadczyły, że pewnie coś tu nam się zbiegło,
coś z ludzkiej pokory w przyjaznym ukłonie.
Kierownikiem działu był inżynier stary -
Karol Szeligowski, repatriant ze Wschodu,
na ostatnim biegu Lwowiak zagorzały
z dziada i pradziada, obywatel grodu.
Ja również przed wojną miałem tą przyjemność,
aby w pewnej mierze czuć się Lwowianinem,
choć czas mi przemienił zaliczoną pewność,
na wileńskie wzloty zakrapiane winem.
Być może to było wsparciem dla przyjaźni,
którą mnie obdarzył już od dnia pierwszego,
ten w podeszłym wieku pan o wyobraźni
budującej wizję kraju ojczystego.
Wykładnia w temacie była pewna, prosta,
szczególnie mnie mocno tym absorbująca,
że żadną obcością jeszcze nie obrosła,
a mimo to godnie przez życie wiodąca.
Czas dwudziestolecia międzywojennego
stanowił tą kanwę, gdzie w proporcjach wieku,
wplataną bieg doznań tego prawdziwego
nurtu znaczącego prawdę o człowieku.
Był dla nas przykładem jedności i zgody,
serdecznym doradcą i nauczycielem,
nie strzępiącym język swej ojczystej mowy,
aby się spodobać prymitywu dziełom.
On wierny był prawdzie i treści jej powielał
w przystępie szczególnej, duchowej zadumy,
a wszystko niepewne światłością wybielał
i trudem swej pracy budował kontury
tego, co rodziko jego pojmowanie
o wielkiej budowlu lechickiego gmachu,
który z przeciwności wyrośnie i stanie
w aureoli tęczy, pod błękitem dachu.

W takiej atmosferze, rozpoczęcie pracy stanowiło dla mnie akt szczególnie miły, pozwalało wierzyć, iż wiemy co znaczy współpraca w jedności na sukces prawdziwy. Przyjaźń nasza była dla innych przykładem, a efekty pracy, jak na owe czasy, świadczyły swą treścią i logicznym składem, że nasz zespół tworzą mocni, choć nie asy. Każdy w swym zakresie spełniał polecenia kierownika, który ojcowskim nadzorem, kreował swą misję twórczego tworzenia, kierując się wiedzą i własnym honorem. Atmosfera pracy była przyjacielska, co nam pozwalało na szczere rozmowy, które poszerzały rozeznanie miejsca oraz upraszczały stosunek służbowy. Dla mnie oczywiście wszystko było nowe, gdyż byłem adeptem pierwszej pracy w kraju, a moje kręślarstwo było przypadkowe, czułem się wśród swoich, jak w niebiańskim rajku. Myślę, że to dobry był dla mnie początek, bo w sposób spokojny oraz przyjacielski, mogłem rozpoznawać prawie każdy kąt, a w sumie ten cały przybytek anielski. Z każdym dniem pewniejszą była ma pozycja, skromna, ale stale wciąż dojrzewająca, bogatsza w poznanie gdzie tkwi opozycja, a gdzie prymitywna gawiedź wspierająca. Już wówczas wiedziałem, że tu prawem było to wszystko, co głowa peperowca śnika, a dobrze jedynie temu się tu żyło, komu krwawa czerwień widzenie zamglona. Spostrzegłem, że sporo zwykłego prostactwa, z pogardą do wiary, grając na obcości, włożyło na stołki by tworzyć matactwa, w uniżonej formie swej prymitywności. Półalfabeci wówczas prym wodzili, grając w swym porywie w zwykłego dupaka, zaś wszystkich mądrzejszych za nos prowadzili, po pokrętnych schodach, gdzie dobrana paka

wymyślała stale zawiłe zadania,
które wieść nas miały w niedaleką przyszłość,
a ta ponoć miała być pewna, świetlana,
stanowiąca wiarę w osiąganą wyższość.
Im większą miernota, tym większe dążenia,
a niektórym nawet wnet zabrakło miary,
bo ponoć apetyt rośnie w takt jedzenia,
który wyrównują siedzenia - gitary.
Filozofią życia było pochodzenie,
a wśród nich najlepszym to proletariackie -
po prostu wszystkiego na opak widzenie
oraz prawo jazdy, chociażby wariackie.
Kto potrafił w takim trybie działać szybko,
oraz konsekwentnie kreślić swą specjalność,
mógł spokojnie liczyć, że osiągnie wszystko,
czyniąc to zbyt często, nawet sobie na złość.
Takim to przykładem, mylnego działania,
był awans piekarza na funkcję burmistrza,
bo kiedy nieborak od pracy się skłaniał,
na jaw wyszły wielce niekorzystne ówinstwa.
Wówczas się załamał, ów przodownik pracy,
i zmienił swe biuro na drewnianą szafę,
w której się powiesił wiedząc, że już traci
swój cwaniaczy tupet - jazdę wciąż na gapę.
Rachunek za rozmach i żapczywe ręce -
co umiały zgarniać jedynie ku sobie,
spowodował nagle, że w strasznej udręce
znalazła się cała rodzina - przy grobie.
Pragnąc jednak zmienić stan przykrewy jakości
i zachować w części pogodę swych twarzy,
musiała utracić fałszywe godności,
rozstając się z miastem przegranych piekarzy.
Także na alejce w pobliżu kościoła,
dwaj adepci sztuki milicyjnej troski,
w przystępie humoru, od słowa do słowa,
znieważyli spokój ludzki oraz boski.
Przemierzając teren w swych wilczych podskokach,
strzelali ku sobie radością wolności.
W końcowym efekcie, na cmentarnych stokach,
złożyli w ofierze swoje młode kości.

Były to zjawiska nowej ery życia,
jaką od początku chrzczono na świetlaną
i czyniono wiele, by wyrwać z ukrycia
to, co wnet określi ojczyzną kochaną.
Narazie obłudnie mieszano co stare
z tym, co nadchodziło jako pewne, nowe,
a co niosło z sobą tą najlepszą wiarę,
w pomysłność tworzenia i życia odnowę.
Trzeba również wspomnieć sekretarza partii,
oszukiwacza zwanej, jako robotnicza,
który na przyjęciach, przy byle okazji
strzelał, bo to była siła kierownicza.
Dla jednych to była okazja do śmiechu,
dla drugich obawa, że spity przywódca,
może w złym humorze i diabła pośpiechu,
stracić dobre imię czerwonego kupca.
A tego staraniem i przytomną troską,
winno być zwiększenie partyjnych szeregów,
także pomniejszanie wiary w pomoc boską
i stałe włączanie coraz szybszych biegów.
Jakiś czas, ta jazda mu się udawała,
aż nadszedł tragiczny oraz ostateczny
dzień, w którym odwaga do zera zmalała,
a wszelki ratunek stał się nieskuteczny.
Wnet się okazało, że tym sekretarzem
był człowiek niepewny, który w czasie wojny
miał być policjantem, a przy tym rakerzem,
chwytającym Żydów do niemieckiej bojni.
Widocznie w tej wersji żydowskiej obmowy,
musiało być sporo zasadniczej racji,
bo wnet się pojawił, lecz sekretarz nowy,
a pierwszego wzięto gdzieś do konfrontacji.
Treść późniejszej wersji cichaczem głosiła,
że na śmierć skazano krwawego cwaniaka,
ale nie stracono, bo śmierć się zgodziła,
zmienić ściervo piekła, na usługi - kata.
Jak naprawdę było, nikt tego nie wiedział,
bo ponoć to były wyższe racje stanu.
Wiadomo, że przepadł i nikt go nie widział,
w imię interesów czerwonego klanu.

Były to tematy dla nas atrakcyjne,
które mimo woli pozwalały nądzić
tych, co bez ich woli chcieli okazynie
przechwytywać stołki i w bezprawiu rządzić.
Oczywiście pierwszych podmieniali drudzy,
tym samym sposobem, bez pytania ludu,
czy mu się podoba system co wydłuży,
marz do zwycięskiego jakościowo cudu.
Tymczasem w królestwie wirujących wrzecion,
dzień za dniem poszerzał zakres wytwarzanie,
rosła wciąż wydajność, dorównując chęciom
przewajania wiedzy - jej opanowania,
Rodziły się nowych prząśniczek zastępy,
ich twarze uśmiechem miło malowane,
podkreślał uroczo każdy dzień poczęty,
przenikając okna słońcem pozłocane.
Przywracano życiu wciąż inne wydziały,
coraz bardziej liczne stała się załoga,
a z całego kraju sporo ludzi śmiałych
wypełniało luki, jako treść fachowa.
Tak było na dole, gdzie wspólnota celu
wymagała taktu i zdrowej przyjaźni,
w której prym wodziło gospodarnych wielu,
co z załogą byli zawsze solidarni.
Tymczasem na górze, raczej przypadkowość
rządziła doborem kierowniczej kadry,
która wystrojona, jak cyrkowa nowość,
żyła w innym świecie, dalekim od prawdy.
Aby się wykazać działaniem społecznym,
utworzono zgodnie załodze stołóvkę,
gdzie parter stanowił miarą dostateczny
lokal jadłodajni za własną gotówkę.
Ale nad parterem, obok kierownika,
był pokój tylko dla ważniejszych gości,
których częstowano pieczeniami z dzika,
albo schaboszczakiem najlepszej jakości.
Była też wędlina, kiełbasa gorąca, żł
albo kanapeczki do czystej wódeczki,
oraz czarna kawa prawdziwa, pachnąca,
dawana przez młode, seksowne dziewczeczki.

Trochę prościej było w radzie zakładowej,
gdzie pod długim stołem przewodniczącego,
w miednicy leżały krawki jałowcowej
kiełbasy, tuż obok płynu wódczanego,
w ilościach mogących już samym widokiem,
spowodować w głowie pomieszanie wątku,
a potem po próbie z przewidzianym szokiem,
można było trawić wszystko od początku.
Nikogo nie dziwił ten sprawny rabunek,
bo tak budowaną była polityka -
dla sprawności mózgu stosowano trunek,
a na moc przetrwania - często pół tucznika.
Jedni żarli, pili, a drudzy harując,
tworzyli początki możliwości życia,
aby swe rodziny w zdrowiu zachowując,
nie czynić niczego w formie nadużycia.
I tak się spełniały z propagandy hasła
mówiące, że wszystkim przysługują prawa,
po równo do mięsa, mleka oraz masła,
lecz to była tylko taka mowa - trawa.
Fakty były jednak inaczej widziane,
a równość bywała gdzie nic nie dawano,
bo to co dzielono było nie sprawdzane
i zawsze wśród ważnych towar rozdawano.
Dla maluczkich nigdy nie było za wiele,
a raczej przydziałów zwykle brakowało,
tylko raj na ziemi dostrzegli złodzieje
i im się najlepiej przyszłość budowało.
A ja dojrzywałem wśród tego chaosu,
dzieląc spostrzeżenia według ich wartości,
aby to, co niecne nie wprzęgać do losu
swojej wciąż niepewnej, najbliższej przyszłości.
Jedynie co śmielszym spojrzeniem kazało
spoglądać na fakty stwierdzone do koła
było to, co dla mnie swe znaczenie miało,
a ze strony innych były puste słowa.
Jak się okazało, byłem w tej mnogości
tym, co wykształcenie potwierdził świadectwem
swojej wymęczonej, jednak dojrzałości,
a inni to kryli fałszywym konceptem.
Wielu było takich, co bez zajknięcia

twierdzili, że mają wykształcenie średnie,
nie dając żadnego na to potwierdzenia,
a wszyscy wiedzieli, że to zwykłe brednie.
Oni mieli jeden sposób tłumaczenia -
świadcstwa zginęły w rozgardiaszu wojny,
a to wystarczyło na fakt zrozumienia
i łgarz w tym temacie był całkiem spokojny.
Znalazł się też jeden z tych bardziej odważnych,
który nie chciał w życiu pozostawać zerem.
On chciał jak najszybciej należeć do ważnych
i bezczelnie wyznał, że jest inżynierem.
To mu pozwoliło objąć stanowisko
szefa inwestycji, lecz tylko do czasu,
gdyż się pojawili świadkowie, co wszystko
wypowiedli uczciwie z zakłamania lasu.
Prawda była taka, że lewy inżynier,
był przed wojną tylko budowlanym majstrem,
a po wojnie zechciał stać się oficerem,
tworząc wykształcenie pospolitym łgarstwem.
Końcowym efektem takiego działania,
była tajemnicza w siną dal wycieczka
z tytułem przestępcy, szubrawcy i drania -
taka pospolita przed karą ucieczka.
Mimo tych dziwacznych wielu sytuacji
oraz pomylnych ludzkich postępowań,
powoli tworzone system profanacji,
nie przylegający do tych upodobań,
które z przedwojennych wyrosły tradycji,
otulone w barwy lechickiego stanu,
nie umiały godzić na przykład stolicy,
z samozwańczym rządem z czerwonego klanu.
Co światlejsze głowy stały na uboczu,
nie pojmując tego obcego prawidła,
na które wciągano jakże ciasne w kroczu,
odzienie tworzone na miarę straszdyła.
Sporo jeszcze było oporu i wiary,
że czas wszystko zmieni i sensem obdarzy,
przywróci porządek wszystkim zrozumiały,
także blask wolności na ojczyzny twarzy.
Były to wierzenia, marzenia i troski,
powstałe z tęsknoty do suwerenności,

które przedkładane przed majestat boski,
z prośbą wybawienia od gwałtu obcości,
bo ta jak zaraza - dżuma lub cholera,
czyniąc spustoszenie w umysłach i sercach,
budowała z fałszu obraz bohatera,
którym rozporządzał własny innowierca.
W tym chaosie pojęć, postaw i zachowań,
przyszło mi się kłaniać tym, co tu rządzą,
a którzy odchodząc od godnych przekonań,
najpewniej kłamstwami swój urząd mościli.
Niestety, to było zwykłą koniecznością,
aby się utrzymać na powierzchni życia,
i choć nie darzyłem ich wielką miłością,
nie mogłem pomniejszać szans swojego bycia,
bo jak już wiedziałem, w tym miasteczku były
jedynie dwa godne uwagi zakłady,
dzięki którym wszystkie rodziny tu żyły
pewne swego jutra, bez szukania zwady.
Taki był realizm wciąż mnożonych faktów,
które nam spojrzenia wykrzywiły w lewo,
abyśmy bez uwag sprawę nowych aktów
pojmowali sprawnie i z postawą szczerą.
I tak być musiało, bo nas wystrychnięto
po prostu na dudka, jako naród cępy,
który jednak wcześniej w działania wprzęgnięto,
co dobrze służyły, lecz dla cudzej chwały.
Teraz pozbawieni od możnych pomocy,
zniewoleni troską towarzyszy Wschodu,
szargaliśmy dumę po wertepach nocy,
aby już po wojnie, nie pozdychać z głodu.
Zdając sobie sprawę z owych okropności,
co nas zniewalając wnet poczęły dzielić,
musieliśmy żyjąc być w ciągłej sprawności
oraz mocni wiarą, w lepszą przyszłość wierzyć.
Takim było credo tych, co trwać umieli,
przetwarzając kruchy kryształ swej nadziei,
aby umieć w zgodzie żyć z tymi co chcieli
budować, choć wolność inaczej widzieli.
Ja to wnet odczułem też na własnej skórze,
bo kiedy upłynął dla mnie okres próbny,
wnet mi ogłoszono w dyrektora biurze,

że mnie powołano w sposób trochę szumny,
na jeden ze stołków kierowniczej władzy,
z zadaniem poprawy dziedziny socjalnej,
aby małosprytni oraz prawie nadzy,
mogli też korzystać z pomocy realnej.
W ten sposób się stałem panem kierownikiem
działu socjalnego - samodzielny szefem,
co w sposób służbowy, jakimś okólnikiem
ogłoszono sprawnie, jak donosnym echem.
Aby się wykazać, że dam sobie radę,
sporządziłem projekt organizacyjny
i go przedłożyłem na pierwszą naradę
z dyrekcją zakładu, jako temat pilny.
A kiedy uznano, że jest on właściwy,
otrzymałem wówczas pełne przyzwolenie,
aby w sposób szybki oraz sprawiedliwy,
rozpocząć socjalnych potrzeb ożywienie.
Ruszyło przedszkole na nowych zasadach,
a głównie szło o to, aby zatrudnione
w nim służby socjalne, przy byle układach
nie kradły, co dzieciom było przeznaczone.
Tak też polecono w zakładowym żłobku,
aby niemowlakom nie brakło opieki,
gdy ich mamy trwały w służbowym porządku
produkcując nici, co szły w świat daleki.
Potem przyszła kolej, aby dom kultury
stał się domem godnym swojego nazwania,
aby jego szare jak dotąd kontury,
zadrżały radośnie chęcią umiłania
życia tym, co w trudach prawie dnia każdego,
tworzyli fizycznie produkcyjne dobra,
celem odbudowy kraju ojezystego,
aby jego przyszłość mogła znów być chrobra.
Pragnąc uruchomić natychmiast działalność,
pilnie wnioskowałem przyjąć kierownika,
co wnet uczyniono, potwierdzając ważność
tej nowej placówki oraz jej sternika.
Kierownikiem zostałem, z politycznych względów,
były podporucznik, członek PPR-u,
którego zwolniono z RKU urzędu,
gdyż nie odpowiadał gronu oficerów.

Na imię miał Roman, nazwisko muzyczne,
powszechnie słyszane, bo takie kościelne,
co mi pozwoliło, prawdziwie komiczne
zmienić na Kościelniak, jako bardziej celne.
Wówczas, mówiąc szczerze, ja nie przypuszczałem,
że ten człowiek będzie złym cieniem na drodze
właśnie mego życia, które budowałem
nie wiedząc, że będzie doświadczane srodze.
Ale to historia późniejszego czasu,
a ten czas bieżący złej wróżby nie wnosił,
bo ja unikałem zbędnych ambarasów
i uniałem spełniać to, o co ktoś prosił.
Zaabsorbowany gorączką tworzenia,
pozwoliłem sobie na spełnienie marzeń,
które wymagały odemnie sprawdzenia,
na ile mi starczy sił i wyobrażeń.
Bo ja, mówiąc prosto, nie wadząc o łgarstwo,
byłem nawiedzony sympatiami muzy,
która wciąż mieszając rym, śpiew i malarstwo,
tym ulotnym czarem zwodziła głos duszy.
A teraz, jak wiosna wróciła nadzieja,
że może to jeszcze stanie się możliwe,
kiedy czas przybierze pozę dobrodzieja
i pozwoli spełnić marzenia płochliwe.
To mi się udało. Za zgodą dyrekcji
wnet uruchomiłem miesięcznik załogi,
który na początku w szacie bez protekcji,
stawał się w swej treści coraz mniej ubogi.
I tak pomalenku czynikiem się waży,
jako twórca czegoś o czym nikt nie marzył.
Załoga w gazecie niemal problem każdy
mogła krytykować, choć on wiele znaczył.
A dyrekcja, rada oraz wszystkie partie,
korzystały z pisma w formie informacji,
gdyż tak to bywało, że wszyscy na starcie,
w sile uzasadnień chcieli mieć swe racje.
Miesięcznik nazwałem jak najprościej "Odra",
a więc tak jak rzeka, nad którą leżała
Nowa Sól czyściutka i stale pogodna
mimo, że poprzednio Nowasól się zwała.
Każdy dalszy miesiąc gazetę wzbogacał

o nowe tematy, co rosły jak grzyby
po soczystym deszczu i problemy skracał,
szczególnie gdy komuś nawalały tryby.
A do mnie przestała stale pukać bieda,
bo płaca powoli kryła już wydatki
i to mnie cieszyło mimo, że potrzeba
wciąż rodzika nowej niemocy przypadki.
Liczyłem, że z czasem polepszy się płaca
i stać mnie już będzie na normalne życie,
które bardziej żywą radość serc przywraca,
aby trochę życia zmienić na użycie.
Mając pewną możliwość do luźnego biegu,
od czasu do czasu korszystałem z tego,
co mi pozwalało szednywać kolegów,
od których pragnąłem poznać coś nowego,
usłyszeć czym żyje wciąż rosnące miasto,
jakością ciekawej, zbiorowej mozaiki,
którą budowały powiązane ciasno
zdarzenia, pragnienia, kolorowe bajki.
Lecz bez tego życie byłoby jałowe,
zamknięte w skorupie niby martwe jajo,
które utraciło ciągłości rodowe,
choć w innych warunkach pewnie by je miało.
Zresztą, wchodząc w życie, nie zawsze tak było,
jakby się nam chciało przeżywać, doznawać,
ani tak, jak nieraz coś nam się przysniło,
by nam się zdawało, że tak można działać.
Korzystając z luzu i prawa młodości,
pragnąłem nadrobić utracone lata,
które mi zabrano przemocą podłości,
pozbawiając doznań uroczego świata.
Przyznaję, że mogło to być samolubne,
bo tak postępując czyniłem przykrości
tym, którzy umieli cicho i potulnie
godzić owe straty na rzecz swej miłości.
~~xxxxxxx~~
Poznałem ich Andrzeja Hordyńskiego, który
był starszy ode mnie, lecz tak bezpośredni,
szczerzy i uczciwy, że wnet pękły mury,
wówczas stosowane przed atakiem bredni.

Andrzej był kolegą, szczerym przyjacielem,
pełen radosnego zapału i siły,
jednak w swym biurze, gdzie przebywał wiele,
jak i w towarzystwie, będąc zawsze miłym.
Te same poglądy oraz przekonania
stanowiły mocną kłamerę tej przyjaźni,
która w owym czasie uczuła zubożenie,
była wzbogacaniem naszych wyobraźni.
Sporo wspólnej pracy mieliśmy w tworzeniu
oreża dla sprawy uzdrowienia ducha,
jaki coraz bardziej nurzony w cierpieniu
sądził, że już prawdą prawie nikt nie słucha.
A naszym pragnieniem było odrodzenie
w zatroskanych głowach wiary i nadziei,
które będą wzmacniać nasze uwierzenie
w przyszłość, co radością nas wszystkich obdarzieli.
I chociaż to były nabożne życzenia,
wiedzieliśmy przecież, że do ich spełnienia
trzeba będzie cudu, aby te marzenia
mogły się przemienić w realne zdarzenia.
Świadomą przemocą ze strony sąsiada
oraz naiwności wielu z naszej strony,
musieliśmy pojąć czego nie wypada,
a co jest konieczne dla naszej obrony.
I tak lawirując w drukowanym słowie,
aby nam nie spadło nagłe coś na głowę,
byliśmy zmuszeni na znaczącym "żłobie"
zawieszać nieprawdę, lub prawdy połowę.
W ten sposób wilk syty był i owca cała,
a gazeta mogła stać się przyjaciółką,
która pełna troski, chociaż wzrostem mała,
mogła być dla wielu zwykłej prawdy szkółką.
Narazie nie było wrogiego działania
przez tych, którym prawda wychodziła bokiem,
bo wśród nich niejedną zbyt często się ślaniał,
nie mogąc się zrównać z naszym twardym krokiem.
Jak dotąd uczciwość miała jeszcze miejsce
w naszej zakładowej, swartej społeczności,
a to upewniało każde czyste serce,
że się rozumiemy, brnąc nawet w sprzeczności.

A sprzeczności nigdy nam nie brakowało,
o czym jakże często głądziła teoria,
lecz mimo to zawsze nam się udawało
zwycięzać najgorsze, co niosła historia.
W moim życiorysie stale coś nowego
poszerzało jego społeczne znaczenie,
czyniąc z mej skromności wzór sprawiedliwego,
któremu ufano, lansując twierdzenie,
że skoro mą wartość uznała załoga,
to również tak zwane społeczne czynniki
stwierdziły, że teraz otwarta jest droga
do tworzenia zrębów bliższej polityki.
Na nic się nie zdały moje tłumaczenia,
że dla mnie te sprawy to czysta makabra,
bo to co ja czynię, to efekt marzenia,
wewnętrznej potrzeby, gdzie inność nie zagra.
Jakiś czas mi dano bym mógł to rozważyć
i podjąć decyzję na ich propozycję,
bo jakoć tworzenia nie można wymarzyć,
lecz w realny sposób zadbać o kondycję,
aby planowane założenia, próby,
mogły się rozwijać w właściwym kierunku,
unikając przy tym osobistej zguby,
z pozbawieniem szansy wszelkiego ratunku.
A to mi wyraźnie mówiło bez zwady,
że są to już pierwsze znaki ostrzeżenia,
które jeszcze w słowach przyjacielskiej rady,
ale już grożące aktem potępienia.
To było okropne. Ja to rozumiałem,
że moja odmowa zniweczy to wszystko,
co zdołałem stworzyć. Lecz wciąż nie widziałem
żadnego sposobu, który byłby blisko
meo utrapienia i smutnego losu,
co by mi pozwolił wyjść z opresji pewnie,
bez kalania uczuć oraz tego głosu,
który świadczył o mnie, pozostając we mnie.
Nagonka na moją wciąż skromną osobę,
stawiała się coraz podlejsza, nachalna,
jak gdyby za pracę chciano mi w nagrodę
złośliwie powiedzieć, że jest niemoralna.

A kiedy, jak na złość, podmieniono władzę,
dając nam nowego pana dyrektora,
tym razem magistra, mając na uwadze
bystrość prawniczego specja i mentora,
zaczęły się nowe porządki, układy.
Potem, cały szereg nieznanym twarzą,
czynił ciche gwałty, pozorując zwady,
aż nowy stan rzeczy z tego się wywarzył.
Nowy władca zwał się po prostu Pallasek,
co przeinaczano na różne sposoby,
mówiąc nieraz drwiąco, że to zwykły pasek,
do trzymania spodni niepewnej osoby.
Inni wydziwiali, że to cwany ptaszek,
co chcąc się nasycić, przejął ambarasek,
a skoro opuścił gdzieś zielony laszek,
przybrał sobie nazwę gorącą - pal laszek.
Żartów było sporo oraz ciekawości,
czego tu dokona nowo dana miotła,
co to podejmując dzieło swych możliwości,
w sposób dosyć twardy wszelki opór gniotła.
Do łask dojść ruszyli szubrawcy, cwaniacy,
a z nimi już znany Romeczek niecnota,
w którym się objawił talencik pijaczy -
niepohamowana do wody tęsknota.
Dom kultury nadal zionął martwą pustką,
z wyjątkami czasu pijackiej rozpusty,
którą dyrygował wymachując chustką
kierownik, chcąc zetrzeć smak kwaśnej kapusty.
Zarządzono również zaniechanie druku
gazety, uznając ją za niebezpieczne
narzędzie dywersji i zbędnego huku,
uniknięcie czego stało się konieczne.
W ten sposób podcięto skrzydełka do lotu
tym, co uwierzyli w zręby demokracji
oraz w swej nadziei czekali powrotu
prawa, które uzna słuszność ludzkich racji.
Niestety, dzień każdy, jako dzień wazzechwałdy,
przenosił makabrę decyzji na głowy
tych, co przy maszynach stojąc na pół nadzy,
niechcący musieli udawać niemowy.

W tym czasie nadzwyczaj ciekawym zdarzeniem było to, co szczerze uznałem za szczęście, które mnie wzmocniło pełnym uwierzeniem w nową radość życia. Nim było poczucie. Na świat przyszła córka, nasza pierworodna - Janina, Elżbieta, prześliczna, urocza, z anielskim wyrazem na twarzy, pogodna, kwiat szczerzej miłości o niebieskich oczach. Równocześnie w owym czasie niespodzianie, gdy swą szczerą radość głosiłem w zakładzie, ktoś mi wyznał pewnie, że ponoć dwie panie rezygnując z pracy, pragną w prawnym żądzie odstąpić mieszkanie wcześniej im przyznane, bo muszą wyjechać. To mi wystarczyło. Uczyniłem wszystko, co było żądane, by moje dążenie wreszcie się spełniło. Po krótkiej rozmowie, w której mi podano warunki, na jakich mogłem mieć mieszkanie, wyraziłem zgodę, bo mi się zdawało, że czas już zakończyć niepewne czekanie. W ten sposób się stało to, co najpilniejsze było w naszym życiu jakże odmienionym, które wnet się stało o wiele weselsze, bo we własnym gnieździe, szczególnie cenionym. Trzy pokoje z kuchnią i bieżąca woda, pełna elektryczność, kuchenka gazowa, stół, krzesła i łóżka, przestrzeń i swoboda z trzema wersalkami - luksus i wygoda. Skala szczęścia była bestroska, dziecinnie, stanowiąca dalsze snucie się marzenia, które rozkwitało i jak bańki przedziwna, wkraczało znów wiosną radością spełnienia. A była to druga wiosna od powrotu, słoneczna, dojrzała i jakże cudowna, bogata w doznania już rocznego lotu, chociaż nie we wszystkim tak bardzo pogodna. Tym razem po chamsku, wrogo i nachalnie, przeciwne mi siły niepewność tworzyły w stosunku do jutra i wprost namacalnie, mój spokój świadomie, złowieszczą burzyły.

Znalazłem się nagle w złowieszczym potrzasku,
nie widząc sposobu wyrwania się z niego
i to właśnie teraz, gdy w świtania blasku
spozstrzegałem życie standartu lepszego.
Warunek był jeden - wstąpienie do partii,
która wówczas była wśród wielu jedyną,
pełną pożądaną szczególnej sympatii,
aby móc się speknić przodującą siłą.
Lecz ja jej nie znałem i nie rozumiałem,
ona dla mnie była po prostu wciąż obca.
Nasmyśl przywozila to, co ja widziałem -
okrutną tragedię i gehennę ojca.
Ona przywieziona z kraju zła wszelkiego,
stanowiła symbol zdrady, uległości,
wobec ludobójców z kraju radzieckiego,
co wymordowali rycerzy polskości.
Ona była żywą formą przebaczenia
za Katyń, gułagi, zesłania i mordy
dla tych, co krwią polską dławili sumienia -
wciąż nieprzejednane bandytyzmu hordy.
Ona w swym nazwaniu miała wyraz Polska,
choć ją nie Polacy do życia przywiedli
i na obcy sposób chciała stać się swojska
mimo, że w większości obcy ją obsiedli.
To były powody, które mi kazaki,
poszukać rozwiązań godniejszych przyjęcia,
a które z opresji mnie by ratowały
nie wtrącając nagle, bez reszty w nieszczęścia.
Chcą widzieć mnie w partii, więc będą to mieli -
pomyślałem w duchu z uśmiechem pewności,
lecz nie tak jak oni tego właśnie chcieli,
ale tak jak ja to ucaynię najprościej.
A kiedy się stało to na co czekali,
pokaźne ich grono nagle zbaraniało,
nie mogąc zrozumieć, jak stado szakali,
kiedy żerowisko nagle się rozwiało.
Zaś ja z dwojga złego wybrałem to mniejsze,
jeszcze nie strefione, snane ze swych racji
w historycznej biedzie. Po prostu pewniejsze
i bardziej logiczne w sprawie demokracji.
Zamiast PePeEru wybrałem PPS,

choć ja ją także mało rozumiałem,
lecz mnie nie gonika, jak czynił wściekły pies,
przed którym poprzednio ja wciąż uciekałem.
Teraz nastał pokój, przeszło dokuczanie,
a ja nie musiałem chować się po kątach,
aby cześć zachować, kiedy wilcze dranie
wciąż się odgrywali, lecz na innych grządkach.
W ten sposób dorosłem do tej sytuacji,
w której się istnieje, choć wciąż na poboczu,
a to co czyniłem, mimo wszelkich racji,
rządzającym wisiało bez skutku gdzieś w kroczu.
To mi odbierało wszelką chęć do pracy
oraz budowało złośliwie bariery,
za którymi głośni, czerwoni kozacy,
zdobywali szczeble pewniejszej kariery.
A ja już wiedziałem, że u tego pana,
niczego lepszego pewnie nie zdobędę,
lecz aby nie zostać służusem barana,
myślałem jak zmienić tę trzeszczącą grzędę.
Na moją niekorzyść wpisywano także,
pijackie zagrania Romcia Kościelniaka,
który zaczął głośić, tonąc w wody wiadrze,
że jest trochę z Żyda i trochę z Polaka.
Potem, poszerzając swój życiorys ciasny,
bezczelnie dopisał, że był w Oświęcimiu
więziony w obozie, aby obraz własny
przystroić sloganem o wielkim cierpieniu.
Zaś to, że na sobie nie miał tatuażu,
głoszącego numer z listy esesmanów
twierdził, że im pierwszym do któregoś razu,
takich oznakowań po prostu nie dano.
To jednak się stało logiczną przyczyną,
że go wyrzucono z kacetowców związku,
który w owym czasie był mocą jedyną,
uznającą fakty w ramach obowiązku.
Romaś zawiedziony w owych poczynaniach,
kołk swoje żale alkoholem w usta
i wieszał co podłe na tych wszystkich draniach,
którzy w nim dostrzegali zwykłego oszusta.

Mówiąc szczerze, chciałem pozbyć się niecnoty,
aby móc spokojnie patrzeć ludziom w oczy
oraz lekceważyć te sprośne miernoty,
które Romuś zdołał sobą zauroczyć.
Wyglądało na to, że to się skumali
ci, co swoją mądrość po knajpach głosili
i jej doskonałość wódą utrwalali,
aby w tłumie gapiów się nie pogubili.
W tym czasie podjąłem jedyną i słuszną
decyzję służbową o zwolnieniu trutnia,
lecz to się nie stało, bo los dał mi dłuższą,
całkiem przypadkową rozmowę dla jutra.
Była to rozmowa mi oferująca
zmianę miejsca pracy, na hojniejsze raczej,
bo po stronie płacy tak absorbująca,
że nie mogłem wówczas postąpić inaczej.
Ja tą propozycję odczułem uroczo,
bo moim rozmówcą był dyrektor główny
firmy budowlanej, - więc rzekłem ochoczo,
że wyrażam zgodę i z niej jestem dumny.
Decyzja zapadła. W przeciągu miesiąca,
miałem doprowadzić resztę spraw do końca,
i tak się skończyła przygoda, dająca
sens wierze w ten nowy dla życia blask słońca.
Blask ten się objawił wcześniej i publicznie,
gdyż na powiatowym zjeździe PPS-u,
przy udziale bratniej, jeszcze anemicznej,
zwanej PPR-em i znanej z frazesów.
A był to tak zwany - przedzjednoczeniowy
zjazd socjalistyczny obu tych zgrupowań,
które ponoć w sposób szczerze wytęskniony,
pragnęły jedności dla swych nowych knowań.
A mnie na tym zjeździe, jak i wielu innym,
dało się usłyszeć w gadaniu pyskaczy,
że ruszając zgodnie ku działaniom dziwnym,
należy się pozbyć myślących inaczej.
Odrązu pojałem, owej gadki racje,
mając na uwadze zabrane przy wejściu,
wszystkim przychodzącym, ich legitymacje,
których już niektórym nie dano przy wyjściu.
Pojałem to również, kiedy długopisem

kreśliłem swój podpis w liście obecności,
że jestem jak wielu, farbowanym lisem,
czym chciało pomniejszyć wyraz mej godności.
Lecz dla mnie to było takie puste, głupie,
zagrywane szumnie pod niemą publiczność,
czym dyrygowała jakaś maska trupia,
na scenie zmienionej w czerwoną kapliczkę.
Nie miałem pretensji za skreślenie z listy,
bo to był po prostu chwyt poniżej pasa,
aby się wyzwolić, w sposób oczywisty,
od inteligencji na korzyść pariasa.
A ja należałem raczej dla spokoju,
aby mi ci drudzy nie niszczyli życia,
które podgryzane w pracowitym znoju,
nie miało warunków, ani sił przebicia.
Dlatego z dostojnym spokojem na twarzy
opuściłem salę, jako wypędzony,
który mówiąc szczerze, o tym stale marzył
i przez to się wreszcie poczuł wyzwolonym.
Zaś to przyspieszyło decyzję odejścia,
z królestwa przedzących, uroczych dziewczeczek,
aby od początku szukać swego szczęścia
wśród cegieł, lepiku, papy, desek, beczek,
cementu i wapna, żwiru oraz piasku,
stali zbrojeniowej, gotowej stolarki,
w krzyku nawoływań i twórczego trzasku,
murarzy, stolarzy, speców od ślusarki,
dekarzy, malarzy, techników, pisarzy.
Nowe środowisko, nowe ludzkie pozy,
inny zakres pracy, skupienie na twarzy
i biura oddziału, szare w cieniu brzozy.
Tym razem przypadło mi być kierownikiem,
działu związanego z makabrą tworzenia
w szczególnym okresie, który bardziej krzykiem,
niż działaniem faktów, rwał zaopatrzenie.
A ja, choć nowicjusz, w tym zawodzie gwałtu,
już od dnia pierwszego, bez właściwych biegów,
odważnie ruszyłem do nowego startu,
czyniąc sporo trafnych i twórczych zabiegów.
Do pomocy miałem dwóch starszawych panów.

Jeden z nich - Kalińczuk, wiekiem dostojniejszy,
w swym życiu zaliczył Sioło ruskich carów,
drugi - były żołnierz, był trochę bieglejszy.
Obaj serdecznymi byli kamratami,
sumiennymi w pracy jej wykonawcami,
a nieraz po pracy, dzwoniąc kufelkami,
popijając piwo, żyli wspomnieniami.
I dobrze nam było. Przyjaźń nas łączyła.
Praca była trudna wśród krazykliwej masy,
przyjaźń nasza jednak wciąż nam tłumaczyła,
jednomyślność wiary, w lepsze dla nas czasy.
Coraz pewniej brnąłem w arkana bez draki,
które wówczas były wyjątkowo trudne,
bo to jeszcze spore powojenne braki
tworzyły, że chęci były często głudne.
To nie wystarczało aby tworzyć cuda,
bez których normalność wciąż była daleka,
a przelicznych potrzeb lista bardzo długa,
na którą cierpliwie cały naród czekał.
Był to dla mnie okres wyjątkowej szkoły,
która pozwalała brać życie za bary
i patrzeć, jak ludzkie trudy i mozóły
pozwalają tworzyć cud prawdziwej wiary.
Kadra przedsiębiorstwa była wyjątkowa,
zgodna, sympatyczna, prawie przedwojenna.
Wszyscy bezpartyjni, oprócz dyrektora,
a co najważniejsze, na długo niezmienna.
To nam pozwalało dobrze się rozumieć,
pracować w logicznie dogranych układach,
oras to co trudne poznawać i umieć,
mając pewne wsparcie w sprawdzonych już radach.
Praca była sprawna, tyczliwość rozsądna,
koleżeńskość także wspierała nas hojnie,
atmosfera swojska, otwartość pogodna,
pozwalają gasić wspomnienia o wojnie.
Dyrektor, jak wszyscy wówczas dyrektorzy,
pragnął się wykazać w pracy sukcesami
i tak jak potrafił, z wszystkimi gaworzył,
a najwięcej psioczył w rozmowie z majstrami.

Skuteczność tych rozmów była różnorodna,
rodzona z pustego wówczas założenia,
że od pustoszenia jakiegoś owaniaka,
nie się nie urodzi prócz słów złorzeczenia.
Nowa Sól nie była wojną naznaczona,
a więc budowlanych potrzeb było mało,
stad wszelka robota gdziekolwiek chwycona
była czynnikiem szczególnym, co nas radowało.
Pojmując, że tylko bieżące usługi
mogą nam pozwolić na prawo istnienia,
przyjmowano wszystko, aby nie wpaść w długi
i korusyści stwierdzać w aktach rozliczenia.
To balansowanie trwało lat kilka,
dając zatrudnienie fachowcom tej branży,
którzy dobrą pracą odganiaли wilka,
co to nieraz straszyl śmiałych i odważnych.

Mnie się wydawało, że oto nastały
dni świadczące o tym, co nas pojednało
najprostszym sposobem, stwarzając świat mały
przyjaźni, tworzenia, a przecież tak śmiało,
aby tym przykładem wskazać innym drogę,
jak nią pewnie zmierzać, mijając wasali,
którzy podskakując wciąż z nogi na nogę
rzekomo szli razem, chociaż nas zdradzali.
Całe życie miasta rządzone centralnie,
stanowiło często w swoistym obrazie
wszystko to, co władza wciskała nachalnie,
a ludzie stwierdzali, że to równe zdradzie.
Dlatego rzekomy marsz stale do przodu,
był fikcją na co dzień i celowym kłamstwem,
gdyż nikt się nie wyzbył po prostu zawodu
iż to, co tworzone, było zwykłym chamstwem.
Nawet taka akcja, jak ta "Trzy razy tak",
była oszukana przez sługi przewrotu,
a szło stale o to, aby bez większych drek,
nie musieć ulegać przed głośną chochotą.
A przecież wiadomo było wówczas wszystkim,
że masa to siła, co chciała być wolną,
zaś jej prowodyrzy, w obcowaniu bliskim,
byli sgrają trutni, wielce nieudolną.

Były też wybory rzekomo swobodne
i demokratyczne. Lecz to była farsa,
pospolite chamstwo podłe i niegodne,
spod znaku Lenina, Stalina i Marksa.
Wygrali oszuści, szubrawcy i gnojki,
donosząc wotami potrzebne im głosy,
aby w podliczeniu twórcy tej machlojki,
mogli dalej wodzić nasz naród za nosy.
Teraz już nikt nie mógł narzekać, że chamstwo
ujęło w swe łapy ster państwowej arki,
bo to było faktem, kiedy własne draństwo,
spijało szampany najprzedniejszej marki.
Tak w sposób formalny, już jako wasale,
pętailiśmy losy ciągłym zakłamaniem,
aby nim przechylić obciążone szale
w stronę gwałcicieli, zgodnie z ich żądaniem.
I tak w sposób wolny, ponoć dobrowolny,
zagraliśmy w karty rozdane przez wroga,
a naród to pojął, że jak konik polny,
będzie wciąż niepewny na swych własnych drogach.
Przemoc wzięła górę nad wszelkie układy,
w Jałcie nas sprzedano bez krzty zrozumienia,
że czyniąc na opak, nie ujrano zdrady,
która z sobą niesie czasy zniewolenia.
Tym razem nie brakło własnych sprzedawczyków,
co wnet się oddali w służbę nowych panów,
a ci korszystając z usług uliczników,
tworzyli z nich armię bezmyslnych baranów.
Z czasem każdy wiedział co to są UB-eki -
uzbrojone kadry, sąjące na co dzień
wyniszczeniem prawdy, tworzonej przez wieki
na rzecz aktualnych, choć nieludzkich smrodzeń.
Kryminały znanym zwyczajem ze Wschodu,
nie były już w stanie ponieść pacjentów,
którzy będąc zdrowi, z niecnego powodu,
zmuszani bywali do rzekomych roli klientów.
A w tej bez żenady bandyckiej rozrabie,
wspierały radzieckie służby NKWD-e
tych, co swoje cele stawiali na głowie,
a dla równowagi chlali stale wodę.

Wiadomo, nad wszystkim górwała partie
oraz jej przewodnia siła dla narodu,
która choć niewiele w owym czasie warta,
zawzięcie ruszyła przy pomocy Wschodu.
W taki dziwny sposób rodziła się siła
tych, co potrefili na cpek tłumaczyć,
że oto dla ludzi wybiła godzina,
która może, sierpem nasz świat przeinaczy.
Zmuszani brnąć stale w czerwonym chomacie,
trwaliśmy z uporem jak sędziwe sukapy,
aby nas zbyt szybko, na niepewnym koncie,
nie odnotowano spisaniem na straty.
W tym diabelskim młyńcu bez przerwy mielono,
choć nikt nie wiedział kogo oraz za co.
Pewnym zaś jedynie było, że suto
bez świadków, po cichu i przeważnie nocą.
Uśmiercano wielu bohaterskich synów
za to, że przez lata walecznego znoju,
byli wierni sprawie w aureoli czynów,
a teraz nie chcieli tarasować się w tym gnoju,
którym uraczono oczyszczone przestrzenie,
zaś na nich rozsiano nasienie gorzycy,
aby każde nowe siewu pokolenie
nie mogło już pojąć, że ta ziemia krzyczy.
Czas uciekał szybko, choć ludzka drętwota
stwarzała pozory niezmienności trwania,
a z krwawych poronień zlepione miernota,
wyniosła na cokół niejednego drenia.
Naród żył jak umiał, na krewędzi strachu,
zmieniając fałszywe uśmiechy na krzyki,
które stanowiły zapórę dla krechu,
jaki bywał skutkiem błędnej polityki.
Życie się zmieniało kierując spojrzenia
na czerwony narazm bycia wciąż w agonii,
a ciche i głośne słowa złorzeczenia,
niby spadające płateczki piwonii
świadczyły, że czerwień w swej barwie ciemnieje,
zaś nowe wyznanie w nicsym nie przystaje
do narodu, który ma ciągle nadzieję,
bo zawsze świt nowy od zachodu wstaje.

To były złudzenia dalekie od prawdy,
która wciąż znikwała w czasie i przestrzeni,
bo nie mając wsparcia, gubiła swe barwy
w masie agresywnej, jedynej czerwieni.
Świat już się pogodził z drętwotą sugestii,
że dwubiegunowy podział różnych wpływów,
może się przyczynić do uspienia bestii,
która wciąż czekała ostatecznych czynów.
Coraz bardziej sprzeczne były założenia,
jakie strony chciały dla zbawienia świata,
ustroić potęgą nowego zbrojenia,
co mogło pocieszyć kata lub wariata.

W takiej atmosferze toczyło się życie,
wymuszane stale nowymi planami,
a te coraz bardziej kresliły nas w szczycie,
nie zawsze pewnymi, jednak sukcesami.
A skoro ta losu wścicka karuzela
kręciła się stale w przeciwnym kierunku,
przywykanie było proste, jak niedziela
po sześciu dniach trudu, braków, i frasunku.
Przywykanie było zwykłą koniecznością,
to życie nie mogło być tylko czekaniem.
Ono w swoich prawach, choć tknięte obcością,
musiało się spełnić zgodnie z przykazaniem
Tego, co wszechmocą dał początek treści
w precudownych formach żywego stworzenia,
a wszelką celowość istnienia umieścić
na jednej z gwiazd nieba, którą nazwał - ziemia.



XII. WIADOMOŚĆ O TRAGEDII OJCA

To już trzecia jesień barwnymi gestami
czarowała miasto przedsiębiorczych ludzi,
których tu powszechnie zwano pionierami -
twórcami nowego, co radość przywróci,
a przyszłości wskaże, iż Ziemia Zachodnie,
jako historyczna świadomość powrotu,
określi swą jakość spokojnie i godnie,
mimo bajd przewrotnych fałszywych proroków.
Miastu przybywało coraz więcej ludzi,
rosły kadry krzepkich, silnych i ofiarnych,
głos porannych syren ze snu wszystkich budził,
aby się wyzwolić z majaczek koszmarnych,
jakie podsycane elementem wrogim,
malowały przyszły los tymczasowości
czymś nieodwracalnym, co działaniem srogim
wywoła makabrę nowych okropności.
To wrogie głędzenie zatruwało czucie
tego, co logicznie tworzyła nadzieja,
bo to podjudzanie i podstępne szczucie
było farsą głupich, jak jasna cholera.
Był to okres trudnej repolonizacji,
konieczności wielu niemiłych decyzji,
szczególnie w temacie owych repatriacji,
które niweczyły każdy wariant wizji.
A to wyzwalało gwałtowne reakcje,
osłabiało możliwość zrozumienia tego,
że to były skutki, a nie wrogie akcje
powstałe z przyczyny czasu wojennego.
Przemieszczenie ludzi nawet dobrowolne,
niosło z sobą wiele trudu, niepewności,
zaś te nakazowe, z wolą serc niezgodne,
stanowiły ogrom żalu i przykrości.
Lecz na nic się zdały ludzkie złorzeczenia,
bo tę powojenną wędrówkę z nakazu
wymyślono po to, by ludzkie cierpienia
nie stały się nowym tematem obrazu
jakiegoś szaleńca - marnego malarza,
który radość życia wciąż sobie kojarzył

z tym, co pomyłona wyobraźnia stwarza
w gigantycznych łunach, o czym stale marzył.
Poza tym, to była decyzja zwycięzców,
którzy mając w gestii ostateczne słowo,
jako potępienie zbrodniczych szaleńców,
na mocy zwycięstwa podjęli na nowo
akt sprawiedliwego ocenienia zdarzeń,
dla zrównoważenia zbrodni oraz kary,
co by pozwoliło na ziszczenie marzeń,
które potwierdzono daniną ofiary.
Wszystko co się działo, było w pewnej mierze
owocem przemyśleń oraz tych decyzji,
jakie wymuszały zgodę w dobrej wierze,
gdyż nie przewidziano odwołań, rewizji.
Była to więc twarda, jednak ostateczność
mimo, że sposoby pojmowania sprawy
z miejsca były różne, a prawna konieczność
musiała się spełniać sposobem szubrawym.
Praktycznie rzecz biorąc, mieliśmy okazję
na własnym przykładzie widzieć sz^uprawienie,
w którym nikt nie pytał, czy ci mają rację,
co sprzedali obcym swe własne sumienie.
Wszystko się spełniało dla dobra narodu,
pozory najczęściej maskowały fakty,
a nam pracującym, by nie mieć zawodu,
otwierano stale nowe, twórcze starty,
byśmy zagubieni w rozlicznych kłopotach,
nie mieli okazji ani czasu na to,
aby podłych wieszać na przydrożnych płotach,
za czas przeinaczeń wspierany hołotą.
Teoria głoszona przez nowych wyznawców
kremłowskiej religii w czerwonych kapliczkach,
stanowiła credo dla wszelkich latawców,
którzy się szwedając po miejskich ~~uliczkach~~,
wspomagani mocą milicyjnej pałki,
na różne sposoby nowej wiary malców -
starali się wspierać usłużnie trzon walki
w zjednywaniu partii nowych bałwochwalców.
Efekty choć mierne, swe znaczenie miały
twierdząc, że ta wiara stanie się zwycięska,
bo ona zniweczy każdy zwyczaj stary,

a przeciwnych - wrogów, spotka pewna klęska.
To już był początek, pewna gra taktyczna
tworząca powoli, kropelka po kropki,
nową rzeczywistość jako gigantyczna,
rzekomo spełniona myśl nowej utopii.
Mało kto w to wierzył, lecz aby żyć pewnie,
coraz więcej chętnych, po prostu zachłannych,
wiązało czerwone krawaty i rzewnie
wyznawało cicho, crede tych wulgarnych,
rzekomo świetlanych czasów na zbawienie,
które nieustannie dławiąc się w czerwieni,
chętnie wszystkim innym dadzą wyzwolenie,
jakie dobrobytem wnet się zarumieni.
Sporo było takich co w to uwierzyli,
podejmując medły jednogłosem chórem,
bo oni po prostu nadzieją żywili,
że pierwsi się znajdą za niemocy murem,
Oni uwierzyli w utopii dogmaty,
które winny stać się wszechmocnym tworzywem
z jakiego powstaną już nie kasamaty,
lecz piękne wsie, miasta i życie szczęśliwe.
W to dało się wierzyć, choć pewności mało
można było wyczuć zdrowym węchem nosa,
bo wszystko co nowe wciąż nie pasowało,
a to pożądane, to nadzieja bosa.
Ale w tym bigosie z czerwonej kapusty
mało było treści, pożądanych smaków,
a sam wygląd świadczył, że to tylko pusty
kapuściany karcik dla głodnych prostaków.
To jednak bywały sprawdzone sposoby
w przyjaznej nam stronie, zwanej ziemskim rajem,
gdzie świadectwem tego były raczej groby,
strojne w dziką zielenią zawsze z pierwszym majem.
Ci co uwierzyli, z losem się godzili
i wyczekiwali radosnego jutra,
a wierząc w to lepsze, czas błędów mnożyli,
byle nie utonąć w swoich działaniach skutkach.
Od czasu do czasu coś się udawało,
jakaś nowa wersja dobrobytu planów
miała wnet pomnożyć czego było mało,
a ubogich zmienić w towarzyszy - panów.

Złudzenia sypano z rogu obfitości,
budując wciąż na nich głośno i uparcie,
świetlaną otoczkę tej chcianej przyszłości
mimo, że potknięcia już były na starcie.
Lecz cierpliwość ludzka miała to do siebie,
że te wszystkie harce i lewe sposoby,
bez większej nadziei lokowała w niebie,
aby się wyzwolić od przyczyn choroby,
jaka w owym czasie, już w skali społecznej,
przybierała formę złej obojętności,
a następnie rosnąc w skali niebezpiecznej,
zapadała w letarg własnej bezradności.
Tak rodził się słynny wówczas "tumulizm",
a z nim powszedniały złodziejskie maniere,
bo ten kto kraść umiał, nie liczył się z niczym
i wszystkich odsyłał do jasnej cholery.

W tym czasie przedziwnych, różnych wiadomości,
była także zaszciość spraw niewyjaśnionych,
które wymagały należnych prawości,
aby nie określić losy zagubionych,
co sięgając w łocie oczystego ducha,
swoje dalsze dzieje złożyli w ofierze
na rzecz tej jedynej, którą zawierucha
stroili w ofiary i ofiar pacierze.
Ich los był nieznan, bo ich dalsze dzieje,
kreślił czas różnymi wojny zdarzeniami
gdzieś na obcej ziemi, gdzie wszelkie nadzieje
mieszano z krwią, ziemią, stęchlými chwastami,
często w bezimiennym, niewidocznym grobie,
aby po nich wszelki ślad szybko zagał
i nikt nie mógł kiedyś przypisywać sobie
szczególnego prawa, które w marzu minął.
Zabrano im wszystko - nadzieję na życie,
imię i nazwisko, stronę urodzenia,
świadomie zatarto zniewolone bycie,
na przeklętej ziemi obsianej w cierpienia,
którym z wilczą pasją nawet nie przyznano
prawa, by zakwitły kwiatami współczucia,
bo ich na niepamięć grzebiąc skazywano
tak, aby nie tworzyć scen nie do przeżucia.

Lecz mimo usilnych zabiegów w tej mierze,
czas wnosił wciąż nowe do historii zdarzeń,
nie tylko żałosne prośby i pacierze,
lecz także świadectwa szeregu wydarzeń,
które przybliżyły upragnione wieści,
rodziły ponownie wiarę i nadzieję,
że prawda o życiu lub o miejscu śmierci
zagubionych, może mieć swe wyjaśnienie.
Wszak było w tym wiele potwierdzonych racji,
bo przykładem tego stał się list z Ostródy,
który otrzymała nie bez konsternacji
mama tkwiąca stale w swoim świecie złądy.
Autorem przekazu był Władysław Gierak,
żołnierz, podoficer z jednostki wojskowej
tak zwanej Andersa, do której nieborak
tym razem szczęśliwie w chwili wyjątkowej,
trafił w samą porę, aby znów w mundurze
jako żołnierz polski podążyć z honorem,
oraz narodowy sztandar wznieść ku górze,
aby mógł przewodzić znów biało-czerwonym.
On także w Ukmerge był internowanym,
potem wywieziony gdzieś w radzieckie strony
i tam po amnestii w armię zwerbowany,
poczuł się jak człowiek nowonarodzony.
Dalej to już droga polskiego korpusu -
bliski wschód, Afryka oraz ziemia włoska,
potem koniec wojny oraz Anglia z masu,
a po niej wciąż śniona, żyzna ziemia polska.
A skoro powrócił - odnalazł i pisał
o tym co mu dane było pilnie donieść
krótkimi słowami, co widział i słyszał,
choć to bez przesady mogło stworzyć powieść.
Nie mając w tej mierze uzdolnień pisarza,
zmuszony był z zalem bardzo skromnie, prosto,
dalece od wszelkich ubarwień malarza
wyznac, co po drodze mu życie przyniosło.

Działo się to w czasie zbyt mroźnego stanu,
gdzieś na koniec stycznia z początkiem lutego,
w służbowej podróży do Uzbekistanu,
niedaleko brzegów morza Aralskiego.

Na jednej ze stacji, nazwy zapomnianej,
gdy pociąg przystanął w sobie znanym celu,
podszedł do wagonu ktoś nędznie ubrany
i po polsku prosił: - drogi przyjacielu,
zabierzcie mnie proszę, czekam dwa tygodnie
na możliwość dobrnięcia do polskich szeregów,
a z tyłka spadają mi podarte spodnie,
które kiedyś były godne oficerów.
Słowa szczere, proste, ledwie wyszeptane,
twarz włosem pokryta, mizerna okropnie,
na plecach kufajka we wzory żatane
i ta cicha prośba, słana wielokrotnie.
Kiedy się zbliżyli, ta twarz była znana,
z pobytu na Litwie w obozie Ukmerge.
Zaś to wyjaśniało, że postać sterana,
to przecież swój człowiek, a podając rękę
odpowiedź zabrzmiała: - Witaj panie Jerzy,
co za niespodzianka. Właż pan do wagonu.
Jasne, zabierzemy. Niejsca wśród żołnierszy
starczy dla kolegi z dawnego baonu.
To było zbawienie. Zmarznięty i głodny,
usiadł przy piecyku aby rozgrzać ciało,
po czym w swym spojrzeniu już bardziej pogodny,
spoglądał do koła. Życie powracało.
Zatarł zimne dłonie, wypił kubek kawy,
opanovał dreszcze i szeptem przemówił,
rozwijając temat dotyczący sprawy,
w której się już prawie śmiertelnie zagubił.
Była to relacja podobna do wielu,
które stanowiły historię zesłania
w jakiś koszmar świata, daleki od brzegu,
z bezprawnym wyrokiem na mękę konania.
Pierwszą stacją męki było dlań wileńskie
więzienie "Łukiszki", dobrze wszystkim znane,
które było tiumną przemocy radzieckiej,
trefną w swej jakości stale przeklinane.
Tam Jerzy Ochocim - bo to o nim mowa,
rozpoczął swój nowy, powiedzmy bojowy,
etap żołnierskiego tworzenia od nowa,
marszu poprzez mękę przetrwać narodowych.

Przez dziesięć miesięcy trwał byt niespokojny,
to jest do wybuchu niemiecko-radzieckiej,
nieprzewidywanej przez nikogo wojny,
jak zawsze bezwzględnej, nieludzkiej, zdradzieckiej.
To po prostu było nagłe zaskoczenie,
które pośród więźniów odnowiło złudę,
że może się uda chwycić wyzwolenie,
lecz sprytniejsze były służby NKWD-e.
To im się udało wygrać czas tej strony,
bo zdołali uciec, bez jednego strzału,
zabierając z sobą pełniutki wagony
przestraszonych więźniów do swojego rajku.
W ten sposób następnym etapem tej drogi
były kazamaty jakiegoś Gorkowa,
a czas na przetrwanie stał się tak ubogi,
jak tylko być może martwota grobowa.
Dwa miesiące trwało nowe przywykanie
bez celu i sensu oraz bez przyczyny,
jako przeżywanie i ciągłe czekanie,
by się wreszcie przyznać do niebyłej winy,
której mimo wszystko nikt nie umiał podać,
jako dopełnienie prawa zatrzymania.
Nikt jednak bezprawia nie myślał odwołać,
to dobrem dla wszystkich był czas do konania.
Dopiero sierpniowa, rzekomo amnestia,
pozwoliła zmienić kryminału ściany
na czasowy pobyt, z pewną dozą szczęścia,
w kołchozowej ciszy, ot tak, dla odmiany.
Szło widocznie o to, aby szkieletowiec
mógł w nowych warunkach polepszyć kondycję,
gdyż był dokarmiany rarytasem z owiec
i musiał zrozumieć swą nową pozycję.
Jakiś czas pracował aby nie paść z głodu,
potem zachorował i leżał w szpitalu,
a kiedy zeń wyszedł, już z nastaniem chłodów,
powrócił do wiejskich w kołchozie zwyczajów.
Jednak tam już inne były polecenia
władz, które czuwały nad właściwym biegiem
spraw związanych z czasem, co to wciąż się zmieniał
na wojennych szlakach, przyprószonych śniegiem.

Tym razem Jerzego uznano za swego,
dano dziesięć rubli na koszty podróży
i kazano ruszyć do wojska polskiego,
które się tworzyło by ojczyźnie służyć.
Na razie nie pojął i nie mógł uwierzyć
w cud przeistoczenia swej beznadziejności,
w radość ponownego doznawania przeżyć,
które czas mu wnosił w tej chwili słabości.
A kiedy już poznał nową prawdę czasu
oraz rozszyfrował trasę swej podróży,
wspomnieniem przeleciał czar litewskich lasów
i swój bieg szczęśliwy, co mu radość wróżył.
I chociaż słabiutki jak jesienny listek,
szarpany podmuchaem zmrożonego wiatru,
schował do kieszeni swój rublowy świstek
i począł się zbierać ponownie do startu.
A skoro miał tyle, ile miał na sobie,
mógł tylko wewnętrznie siebie przysposobić,
by to co szumiało teraz w jego głowie
mogło się ułożyć, by to dobrze zrobić.
Odszedł pojednany z tym niepewnym losem,
który się przyczaił za kołchozu bramą,
w zwodzącej tych czasów szacie oraz głosem
wtulonym w puchową biel niepokalaną
upewniał go skrzypiąc, że gdzieś tam w oddali,
rozpalony płomień pragnie umęczone
i zmarznięte serca dla życia ocalić
w atmosferze wiary, że są wyzwolone.
To była busola co szlak wytyczała
do tych stron nieznanych, gdzie zasiano radość
na przeklętej ziemi wolno zakwitała
i wabiła szczęściem na rodzinną stałość.
Dwa tygodnie trwało błądzenie po szlaku
oraz beznadziejne na pociąg czekanie,
który by go zabrał z mroźnego biwaku
w warunkach tworzących jedynie konanie.
Mróz przekraczał pewnie już czterdzieści stopni,
zołądek przyrastał gdzieś do kręgosłupa,
opuchlizna gardła w towarzystwie ropni
dławiła głos, który prawie nikt nie słuchał.

Siły opuszczały wyniszczone ciało,
mroźny czas usztywniał tragizm sytuacji,
nadzieją przetrwania z nikąd nie zawiąło,
a myśl ulegała chłodnej rezygnacji.
I właśnie w tym czasie mroźnej beznadziei,
pojawił się pociąg z wagonem żołnierzy
mocno zasapany, śniegiem się zabielił
i tu przypadkowo swój postój namierzył.
To było cudowne wreszcie ocalenie,
bo tym wojskiem byli żołnierze Polacy,
którzy jadąc z misją, całkiem niespodzianie,
utknęli chwilowo na stepowej stacji.
Wróciła nadzieja, prawie zapomniana,
jako cud zbawienia w mroźnym, śnieżnym tańcu,
a on na zdrętwiałych, bez czucia kolanach,
przesuwał paciorki na swoim różańcu.
Przesuwał je szeptem modlitwy - wyznania,
wspominając tragizm każdej stacji męki,
rozłożonej w czasie w etapy konania,
w pozorach nadziei, wiodących do klęski.
W powadze tej cichej, lecz męskiej spowiedzi,
współczucie zaległo wagonową przestrzeń,
choć każdy z obecnych mógł mieć w odpowiedzi,
pokasny ładunek doznań i przemieszczeń.
Pociąg ruszył, a z nim wiara na przetrwanie,
mimo wszelkich trudów o smaku katorgi,
która wciąż nie mogła uznać przebaczenie,
jako słuszny sposób rozgrzeszania zbrodni.
Niestety, słowami wyleczyć się nie da
tego, co wymaga pomocy medycznej,
kiedy stan chorego oraz jego bieda,
świadczyły kryzysem o skali tragicznej.
Gdy pociąg przystanął na stacji Gorczakow,
dobrzy przyjaciele oddali chorego
szybko do szpitala dla tych nieboraków,
którzy wymagali wsparcia lekarskiego.
A był to polowy szpital dla żołnierzy,
przy nowotworzonej dywizji Andersa,
która wnet odeszła z radzieckich rubieży,
by na Bliskim Wschodzie poczuć się pewniejsza.

Pociąg wnet odjechał do Uzbekistanu,
a z nim informator przedmiotowej sprawy,
który nigdy więcej z ówczesnego stanu
nie mógł wysnuć wniosku, gdzie podział się stary
przyjaciel z Korpusu, którego oddano
we właściwe ręce i chociaż nic więcej
o nim nie słyszano, to różnie myślano
o ludzkich tragediach w polskiej poniewierce.
Jednak dla rodziny, to nie bez kłopotu,
stało się nakazem wyjaśnić przyczyny
niezmałowanej ciszy i braku powrotu
do swojego gniazda - ojczystej mieściny.
To już nie chodziło o barwę wydarzeń,
które mogły czynić obraz bardzo przykry,
dla tych co czekali w sferze wyobrażeń
ponurych, tragicznych, jak z przegranej bitwy.
Jedyna wiadomość nie kończyła sprawy,
choć był to poważny fragment przypuszczenia,
że jakiś Gorczakow, to przyczódek mały,
z którego wyjść mogły dalsze wydarzenia.
Niestety, w tym czasie nie było to proste,
bo wszelakie żale i każde przykrości,
szczególnie bez winy, na Wschodzie wyrosłe,
nie mogły się sprawdzać pełnią uczciwości.
Odpowiedź ze Wschodu brzmiała lapidarnie,
że zaginionego, licząc na zut szczęścia,
należy odszukać penetrując armię,
powszechnie wiadomo, "tak zwaną Andersa".
Na tym się skończyło dociekanie prawdy
i słanie kłamliwych wyjaśnień do kraju,
bo ci co zginęli nie uszli pogardy,
gdyż nie chcieli bronić czerwonego rajdu.
Potem była Anglia - Wydział Metrykalny
i Likwidacyjny PSZ w Londynie,
który jednoznacznie i w sposób poważny
stwierdził, że szukany być może gdzieś żyje,
bo w księgach o zgonie on nie figuruje.
Pisemne stwierdzenie podpisał ksiądz Hodys
nie wiedząc, że pismo sprawę komplikuje,
skazując rodzinę na nowe zawody.

Czerwony Krzyż także niczego nie znalazł
i stało się wszystko bardzo zagmatwane,
bo mógł gdzieś przebywać, a cały anbaras
tworzyła świadomość, że to wciąż nieznane.
Odcięci od prawdy przestrzenią i czasem,
przywołując myślą stacyjkę Gorczakow,
błądziliśmy stale niby nocnym lasem
po krawędzi głuchych kierunków i znaków.
A tam przecież była jego przystań żywa,
miejsce na ratunek, brama do radości,
rozwartą rękoma swoich, jak prawdziwa,
wsparta drogowskazem droga do wolności.
Czas mijał bez prawdy o losie człowieka,
który w swym odczuciu już stanął u celu
i nie mógł uwierzyć, że wszystko ucieka
w krainę nicości, gdzie odeszło wielu.
Nie, to tylko nasze bezradne myślenie
tworzyło obrazy dla bieżącej doby,
które osłabiały wytrwałe wierzenie
w realność powrotu kochanej osoby.
Różne były nasze przypuszczenia, troski,
niesprawdzalne wieści i ciche gdybania,
a słane modlitwy przed majestat boski,
pozwalały tylko na dalsze przetrwania.
Każdy tydzień, miesiąc, każdy rok następny,
były tylko skutkiem nieznannej przyczyny,
która ślad jedyny zmieniała w przeklęty
okres bezradności dla całej rodziny.
Niestaty, wiadomość od pana Gieraka,
była tylko miarą pewnego etapu,
a co było dalej z losem nieboraka,
już nikt nie wyjaśnił z pytanym Polaków.
Całkowita pustka - przerwana historia,
świadcząca najpewniej, że ojciec zaginął,
którego nie wskrzesi już żadna teoria,
bo on słupek graniczny swego życia minął.
Lecz wciąż pozostaje bolesne pytanie -
gdzie złożono szczątki, ofiarę nieznaną ?
W jakiej spoczął ziemi i w jakim kurhanie,
aby swą wieczność nie mieć zapomnianą ?

Człowiek, to nie igła zagubiona w trawach,
którą trudno znaleźć z oczywistych przyczyn.
Człowiek ma swe imię, nazwisko i prawa,
marzenia, dążenia i niejeden wyczyn
świadczący, że żyje i dąży do celu
wsparty silną wolą i potęgą ducha,
by zawsze być sobą pośród zdarzeń wielu,
nawet gdy go łamie losów zawierucha.

Historia Jerzego została przerwana
w tajemniczy sposób, bez żadnego znaku,
mimo, że w właściwe ręce przekazana,
straciła ślad wszelki o tym nieboraku.
Aż nie chce się wierzyć, że wśród swoich braci,
kiedy duszą sięgał po niebiańskie szczyty,
bez śladu istnienia nagle wszystko stracił,
jak gdyby tajfunem został z ziemi zmyty.
A przecież sam nie był, jak w pustelnej norze,
bo jakiś chorąży - nazwisko nieznane -
przejął obowiązek wsparty na honorze,
by go doprowadzić na miejsce wskazane.
Wiodący już wiedział, bo mu przekazano,
miejscowość baonu, stopień i nazwisko,
poza tym prowadząc, choć to wyszeptano,
usłyszał skrótowo o nim prawie wszystko.
Nie były to strzępy jakiejś tajemnicy,
co by zamykała napotkanym usta
czarnym niepokojem, na niemej ulicy,
która w tym przypadku musiała być pusta.
Nie, to tak nie było. Mówiono o wszystkim.
Każda nowa sprawa poruszała żywo,
bo ten kto się jawił, był po prostu bliskim
sercem, duchem, ciałem z tym co się przeżyło.
Można więc przypuszczać, że i ta relacja,
wyszeptana szczerze przez spieczoną usta,
nie uszła uwadze, choć ostatnia stacja,
też nie z własnej winy, stała się tak pusta,
a jej drzwi drewniane, jak trumienne wieko,
zatrzasnęły nagle tej historii wątek,
skrywając część dalszą prawdy o człowieku,
który tu uwierzył w wolności początek.

A co tam się stało, nikt o tym nie mówił,
ani żaden zapis nie wyjaśnił sprawy
mimo, że to chory człowiek się zagubił,
jedynie z bagażem nadziei i wiary.
A może ułomność ludzkiego działania
pomieszała szyki temu wydarzeniu,
bo przecież nie trudno pozmienić nazwania,
gdy wszystko się działo w powszechnym zbiedzeniu.
Może pomyłono w zapisie nazwisko,
co w normalnych czasach także się zdarzało,
a w owym szczególnym, niemalże jak wszystko,
tym przeinaczeniom głównie ulegało.
Litwini go zwali Jurgis Ochotinas,
Rosjanom Ochotin całkiem wystarczało,
a swoi mówili Okocim, bo u nas
najczęściej piwoczom tak to pasowało.
Czasem ktoś przygłuchy zwał go tylko Ochcim,
zaś ktoś zamyślony powtarzał Ochocki,
a on w tym mieszaniu, pospolicie kocim,
spostrzegał konieczność wyjątkowej troski.
Troski o nazwisko i różne dowody,
które winny zawsze w sposób jednoznaczny
określać tożsamość konkretnej osoby,
a nie ją wypaczać sposobem pokręconym.
Lecz to było proste w normalnych warunkach,
a wówczas w kosmicznym niemalże chaosie,
mylne zapisanie mogło stać się w skutkach
zagubieniem prawdy o niejednym losie.
Wystarczyło mylne wpisanie nazwiska,
aby z czasem wszelkie próby znalezienia
stawały się błędną drogą przez mrowiska
ludzkich przeinaczeń - przyczyn zagubienia.
Czas mijał, a skutek ciągle był jednaki -
wszelkie odpowiedzi były negatywne,
a człowiek zaginął i z nim jego znaki
gdzieś się powkręcały w wydarzenia inne.
Na pewno gdzieś leży w nieznanym ustroniu,
gdzie życie być może wszelki ślad zatarło,
aby inni ludzie w odmiennym nastroju
nie musieli wiedzieć, że komuś się zmarło.

Tylko nam, rodzinie, przypadło w udziale
przeżywać koszmarny okres bezsilności,
który w żaden sposób nie mógł pustą szalę
napełnić prawdziwą treścią wiadomości.
Stała niewiadoma dręczyła nas wielce,
a niepokój tworzył żalobną treść skutku,
decydując o tym, że każdego serce
pograżone było prawie stale w smutku.
Ciągłe było trudno przyjąć ostateczność,
jako fakt jedyny i nieodwracalny,
że poszukiwany osiągnął swą wieczność
bez względu na wszystko, jako stan realny.
Lecz aby w to jakoś spokojnie uwierzyć,
trzeba było czasu, który ból ukoi
i pozwoli ogrom tego smutku przeżyć
oraz skołatane serca uspokoić.
Czas mijał. Wspomnienia żony, córki, syna,
stale ożywiały ich serca nadzieją,
że może wbrew faktom wybije godzina,
w której treścią prawdy ich trwanie obdzielią.
Niestety, to trwanie było tylko hołdem
w stosunku do tego, który swe istnienie
pragnął wpisać godnie pod ojczystym godkiem,
składając w ofierze swój ból i cierpienie.
Czas mijał, a wieści wciąż nie przybywało,
co mogłyby dodać otuchy na trwanie.
Nic z bieżących zdarzeń wiary nie dawało,
a mimo to trwało serc oczekiwanie.
Były sny przeróżne oraz przypuszczenia,
błądzenie wśród wielu możliwych wydarzeń,
lecz nic nie umiało rozpędzić zamglenia,
które osłaniały ostrość wyobrażeń.
Wszystko było niczym wobec faktu tego,
że nas żadne racje pocieszyć nie mogły,
bowiem prawda była rodem z tragicznego
arsenału zdarzeń, które go zawiodły.
Jego los okrutny był zbiegiem przypadków,
co to ułożone w jakąś błędną całość,
stworzyły swym skutkiem jeden z przykrych aktów
w sztuce zwanej wojną, a w niej ludzką małość.

Po prostu zaginął w sobie znany sposób,
z wszystkimi myślami o słonecznym jutrze,
gubiąc pożądany obraz wielu osób,
a świadomość życia zamknął w trupim kufrze.
Jak było o Boże, ty wiesz o tym Perie.
Znasz jego ostatnie technicznie pełne żalu
oraz bóli dławiący, niemocy konanie
od początku wojny, wolno, cał po cał.
I dopiero tutaj, w jakimś Gorczakowie,
co na krańcu świata i raczej nie znany,
znalazł swe zamknięcie rozdział w polskiej mowie
mówiący, że często my tak umieramy
gdzieś na obcej ziemi, często bezimienni,
ale w pewnej glorii romantycznej chwały,
o czym żaden z obcych tego nie przypomni,
a czas zetrze pewnie ubogie kurhany.
Lecz co można było czynić w owym czasie,
który nas pozbawił stojskiego odzienia
i gubił wytrwale w kotłowanej masie,
której odebrano prawo do mówienia.
Ludzie wciąż ginęli w tajemniczy sposób,
nie zawsze wiadomo z jakiego powodu,
a to poszerzało stan szukanych osób,
które chyba pewnie już zeszły do grobu.
Jeżeli u siebie, w majestacie prawa,
nie było możliwe rozpoznanie prawdy,
to co mogła pomóc rzeczywistość wazawa,
pełna zakłamania, podłości, pogardy.
Tam wszystko skazane było na pohybel,
na zatarcie śladu każdego zdarzenia,
bo tam tylko kraty oraz w kącie kibel,
stanowiły efekt każdego życzenia.
Tam wolność trzymano nadal na łańcuchu,
aby nie zatruła dobra powszechnego
i nie wypaczyła wskazanego ruchu
w stronę dobra jutra - zawsze czerwonego.
Już było wiadome, że każda chęć szersza,
mająca na celu szukanie bliskiego
w nieograniczonym czasie oraz mierze,
zwłaszcza na terenach Związku Radzieckiego.

to po prostu zamęt i wrogie działanie
na rzecz podważenia wieczystej przyjaźni,
bo takie niewinne rzekomo szperanie,
miało rozszyfrować tajemnice kaźni.
A to ponoć była z ich strony "oszybka",
która pozbawiła tysiące niewinnych
życia, strzałem w głowę, jako czynność zwykła,
zaliczana wówczas do szczególnie pilnych.
Ludobójstwo było specjalnością hordy
oraz namiętnością plugawego wodza,
co w zboczeńczej furii polecając mordy,
użył tym pola i lasy w kołchozach.
A teraz udając przyjaźń nie z tej ziemi,
na wszelkie sposoby zacierając ślady,
bali się odkrycia prawdy wśród drzew cieni,
które osłaniały potworności zdrady.
Nieskuteczne były nasze wszelkie troski
o losy najbliższej rodzinie osoby,
tak jak niepotrzebne wszelkie dalsze wnioski,
wciąż sugerujące zagubione groby.
Wojna ma swe prawa, mówiono ogólnie,
zalecając przy tym godzenie się z losem,
bo tylko rozważa, a spokój szczególnie,
pozwolą się ustrzec przed kolejnym ciosem.
Niestety, to prawda. Nasze możliwości
zostały w całości już wykorzystane
bez chętanego skutku, żadnej wiadomości,
uznano w całości jako nieudane.
Czas mijał przenosząc tematu ciężenie
w sferę coraz cichszej strefy niespełnienia,
gdzie gasła energia i nasze dążenie
do ostatecznego zdarzeń wyjaśnienia.
Świadomi niemocy własnych możliwości,
przy niesprawdzalności każdego stwierdzenia,
byliśmy zmuszeni pomimo przykrości,
zamknąć rozdział kartą nie do wyjaśnienia.
Może kiedyś jakiś przypadek pozwoli,
że powróci temat aby go rozeznąć
oraz wskaże miejsce ojcowskiej niedoli,
co pozwoli fakty ostatecznie zebrać.

Ale to już tylko nasze założenie
na czas, który mijał mimo naszej woli,
że może to skromne tylko przypuszczenie
otuli nadzieją to co serca boli.

Dla nas pozostała twarda rzeczywistość -
stanowcza potrzeba normalnego życia,
w którym nieraz jakaś napotkana przykrość
zagrozi nam drogi dane do przebycia.

Raz gorzej, raz lepiej, jak to w życiu bywa,
mijały dni pełne przeróżnych wydarzeń,
czasem zwykła radość, szczerą i prawdziwą,
stanowiącą skutek nieodłącznych marzeń,
które dla nas były dopełnieniem tego,
czego nam nie dała utracona młodość,
pozbawiona doznań życia normalnego,
wtrącona w czas wojny oraz ludzką wrogość.
Teraz naszym credo stała się normalność,
a więc życie wolnych, zatroskanych ludzi
o rodzinne dobro, spokój i moralność
oraz prawość jutra, które nas wciąż budzi.
Oczywiście każdy miał swój własny sposób
na tworzenie zrębów owej normalności,
jaka była celem zabieganych osób,
przy tworzeniu własnej rodzinnej przyszłości.
Jedni harowali, ciążając z nadzieją,
że z czasem osiągną swój cel wytyczony,
dając tym świadectwo, że wiele umieją
i potrafią przeżyć każdy czas tracony.
Inni tak poważnie niczego nie brali,
woleli się cieszyć, bo wszystko przemija
i dlatego pili, w karczmach rozrabiali,
bo ten czas nijaki po prostu im sprzyjał.
Do tej grupy śmiazków, cwanych lekkoduchów,
należał przodując Romeczek wesoły,
który drwił ze wszystkich, a twardych komuchów
po szklaneczce wódki odsyłał do szkoby.
Romus pił i bawił wielu spośród władzy,
bruderszaftem łatał bałagan i braki,
a kiedy wpływowi stawali się nadzy,
on ich wnet opuszczał, by uniknąć draki.

To mu pozwalało na wchodzenie w łaski
tych, co choć bez szkoły, obsiadali stołki.
Dla nich prowokował pijane oklaski,
aby nie słyszeli, że zwą ich - matołki.
A że sam nie grzeszył ukończeniem szkoły,
chociażby tej pierwszej, zwaną podstawową,
starał się zawiłą profanacją mowy
wykazać, że skończył jakąś zawodową.
Ale gdy się poczuł już bardziej bezpieczny
uznał, że to pora aby stwierdzić pewnie,
że ci na stołeczkach muszą mieć koniecznie
wykształcenie - pełne zawodowe, średnie.
Idąc śmiało dalej upatrzoną drogą,
bez najmniejszej nawet chwili na zwątpienie,
twierdził wszem i wobec z bezczelną swobodą,
że on ma techniczne, średnie wykształcenie.
Mając i matacząc na różne sposoby,
zmienił miejsce pracy przechodząc z kultury
za sklepowe lady, gdzie działaniem nowym
wzbogacał swe plany grając z wielkiej rury.
Sklep był jednym z większych, nazwany tekstylny,
gdyż w nim można było kupić materiały
stanowiące przedmiot wyjątkowo pilny,
wówczas na talony, bo przydział był mały.
Pozorując pilność swojego działania,
pan kierownik stale jeździł osobiście
po odbiór przydziału, a swoje starania
potwierdzał podpisem na odbiorczej liście.
Byłby to na pewno wyjątkowy sposób
i godny pochwały w załatwianiu sprawy
pograżonych w biedzie wielu przecież osób,
które na ten przydział zbyt długo czekały.
Lecz tym razem towar sprawnie dostarczony,
bez przesiadki trafiał prosto do krajeckiej
spółdzielni w miasteczku i był rozliczany
w oszukanych cenach na scenie złodziejskiej.
Potem pan kierownik dostawę rozliczał
według urzędowych cen we własnym sklepie,
a różnicę fałszu do kieszeni wpychał
i miał już tak dobrze, że nikt nie miał lepiej.

Jakiś czas to trwało, aż donośne krzyki poruszyły władze, które nie wiedziały, że w państwowym sklepie przestępcze praktyki, zwykłych, szarych ludzi wciąż oszukiwały. Do boju ruszyli: prokurator, sędzia, i wsparci milicją porządek zrobili. Tym razem Romeczek utracił los szczęścia, bo mu cztery lata więzienia wrzepili. Przy okazji także z partią się pożegnał oraz zdjęto z niego oficerskie szlify, bo będąc w rezerwie, teraz pewnie przegrał, a fakt tej jedynej gwiazdki był zbyt lichy. W ten sposób przypadkiem odkryto oblicze szaraczka, cwaniaczka, polanalfabety, który zawsze fałszem swe burzliwe życie stroił w groźne harce dla własnej podniety. Dla tych co go znali, a więc również dla mnie, było to dowodem już wcześniejszej prawdy, że ten człowiek tylko w pełnej wody wannie mógł próbować obmyć siebie z ludzkiej wzdargy. Cztery lata, sporo czasu na dumanie, bez pewności wyjścia złoczyńcy z choroby, która czyniąc zamęt, myśleniem baranem, jeszcze nie dopadła marskością wątroby. To była recepta na twarde leczenie tych, co cudzym kosztem chcieli żyć nad miarę i jechać na cudzym przez czerwone ziemie do śnionego rajy, po prostu "na wiarę". Nikt go nie żałował, nikt po nim nie płakał, tylko żonie przyszło to przeżywać w smutku. Prawdą jest, to także, że nikt z nas nie skakał z radości spełnienia wiadomego skutku. Na razie świat murem został odgradzony od cwaniaka zwykłej, choć chaniebnej sztuki, aby celą, pryczą i kibelem znaczone, nie zapomniał w życiu tej twardej nauki. A Romuś się poddał więziennemu prawu i zmyślał sposoby lżejszego przetrwania rejestrując wszystko, aby kiedyś znowu nie zderzyć się z faktem nowego skazania.

Pomijając słusność tegoż ukarania,
"miało można twierdzić, że rodził się zwyczaj,
z musu przyjmowany do naśladowania
od wschodniego brata, już jako obyczaj.
Ten zaś mówił prosto, zgodnie z ową wiedzą,
że ludzie to masa, którą prawo dzieli;
na tych co siedzieli, aktualnie siedzą;
oraz dalej na tych, co będą siedzieli.
I tak też się działo. Stale ktoś odchodził
by więcej nie wrócić. Człowiek stał się nagle
czymś, co można zgubić. Szatan prawem wodził,
a życie strach nękał dławiąc wszelką prawdę.
Władza jednej partii stała się dogmatem,
którego podważać nikt się nie odważył,
bo ona się stała prawem, sędzią, katem,
byle brat ze Wschodu sympatią ją darzył.
I tak żeśmy weszli w nowy rozdział sprawy,
która miała dla nas być busolą, znakiem,
aby idąc z musu w barwach nowej wizji,
nie stać się ponownie losów nieborakiem.
Trudno było pojąć dokąd wiodą drogi,
wytoczane z góry przez wszystko wiedzających
i gdzie będzie meta, gdy zmęczone nogi
nie będą już w stanie gonić cel wiodących.
Unurzeni w magmie wulkanicznych dziejów,
bez pytania dokąd wiodą teraz drogi,
patrzyliśmy niechętnie na tych oficerów,
co zamiast godności, obniżali progi
dla tej co nadjedzie w gwiazdzistej karecie,
pełna obfitości, lecz w cudzym zaprzęgu,
i choć mało znana w całym wolnym świecie,
będzie lśniła blaskiem nadanym z urzędu.



XIII. WYRÓWNYWANIE LOSÓW

Życie mknąc po różnych wertepach tej ziemi,
w swoim nieustannym przemienianiu treści,
rozgrzewane w słońcu, chłodzone wśród cieni,
zawsze było pełne złych lub dobrych wieści.
Czwarty rok po wojnie, pełen ludzkich trudów,
zmierzał ku granicy swego panowania,
zdając sobie sprawę z tego, że wśród brudów
utknął nieporadny ból rozczarowania.
Wiele było mowy zwanej pustostłowiem,
obietnice rosły gęstością szuwarów,
niewiara ciężka raczona ołowiem
nieustannych wizji, nonsensów i czarów.
Zaś ciągle czekanie stanowiło ciche
świadczenie nadziei, że coś się odmieni
i oblecze w wiarę te tak bardzo liche
hasła, powielane w wyblakłej czerwieni.
Życie było trudne, a nowe reguły
gry w nawale troski, to było płasanie
na kamiennym zbocz, gdy deszczowe chmury
pokrywały niebo jakby pokąsane.
Atmosfera ciągle daleka od normy,
nie dawała ludziom owej satysfakcji,
która w sposób jawny, rzeczowy, bezsporny,
mogła stać się źródłem wielu słusznych racji.
Rację zawsze mieli ci u steru władzy,
syci, pewni siebie i dobrze ubrani,
zaś ci co tyrali będąc prawie nadzy,
prawa do protestu byli pozbawiani.
Walka klas burzyła rozsądne myślenie,
sugerując równość wszystkich ludzi pracy,
co w sposób najprostszy stwarzało złudzenie,
że każdy z maluczkich też coś w kraju znaczy.
Tymczasowość nadal była wielkim cieniem,
który kładł się stale chłodną niepewnością
na wszystko, co z każdym nadchodzącym dniem
warzyło rozsądny stosunek z przeszłością.
Taką była nasza nowa rzeczywistość,
pełna wielorakich w życiu niezgodności,

dlatego jej branie jako ostateczność
było czymś, co zwano światem okropności.
A jednak w tym czasie jakoś wszyscy żyli,
co prawda na bakier w dość licznych przypadkach
z prawami czerwonych, co je wymyślili,
byśmy raczej grzecznie siedzieli na zadkach.
Różnie to bywało z nakazem grzeczności,
który raczej zmuszał do przytakiwania,
jako symboliczny gest naszej wierności
na rzecz najprzedniejszej postawy oddania.
Było to po prostu wymuszanie tego,
co w normalny sposób jako nierealne,
nie mogło stanowić aktu powszechnego,
bo życie choć z garbem, chciało być normalne.
Będąc zaplątani w przeciwności losu,
musieliśmy czynić zbyt często uniki,
aby nie utracić w tym własnego głosu
i nie dać się wrobić w niechciane nawyki.
Władza mając wszystkie środki w swoim ręku,
działała bezwzględnie i z premedytacją
i zawsze co chciała, nie bez ludzkich lęków,
sprawnie wymuszała prawną akceptacją.
Wszystko firmowano zwartą wolą ludu,
którego właściwie o nic nie pytano,
zmuszając go stale aby czekał cudu
i radośnie tańczył, tak jak mu zagrano.
A lud wystraszony działaniem bezpieki,
dla własnego dobra akceptował kroki,
które wieść go miały w czas już niedaleki
światlanej przyszłości, więc dbał o swe boki.
Z grubsza rzecz malując w sposób prymitywny,
można było śmiało, bez czynienia błędu,
powiedzieć, że człowiek był bardzo naiwny
i sam wiaził w sidła nowego obrzędu.
Jedni chcieli władzy, a przy tym kariery,
licząc pewnie na to, że to się nie zmieni,
a drudzy śląc wszystkich do jasnej cholery,
pragnęli się poczuć panami swej ziemi.

Jedni zaprzęgnięci w czerwonym kieracie,
zapatrzeni w gwiazdę kremlofskiej starówki,
z rzekomą wyższością podciągali gacie
i szli w czerwień bojni, jak tuczone krówki.
Drudzy nie wprzęgnięci do tej karuzeli
utopijnych bają, pełnych pustosłowa,
w swym konserwtyzmie pozostać woleli,
byle nie zatruwać psychicznego zdrowia.
Coraz widoczniejsze bywały podziały
na tych, co tyrają w odbudowie kraju,
i za to dostają "dwie chały i cały",
bo ich droga wiodła do innego raj.
Oraz na tych asów, co swój żywot marny
wpisali w rejestry oddanych idei,
wyczuwając węchem i spojrzeniem sarny,
że ten żywot w gąszczu hojnie ich obdziel.
Tak więc jedni mieli komitety wiary,
gdzie się spowiadali i modlili szczerze,
a drudzy w kościołach u stępni ołtarzy
świadczyli, że stać ich na wytrwanie w wierze.
Jak faktycznie było, tego nikt nie mierzył,
choć wiadomo było, że różnie to było,
bo nieraz wierzący fałsz herezji szerzył,
a wielu partyjnych wciąż w Boga wierzyło.
Ludzie przywykali do nowych prawideł,
zachowując jednak świętość swych tradycji -
milszym od kanarka był im zawsze szczygieł,
bo do wszelkich klatek bywał w opozycji.
Pozorna normalność pozwalała wierzyć,
że życie powoli określi swe kształty,
które przeżywanie będzie mogło mierzyć
doznaniem na co dzień, zagrań z nowej karty.
Wszystko ulegało bieżącym przemianom.
Polsce przypisano przymiotnik - ludowa,
a władzę oddano towarzysiom - panom,
bo tak stanowiła kadra wyjątkowa.
Wyjątkowym było wszystko co się działo,
bo to przyswajano jak dobra z importu,
i żyjąc w pozorach, wszystko wychwalano,
płynąc jak czas kazał, do nowego portu.

Rządzono w Warszawie według wskazań Moskwy,
bo stamtąd szły zawsze ważne polecenia,
aby nasza wolność i nasz był radosny
nie miały zagrożeń dla swego istnienia.
Czas kreślił historię w nimbie nowych pojęć
na wszystko, co w sumie stanowiło życie
nieraz tak pokraczne, pośród wielu napięć,
że nie można było pożyć należycie.
Dalszy świat właściwie był nieosiągalny,
zarobki za pracę miały poziom taki,
że każdy zryw wolny bywał nierealny,
a ten z przyzwolenia najczęściej nijaki.
Aby jednak całkiem nie przekreślać wiary,
że lepsze dni pewnie i wkrótce nadejdą,
zmieniano powszechnie przyjęte wymiary,
wnioskując wbrew faktom, że zwątpienia przejdą.
Wciąż obiecywano, najczęściej na wyrost,
aby uspokoić niespokojne serca,
licząc ciągle w jakiś dobrobytu przyrost,
co miał pewnie wzmocnić decydentów miejsca.
Tymczasem współczesność działała znienacka,
bez jasnych decyzji - obraz zamazany,
co kazało sądzić, że jakaś wariacka
zagrywka nieczysta, zamysły i plany,
sprowadzają wszelkie wysiłki twórczości
do jednej, bezbarwnej na karierze plamy,
likwidując źródło spokojnej przyszłości,
choć w koło grano, że my się nie damy.
Takie wydarzenie miało właśnie miejsce,
w którym osobiście czułem się wspaniale
i nieraz twierdziłem, że to moje szczęście,
bo mi się udało opanować szalę,
na której jak dotąd niepewność się kryła,
jako złowróżebna towarzysza życia.
Zmienikiem jej ciężar by pewność ożyła,
wyzwalając godność człowieczą z ukrycia.
Dziwny bieg wydarzeń nagle burzył wszystko
i nadzieję na to, że można być sobą,
kiedy w koło zawisć, a UBecja blisko,
mogły zdeptać wszystko barbarzyńską nogą.

Tym razem decyzja była jednoznaczna,
że firmę należy przenieść do Legnicy,
a więc w Nowej Soli słowo likwidacja,
już nie stanowiło żadnej tajemnicy.
Lecz to niosło różne dla każdego skutki.
Jedni wysadzeni ze stołka dyktatu,
ocierali dłonią swoich twarzy smutki,
a w skrytości ducha kleli do wiwatu.
Drudzy nie czekając końca owej draki,
natychmiast zmienili swego pracodawcę,
mając na uwadze, aby byle jaki
nie musiał udawać wielkiego łaskawcę.
Każdy na swój sposób odchodził, bo musiał,
jednak nie bez żalu za tym środowiskiem,
które dbało o to, by nań nikt nie siusiał,
i nie wnosił fałszu wykrzywionym pyskiem.
Teraz ustawieni na różne kierunki,
brnęliśmy przez życie raczej przypadkowo,
dzwigając na plecach swe własne frasunki
oraz zaczynając szukać je na nowo.

A ja będąc teraz na wypowiedzeniu,
zostałem służbowo skierowany nagle
do pracy w legnickim oddziale, a w cieniu
tego, co uznano szczęściem, jak po diable.
Po miesiącu pracy miałem propozycję
wzięcia we władanie działu pracy - płacy,
lecz ja uwzględniając swą własną kondycję
wiedziałem, że czas mi na go nie przepłacać.
Ja przecież nie byłem zwykłym krótkowidzem,
który chodził, patrzył, niczego nie widział.
Ja dobrze widziałem gdzie i po co idę
oraz kto w tym mieście bezczelnością rzygał.
Wszędzie gdzie stanąłem, słyszałem jak "joby"
wypełniały przestrzeń przy dosadnej mowie,
a ja wciąż dumałem, po co owe żłoby
szwędają się stale, jak z piekieł posłowie.
Ja wówczas się czułem jak obcokrajowiec,
zagubiony w tłumie potwornej obcości,
któremu szykują dość wygodny kojec,
aby chciał wzbogacać dostojność swojskości.

Nie, takie zagrania to melodia super,
lecz nie dla człowieka, który z lepszej strony
nie po to powrócił, aby teraz kuper
mu przemalowano na kolor czerwony.
Dlatego decyzja nie mogła być inna -
powrót bez zagrożeń do własnego domu,
gdzie żona z córeczką w swym łału niewinna
gubiła się w smutku, chociaż po kryjomu.
I tak też się stało. Pożegnałem miasto,
w którym mogłem chwycić pewnie kierownicę,
lecz wybrałem powrót przypisany jasno,
bym ponownie w Odrze zanurzył kotwicę.

Powrót był na czasie i wielce niezbędny,
bo Stwórca Wszechrzeczy pozwolił ponownie
przeżyć czas uniesień radosny i pewny
według Jego woli, bym przyjął go godnie.
Na świat przyszła Bwa, moja druga córka -
mój filigranowy owoc męskich marzeń,
jak gwiazda na niebie widzianym z podwórka
w osnowie srebrzystych lánień i wyobrażeń.

Był to miesiąc grudzień i mróz zapisywał
rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty,
który na odchodne do radości wzywał,
pragnąc nią wypełnić wszystkie życia kąty.
Boże Narodzenia - święto nawiedzenia
miłością, radością, wiarą i nadzieją,
niosące ze sobą szczerą zawierzenia,
kiedy ludzie w ciszy opłatkami się dzielą.
A ja pozbawiony prawie zatrudnienia,
czułem jak me żale rozrzedzał radosny
blask dziecięcych twarzy, który opromieniał
postać mojej żony i mój stan żałosny.
Dlatego nie burząc swego przekonania,
że wkrótce zdobędę nowe zatrudnienie,
szczerze przeżywałem ten czas dojrzewania
w ojcowską dostojność jako wzbogacenie.
Święta były skromne, lecz pełne doznania
radości i ciepła ubogiego rodu,
wzbogacane żywym owocem kochania -
boskimi kwiatami z rajskiego ogrodu.

Drugim wzbogaceniem rodzinnych wydarzeń,
było zamążpójście mej siostry Danuty,
a to pozwoliło na bieg wyobrażeń
w wyższe strefy życia śmiało i doputy,
kiedy nam pozwoli ^{ca}pożumować latka,
że działając zgodnie z prawością sumienia,
spełniamy testament męża, ojca, dziadka,
który gdzieś spoczywa, w sobie obcych cieniach.
Teraz nasze życie stało się pełniejsze,
więcej w nim się czuło wspólnej życzliwości,
a najbardziej mamie wydało się lżejsze
nimo, że w jej sercu wciąż trwał ból przeszłości.
Normalność wносиła nowe wymagania,
rosły więc potrzeby w swoich różnych formach,
nowy czas zło wszelkie stanowczo przeganiał,
aby się uchronić przed pływaniem w sztormach,
A tych, to już było dostatecznie wiele,
by czas je odłożył w mroczną toń lamusa,
byle móc spokojnie przeżywać niedzielę,
a swe dni powszednie nie paskudzić w fusach.
Nie było to łatwe, bo do koła bieda,
kreowała wystrój smutnej codzienności,
a ta w zamierzeniach liczyła, że sprzeda
swój czerwony balsam - eliksir równości.
I tak też się działo. Biednych przybywało,
a życiem rządziły kartkowe przydziały,
co tak przez żołądek z grubsza już równało
tych, co byli głodni w swym biegu do chwały.
A ta chwała ludu była częścią cudu,
jaki nam rozkwitał sławą Miczurina,
co miało nas natchnąć, jak wśród swego trudu,
wychodować mądrość ku chwale Stalina.
Chodziło więc o to, aby się rodziły
świnki ala krowy, zaś krowy jak skonie,
a kury strusiowe nam jaja znosiły,
aby było syto na ziemskim "memłonie".
Szczepiąc i krzyżując wszystko co się rusza,
oraz to co drzewa rodzą na swój sposób,
winno się powiększać, aby każda tusza
mogła stać się siłą wzbogacania osób,

które wyniesione na piedestał władzy,
nie powinny drętwieć pod prężeniem czasu,
bo chociaż tak mocni, zbyt często są nadzy,
jak pierwsze istoty po swym wyjściu z lasu.
Aby radykalnie zmienić sytuację
czyniono sagrańia, chcąc uśpić maluczkich,
oras dostatecznie określić swe racje,
które winny cieszyć umysły prościutkich.
Były także próby prześcignięcia Stwórcy
w udoskonalaniu recepty na życie,
bo przecież ich program - program świstobúrwszy,
stanowił drogowskaz ustawiany skrycie.
W efekcie twórczego planu przebudowy,
przede wszystkim świata oras jego ludzi,
świadcetwem sukcesu był baran dwugłowy
oras czarny kozioł o prosiaka buzi.
Za te osiągnięcia bywały nagrody,
tytuły doktorskie, często profesorskie,
propaganda żyła stekym lanien wody,
a portfele rosły za prawa autorskie.
Rosła także kadra rzekomych geniuszy,
od zmiany neparatka na rogowy palec,
z ludzi wyciskano resztę prawej duszy,
urabiając ciało w czerwony zakalec.
Coraz więcej było zakalcowych ludków,
które po udanym przebyciu kuracji,
nieświadomi prosy swego życia skutków,
uwierzyli w jakoś swej reinkarnacji.
Oni się godzili z tym, że Boga nie ma,
że wszystko podlega kręceniu materii,
a więc także oni nie czekając nieba,
przejdą pasmo losów w sobie danej serii.
A co będzie dalej, zależy od formy,
którą pozyskają z komputera losów,
zachowując jakoś w jakimś punkcie zbornym
niezbędnych materii i właściwych głosów.
Takie były tryby maszyny z importu,
a ta jako super wszelkiej jakości,
była zdolna działać na prawach kurortu
i przywracać rozum nawet łamiąc kości.

Świat jawił się teraz jako zbiór materii,
w którym wszystko działa na zasadzie ruchu,
a to co się zdarzy, to prawo loterii -
igraszka rozumu, widzenia i słuchu.
Rodziły się nowe pojęcia, wskazania,
nękając bezradne rozумы i serca,
a niestrawność tego mdłego samulania
dosalał i pieprzył stale innowierca.
W ten sposób odchodząc od rodzinnych smaków,
zmieniano nam stale rytuał obrządku,
który był świętością w ojczyźnie Polaków
i stanowił wyraz zbożnego porządku.
Teraz nas dzielono według apetytów,
na tych co schabowym chcieli mościć progi,
oraz na tych nowych, odmienionych typów,
którzy wolą chodzić na ruskie pierogi.
W tym kotle różności śmiesznością bywało,
gdy wszyscy z lubością zwali się panami,
zdejście sobie sprawę, że coś w tym nie grało,
bo winno się wszystkich zwać towarzyszami.
Nównież tradycyjne całowanie w rączkę
było niezgodnością, choć to zwyczaj stary,
i wywoływało partyjną gorączkę,
która oskabiła przykazania wiary.
Czerwień choć dostojna, to jednak w nadmiarze,
stwarzała nieprawość ludzkiej wyobraźni,
w godzeniu tej gali nie idącej w parze
z prawdą o wymiarze ludobójczych kaźni.
Działalność ^{też} jednak była radykalna,
z uporem sadysty przemodelowywano
cały kraj ojczysty, a przyjaźń formalna
dbała by w tym dziele kolor nie zmieniano.
Resztę czas utrwałał i wzmacniał kondycję,
praca jako prawo chronęła lud cały,
partia dla pewności wzmacniała milicję,
a ubeki wszędzie swoje miały gaily.
Wódz owego czasu dziwne miał nazwisko,
pragnąc przez uległość zmienić polskie branie
na bardziej mu bliskie - "bierut", jako wszystko,
co mogło wyjaśnić niechciane kochanie.

Czyniono zabiegi, by zmienić los ptaka,
przyznając, znalazły pożądane wsparcie
ze strony kolegi Józefa Luczaka,
bym się pewnie znalazł na przyjęcia karcie.
A to pozwoliło, w bardzo krótkim czasie,
wybrnąć z sytuacji naprawdę krytycznej,
gdyż mnie umieszczono w przodowników klasie,
chroniąc przed skutkami doli anemicznej.
Pan kierownik Józio, zwany personalny,
tym razem w zakładach dużych, metalowych,
przyśpieszył przyjęcie w sposób idealny,
także na warunkach dla mnie wyjątkowych.
Tym razem ponownie zmieniłem profesję,
stając się zastępcą kierownika działu
do spraw inwestycji, a więc nowe miejsce
musiąłem poznawać sprawnie, cal po calu.
To mi się udało, nawet w krótkim czasie,
bo już po upływie zaledwie pół roku,
byłem kierownikiem w fabrycznym atlasie,
prowadzącym całość podług swego kroku.
Nowość szokowała zakresem różności,
bo były to pierwsze działania zakładu,
modernizujące skalę możliwości,
jakości produkcji, powiększenia wsadu.
Po prostu tworzenie niezbędnych powierzchni,
dla zwiększonej masy żeliwnych odlewów,
oraz dla montażu odlewniczych treści,
w potrzebne maszyny określonych celów.
Ogrom pracy stale pomnażał trudności,
z uwagi na wielkie, powojenne braki,
oraz niemożliwość spełnienia pilności,
bo towar zbyt często bywał bale jaki.
Z terminami również było bardzo różnie,
opóźnienia rwały założenia planu,
a wszelkie wysiłki trafiały na próżnię
i szczerze martwiły niepewnością stanu.
Wykonawstwo również, w każdej swojej branży,
trafiało na częste progi niemożności,
a wówczas wiodący bezradnie się skartżył,
przewidując skutki owych okropności.

Stare instalacje rwno co niemiara,
pękały też rury, nawalaly kable,
miejsca pracy woda hojnie zalewała,
a wszystko to było po prostu po diable.
Ubeki ganiali diabłem opętani,
szukając we wszystkich oznak sabotażu,
a gdy go nie było, chamsko przeklinali,
zacierając brednie chlaniem dla kurażu.

Najbardziej oddanym, co warczał i szczekał,
patriotą nowego porządku w zakładzie,
był szary czkowieczek, półanalfabeta
i niezłomny kaczyk w politycznym kadzie.
Z imieniem świętego, spokojnego Jana,
mógł nawet uchodzić za wzorzec świętoszka,
nazwisko Forycki, też nie od barana,
lecz wnętrze ubowskie i błazeńska trocka
o to, co ze Wschodu, jak zaraza legło
w jego pustogłowi okazją na życie,
lecz nie robotnicze, co go tak urzekło,
ale fotelowe, podziwiane skrycie.
Jak każdy półgłówek żądny szczypty władzy,
ganiał po zakładzie i swoim psim węchem,
penetrował cały teren gdzie półnadzy
pod jego adresem stali "joby z mięchem".
Lecz on zapatrzony w stalinowskie dryle,
wiernie się przykładał do obrony wiary,
którą nagle poczuł w każdej prawie żyły,
a swoją sprzedajność snuł jak komuch stary.
Stały kontakt z władzą urzędu przemocy,
którą śmielsi ludzie zwali ubekami,
wzmacniał jego czujność na czas dnia i nocy,
nie tracąc mniemania, że walczy z wrogami.
Zachwycony ciągłym smakiem polowania,
równoważył słabość padalczego ducha
spora dozą wody, kryjąc skutki chlania
uniżoną pozą wiernego komucha.
I chociaż był niczym, pospolitym zerem,
wstrętnym karaluchem w domu swoich braci,
nieustannie śmierdział gnijącym już serem
i spełniał to wszystko, co żądali "tamci".

Mówiłem już kiedyś, po większym doznaniu
tego, co oblekło nowością kraj cały,
że lisie godzenie sprytu w nabieraniu
z czystą uczciwością, to świat naszej chały,
często osądzany przez więzienne kraty,
a mimo to bywał wielce pożądanym,
przybrany w ochrypłe, zwierzęce wiwaty,
wówczas gdy ten godny wciąż był rugowany.
Spryt dawał uznanie, mieszał rodowody,
potrafił maskować wszelkie nabieranie
i leciał przykładem od głowy do głowy,
jako pewny sposób na swe wzbogacanie.
Urodzaj kapusiów przerastał już plany,
omijano prawdy, a szept sprawiedliwy,
jak cicha modlitwa opisywał plany,
które w kształcie gwiazdy, w sposób osobliwy
wyniszczają wszystko, co z narodu chwały
niezmiennie świadczyło o jego godności,
tysiącletnim prawie, które wzbogacały
treść niezłomnej wiary w prawo do wolności.
Przerósne bywały przeciwności losu,
tworzące historię dumnego narodu,
w nimbie bohaterstwa na miarę etosu -
zawsze solidarnych w walce aż do grobu.
Tym razem, wróg znany ze swych okropności,
oficjalnie służył pomocą i radą,
a na swym obliczu zwierzęcej chytryści,
uśmiechem maskował to, co było zdradą.
A mając w orbicie swoich niecnych działań,
sporo wspierających, miejscowych kacyków,
nie poskąpił błaznom poleceń i wskazań,
jak działać, by stać się wzorem bolszewików.
Wielu było takich, co to dla kariery,
w interesie wroga sprzedawali siebie,
a swoje działania, przez ażur bariery,
raz widzieli w piekle, a drugi raz w niebie.
I chociaż nie mieli prawdziwie szlachetnego
określenia siebie, chociażby szujami,
od czasu do czasu z konta sprzedajnego,
chętnie też głosili, że są patriotami.

Lecz ludzie normalni, po prostu uczciwi,
wciąż byli dalecy od pieprzowych smaków
oraz w swych zwyczajach ze spokojem żyli,
nie przyjmując żadnych narzucanych znaków.
Natomiast na szczytach niekochanej władzy,
młot ideologii walił w zgięte karki
dając im znać o tym, że nie chcąc być nadzy,
muszą stale dążyć do czerwonej arki,
która ich uniesie w świat pełnej wolności,
co teoretycznie już wszystkim dawało
zapewnienie pracy i prawo równości,
a wszystko obficie złudą malowano.
Tak z premedytacją karmiąc się obłudą,
gasiwano ziarno czerwonych uroków
w ziemię, co krwią syta, swoją boleść długą
musiała przenosić wolno, krok po kroku,
w makabrę najnowszych historycznych zdarzeń,
które wyrastając z zakłamania nocy,
tłamsiły ojczyście panoramy marzeń,
zachłanną przyjaźnią, podobną przemocy.
Im się wydawało, że już całe wieki
będą wychwalały stalinowskie moce,
za niepewność jutra, rozruchy bezpieki,
które pożerały krwawicy owoce.
Upiór i sadysta, maniak chorobliwy,
uzurpator siły i jedynowładztwa,
zawsze hojny śmiercią, podłością gadziny,
w zadawaniu bólu nie znosił partactwa.
Nie miały znaczenia tysiące zabitych,
niewinnych, bezbronnych, bo to tylko czystka,
która miała wzmacniać wszystkich prawowitych,
choć czasem bywała niechciana "oszybka".
Ludziska ginęli nie pojmując tego
krwawego bezprawia w aureoli prawa
i swoją bezsilność na rzecz przeklętego,
opłakali życiem. Była to ofiara
rzucana na ołtarz pomylnych wierzeń,
że moce kapłana na krwi chodowane,
przerastają rozum nie znosząc zastrzeżeń,
bo niszczone wszystko to, co zakazane.

Często zakazany było samo życie,
które w imię diabła perfidnej terapii,
musiało się spełniać zwińszęco i skrycie,
bo wszędzie sięgały łapy krwawej mafii.
Jeden gest odmienny, lub przeciwne słowo,
stanowiły dowód zwykle ostateczny,
aby za te grzechy płacić własną głową,
wliczoną przez prawo w rachunek konieczny.
W ten sposób mnożono liczebność skazanych,
pęczniały więzienne, opychane cele,
przemoc coraz lepiej karcika wybranych,
zabierając wszystko, a dając "zbyt wiele".
Zabrakło umiaru w sędowniczej słości,
darzono latami bez opamiętania,
pomnażając stale huragan wrogości
w umysłach i sercach trawiących skazania.
Wolno, ale stale przybywało śmiałych,
którzy coraz pewniej sądzili to piekło
i mówili prawdę, aby ogłupianych,
zło w czerwonej szacie całkiem nie urzekło.
W tym czasie nagminną bywała zasada,
stałego wciskania w gubiące się głowy,
że tylko czerwone i żelazne prawa,
pozwolą osiągnąć sukces narodowy.
I tak powtarzając stale, do znudzenia,
kłamliwe bajeczki o tworzonym raj, u
liczyli swą wartość miarą otepienia
tych, co już ulegli, lub błądzą na skraju
oślego poletka, odurzeni magią
czerwonych kadzideł w kręgu pustosłowa,
które w miarę potrzeb potrafią i zagrzmia,
aby siłą zetrzeć niesforne przysłowia.
A tych było sporo, na różne tematy,
które sama władza zwała wiodącymi,
bo one najpewniej stryliły komnaty
bukietami myśli, głównie czerwonymi.
No bo nie natura, jedynie chęć szczera,
wystarczała wówczas aby stać się godnym
zdobycia prestiżu nawet oficera
i życie urzędzić czymś bardziej pogodnym.

A były to fakty, realne zdarzenia,
które poznawałem pewnie, należycie,
kiedy po okresie złego zagubienia,
znowu się włączyłem w nurt tworzący życie.
Moim dyrektorem był sprawny modelarz,
w kadrach rządził śmiało malarz pokojowy,
skarbcicą mądrości był zza Bugu pszczelarz,
a zbytem się trudnił strzelec wyborowy.
Był czas, że technicznym, panem dyrektorem,
mianowany został, ponoć wyborowy,
wierny służąca partii, choć twierdził z humorem,
że ma dyplom wyższej, podstawowej szkoły.
Każdy gębą świadczył wykształcenie średnie,
choć nie mógł przedłożyć dowodu, świadectwa,
spokojnie zmyślając wciąż bez sensu brednie,
aby się nie przyznać do swego kalectwa.
Wśród nich był policjant przedwojennej miary,
a także komornik jeszcze przedwrzesniowy,
którzy będąc w normie, w gestach zrozumiałych,
wspomagali innych w sposób honorowy.
Z czasem mi dodano, oceniając trudy,
człowieka godnego memu zawierzeniu,
a był nim Kościelniak, mizerny i chudy,
już po czterech latach szkolenia w więzieniu.
Aby jeszcze bardziej wzmocnić pion tworzenia
i ulżyć mej doli, na świętego Jana,
dano mi zastępcę - pijaka i lenia,
zdegradowanego w wojsku kapitana.
Był nim Powalowski, pan kierownik "vice",
tworzący o sobie przeróżne bajeczki,
które traktowano jako zwykłe "pice",
maskujące prawdę tą z ubeckiej teczki.
Powoli lecz stale jawił się ten człowiek,
zawsze w odmienionym garniturze władzy,
a kłamiąc zawzięcie, nie przymykał powiek
nimo, że się trudził też grzebaniem w sady.
W ten sposób wzmocniono dział aż o dwa gady,
racząc go na wyrost łaskawie, celowo,
co nam pozwoliło sądzić bez żenady,
że chcą rozpracować cały dział fachowo.

Będąc pewien swego, patrzyłem uważnie,
jak tych dwóch łobuzów przerabiało siebie,
a każdy to czynił szubrawiąc odważnie,
zawsze wybielając własne podniebiebie.
Obaj zapoznani z kryminalną dolą,
potrafili chodzić cicho, na paluszkach,
a w owym stępaniu wiodącą busolą
była chęć grabieży na bezbronnych duszkach.
Ciągły brak gotówki na lewackie skoki
po kieliszek chleba, pod dzwonko śledzika,
zmuszał nieboraków do działań na boki,
byle się nie zmienić w starego piernika.
Hołdując zasadzie, że dobre stosunki
z tymi, co stróżami od prawa się zwali,
kalectwem swej nowy, wspieranej przez trunki,
stałe Foryckiemu stek bzdur serwowali.
A ten z byle bzdury czynił akta sprawy,
które odkrywały wszędzie wrogów ludu
i stał swe donosy licząc na pochwały
ze strony obrońców czerwonego cudu.
Takim to sposobem łobusy i szuje,
zamiast prostowania swej niecnej przeszłości,
starali się poznać, co z nas każdy czuje,
do tej narzuconej nam rzeczywistości.
A że przy tym chlali często i obficie,
traktowani byli zawsze jako zero,
zaś to co czynili judaszowo skrycie,
było nazywane parchem lub cholera.
Pożytku żadnego nie było z nich w pracy,
arogancja rosła w chamskich obyczajach,
bo w swoich działaniach byli byle jacy,
po prostu półgłówki w sobie godnych sgrajach.
Z czasem, gdy odkryłem w nich jakoś kretynów,
robaczywe wnętrza i mózgi złoczyńców,
starłem się pozbyć obu tych psich synów -
złośliwych kapusiów, ciemnych barbarzyńców.
Jednak w ciemnogrodzie ubeckiego stanu
ich wartość przyjęto jako wyjątkową,
bo oni choć w skórze niesfornych baranów,
oczerniali prawych, zajętych budową.

Niestety tak było, że ten kto uczciwie
spełniał swe zadania na prawym przykładzie,
był raczej niepewnym, wiedzianym złościwie,
jako wróg obrządku w nowym kraju ładzie.
A wskazanym było uchronić głupszego,
bo on mógł stanowić właśnie tą opokę,
na której ci cwańsi z kręgu partyjnego
zapraęali światu dać nową epokę.
I tak się toczyła walka o te masy,
które tumaniono obiecując wiele,
aby wierne były chwałę nowe czasy,
a spowiadać mogły się nadal w kościele.
Z czasem jednak spowiedź także zeświedzczała,
bo konfesjonazy były tajemnicze,
zaś spowiedź ubecka więcej dostarczała
rozeznania grzechów, głównie w polityce.
Spowiadano wszystkich sprawnie i uparcie,
poszerzając pamięć o melodię głosów,
które zawsze wiodły prawych na pożarcie,
z okładem fałszywych i podłych donosów.
Człowiek żył, pracował, i niepewny chodził,
myśląc stale o tym, co jutro przyniesie,
bo przecież nie wiedział kto mu w kaszę smrodził
i który go z diabłów w siną dal poniesie.
Kaędy mógł się nagle stać stroną wypadku,
nieprzewidzianego nawet snem koszmarnym,
który bezzasadnie stłamsi go w upadku,
aby po nim stał się całkiem nieporadnym.
A potem już łatwo będzie zeń wycisnąć
to, co zapisano w judaszowym skrypcie
i wszystkie bezprawia do wnętrza mu wcisnąć,
wolno jak narkotyk po właściwej szczypcie.
Będac ogłuszony na wszystkie sposoby,
człowiek wnet się stawał bezradnym przedmiotem,
który przepychany przez piwniczne groby
zwane aresztami, stawał się Pierotem -
błaznem na łańcuchu bezprawnej przemocy,
dla którego gasły blaski dnia kaędego
oraz rozsrebrzone z księżycowych nocy
marzenia o prawach stworzenia boęego.

Dyrekcja niestety stała się bezsilna,
choć jej świadomość była dostateczna,
że sprawa porządku stawała się pilna,
a więc w sferze czasu szczególnie konieczna.
Ta przykra bezradność była oczywista
i na nic się zdążyły głosy dobrotliwe,
które miały wmawiać, że czerwień soczysta
też wyzwolić może gesty sprawiedliwe.
Były to mniemania z gestwiny frazesów,
jakie zniewalały każdą skąbość ducha,
a to wiedło ludzi w arkana procesów,
w których sprawiedliwość była często głucha.
Przykłady, doznania bywały powszechne,
bo tych co fizycznie doznali przykrości,
wchodząc w szranki z władzą o prawa społeczne,
stałe przybywało po lekcjach prawości.
A to stosowane z wulgarną przemocą,
w ciężkich kazamatkach własnych twerdogłowych,
stępiły umysły u tych co się boją
i nie chcą się modlić do świętych - czerwonych.
Zaś tych, co uparcie nie zmieniali wiery,
i w swoim uporze trwali z woli Boga,
czerwoni prorocy spychali na marylę,
gdyż ich rozgieszkała jedynie ta droga.
Cały system wparty na ludzkiej podłości
i wrednej przemocy rodzinnych satrapów,
powieleż "braterskie" wschodnie okropności,
przejmując metody stalinowskich capów.
Nam przyznać przywykać do chamstwa i draństwa,
do wyrzutek klasy zwanej rzesztetową,
i tak się obracać wśród tego pogaństwa,
aby nie utracić własnej prawdy z głową.
Zaś mnie pozostało patrzeć jak te dranie
budowali z chamstwa, fałszu i donosów,
wypaczony obrys życia na wulkanie,
według wskazań mafii - jej ubeckich bossów.
Nie wiedziałem kiedy zmuszą dyrektora,
aby zgodnie z prawem, chociaż bez przyczyny,
zmienił bezpartyjnych, co tkwili w pozorach,
na tych przodujących, choć w barwach gadziny.

Czas mijał na krecim działaniu opryszków,
którzy przy poparciu UBeka zakładu
nie musieli nosić kagańca na pysku,
więc szeczekali śmiało, bez ładu i składu.
Pracownicy działu truchleli ze strachu,
przeczuwając podły wiserunek czasu,
który z inspiracji pospolitych łachów,
pragnął z nich uczynić bezmyślnych pariasów.
Strach ma wielkie oczy i wiele podłości
wśród fałszywych złudzeń w przyszłe przebaczenie.
To on za pysk wodził człowiecze słabości,
choć wciąż je pocieszał pewnym rozgrzeszeniem.
Chodziło więc o to, aby stałym strachem,
osłabiać stanowczość zdrowego rozsądku
tak długo, aż zacznie też stawać się łachem,
dla pospolitego w swej zdradzie porządku.

Te właśnie mnie przypadł wyjątkowy seans,
dający sposobność na lepsze poznanie
bezceństw u ludzi, których ten kontredans
wiodł z parkietu tańca w nerwicowe drganie.
Krzywiły się gęby co niektórych braci
w rzekomym uśmiešku na przypodobanie,
kiedy powracali z swego "ja" obdarci,
mając już za sobą pierwsze przesłuchanie.
Jednak nikt z tych grzecznie ukłonionych panów,
nie wyznał otwarcie o co go pytano,
mimo, że to były zagrywki organów
do jękliwych pieśni, by lepiej śpiewano.
Będąc już li tylko z własnymi sądami,
brnąłem bez wyjaśnień w słowieszcze zautki,
które wolność myśli tkamsiły murami,
a nad nimi w locie tańczyły jaskółki,
dając szczebiotaniem znać radośnie o tym,
że ich lot szalowy stanowił sprawdzanie
kondycji na drogę pod niebiańskim stropem,
do ciepłego kraju na przezimowanie.
Podziwiałem szczerze ich radość w wolności,
jako symbol życia zgodny z wolą Boga
oraz tą wspaniałą gamą ich pewności,
że przed nimi jasna wciąż ku słońcu droga.

Zazdrościkiem szczerze tym wspaniałym ptakom
szczególnej jedności, wolności i zgody,
ich cudownych lotów ku niebiańskim szlakom,
stanowiących pewnik słonecznej pogody.
A to wyzwalało we mnie żal serdeczny,
że tutaj wrócić, żując się nadzieją,
w pełne zrozumienie, że był to konieczny
sposób na jednanie tych, co losy dzielą.
Lecz teraz pojmując, jak to bardzo różnie,
nowa rzeczywistość w odmienionych barwach,
wypełniała sobą uczuciową próżnię,
spostregając różność na społecznych garbach.
Ludzie jak wielbłądy, jedno i dwugarbne,
zmięzali przed siebie nad podziw wytrwale,
nie bacząc już na to, co czyni fatalne
skutki z ich działania wrogo przeklinane.
A skoro tak było, byli również tacy,
co jak dzikie zwierze chcieli gryźć i szarpać,
byle się usadzić, nie kochając pracy,
na stołeczkach władzy i bezczelnie parpać.
Aby móc dokonać wreszcie radykalnej
przemiany, korzystnej tylko dla jednego,
niezbędnym się stało w rozróbie nachalnej
wykazać, że partner to nie szczególnego.
Działanie musiało stać się wielostronne,
bo szło przecież o to, aby jednym ciosem
zniszczyć kierownika, a kadry bezbronne
zniewolić obawą przed niepewnym losem.
Ta podkość działania już była dograna
pomiędzy Foryckim oraz Powałowskim,
reszta z Ubekami była dośpiewana
w wielkiej tajemnicy, zwyczajem kremłowskim.
Szuje i złodzieje rej wodzili w sprawie,
która dzięki głupkom groźnie przestraszonym,
wnet znalazła miejsce w ubeckiej oprawie
i jak zwyczaj kazał, w trybie wymuszonym.
Atmosfera pracy w dziale inwestycji
nasycona była wciąż oczekiwaniem,
rozrabiackich skutków w obrazie kondycji,
która się stawała po prostu konaniem.

Na nic się nie zdały wszelkie żorzeczenia,
straszenie karami przez ich wnioskowanie,
bo "grochem o ścianę" były tłumaczenia,
że tak dalej czynić nie powinni dranie.
Lecz wszyscy nabrali sporo wody w usta
oraz zatykali swoje uszy watą.
Każda interwencja w skutkach była pusta
i nie chciała szkodzić kapusiom - psubratom.
Oczywiście skutek takiego działania
wnet dawał znać mówiąc, co to w sumie znaczy,
bo drętwiał czas pracy, w słabości się skaniał
wiedząc, że wnet całkiem pewnie się rozkraczy.
Kapusie już czuli się pewni wygranej,
do pracy chodzili jak im czas pozwolił,
bo chlejąc z wieczora, nie zdążyli ranem
stawić się u bramy, lecz nikt im nie szkodził.
W tym lekceważeniu swoich obowiązków
wyraźnie przodował kapuś wyjątkowy,
przodownik przeróżnych kryminalnych związków,
z piętnem degradacji - kapitan ludowy.
Był nim Powałowski - wyjątkowa szuja,
picer i szubrawiec ponoć spod Lublina,
lecz tu znalazł azyl, choć miał wygląd szuja,
na Ziemiach Zachodnich - przybłęda, gadzina.
To on, pozorami na różne sposoby,
usilnie się starał aby go widziano
jako przyjaciela, który śle honory
oraz szczerze pragnie by go tu uznano.
A było to wszystko pod maską obkudy,
nabieraniem ludzi dla swojego celu,
aby z nich, lub przez nich, usbierać te brudy,
które później zniszczą jednego lub wielu.
Był to pewny sposób, choć chamsko perfidny,
pełen wyszkolonych zagrań oraz chwytów,
aby tym sposobem zrobić z "igły widły",
a stosunki ludzkie zniszczyć orgią zgrzotów.
Czyniono to po to, by w dogodnym czasie
stłamsić groźnym strachem serca niewolonych
oraz w tej nękaniej, utrudzonej masie
wywołać pogardę do nieodmienionych.

Pośród potępionych, choć nie oficjalnie,
również mnie stawiano, czyniąc to tajemnie.
Robiono to jednak tak bardzo niezdarnie,
że o tym wiedziałem bez rozgłosu, pewnie.
Mówiłem też o tym władzy przedsiębiorstwa
twierdząc, że to burzy skuteczność tworzenia
przez dział inwestycji i jeśli to potrwa,
opóźnienia będą nie do odrobienia.
Niestety, pomocy mi nie okazano,
a jedynym szczerym gestem bezradności
było rozłożenie rąk, które wiązane
służbowym nakazem do tej uległości.
Coraz bardziej czułem, jak nasłane szpiry
mącą atmosferę wokół mej osoby,
a ich wspierające, pospolite zdziury
przenikały wszystko, jak oczami sowy.
Będąc bezpartyjnym, już skazany byłem
na utratę dobrze ustawionej pracy,
którą mówiąc szczerze, ja na co dzień żyłem,
mając zrozumienie co to dla mnie znaczy.
Wiedziałem, że praca której się podjąłem,
stanowiła dla mnie okazję sprawdzenia
tego, co potrafię uczynić z zespołem,
który mi oddano dla sprawy tworzenia.
Pierwsze inwestycje dla tego zakładu,
miały go uczynić bardziej nowoczesnym,
który wnet się stanie przykładem dla żądu,
miejscem zatrudnienia, niezbędnym, bezpiecznym.
To było czyną godnym i warte zachodu,
dlatego oddany sercem owej sprawie
wierzyłem, że tworzę dla dobra narodu,
choć mi przeszkadzano wrogo i plugawie.
Nie bacząc na podłe sagrywki hołoty,
realizowałem założone plany
oraz przeżywając upadki i wloty,
zawsze byłem w pracy raczej szanowany.
Tylko jacyś błędni rycerze bezprawia -
półanalfabeci ludowej ojczyzny,
spozstrzegali we mnie niegodne zagrania
wobec darowanej, czerwonej spuścizny.

Kto choć w części poznał rodzinną historię,
którą miałem możność ze smutkiem wyznawać,
nie mógł błędnie myśleć, że głoszę teorię
i nie mówię prawdy aby czas obrażać.
Ja tak nie czyniłem, lecz stwierdzałem fakty,
które stanowiły obraz tej gehenny,
jaka z sumy przeżyć dała smutne akty
rodzinych tragedii w okresie wojennym.
Przez sześć lat wyrwanych z normalnego życia,
mając do czynienia z ojczyzny wrogami
oraz rodzinnego przemocą rozbicia
i nakaz włości różnymi drogami,
rodziły się w sercu uczucia niechciane,
dalekie od ludzkich wyobrażeń dobra,
które na wrogości będąc chodowane,
dojrzały jadem, nity groźna kobra.
Nienawiść, mój Boże, jako rodzaj grzechu,
stanowiła wówczas siłę na przetrwanie,
będąc przeciwnością ludzkiego uśmiechu,
wciąż potęgowaną przez ból i konanie.
A kiedy makabra, tych wojennych doznań,
znalazła swój koniec w zawartym pokoju,
jej skutki wciąż trwały w głośnym echu wołań
tych, co ją przeżyli w katordze i boju
o wolność dla ludzi i spokój dla ducha,
o prawo do życia i swobodę myśli,
bo choć przeminęła krwawa zawierucha,
to z naszego domu niechciani nie wyszli.
Taką była prawda i ten kto się dziwił,
szukając rzekomych wówczas wrogów ludu,
w swoich poczynaniach tragicznie się mylił,
bo to on był wrogiem tenącym wód brudu.
A ten brud był rdzawy, już prawie szerniały,
stanowiący plamy skrzepłej krwi człowieczej
tych, co katowani - potem rozstrzelani,
stanowili temat do wszelkich skłóceń
pod adresem podłych, choć rodzinnych katów,
których celem zbawczya było zabijanie
bohaterskich braci, na rozkaz kamratów
wnoszących ze sobą gwałt i mordowanie.

Taką była prawda, którą wyznawałem
i miałem odwagę szczerze o niej mówić,
nie czyniąc wrogości, gdyż ja rozumiałem,
że mogło wbrew prawu, groźnie mi zaszkodzić.
Oczywiście czujność nigdy nie zawadzi,
stąd ma konwersacja raczej dotyczyła
sposobu na życie, by w niczym nie wadzić,
aby ma rodzina też w spokoju żyła.
Po prostu, stosując zwykłość zachowania
oraz niekłamany sposób wypowiedzi,
moje prawdy były bez retuszowania,
naturalne w barwach - szczerością spowiedzi.
Nie musiałem kłamać, ani przeinaczać
fakty, które były rodzinną historią,
to mi nie kazało bariery przekraczać,
ani złych przypuszczeń zamieniać w teorię.
Tak mi się to jednak tylko wydawało,
kiedy słuchający kiwali głowami,
co miało oznaczać, że mnie rozumiano,
bo nic nie stawiałem do góry nogami.
Niestety, w tym mnie się zdarzyło nawalić,
bo ci różni słuchem - zwykli bisurmanie,
jeśli nie pojęli, zaczynali chwalić,
choć byli gotowi też na psie szczekanie.
Efektem tych rozmów była kartoteka,
pęczniejąca w bzdury bez sensu i ładu,
a ubecki geniusz mózg cierpliwie czekać,
aż to wszystko da się sprowadzić do składu,
który z przeinaczeń i własnych sugestii,
w powiązaniu z bzdurą zmyślonego słowa,
budował giganta niebezpiecznych bestii,
a to wystarczyło, by leciała głowa.
W tym czasie twierdzenie, że prawo nas chroni
przed krzywdami dawnych czasów zniewolenia,,
było propagandą tych, wspartych na broni,
którzy ciągle tkwili w mocy zakłamania.
To oni czynili zawsze z igły widły,
aby mieć powody prawnego działania
w niszczeniu głębinnych,, co rzekomo gryłli
zadek tej świetlanej przyszłości z czekania.

Tymczasem Kościelniak czując co się święci,
rozpoczął zagrywki w imię pilnej troski,
aby dostatecznie wyjaśnić kto maćci
spokój pracy w dziale. Był to Powąłowski.
A czynił to pewnie i tylko dlatego,
że także wymarzył sobie moje miejsce,
kiedy Powąłowski, mnie pokonanego,
usunie ze stołka na swoje nieszczęście.
Tak więc Powąłowski rozrabiał mnie równo,
a Kościelniak jego wykańczał po cichu,
zaś obaj zawzięcie mieszali to gówno,
szczególnie gdy byli po większym kielichu.
Forycki przyjmował dwustronne usługi,
mącił laną wodę w wiadomym mu celu,
przyjmując zasadę, że ich język długi
może mu przy jednym, narać też wielu.
Byłby krzyż zasługi albo kawalerski,
podwyżka poborów i otwarta droga
do własnej kariery, w szlifach oficerskich,
za trafne wykrycie ludowego wroga.
Okazja szczególna, nie do odrzucenia,
węch mu wyostrzyła niemal do przesady,
bo oto mógł ziszczyć swe podłe marzenia
i nie mieć munduru tylko do parady.
Podobne pragnienia miał też Powąłowski,
który także stale myślał o mundurze,
jaki z winy zdrady - zaniedbanej troski,
leżał zmiętolony w byle jakiej dziurze.
Ci bohaterowie brodzący w czerwieni,
nie wiele myśleli o przyszłości kraju,
a ich podłe twarze nerwostan rumienił,
aby się przejechać "na cudzym do raj".
Zespalając siły, wierzyli w zwycięski
koniec wywołanej, niechlubnej rozrąby,
wmawiając wciąż sobie, że ich wyczyn męski,
na pewno nie będzie ich drogą do zguby.
Wierzyli bez reszty w racje socjalizmu,
choć każdy z nich trochę inaczej to widział.
Jeden jak najszybciej pragnął komunizmu,
a drugi niepewnie na tej grzędzie siedział.

Jedno ich łączyło bez żadnych zastrzeżeń,
a było tym chłanie wody co niemiara,
zaś to, że zdradzali na rzecz wrogich wierzeń,
mało ich bolało, bo to czynność stara,
Tak czyniono dawniej i teraz tak czynią,
a do osądzania inni mają prawo.
Nie chcąc jednak zostać pospolitą świnią,
ich mentorstwo w wódzie wszystkim przebaczało.
Razem stanowili przykład zagubienia
na czerwonym bagnie, niepewnym dla ludzi,
a widząc u innych wyraz potępienia,
uznawali z cicha, że to ich nie brudzi.
Oni byli pewni, że to ich nie bruka,
że raczej odwrotnie, bardziej ich wygładza,
bo tak im kazała zdobyta nauka
oraz z tej nauki określona władza.
Ich mentalność była raczej prymitywna,
pozbawiona również ludzkiego sumienia,
bo oni przeważnie, jako brać naiwna,
swoją mądrość mieli wyłącznie z więzienia.
Dziwnym było tylko, że to właśnie władza
na głupków stawiała, licząc na wygranę
politycznej sprawy, którą wyprowadza
ledwie z kiełkowania, wprost na wielkie granie.
I chociaż to było mało rozumiane
przez uczciwe masy, pracujących ludzi,
od dołu do góry było forsowane,
by mogli pogrubić kapusie zbyt chodzi.
Na czym te wypasy chudych polegały,
trudno było pojąć, nie znając ich ducha,
który w miejsce czucia wybałuszał gały
i cierpliwie patrzył oraz pilnie słuchał.
Ale skoro oni popijali stale,
musieli mieć boki z lewego dochodu,
co im pozwalało wciąż zakrapiać łale,
które mimo wszystko były czymś z zawodu.
I chociaż zawodem był raczej niedosyt,
w ilości zdobytych za donos srebrników,
nie mieli odwagi twierdzić, że pasocyłt
uczynił z nich podłych zbirów - sprzedawczyków.

* *
* *

Osiem lat miało trudnych do uznania,
że były to lata z tych tak bardzo smionych,
bo one jak owoc, bliski dojrzenia,
jawiły się uamając w kolorach czerwonych.
Kolor mógł pozornie świadczyć o jakości
oraz powodować fałszywe opinie,
że oto czas nastał smakowej jedności
nimo, że to brzmiało po prostu naiwnie.
Owoc był czerwony, lecz o gorskim smaku,
bo wykrzywiła usta tym, co grali ainią
i na nie się zdało równanie z nim maków,
wyrosłych po bitwie pod Monte Casine.
Tam ofiara, męstwo i ojczyzny imię,
zwarzy się w jedności narodowych znaków,
a zraszając hojnie krewią Italii ziemię,
wyzwoliły przestrzeń dla czerwonych maków.
Zas tu, naszą przestrzeń ojczyźnianej ziemi,
zajęły w swej masie czerwone jastrzębie
i chociaż okupant na pewno się smienił,
jednak zawierzenia nie było w tym względzie.
Wględną była wolność oraz samorządność.
Ciekawie nieszykaną, była suwerenność.
W przestrzeni swawisła narodowa godność,
a codziennym dobrem stała się zależność.
Na co dzień żyliśmy po prostu u siebie
i bez zbędnych śladzeń wiedzieliśmy o tym,
że ta nasza wolność, jak błękit na niebie,
często oraz gęsto była czarnym stropem.
Wszystko co się usiało nosiło znamiona
zawsze obcej próby na rodzimą jakość
i ciągle skręcało rozwarłe ramiona,
które chciały objąć przynależną całość.
Pozorami oraz giętkim pustostojem,
stałe wypełniono pejzaż ojcowizny
barwami na niby, bo zionąc cziwiec
zatrutowano życie, powodując bliźny.
Stale przywykanie do tej panoramy
oraz uwertury zgranych już melodii,
tworzyło z słuchaczy klopa wciśnięty w ramy
z tytułem doznania - diabelskiej rapsodii.

A ja te zagrania słyszałem i czułem
w sposób wyjątkowy, w wilczej bezwzględności
ze strony kapusiów, powiązanych sznurem -
czerwonym powrozem, wzorem służalczości.
Lecz mimo paskudnych oraz podłych zagrań,
łącznie z karygodnym, szubrawym niszczeniem
pism ważnych i mnustwa kapusiowych bazgrań,
nie dałem się straszyć mych spraw opóźnieniem.
I chociaż kłopoty narastały stale,
a ludzkie podłości przerastały prawo,
brnąłem przez to bagno śmiało i wytrwale,
aby z niego wybrnąć zdrowo oraz cało.
Wówczas nie wiedziałem, że szatańska zмова
na szczeblu powiatu już zdecydowała,
że porządek każe, aby czyjaś głowa
za sianie zamętu odpokutowała.
Chodziło już tylko o wskazanie głowy,
która w imię sprawy wzmocnienia jedności,
przywdzieje więzienny kach, aby czerwony
zestaw szat dla władzy nie tracił godności.
I tak też się stało, w zgodności z grafiką,
trzeciego lutego ubeckie psy ładu,
pod przewodem herszta, zwanym porucznikiem,
zgarnęli mnie równo sprzed bramy zakładu.
Nawet mi nie dano chwil na pożegnanie,
bym mógł jeszcze spojrzeć moim wrogom w oczy
i plunąć im w twarzę - pęski zakazane,
by były czytelne tak w dzień, jak i w nocy.
Niestety, tym razem wszystko błyskawicznie
zmieniało się teraz w potworny stan szoku,
a mogło to pewnie wyglądać tragicznie,
gdyż miałem obstawę po mym każdym boku.
Wieźli mnie do domu czerwoni psubraty,
aby w obecności żony i sąsiada,
przeszukać mieszkanie, a potem za kraty
osadzić mą wolność, by nie nie gadała.
Żona oniemiała. Dzieci z przerażenia
chowają się w kąty skromnego mieszkania,
a ja z bólem serca, kryjąc swe cierpienia,
chciałem ich pocieszyć, na mój czas rozstania.

Ubeki zawzięcie bałagan czynili,
szukając co najmniej jakiejs "grubej Berty",
a przy tym bez sensu co chwilę grozili,
tworząc z przewracanych rzeczy super sterty.
W tym pieskim wyczynie, przy obwąchiwaniu,
też słuźalczą rolę wypełniał Forycki
i chociaż to czynił wiedząc o bezprawiu,
miotał się jak ogier u diabelskiej bryczki.
A to wyglądało, że on w tym rej wodził
i za wszelką cenę chciał zdobyć dowody
stwierdzające słuszność, że za mną wciąż chodził,
mając w tym działaniu poważne powody.
Efektem tej hecy - muzgowej ciemnicy,
stał się wiersz mówiący o powstaniu śląskim,
który napisałem z okazji rocznicy
i był drukowany w czasopiśmie lwowskim.
Były to "Orlęta" - rok trzydziesty piąty,
kiedy przeżywałem szesnasty rok życia
i właśnie dlatego był prowokujący
w szerzeniu wrogości, po cichu, z ukrycia.
A że miejscem w którym ten wiersz napisałem,
był Korpus Kadetów - Wodza Piłsudskiego,
to wrogą nienawiść teraz ja zbierałem,
a wiersz był dowodem czegoś okropnego.
To już wystarczyło urzędowym łowcom,
aby razem z wierszem wysadzić mnie z domu,
a będąc sprzedany przez kapusia osłom,
nie miałem możliwości poskarżyć się komuś.
Rozpacz rozsadzała udręczone serce,
z powodu tragicznej sytuacji żony,
która z dwojgiem dzieci trawiła los w męce,
nie znajdując nikąd koniecznej obrony.
Bez pracy i środków na dalsze przeżycie,
stanowiło przykład, jak władza niszczyła
bezwzględna przemocą prawe, ludzkie bycie -
rodzienną nadzieję, co w przyszłość wierzyła.
Teraz jednym ciosem zwykłego bezprawia,
niszczono rodzinę w imię podłych czynów,
rękoma czerwonych, przywykłych do brania
przykładu ze Wschodu, po prostu - psich synów.

Nie dano mi nawet pożegnać się z żoną,
ani ucałować przestraszone dzieci,
które głośno płacząc z buzią przerażoną,
żegnały nie wiedząc, co się tutaj święci.
Ja wówczas, mój Boże, nie mogłem nic czynić,
bowiem wroga przemoc miała w tym swe prawa.
Nie mogąc niczego natychmiast odmienić,
trawiłem ból w sobie patrząc, jak ta wrzawa -
rodzima czerwotka z grymasem Judasza,
burzyła w czortowskim rozmachu działania
spokój i nadzieję, aby życie zraszał
piołun nawiedzenia goryczą czekania.
wywiedli mnie z domu, w którym płacz pozostał
oraz pogrzebowa atmosfera ducha,
bo nikt nie mógł wiedzieć, jaki los nas chłostał
i jak podką będzie czasu zawierucha.
Ponownie w obstawie przemierzałem miasto,
żegnając je smutnym, bezradnym spojrzeniem,
a w mej wyobraźni, co uczciwe gasło,
zmieniając widzenie w ból i otępienie.
Ludzie mnie widzieli, lecz ja spięty w lepy,
gdy wewnątrz szalała burzą niepokoju,
nie już nie widziałem, stłamszony i ślepy,
jak już po przegranym swego życia boju.
Rozpacz bezsilności drugotała serce,
a myśli błądziły wokół mego domu,
gdzie istoty drogie w swojej poniewierce,
nie miały spokoju, jak po grzmocie gromu.
Wytrącone z nurtu zwykłej codzienności,
nawiedzone strachem niepewnego czasu,
widziały przed sobą jedynie ciemności,
lub ówioną tragedię katyńskiego lasu.
Zaś mnie w owym czasie, jako wroga ludu,
zamykano z trzaskiem w ubeckiej piwnicy
o jednym okienku poczerniałym z brudu
i kazano spocząć w tej zimnej ciemnicy.
Oprócz mnie, dwa łóżka żelazne, wojskowe,
a na nich sienniki wypełnione słomą
oraz jeden kocyk, by miejsce bojowe,
nie stało się zimną i bez czucia stroną.

XIV. RODZINNE FATUM

Tuż nad brzegiem Odry tęczę barw się mieni,
miasto znojących czynów wielu ojców, matek,
bogacone wiarą wyzwolonej ziemi
i radosnym życiem zrodzonych w nim dzieci.
Każdy dzień mozolny splendorem wzbogaca
najnowszą historię, na szlakach Chrobrego,
bo w nim moc Tytana - wyzwolona praca,
wciąż pomnaża siłę kraju ojczystego.
Kwitnące swą dumą, rośnie i zachwyca
wciąż twórczym działaniem, wsparte silną wolą
starych oraz młodych budowniczych życia,
ukochane miasto, zwane - Nową Solą.
A nad nim spokojna, błękitna toń nieba
i zbawczo płonący, złoty płomień słońca -
niezawodny, stały, jak ludzka potrzeba,
od chili poczęcia, aż do życia końca.
Czasami się chmurzy, będąc zamazane
chmurami najprostszej, szarej codzienności,
albo deszczem zmywa szyby malowane
ciekawością twarzy, ich różnorodności.
Wiatr rozpędza dymy i kreśli morały,
wijąc się dokoła rusztowań nadziei,
na których moc pracy, znaczonej trudami,
bywa spięta wiarą w bieli i czerwieni.
A kiedy z przestworzy, stałym prawem jazdy,
noc w swojej karocy zjedzie na miasteczko,
wzbogaca się Odra w migocące gwiazdy,
zaś niebo swe oczy mruży niby dziecko.
Młodość nocną ciszą chadza zaułkami,
a gesty sympatii szczerzej, uroczyściej,
wypełniają przestrzeń drżącymi słowami
i uczuciem z serca, jako prawdy czyste.
Ciche słowa świadczą miłosne wyznanie,
kiedy czułe dłonie chłoną treści wdzięku,
wówczas to się gubią cienie na murawie,
a rozkosz na ustach zwalnia czary Złęku.

Tak rodzą się nowe, radosne miłości,
bogate jak życie co z niej się wywodzi,
powoli, wstydliwie, wśród szczerych czułości,
co w sposób najprostszy z uczucia się rodzi.
To miasto młodości, kwiatów i zieleni,
pełne nieskażonej świeżości i słońca,
pod spokojnym niebem radosnych nadziei,
przystań dla serc prawych życiem musujących.

W tym mieście los kazał mi się zakotwiczyć
przy odrzańskim brzegu, aby nurt tej rzeki
pozwolił w pokoju na bieg życia liczyć
i zeń wyrugować niedostatek wszelki.
Bez przesady biorąc to, co dało życie,
pozwalało sądzić, że dobrze wybrałem,
bo wszystko co chciałem spałem należycie
wiarą i nadzieją i uczciwie grałem.
Tak mi się przynajmniej stałe wydawało -
miałem dach nad głową i własną rodzinę,
pokochałem miasto, które mnie uznało,
stwarzając początek na lepszą godzinę.
Byłem gotów uznać, że się nie myliłem,
skazując swą przyszłość na działanie w kraju,
przez co swoje miejsce ściśle określiłem,
zaniechając ^I młonek o uchodźczym rajcu.
Lecz teraz, po ośmiu latach zawierzenia,
w gruzy się rozwałak gmach mojej szczeroci.
Powracały znowu niechciane zdarzenia
pełne poniżenia, bólu i podłości.
Betonowa klatka stała się mym światem
bez nieba i słońca, bez światła i wody,
wypełniona zimnem, ba - mroźnym wiwatem,
bym wciąż tkwił na krańcach mroźnej niewygody.
Mijały potworne dni w tych kazamatach,
wśród grobowej ciszy, w samotni z kamienia,
a mrożone myśli tężały na czatach,
licząc nieustannie serca uderzenia.
Po dziesięciu chyba dniach takiej udręki,
zatrzeszczały zamki do piwnicznej celi
i zjawił się UBek, przerywając męki,
by mnie wyprowadzić do pierwszej spowiedzi.
A kiedy wyszedłem z tej piwnicznej nory,
idąc korytarzem spoglądałem w okna,

Aby choć przez chwilę tej odmiennej pory,
ujrzeć świat wolności przed tym, co mnie spotka.
Potem jakiś pokój, nieduży z biurczkiem,
za którym już siedział podporucznik Ub-e,
z pozoru na ustach z nieobtartym mleczkiem
oraz cienkim nosem - niby ptasim dziobem.
A kiedy przemówił stanowczo - siadajcie,
nie zwlekając w czasie, jak kazał usiadłem,
a on mi podsunął mówiąc - przeczytajcie,
papier z bagrozkami donosu, odgadłem,
to było zeznanie od Powakowskiego,
pełne absurdalnych, kłamliwych pomówień,
typowe jedynie dla bolszewickiego
sposobu oskarżeń pełnych niedomówień.
Zaś te potem sprawnie poprzecinaczane,
stosownie do potrzeb zaczętego śledztwa,
będą najbezczelniej ściśnięto zagrywane,
aby mi przypisać zmyślone przestępstwa.
A tego tak wiele czytając poznałem,
że mówiąc najprościej, ciemniało mi w oczach,
lecz ja to pojąłem oraz zrozumiałem,
iż chcą bym się mężczyź także i po nocach.
Spiałem się uważnie i pełen spokoju
oświadczyłem pewnie, że to zwykłe bzdury,
pozбирane podle, gdzieś z jakiegoś gnoju,
aby w tym co całe powodować dziury.
Oczywiście bzdur tych ja nie podpisałem
i choć niewiadomą było zniewolenie,
nie dałem się wciągnąć w grę pisaną kałem,
gdyż godniejszym było moje tu siedzenie.
Na tym się skończyło pierwsze przesłuchanie
i znowu wróciłem na swoją kwaterę,
w której mnie ubeckie pospolite dranie
bezprawnie wpisali żywym, ludzkim zerem.
I znowu te noce trudne do przetrwania
w towarzystwie jakże wygłodzonych szeszurów,
które próbowały konsumpcji ubrania,
jakie mnie chroniło przed ścianą od murów.
A kiedy zmęczony zasnąłem nareszcie,
leżąc niby kłoda na słomianym łożu,
także śnić musiałe^o, że siedzę w areszcie,
a drugi z sienników był moim okryciem.

I tak to się działo równe trzy miesiące,
bez słońca, spaceru, ciepła i kąpeli,
bez ludzkiego jada, wszystko tężejące
w tej niemej i zimnej grobowcowej celi.
Jedyńm spacerem było prowadzenie
na niemal codzienne, wredne przesłuchania,
które raczej były stałym szubrawieniem
ze strony młodego cwaniaka i drania.
Spójniowo, pomalą wstawiano mi równo;
sabotaż, szpiegowstwo, wrogą propagandę,
a podsumowując spłodzili to gównu -
mój wrogi stosunek, niechęć i pogardę
do ustroju, ludu, przyjaciół z za miedzy,
do sierpa i młota, i czerwonej gwiazdy,
w czym mi pomagali też zachodni szpiegdy,
płacąc za usługi i różne podjasdy.
Nawet moje sprawy prywatnego życia;
co jadem i piłem, z kim się spotykałem,
a także intymność kradziono z ukrycia,
zaś wszystko co tknęli, poratali kałem.
Dostawałem mdłości w tym nawale smrodu,
który cieszył tylko moich prześladowców,
co mi wciąż wstawiali wrogosć do narodu
i straszili bronią wyjętą z pokrowców.
Skuteczność tych działań bywała odwrotna,
bo ja przywikałem do tego teatru,
który powtarzano, by klęska sromotna
wywołała burzę strachliwego wiatru.
Burzy ani wiatru, zgodnie z ich życzeniem,
ja nie doznawałem, bo byłem w piwnicy,
a skutecznie trawiąc swoje poniżenie,
lepiej poznawałem czym są bplaszewicy.
Kiedy prokurator przyszedł mnie rozpisad
i podad treść sprawy, ja się nie przysnałem,
lecz rzekome zbrodnie mogłem już przypisad
tym, których imiennie nareszcie poznałem.
Teraz, te tajemne zeznania po cichu,
naiwnie plecione, najczęściej ze strachu,
miały stać się treścią, na poziomie grzechu,
który mnie wykończy, zgodnie z wolą Łachów.

Na dworze już wiosna hojnie królowała,
powracała radość, i ciepło w zieleni,
ona swą wszechmocą pewno przywracała
wszystkiemu co żywe smoky się i ciepło.
Lecz ja w swej samotni tego nie widziałem,
zamknięty wśród murów chłodnych, nieżyczliwych,
bezkatycznie trącałem rozpamiętywałem
żony oraz dzieci, jakie nieszczęśliwych.
Na temat rodziny nic mi nie mówiono,
wiadzenia mi także tu nie urządzano.
Za me przewinienia niewinnych gnęjono
i ze swych osiągnięć w oczy mi się śmiano.
Kochałem się we mnie słuszne przekonanie,
ze stałem się celem zwierzęcej przemocy,
celowo niszczonej za wolne wyznaczenie
prawdy o niechybnej narodowej mocy.
Trzy długie miesiące w ponurej piwnicy,
bez zmiany bielizny i stałe w ubraniu,
przy codziennej misce nęcznej soczewicy,
było to, nieludzkie, podobne konaniu, s.
Tyko wolne myśli sknęły przez te mury
ku żonie i dzieciom, ku siostrze i mamie
oraz przebijając mego losu chmury
wzmocniło me siły na dalsze przetrwanie.
Wyłączony z biegu normalnego życia,
byłem zagubiony w realiach za murem
i to mnie czyniło pozostawionym życia
pośród serc mi bliskich, których rozpacz czułem.
Przeżywałem z nimi tragedię resztania,
ciężar sytuacji bez środków na życie,
podłość poniżenia i wyobcowania
z wskazaniem na wroga, który działał skrycie.
A tym ujawnionym wrogiem oczywiście
byłem ja, więziony dla wyższego celu,
właściwie bezprawnie, choć to oczywiście
miało zamknąć usta u podobnych wielu.
Ja byłem przykładem ofiary na stosie,
po prostu wybranym dla uratowania
czerwonych kacyków o czerwonym nosie,
którzy buszowali w czasie swego chłania.

To co się mówiło najczęściej po cichu,
stanowiło przecież rzeczywistą prawdę,
a czasem zbyt głośno - właśnie przy kielichu,
budziło natychmiast działania bezprawne.
Były to donosy, podłe oskarżenia,
szukanie taniego poklasku u władzy,
a to się stawało przyczyną cierpienia
tych, którzy w efekcie stawali się nadzy.
Zdzierano z nich wszystko bez opamiętania,
co było naprawdę ludzkim wizerunkiem,
byle poniżając rzekomego drania,
nie dać mu się wiązać z odmiennym kierunkiem
wiary i nadziei na swobodne życie,
które mogło stać się jedynym warunkiem
na bezpieczne trwanie, na dole i szczycie.
Radzieckim zwyczajem dążono do tego,
aby syn donosił na własnego tatę,
a przyjaciel sypał swego najbliższego
kolegę, a żona swego męża z bratem.
To było marzeniem rodzimych kacyków,
UBeków i obcych z rangą towarzyszy,
którzy na zasadzie zwanej walką byków,
pragnęli się pozbyć zwykłych, białych myszy.
A mając w zamyśle tanie innowacje,
budowano pilnie do tego struktury
sposobu na władzę, jej reinkarnację
z białej na czerwoną - oprawę kultury.
I tak krok po kroku, wciąż z pyskiem do przodu,
wygłaszano nowe prawdy i wyznania,
budując nad prawem własnego narodu
pajęczą sieć chwytów dla jego spętania.
Było coraz ciasniej, wrogo i niepewnie,
wszelką prawdę siłą spychano w uchwyty,
które swą przemocą nachalnie i gniewnie,
bezwzględnie niszczyły rodzące się świty,
zamazując blaski słońca wielostronne
czerwienią plam skrzepłej, niewinnie przelanej
krwi nieosądzonych, bezprawiem potworne
zbrednie pomylnych, błotem udeptane.

Tak usposobiony przeszedłem przez bramy
w dniu czwartego maja, bardzo pogodnego
i z całym rygiorem zostałem przesłany
do Zielonej Góry - miasta uroczego,
gdzie tam właśnie miałem, w Sądzie Wojewódzkim,
w określonym czasie i poziomie miejsca,
zapoznać się ze mną w sposób bardziej ludzki
i wreszcie przemówić do mojego serca.
Zaś dla mnie to były przeżycia szczególne,
pełne nieciekawych przypuszczeń, bojaźni,
bo ja to trawiłem jako chwile chmurne,
rodzinne, spychane w kołowroty kałni.
Nie tak dawno przecież nie kryłem historii
strat oraz doznań mej własnej rodziny,
aby obojętnie z ubackiej hysterii
wnioskować wygraną, a nie podkę kpiny.
Mimo że psychicznie czułem się niepewnie,
na salę rozprawy wszedłem pewien siebie,
by spokojnym werokiem oszacować gwałtem
spędzone tu stado UBsków w potrzebie
lepszego poznania co zwalczać należy
oraz tych, dla których sprawiedliwe prawa
jako wspólna prawość w czerwieni nie leży,
bo nowość tej wiary, to bajalność waszawa.
Na tle tej zielonej i warczącej sfery,
tylko na rodzinę widziałem spojrzeniem
pogodnym, życzliwym, mimo doznań z nory,
co swą stałą ciemnią stąpiła widzenie.
Poza tym nikogo więcej nie wpuszczano,
bo rozprawa miała charakter szczególny,
a więc tajemniczo propagandą grano,
aby z niej uczynić interesik wspólny.
Znaczyło to jedność działania w tej sprawie
dla sędziów, ubeków i prokuratora,
a ja inteligent siedzący na ławie,
miałem stać się widmem jakiegoś potwora,
który za pośarcie narodowej cnoty,
nawet bez współczucia dla świeżej czerwieni,
lekceważąc wrogo, nie miałem ochoty
uznać, że to właśnie mnie hańbą rumieni.

Prokurator śpiesznie spełnił swe zadanie,
przekazując pełnię swobodnego ruchu
sędziemu, ławnikom, wierząc że to łanie,
będzie wyostrzeniem ubeckiego słuchu.
Prokurator wyszedł. Śpieszno gdzieś mu było.
Zaś młode ławniczki z robotniczej klasy
siedziały znużone. Prawo je dzieliło,
które w czarnej todze i w pikowe czasy,
miało być wyrocznią na me dalsze życie,
obleczone stale w niepokój i trwogę,
które mi oplotą nogi należycie,
abym nie mógł ruszyć wolny w dalszą drogę.
Procedura sprawy była czymś z kalectwa.
Zeznawali kłamiąc ci trefni świadkowie,
którzy potwierdzając zeznania ze śledztwa,
niczego nie wnieśli ^w bezpośredniej mowie.
Byli to świadkowie tylko oskarżenia,
a świadka obrony nie było żadnego.
Mój sprzeciw, że są to puste oświadczenia,
nie zmieniło biegu prawa sądowego.
Mój adwokat także utracił chęć mowy,
zatkany sposobem prowadzenia sprawy
oraz nic dziwnego, w sposób uniżony
godził się z kierunkiem tej ubeckiej nawy.
Tylko mnie przypadło zabrać głos w obronie,
co też uczyniłem, raczej szkodząc sobie
tym, że spór wzbudziłem w owym trefnym gronie,
bowiem spostrzegano sens w mojej obronie.
A ja nie wnikając w prawnicze sposoby
ferowania prawdy i tkamszenia kłamstwa
stwierdziłem, że wszystkie słyszane wywody,
stanowiły pokaz bezczelnego chamstwa.
Praktycznie rzecz biorąc, niczego właściwie
mi na tej rozprawie nie udowodniono,
bo każdy z zapisu mówił coś złośliwie,
czego słowem drugich to nie potwierdzono.
Biorąc rzecz logicznie, przyjęto donosy,
jako pełne prawdy sądowej zeznanie,
a więc uproszczono, przyjmując brzęk osy
z woli prawa w todze, jako treść zeznania.

Potem sąd się udał na pilną naradę,
a mnie pozostało cierpliwe czekanie
i ciche dumanie, ileż to dostanę
za ubeckie kłamstwa, czego chcieli dranie.
Wiedziałem, że czysto z tego wyjść nie mogę,
bo już odsiedziałem całe trzy miesiące,
a więc pozostało coś na drugą nogę,
dla zrównoważenia, gry niepokojącej.
Czekałem, a sędzia korzystał z okazji
pokrzepienia siebie szklanką czarnej kawy
i budując w ramach prawnej wyobraźni,
przymierzał swój pogląd do wymiaru kary.
Następnie jak Neron wkroczył na plac boju,
aby ostrym głosem zwykłego feldfebla
odczytać decyzję sądowego znoju,
wciąż oczekiwaną na partyjnych szczeblach.

Wyrok brzmiał tragicznie. Trzy lata więzienia.
A w uzasadnieniu, na wymysłów kupie,
stwierdzenie wyrwane z treści doniesienia -
ten, kto śmiał powiedzieć, że ma partię w dupie,
jest wrogiem narodu i podlega karze,
zgodnie z artykułem dwudziestym dziewiątym
małego kodeksu karnego w wymiarze,
stanowiącym tamę plugawstwom pokątnym.
To mnie zaskoczyło. Takiego wyroku
nawet wśród ubeków się nie spodziewano.
Sądzono, że kara gdzieś w granicach roku,
dostatecznie skarci co mi zarzucano.
Lecz ten wredny sędzia był innego zdania,
gdy odczytał latka bez ludzkiego czucia,
a owa decyzja bez opamiętania,
wyjątkowo trudną była do przeżucia.
Przeliczałem - wiosna, lato, jesień, zima,
przemnażając pory po cichu trząkrotnie,
a we mnie bezradność nagle się zrodziła
przykra, nienawistna, raniąca okropnie.
Oto się spełniało dzieło osobliwe -
ojca wyniszczały więzienia radzieckie,
mamę hitlerowskie, a syna rodzime,
lecz tak samo podłe, po prostu ubeckie.

A w tym wszystkim kłamstwo przyjęte za prawdę,
było grzechem głównym do wymiaru kary,
która w sposób jawny spowila w pogardę
odrobinę mojej mimo wszystko wiary,
że owa niegodna sądowa przeprawa
znajdzie jeszcze pewne, bardziej sprawiedliwe
rozeznanie sprawy, aby fakt bezprawia
nie stanowił kulis sceny granej mściwie.
To co sędzia przyjął za uzasadnienie,
dla ogłoszonego przez siebie wyroku,
stanowiło dla mnie nieskuteczne twierdzenie,
budowane chęcią wywołania szoku.
Z mojej strony nigdy nie było twierdzenia,
które mi wmawiano systemem sądowym,
w oparciu o donos - braku zrozumienia
tego, co mówiłem ludziom przypadkowym.
Zaś to, co powiedział wówczas świadek Kiszy,
to przeinaczenie mojego wyznania,
że mam gdzieś niemądre spitego pomysły,
bym wstąpił do partii dla mego uznania.
Taką była prawda szczerą, oczywistą,
którą przypadkowo soczyście stwierdziłem,
lecz nieprawdą było, że ta rzecz nieczysta
dotyczyła partii, którą obraziłem.
Ja po prostu śmiało, bez żadnych mataczeń,
jednym, twardym słowem zamknąłem gładzenie
spitego człowieka, a ten z przeinaczeń,
przy pomocy UB-e wzmocnił oskarżenie.
Oczywiście prawda nie zmniejszała faktu,
że wyrok sądownie potwierdził mą winę,
a oczekiwanie jakiegoś tam taktu,
było absurdalnym dla wszystkich terminem.
Korzystając z nagłej chwili zamieszania,
zdążyłem pożegnać obecnych z rodziny
i mimo przykrości z tego pożegnania,
nie zmniejszyłem własnej dumy w zgiełku kpiny.
Milicjanci, którzy mnie wyprowadzali,
jak mogli, pragnęli dać mi pocieszenie,
zapewniając szczerze, że rewizja zwali
przynajmniej połowę lat i orzeczenie.

Każde dobre słowo było mi balsanem,
kojącym niepokój i myśli szalone,
co strachem majaczeń trzęsły mną jak kramem,
który był skazany na dni patroszone
z obcych i nieskromnych treści tego wycia,
bo teraz me drogi diabło pomylone,
miały wieść mnie w inną rzeczywistość bycia,
bez uroków świata, prawem zabronione.
Wiedziałem że słowo, dobre ludzkie słowo,
może w pewnym sensie ułożyć mojej doli,
którą mi wpisano prędko i bojowo
słowami Prędkiego, mocą jego woli.
Świat nagle ujrzałem betonowym grobem,
piwnicą i chłodem bardzo szarych murów,
ciemnią korytarzy i jedynie żłobem,
pełnym nowych smaków, złodziei i szczurów.
Jeszcze jedną nockę spędziłem w piwnicy,
nadal w samotności i znanym już chłodzie,
w ciszy, którą tylko mogli ulicznicy
wzbogacać stukaniem w nierytmicznym chodzie.
Od czasu do czasu jakiś śmiech dziewczęcy
przenikał przez małą, niby okna dziurę,
albo przerywany zachwytem cielecym
chichot, co się zderzał z mej kwatery murem.
Szczury już przywykły do mej obecności,
śmiało przemierzały powierzchnię podłogi
i będąc wciąż głodne, piszczały w ciemności,
odważnie trącając me zmęczone nogi.
Niestety, nie mogłem słać im smakołyki,
dzieląc między szczury, myszy oraz sobie,
bo byłem golutki owoc polityki,
która mnie głodnego trawiła w tym grobie.
Tak więc, w doborowym środowisku celi,
miałem towarzystwo nieme oraz głodne,
które nocny koszmar naturalnie dzielił
wiedząc, że mi było po prostu potworne.
Świat za murem tętnił cichym rytmem życia,
w niezmiennej pewności, że po ciemnej nocy,
zjedzie w jego barwy jawnie, a nie skrycie,
świeżość srebrnej rosy w słonecznej karocy.

Ta noc była trudna, niemalże bezsenna,
nie licząc momentów czujnego drzemia,
które przerywała świadomość niepewna
tego, co przyniesie nowy czas świtania.
Było to oczekiwanie pełne niepokoju
na to, co musiało odkryć swe oblicze,
abym pod przymusem, w kagańcu ustroju,
mógł prostować własne niepokorne życie.
Taka była wola twórców tej przemocy,
która przytłaczała każdy sens nadziei
na jakiś błysk światła w owej gęstej nocy,
jaką mi wpisano w rejestrach złośliwej.
Konsekwencją tego, świtanie poranka
stało się tym razem nowym odczytaniem,
dobrze mi znanego trzasku u drzwi zamka,
znaczący swój udział w głośnym otwieraniu.
Tym razem nie ubek rzekł do mnie - idziemy,
lecz zwykły milicjant mówiący spokojnie,
że tylko ulicę we dwoje przejdziemy,
aby zmienić miejsce na bardziej wygodne.
Ja wnet zrozumiałem o co władzy chodzi.
Byłem po wyroku, a więc przeniesienie
stanowiło nakaz, który mnie wywodził
do nowego lokum w miejscowe więzienie.
A to w jakimś sensie było wyzwoleniem,
po tym trzymiesięcznym pobycie w piwnicy,
bo teraz przestałem być jedynie cieniem,
a stałem się tykiem - wolnym od ciemnicy.
Stałem się istotą mówiącą, czującą,
którą obdarzono także w pewne prawa,
bo mogła się umyć i strawą gorącą
ożywić organizm, choć dżawiła kara.
Zdarzyła się także kąpiel pod natryskiem,
a więzień tu zwany kusplem - golibrodą,
dopomógł się rozstać z niegolonym pyskiem,
co było w tym świecie usługą - nagrodą.
Także jasna cebra, dwa kółka i stołki,
kibel, czysta woda, ręcznik oraz mydło,
zmieniły rytm życia w taniec zwawej polki,
która przeganiała piwniczne straszdydło.

W taki oto sposób stałem się zrównany
z tymi, co przede mną tu azyl zdobyli
za to, że wbrew prawu działaniem karalnym,
rabując i kradnąc, porządek gwałcili.
A mnie się ta zmiana wydawała rajem,
bo mi pozwoliła poczuć się człowiekiem.
Za oknem wierzchołki drzew były mi gajem,
zaś fragmencik nieba, balsamicznym lekiem.
Do tego codzienny, półgodzinny spacer
na więziennym placu zamkniętym murami
i nieznany jeszcze, dla niesfornych karcer,
który był postrachem szokującym drani.
Nieśpieszno mi było poznawać zawiłe
sposoby na życie, więzienne zwyczaje,
bo miałem przed sobą trzy lata prawdziwej
uczelni, bez względu na jej obyczaje.
Mając wiele czasu, trawiłem dokładnie
więzienną codzienność, aby ją poznając
w formach i układach, zrozumieć wykładnię
i żyć jak rozumny człowiek, a nie zając.
Teraz ja praktycznie sprawdzałem gadanie,
że ludzie się dzielą na tych co siedzieli,
siedzą, oraz będą siedzieć, bo są dranie,
a którym czas życia należy wciąż dzielić,
bo kiedy w całości mogą go przeżywać,
zaczynają tańczyć inaczej niż grają,
a to co czerwone chcieliby przeszywać
na biało-czerwony strój podszyty chwałą.
Tym razem ja byłem rodzyńkiem w tej masie.
Jedynym wśród grona więźniów pospolitych
z polityczną łata, przeciwną tej klasie
o wyrokach bardziej od mego obfitych.
Ja się zamartwiałem losem mej rodziny,
oraz własną dolą z racji uwięzienia,
a oni bimballi, chcąc swe grzeszne winy
spłaszczyc pod ciężarem własnego siedzenia.
Wolno przywykałem do owej beztroski,
podziwiając szczerze pewność zachowania
tych, co swój stłamszony wizerunek boski
nigdy nie garbili, na zgiętych kolanach.

To co dla mnie było istnieniem na opak
z prawami natury, kultury, doznania,
tutaj było ciągłym łagowaniem lokat
w zaparcie i siłę dla swego przetrwania.
Bo tutaj rządziła praworządność mglista,
że choć każdy z innym paragrafem chodzi,
podlega ocenie - to kryminalista
i przez czas pobytu w tym nazwaniu brodzi
w magmie z wielorakich obyczajów Wschodu,
połączonych z własną, rodzimą podłością,
czyniącymi więzienia, często bez powodu,
pospolitą rzeczą, bezsilną małością.
Nim to, a może na pewno dlatego,
nikt tu nie ujawniał przyczyny siedzenia,
gdyż to rozumiało było dla każdego,
że był to koszt, który przerósł kaźnienia.
A te przecież były różne, wielorakie,
zrodzone okazją lub nadmiarem chęci,
które w swych jakościach, często byle jakie,
stanowiły pomysły niesfornych pamięci.
Jednak zrozumienie przyczyn oraz faktu,
jawiło się zwykle spóźnie, po czasie,
wymagało skruchy, zachowania taktu,
aby nie utonąć w tej więziennej masie.
Będąc tu odmieńcem, musiałem ostrożnie
ważyć każde słowo, każdy gest mi służący,
aby się nie wplątał w zawieszony groźnie
kapusiowe sieci z każdej strony ściany.
Byłem poddawany stałej obserwacji,
bo mój grzechem głównym było słowo prawdy,
mogłem więc w więzieniu, mej interpretacji
używać współwięźniom, dla siania pogardy.
A skoro adwokat założył rewizję
od wyroku sądu zielonogórskiego,
moje zachowanie oblekłem w precyzję
słów, gestów, grzeczności, niemal pokornego.
Mogłem więc przypuszczać, według moich spostrzeżeń,
że wobec mnie wszyscy bywali życzliwi,
oczywiście w formie kryminalnych mierzeń,
których mierny zakres nikogo nie dziwił.
Czas mijał spokojnie bez większych wydarzeń,
wiosna pełna nowych życiowych doświadczeń

ustąpiła miejsca wspaniałości marzeń,
które niosło lato. A pośród mataczeń,
co kreśliły ramy codziennego życia
pod berkiem sprzedajnych, czerwonych gawronów,
liczone co jeszcze było do zdobycia
podczas nicowania rodzinnych zagonów.
Już przeszło rok minął od śmierci krwawego
satrapy, sadysty, ludzkiego potwora,
co zbrodnią utrwalał swe imię wielkiego.
A mimo to jakaś wyjątkowa sfera
wciąż rodziła niemoc, hamowała kroki
i wiernopoddane słała przyrzeczenia,
że wnet zke obawy, fałsze i uroki
ustąpią zgodnemu czasowi tworzenia.
Przyjań, obojętnie jak była zagrana,
bywała przewodnią jakością myślenia,
że moc przyjaciela - towarzysza, pana,
stanowi budulec pewnego zbawienia.
Takie złote bajdy, nazwane myślami,
od czasu do czasu mogliśmy wyczytać
w prasie, tej partyjnej, gdzie zwano łowcami
tych, co owe bajdy pisali by chwytać
wciąż nie przekonanych do owej przyjaźni,
którą siłą władzy wciskano na chana,
aby zgłuszyć wszelką prawdę o tej kaźni,
jaką zgotowały nam ręce pogana.
Natomiast to wszystko, co było częsteczką
normalnego życia, tam poza murami,
jakiś głupi cenzor z czerwoną naseczką,
powycinał teksty swymi nożycami.
Trudno było pojąć, co to miało znaczyć,
oraz co w efekcie godnego przysporzy.
Byłto raczej sposób na to by wypaczać
to, co każdy sobie rozumie ułożył.
Na pewno zastępca pana naczelnika
od politycznego sposobu myślenia,
nieustannie w sprawy więzienne nos wtykał,
nie zapominając potrzeby śledzenia.
Mając do czynienia z chęcią przechytrzenia
każdego z osobna, a rzadszej grupowo,
raczej nas zmuszano byśmy swe pragnienia
skrywali przed władzą niemal przymusowo.

A chodziło o to, aby z byle czego,
nie wywołać w pustych głowach zamieszania,
bo wówczas być może konsekwencją tego
nowa fala przyczyn srogięgo karania.
W ten sposób budując fałsz oraz obłudę,
rzekomą nieprawość w zachowaniu więźnia,
można było wybić z niejednych głów złudę
na skrócenie kary, licząc na żut szczęścia.
Owe zawilości mnie nie dotyczyły,
bo jeszcze nie miałem ostatecznej treści
wyroku, dlatego moją troską były
wciąż oczekiwania słych lub dobrych wieści.
Oczekałem cierpliwie wciąż w losowej próżni,
a czas nieustannie przekreślał miesiące
i chciała odeszły, niczym nie wyróżnik,
lecz mi wciąż ładował sny niepokojące.
Kiedys jakiś Ubek dał cynk do więzienia,
że mam w sobie skryte chwilowo talenty,
które tak dla służby, jak i dla siedzenia
winny być tworzeniem może nieprzeciętnym.
Nie było powodu bym unikał prawdy
i chętnie sięgnąłem po papier, pastele,
co mi pozwoliło z ładunkiem pogardy,
lecz z pożytkiem własnym, opuszczać swą celę.
Dzień spędzałem razem z więźniami krawcami,
w wydzielonym na to jasnym pomieszczeniu,
a co najważniejsze, tam byliśmy sami,
zajęci li tylko radosnym tworszeniem.
To lżejszym czyniło pobyt, w pewnej mierze,
oraz przyspieszało bieg czasu do przodu
i nie osłabiało mej pewności w wierze,
że wytrwam do końca bez bólu zawodu.
Ja miałem rozrywkę i spokój na co dzień,
a władza darmowe, kolorowe dziełka,
co zgodnie z prawami więziennych sażożeń,
działało korzystnie na rzecz ich piekiełka.
Oczywiście w zamian nic mi nie dawano,
ale za to skrzętnie, to co rysowałem,
niemalże sprzed nosa sprawnie zabierano,
a ja na ten rozbój też nie narzekałem.

Ja dobrze wiedziałem, że moje działanie stanowiło wyzysk więźnia i człowieka, niezgodny z przepisem, który teraz dranie obchodzili zgrabnie wiedząc co ich czeka, gdy wyżej usłyszą o tym procederze. Lecz wyspy nie było i jakoś się żyło, mimo świadomości zawieszanej w eterze, że mogło być gorzej, bo źle nam nie było. W imię własnych celów woleliśmy dawać to, co każdy umiał w zamian za godziny luzu i swobody, byle jakieś psia maść nie rzucała mięsem krzycząc - sukinsyny. Zresztą, czas się dłużył, a nudy pod celą stawały się groźne dla własnej kondycji. Bręczyła świadomość, że mury nas dzielą od życia i gwaru na miejskiej ulicy. Rodziły się różne poplątane myśli, najczęściej głupota brała wśród nich górę, co mogło się zdawać, że to co się przyśni, będzie mogło przegnać czarnych myśli chmurą. Te sny były różne. Często stanowiły lustrzane odbicie naszych oczekiwań, co to wciąż w realiach swój obraz traciły, wiejąc w ulepione rameczki z przeklinań. Bywało też czasem, że komuś odbiło i był wówczas groźnie mictając się w celi, lecz wnet mu doraźnie pomocą służyło kilku pełnych pary, rozkłych mężczyzn w bieli. Czasem jeden zastrzyk dawał otrzeźwienie, przywracając również względną równowagę temu, co niechęć swoje zniewolenie wystroił w krzykliwą dla władzy zalawę. Potem karczer leczył osłabienie ducha, a głodowe racje garbiły fizycznie. Górą była władza, co jak zawierucha zrywała z człowieka godność, jak z drzew liście.

Tak więc tylko spokój i opanowanie własnych, kaleczonych wartości na życie, pozwalało przetrwać to wyobcowanie, jakie fundowano tutaj nalezycie.

Tu wszelkie złudzenia tylko osłabiały
cierpliwość na co dzień, bo twarde realia,
nierzadko bezmyślne, życie otępiały,
aby rządzić mogło byle co - kanalia.
I tak udręczeni na krawędzi losu,
wierzyliśmy przecież, że on nam się zmieni,
że powróci radość znów wolnego głosu
i możność zachwytu urokami ziemi.
Przyjdzie czas, że znowu jako wolni ludzie,
bogatsi doznaniem skutków oraz przyczyn,
jakie nas przywiodły byśmy tu w tej budzie
dojrzewali, każdy za jakiś swój wyczyn,
wrócimy do świata, jak gdyby od nowa
przywitać serdecznie i uścisnąć wszystkich,
a potem spać całość swą szczerością słowa,
aby nigdy więcej nie zasmucać bliskich.

Oczywiście były to tylko me snucia
na kanwie więziennych, chłodnych okratowań,
gdyż nie miałem prawa wyrażać uczucia
innych, którzy żyli formą swych zachowań.
Wszak warunki w jakich przyszło nam obcować,
były skutkiem różnych wartości działania,
a więc siłą rzeczy, jak z kim postępować,
trzeba było poznać powód ukarania.
Była to konieczność, gdyż wymiary zbrodni
nieraz przerastały pułap rozumienia
i nie pozwalały na marsz w takt melodii,
która chciała jednać czasem zniewolenia.
Byliśmy jednacy tylko według prawa,
które równą miarą sądziło człowieka,
bo ten co mordował, gwałcił i okradał,
był współwięźniem z takim, co z kraju uciekał.
Nie było podziaku - więźniów pospolitych,
co kosztem bliźniego chcieli żyć jak w raj, u
od tych co w zawiłych debatach elity,
marzyli o wolnym, suwerennym kraju.
Lecz skoro przywykać to właściwość żywych,
musałem pogodzić własne wątpliwości
z sytuacją, która mi wielu życzliwych
użyczała mimo wszelkich niepewności.

Złodziej albo bandzior groźny na wolności,
za kratami stroił się w skórę jagnięcia,
aby pozorami własnej życzliwości,
zwiększyć swoje szanse pragnieniem wybrnięcia
z owych niepomysłnych tarapatów czasu,
które pozbawiły temperament rzutki,
rozgrywania różnych życia ambarasów
oraz smakowania piwa, wina, wódki.

Świadomie godziłem swą własną odmiennosć
z spostrzeganą innych do mnie życzliwością,
aby wynudzona prawem sądu jedność,
nie stara się ~~czasem zbędna~~ tu wrogosćia...
I mimo zastrzeżeń wobec tego faktu,
nie mogłem wspomagać kryminalnych lui,
by mi zarzucali w obcowaniu taktu,
czyniąc ze mnie wroga pozostałych ludzi.
Przyznaję, że to mi pewnie się udało,
bo godnie przebrnąłem przez siedem miesięcy,
które tym kończyłem, że prawo zagrało
złośliwą melodią dla większej pamięci,
że tu przebywałem. Widzenia z rodziną mł
mi nie uczyniono. Tylko ostateczny
wyrok odczytano i życzliwszą miną
już mnie stąd żegnano, czymś bardzo koniecznym.

Wyrok mi smaleniono z trzech lat na dwa lata,
zaś groźny artykuł dwudziesty dziewiąty
zastąpiono lżejszym - niedalekim brata,
bo dwudziestym drugim, co miał czyścić kąty
zaśmiecone srodze wrogą propagandą.
Zmniejszenie okresu szczęśliwości w kratę,
pozwalało mniemać, że mnie nie dopadną
jakieś podłe hece spiswane batem.
Przecież odbębniłem już dziesięć miesięcy,
co zgodnie z logiką prawa sądowego,
mogłem warunkowo, gdy uznają wielcy,
już za dwa miesiące mieć prawa wolnego.

Niestety, tym razem mocno się myliłem,
bo władza mnie chciała doświadczyć wbrew prawu,
za to, że w jej prestiż ponoć ugodziłem,
a teraz czekano mojego zawaku.
Zawaku nie było. Lecz podkość Prądkiego
przerosła rozsadek zalecany prawem,
bo zamiast zwolnienia, siał do centralnego
więzienia niweczając to, na co czekałem.
Aby jeszcze wredniej wydłużyć mi karę,
nakazał natychmiast mnie odtransportować
tak, abym Wigilię z racji na mą wiarę,
mógł szczególnym postem w pamięci zachować.
Jak chciał, tak się stało. Podkość i złośliwość
były mi opłatkami, który w miejsce glorii
dawał możliwość sprawdzić rzekomą uczciwość
kwitnącą na błocie z sztywnej teorii.

Noc czarnym woalem osłoniła miasto
i gubiła zarys super kryminału,
bo Strzelce Opolskie - jak wstydlive hasło,
choć pozornie ciche, znane było w kraju.
Głównie centralniakiem, który skynął także
swą starą i nową miarą okropności
w całej Europie, bo w tym super manrze
realizowano katowskie sprośności.
Dziesięć lub piętnaście latek kryminału,
to już stanowiło pewne uprawnienie
do tego, by wrastać w ten światek ponęki
i prostować własne spaczony sumienie.
Jednak do dostojnych w powadze bez krzyku
należeli tylko, co dzwigać umieli
swoje dożywocie lub głowy w koszyku,
bo chociaż nie chcieli, umierać musieli.
Zaś mnie się zdarzyło coś wyjątkowego,
czego pojąć nawet nie mogli te wygi,
którzy mnie przyjmując do ośrodka swego,
nazwali to pechem złośliwej intrygi.
To miało oznaczać, że pewnie nie zdązę
poznać zawiłości życia i współżycia,
bo wnet mnie wyrzucą i znów się pogrązę
w realjach za murem, tych nie do przebycia.

Na początek mego pobytu w centralnym,
dano mi samotność w pojedynczej celi,
abym mógł od nowa w sposób namacalny
pojąć, co mnie teraz od normalnych dzieli.
Ta nowość, przyznaję, mocno przygnębiła
mą poniewieraną postać od miesięcy
i głębokim smutkiem w sercu mym żłobiła
nienawiść do ludzi w wydaniu zwierzęcym.
W celi była pryca, na dzień zamykana
we wnęce na ścianie - tak było bezpieczniej.
Szczęście, że tym razem trochę ogrzewana,
z kiblem na potrzeby i niczego więcej.
W ten sposób ponownie niechciana samotność
stała się nużącą niemocą na co dzień,
abym w sobie poczuł, jak owa okropność
stawiała się karą i sednem zagrożeń,
które mogły nagle objąć paraliżem
logikę sprawnego działania umysłu.
Aby to uniknąć, bez przerwy chodziłem
od ściany do ściany z bagażem pomysłów,
jakie coraz gęściej wypełniały celę
i swoim bezsenssem sięgały sufitu,
nie dając niczego w owym bzdurnym dziele,
które smakowało marszem do niebytu.
Pragnąc się otrząsnąć z nierealnych treli,
kucałem wspierając własnymi plecami
rurę centralnego ogrzewania celi,
mając drętwą pustkę stale przed oczami.
I tak naśladowując hinduskich fakirów,
siedziałem pokornie, jak na żarze z węgla,
czekając na nowe granie przewodów
w zamku zniewolenia, aby mnie dostrzegli.
Boże Narodzenie witałem w swym kącie,
podpierając rurę ciepłą i pionową,
gubiąc się myślami w swym ciasnym chomąciu,
które niewidocznie, było gracją nową,
co mi nie dawała żadnych możliwości
na świątecznie wzniosłe serca uniesienie
i choćby duchowe przesłanie miłości
tym, których karano moim uwięzieniem.

Karano okrutnie niewinne istoty,
w imię bezmyślnego hołdowania racji
wyrosłych na wrogich zagonach chołoty,
obcych, zakłamanych w mdłej interpretacji
tego, co zmieniało prawdę o miłości
ojczyzny, rodziny w tradycji i wierze,
naginając prawo do swych nieprawości,
które jako wartość nikt szczerze nie bierze.
Najbardziej cierpią opuszczone dzieci,
nagle pozbawione opiekuna, ojca,
który nie przypuszczał, że w złą dal uleci
pozbawiony ciepła - rodzinnego słońca..
Zaś fakt, że ja byłem ich zabezpieczeniem,
bo żona nie miała wówczas zatrudnienia,
był dla mnie największym bólem i cierpieniem
trawiącymi każdą chwilę zamyślenia.
Lecz cóż, me myślenie nie stwarzało ulgi
w przebrnięciu tragicznej przecież sytuacji,
a czas tej rozłąki wydawał się długim,
wyjątkowo podłym traktem profanacji.
Profanacją uczuć serdecznych, najprostszych,
które w uczciwości niczym nie kalanej,
pozwalały widzieć nawet przez najgorszych,
stanowczość jedności wciąż niepokonanej.
Tylko szarlatani z ubeckiego stanu,
cieszyli się zbójczo z krzywd czynionych bliźnim
i tworzyli z tego mocarstwowość klanu,
który raczył służyć ideom naiwnym.
Czyniąc z igły widły, sposobem już znanym,
snuli z byle czego na wrzecionach kłamstwa
nici, które miały ofiarom wybranym
jednym ścięciem wpisać polityczne draństwo.
Tak spreparowany kandydat na rusztu,
do pieca rodzimych sił czerezwyczajki,
stanowił bez czucia, tak jak mumia pusta,
materiał dla wsparcia podawanej bajki.
Dalszy tok działania już bywał normalny -
prokurator, sędzia, ławnicy, rozprawa,
a efekt wiadomy - wyrok, czad moralny
i ta rzeczywistość, jakże podła, wszawa.

I tak na oszustwie, wśród pozorów prawa,
wciąż tworzono zręby nowego ustroju -
motłoch na prowincji, przywództwo Warszawa,
a przykład był z Moskwy, jak zwyciężać w boju.
Tworzono naprędce nowych wrogów ludu,
aby móc wskazywać, kto ponosi winę
za to, że ten naród czekający cudu,
wciąż połykał żabę, licząc na godzinę
wyzwolenia życia z fałszu, co przysłaniał
wolność, suwerenność, historyczne prawdy,
wśród obcych sugestii, że pewnie zbaraniał,
nieustannie błędząc w labiryncie wzgardy.
Tak to tłumaczyli trubadorzy kłamstwa,
którzy uwiedzeni perspektywą władzy,
włazili bez reszty na ołtarze chamstwa,
choć na umyśle nadal byli nadzy.
Pieniądze i władza oraz możliwość jazdy
do wszystkich zakątków świata nieznanego,
były tym magnesem, do którego każdy
zapczywy szubrawiec gonił na całego.
Prawie cały miesiąc trwało dojrzewanie
mojej świadomości, że tu wszystko tracę,
po którym zadano mi proste pytanie -
czy chcę skrócić pobyt, podejmując pracę.
Wyraziłem zgodę - przyznaję, radośnie,
bo to pozwalało na zamianę celu
oraz na możliwość, chociażby najprościej,
pogadać dowoli przy wolnej niedzieli.
Zmiana nastąpiła niemalże od ręki,
bo już następnego dnia nowego roku,
znalazłem się w celi odmiennej udręki,
w towarzystwie kogoś z pogranicza szoku.
Był to ktoś ponury, być może morderca,
z niemałym wyrokiem, bo dziesięciolatek,
z wyglądu samotnik pozbawiony serca,
stroniący od rozmów w tle więziennych kratki.
Nieraz, mówiąc szczerze, strach mnie oblatywał,
szczególnie gdy kładłem się do snu nocnego,
kiedy zbyt ponuro on mnie podpatrywał,
co mi wyglądało na coś zboczonego.

Wybawieniem dla mnie była wreszcie praca
w masowej produkcji różnego obuwia,
gdzie jako robotnik, co dzieło wzbogaca
rękoma i młotkiem oraz je przesuwam
na drugą pozycję w linii do kamrata,
pознаłem Akowca, szczerze polubiłem,
traktując go pewnie jak starszego brata,
bo z nim bez obawy o wszystkim mówiłem.
Poznałem historię życia partyzanta,
co w lubelskich lasach walczył i zwyciężał,
modlił się i płakał, a potem łapanka,
bohaterski opór i los który tężał
dwukrotnym wyrokiem, tylko kary śmierci 7
a zły bieg wydarzeń boleśnie zawężył
i rozsadzał bólem biczowane piersi
pełne strasznej prawdy, że choć żywy - śmierdział.
Zgrywając wariata, przyjął ostateczną
pozę do wyroku, który w każdej fazie
stanowił drogowskaz wskazujący wieczną
nieskończoność drogi w tragicznym obrazie.
Nękany i bity dla sprawdzania formy,
wyniszczany głodem, byle szybko zdychał,
pozostawał w szoku, stale nieprzytomny
i wszystko spod siebie zjadał oraz dyszał.
Było to nieludzkie gwałcenie człowieka,
który ginał w pozie zwalonego skupa
i często bezwiednie leżąc uciekał
od mdłego zapachu gnijącego trupa.
To jednak sprawiło, że mu zawieszono
wykonanie kary w trybie ostatecznym
i mimo zwierzęcych pragnień uwierzono,
że było to gestem prawniczo koniecznym.
Dalszy czas pozwolił odetchnąć spokojniej,
bowiem ogłoszono pierwszą powojenną
amnestię dla więźniów, gdyż było już znośniej,
a więc zadziało taktyką odmienną.
Dzięki temu wyrok z podpisami śmierci,
zmieniono z urzędu w dożywotnie trwanie,
które choć potworne, pomogło pamięci
powrócić do normy, gubiąc zwariowanie.

Dalsze lata także przyniosły amnestię,
która znów zmieniła wyrok na piętnaście
latek, gdy odsiadka klarowała kwestię
stwierdzając, że już ich było jedenastcie.
Mój Boże, jak lekko to się przekazuje,
a była to przecież więzienna gehenna
w najpodlejszym czasie, kiedy byle szuje
rozrabiali krwawo, jako władza pewna,
wsparta wszechwiązkowym trybunałem wiedzy,
co prawdę, uczciwość oraz człowieczeństwo,
zepchnął pod buciory na radzieckiej miedzy,
a za kult jedności uznawał błazenstwo.
W ten sposób nieuki, męty oraz szuje,
przeszli na odmienny sposób pojmowania
narodowych racji i jak zwykli zbójce
wyniszczali wszystko, co godne uznania.
Mój nowy znajomy - partyzancka dusza,
udzielał mi sporo różnych informacji,
bym poznał sposoby, jak tu się wymusza
posłuch oraz źródła wszelkiej penetracji.
Sam w wieku czterdziestu jakże trudnych latek,
w zanadrzu miał spory zasób cichej wiedzy,
jaka zeń czyniła dryfujący statek
pozbawiony śagli, który wiele przeżył.
Wnętrze mimo wielu wstrząsów i tragedii,
nadal było ludzkie i dusza żywciliwa,
lecz to co zewnętrzne, to z tragikomedii
szara i bezzębna postać arlekina.
Czas piekielnym rylcem znaczył wyraz twarzy
przez wiele lat bólu, fizycznej zniewagi
i kreślił bruzdami, których bieg kojarzył
przeszłe już cierpienia z tym, o czym wciąż marzył.
Wspomnienia o matce były tak serdeczne,
że czyniły z tego twardego czkowieka
rozmażane dziecko, co tęsknoty mleczne
cudem zachowało, chociaż czas uciekał.
On mi stale mówił, że manusia czeka,
że stale się modli o ten jeden powrót,
że po cichu płacze i stale narzeka,
bo wszystko wypacza czerwony kokowrót.

Byliśmy podobni przyczyną i karą,
lecz różnił nas wymiar i czas już doznany,
łączyło jednakie nasycenię wiarą,
że wnet się wolności wspólnie doczekamy.
I dobrze nam było w tej cichej jedności,
która wybiegała za więzienne mury
do naszej rodzinnej, choć trudnej wolności,
wspólnotą nadziei ponad wszelkie chmury.
Czas mijał nam raźniej, lżej było na duszy,
mimo, że dokoła zbyt wiele obcości
kreśliło porządek, który cieżę głuzył,
stwarzając pozory rzekomej swojskości.

Na lewo ode mnie pracował na prasie
pospolity złodziej i recydywista,
który swe dwanaście lat przeliczał w czasie
twierdząc, że to sprawa polityczna, czysta.
Bo skoro okradał co było państwowe,
tym samym pomniejszał zasoby komuchów,
a więc grał najpewniej, aby wszystko nowe
stawało się szabsze i bliższe reformów.
Jedyną pomyłką w tym chwackim działaniu,
było niepotrzebne noszenie "kopyta",
które w dociekliwym sądowym badaniu,
stało się koronnym dowodem na szczytach
sięgających prawnych super możliwości,
a te bezlitosnym sędziów orzeczeniem
pozbawiało karnie prawa do wolności,
dając czas odnowy jedności z sumieniem.

W mojej celi również nastąpiła zmiana,
bo w miejsce przykrego dla mnie pomuraka,
dostałem sprawnego z wyglądu młodziana,
który był typowym obrazem wojaka.
Moje rozeznanie było bardzo trafne,
bo po pewnym czasie naszej znajomości,
wszystko było jasne, choć nie takie łatwe
w kwestii zrozumienia pewnych zawisłości.
Mój towarzysz celi był młodym żołnierzem -
dezerterskim z wojska, którego ujęto
kiedy chciał przekroczyć, porośniętą perzem,

granicę zachodnio-niemiecką w swe święto.
I tak się zdarzyło, że w miejsce urodzin -
radosnej rocznicy, rodzinnej pogody,
mógł czas swój odmierzać przeliczaniem godzin
na różańcu z latek pod więzienne gody.
Teraz wspólnie ze mną dzielił metraż celi
i wspominał dobre wolnościowe czasy,
szczególnie wieczorem, kiedy w nocnej bieli
próbował się przenieść przez sen gdzieś na wczasy.
I to się zdarzyło pewnej ciemnej nocy,
kiedy mnie zbudziło raptowne tapnięcie,
a kiedy przetarkiem sennie zwarte oczy,
spytałem spokojnie - co to za stuknięcie?
Usłyszałem obok - to ja chyba spadłem...
wyszeptał niepewnie mój lokator z góry.
Że to się zdarzyło, ja już wcześniej zgadłem,
lecz nie chciałem grzmotów z oberwanej chmury,
które zwyczajowo mogły dalszym hukiem
wypełniać niewinną przestrzeń naszej celi,
bo mój sublokator z właściwym mu skutkiem,
umiał brukać słowem nawet duszę w bieli.
Tym razem się podniósł, wyprostował gnaty
i wspiął się na piętro naszej wspólnej pryczy,
a przy tym potwierdził, że gnojki, paubraty
nie uskyszą tego, jak w nim dusza ryczy.
Rano już mu przeszło wewnętrzne wzburzenie,
świat ujrzał w realnych, więziennych wymiarach
i uśmiechem przegnał to przykre zdarzenie,
szczęśliwy, że uszedł męki na kolanach.
Wszak upadek groźny mógł uczynić wiele
przykrych konsekwencji w zdrowiu delikwenta,
a bolesne rany na obitym ciele
nie byłyby w stanie opatrzeć porcięta.
Upadek choć groźny, to był wyjątkowy,
bo mimo zderzenia z twardością podłogi,
mój towarzysz celi okazał się zdrowym,
kiedy witał ranek skokiem na dwie nogi.
Tym razem uśmiechem witaliśmy nowy
dzień idąc do pracy w weselszym nastroju,
a nasz los w ^Hej barwie raczej hebanowy,
nie był w stanie stłamsić naszego humoru.

Praca tak jak co dzień, w normie "dwa za jeden",
co było podstawą do złożenia wniosku
o wcześniejsze wyjście, mimo tych uprzedzeń,
które gniciem prawa, zwaliśmy po polsku.
Coś się jednak działo niezrozumiałego,
kiedy pięćdziesiąty piąty rok dojrzał
w swych wiosennych barwach blisko centralnego,
który w swej uzarości czegoś się spodziewał.
Nasze przypuszczenia, chociaż różne w treści,
wnet się potwierdziły w prawniczym działaniu
sądowniczej władzy, która ciche wieści
prostując zmieniała w swym służbowym praniu.
Wszystkie poważniejsze wydane wyroki
zmieniano od ręki, zmniejszając ich miarę,
a jaki sens miały te poważne kroki,
nikt tego nie wiedział, lecz brał je na wiarę.
Potem już mogliśmy w sposób oczywisty
stwierdzać skutek owej niepojętej akcji,
bo sporo więzionych w sposób prawnie czysty,
mogło za murami wdychać woń akcji.
Również sublokator mojej małej celi,
został przesłuchany i potrosk o głowę,
bo mu w sposób nagły, wiosennej niedzieli,
zmniejszono wyroczek prawie o połowę.
W konsekwencji tego więziennego cudu,
do odsiadki jeszcze zostało dwa lata,
a to już w więziennym określaniu długu,
nie miało powagi dla byle psubrata.
Mowa była prosta - tak niski wyroczek,
to prawie dziecienna zabawa w więzieniu,
którą każdy zwykły kryminalny skoczek
powinien zaliczyć na kiblu - siedzeniem.
A jednak zmniejszenie okresu odsiadki,
natychmiast zmieniło stan samopoczucia,
żywsza była mowa, a obyczaj gładki
pozwalał na śmielsze i pewniejsze snucia.
Jedynie liczenie mijających miesięcy,
stawało się bardziej nerwowi znaczone,
bo nie był to wyraz w doznaniu dziecięcy,
lecz czas który rodził uczucia zmęczone.

Mijały miesiące przybliżając pewnie ów dzień, który zamknie ostatecznie sobą rozdział tego życia, traczonego gnieźnie, które w zniewoleniu gniło każda ceba. Dla każdego inny był to dzień wolności, w innej porze roku, przy innej pogodzie, lecz zawsze był cichy, z nakazem tajności, gdy wołał, poleczał i wiódł ku swobodzie. Poznawszy ten sposób dziewiątego sierpnia, po siedmiu miesiącach pracy dla więzienia, gdy nieszany surażnik rzekł mi - to już pierwsza, chodźcie pozakawatwić pewne polecenia. Nie wiedziałem o co mu właściwie chodzi, ale skoro takie wezwania bywały, przerwałem robotę i tak jak się godzi, spokojnie poszedłem nieswiadomy sprawy. Najpierw była ceka z której mi kazano zabrać wszystko moje. Potem w magazynie także moje ciuchy sprawie mi wydano i byłem już sobą po pierwszej godzinie. To niej opuściłem główny pałac męki, aby w biurze pojąć, że oto się stało to, na co z tęsknotą, zaciągając szczękę, przez półtora roku stałe się czekało. Kiedy otrzymałem zwolnienie formalne, nadał pod nadzorem przeszedłem pod bramę zwaną numer jeden, jako oficjalne uznanie tym razem już mojej wygranej. Dalej była druga bramą mniej uboga, którą z wielkim zgrzytem wolno otwierano, a przed nią nagle jawiła się droga wolności, zaś za mną, bramę zamykano. Zmieniła się jakość spojrzenia na życie, które wyzwolone z krat, murów i kibli, od nowa chłonęło radość należycie przez błękitne niebo - żywy symbol bibli. Niebo - bezgraniczność dróg nieskończoności, po których wędrują nadzieje każdego ziemskiego istnienia ku prawdzie wieczności kwitnących w przestrzeni doznania rajskiego.

W godzinach wieczornych wsiadłem do pociągu
i wreszcie ruszyłem w stronę mego wyjścia,
które było źródłem owego przeciągu,
jaki dla mnie stał się huraganem z czyszcza.
Teraz oczyszczony formalnie z zaskości,
upojony świeżym oddechem swobody,
chciałem być zwiastunem rodzinnej radości,
jaką z sobą niosłem za czas niepogody.
Iecz mimo tych wszystkich wspaniałości ducha,
które mnie znaczyły czymś nader szczególnym,
czułem w sobie obcość, a na pewnoś krucha
jak gdyby pękła w swym wydaniu głównym.
Kiedy na mnie patrzył - tak mi się zdawało,
jak na wrogą, skórę wypełnioną siarą
i pragnął mnie pytać - jak mi się siedziało,
by w skrytości ducha, palić moje ciało.
Wparty w kąt wagonu, w takt rytmicznych stuknięć
kół w strefie łączenia szyn na trasie jazdy,
zmieniałem treść myśli w każdej chwili szturchnięć
i chętnie zerkiałem przez okno na gwiazdy.
Jedynie świadomość mego uwolnienia,
była mym łącznikiem dla dziwacznych myśli,
co to nieustannie równała zboczenia
na trasie wiedzącej ku życiu, w czas przesyły.
Mój powrót do domu miał być niespodzianką,
zaskoczeniem śpiących i nic niewiedzących,
jakąś wyjątkową w uczucia więzanką
dla żony i dzieci w uściskach gorących.
Iotem mama, siostra, szwagier i ich dzieci,
a po nich koledzy, starszy przyjaciele
i wiara, że smutek z przeszłości uleci,
a życie przysporzy satysfakcji wiele.
Początkiem rozpacz był poranek chłodny,
a teraz radością była głębia nocy,
kiedy chuderlawy i wszystkiego głodny,
wracałem w wagonie jak w rajskiej karocy.
To tylko ja czułem, jak nieznośne pęta
zwalniały swój uścisk z ciała oraz ducha
i mnie opuszczały, a dola przeklęta
odchodziła w przeszłość, jak zła zawierucha.

Lecz kiedy północą stanąłem przed drzwiami
własnego mieszkania, po półtorarocznym
czasie uwięzienia, sięgnąłem myślami
do wydarzeń z ojcem w dawnym czasie mrocznym,
przed piętnastu laty do jego doznania.
On też to przeżywał, ~~xxx~~ stojąc w uczuć gąsienicy,
gdy uciekł z obozu celem ratowania
tych, którzy na niego cierpliwie czekali.
Jego czas, był moim w sensie doznawania.
Opatrzność raczyła w kanwę naszych przeżyć,
wpleść ogrom uczucia czystego kochania
i w jego moc ponad tragedię uwierzyć.
Teraz, to ja stałem cicho, pokrywając,
przed drzwiami mieszkania, modląc się po cichu,
aby to, co one dzielą sobą w domu,
było w dobrym stanie wbrew wszelkiemu lichu.
Oby zaskoczenie moim nagłym powrotem,
nie spowodowało czegoś przeciwnego,
co mogło być dla mnie bolesnym kłopotem,
albo jakimś cieniem uwierzenia mego.
Ja pragnąłem słońca mimo ciemnej nocy,
jasnych twarzy, które radosnym uśmiechem
wzbudzą w moim sercu ogrom takiej mocy,
co zatrze mą słabość będącą moim grzechem.
Zapukałem. Cisza. Potem nieco głośniejsze,
oczekując chwili pełnego otwarcia
drzwi, serca i duszy, pragnąc w tym najmocniej
jawić się znów siłą rodzinnego wsparcia.
A kiedy me myśli wywołały skutak,
zabrakło słów prostych, zaś to powitanie
było raczej chwilą, która ból i smutek
mieszkała z radością w serdeczne wyznanie.
Kiedy nawałnica nieoczekiwanych
doznań oraz uczuć zelała w działaniu,
szepem słów w otoczkach diamentowo-żławych
przeżywałem drugą scenę powitania.
Noc była zbyt krótka, aby to co było
skończoną historią fizycznego szaku
można było pojąć, jak ją się trawiło
bólom dnia każdego i bezmiarem żalu.

Rankiem także dzieci wielce zaskoczone
powitały tatę serdecznie, wesoło,
bo oto tak nagle wszystko utracone
stawało się właśnie, jak gdyby na nowo.
Od tego poranka wszystko się zmieniło,
jaśniej i weselej było teraz w domu,
a to, że dni lepsze przyjdą się wierzyło,
choć nikt nie wiedział kiedy oraz komu.
Byliśmy w komplecie, a to stanowiło,
że pewniej już można było patrzeć w przyszłość,
bo śmielej się chciało i głośniej mówiło,
iż chwilowa bieda, to przecież nie wieczność.
Żona harowała za głodową pracą,
a ja wciąż szukałem miejsca zatrudnienia
licząc, że bez pracy swoją wartość tracę,
bo życia nie zmieniają najgłębsze pragnienia.
I teraz jak kiedyś, również w trudne czasy,
musałem skorzystać z protekcji znajomych,
bo trzy bezowocne miesiące bez pracy
świadczyły, że byłem z klasy potępionych.
Czasowo musiałem wyzbyć się ambicji
i pojąć, że jestem teraz wrogiem ludu,
który przez rok cały w nadzorze Milicji,
nie stworzy warunków zaistnienia cudu.
Musałem się chwytać szybko za "byle co",
aby w konsekwencji, raczej bez wyboru,
ponownie się znaleźć w miejscu, gdzie kobiecą
miarą odmierzano wartości honoru.
A był to mój pierwszy zakład zatrudnienia,
w którym jeszcze trwała pamięć mej osoby
z okresu pionierstwa, nie do zapomnienia,
kiedyśmy tyrali za słowne nagrody.
Tym razem daleko ustawiony w rzędzie
przeróżnych stanowisk, stołeczków i stołków,
musałem od dołu, na swej marnej grzędzie,
odróżniać godniejszych od stada matołków.
Była to okazja poznawania tego,
co w sytemie czasu wciąż się rozmnażało
oraz na bieżąco raziło każdego,
a na mnie szczególnie złośliwie działało.

Klasą pierwszej miary byli sekretarze -
prymitywni znawcy tego co się działo,
pospolici ludzie o krótkim wymiarze,
zagubieni duchem, dbający o ciało.
Kilku dyrektorów i stado kacyków,
stanowiło siłę wiodącą ku chwale
stado umęczonych kobiet - robotników,
poganianych twórczo na każdym wydziale.
I mnie się udało, dzięki Grzegorzowi,
być ekonomistą, niemalże rzecznikiem
działu, gdzie znajomy remontami gonił
będąc kierownikiem - głównym mechanikiem.
W ten sposób zdołałem zmienić stan faktyczny,
unikając przykrych często pogaduszek,
które w ustach głupków w sposób makabryczny
mogły się przyczynić, bym żył jak kopciuszek.
Mimo to straciłem z ambicji zbyt wiele,
stając się maluczkim, zwykłym gryzipiórkim.
Ważne były jednak moje dalsze cele,
które mam wszystko, tworzyłem za biurkiem.
I chociaż tym razem, przyznaję nie/wielu,
mych byłych przyjaciół chciało ze mną działać,
to prawdą jest także, że w marszu do celu,
pomagało także pragnienie odkłamań.
Efektem znaczącym stał się rok następny -
pięćdziesiąty szósty, zwany gomórkowskim,
kiedy gejzer nowej nadziei poczęty,
miał odrodzić wiarę w rozumieniu polskim.
Uwierzono szczerze, że oto nadchodzi
czas z ojczystych szlaków wciąż nieposkromiony
w walce o swą wolność, któremu przewodzi
wieloletni więzień, nagle uwolniony.
Ludzie uwierzyli, gromko wiecowali,
skłali telegramy pełnego poparcia,
w miarę swych uzdolnień z przejęciem działali
na rzecz zwycięskiego w narodzie otwarcia.
Wówczas to niesiony emocjami czasu,
zebrawszy dziesiątkę chętnych, choć mniej ważnych,
korzystając w pewnej mierze z ambarasu,
wydałem gazetę - "Wrzecziono" odważnych.

Miało to być pismo załogi zakładu,
dbające o sprawy wszystkich zatrudnionych,
wskazujące źródła wszelkiego nieładu
oraz w nim bezmyślnie wielu zagubionych.
Prawda i rzetelność podawanych faktów,
uczciwość osądów w logicznych wymiarach,
unikanie wszelkich donosów i paktów
oraz walka z nimi na wszystkich obszarach,
stanowiło credo naszego działania,
społecznej ofiary na rzecz tej odnowy,
która w owym czasie naród uzbrajała
w historyczną godność - honor narodowy.
Z czasem, posiadanie przez zakład gazety,
stało się zwyczajem uznanym, normalnym,
wspieranym przez zarząd i wszystkie kobiety,
stanowiące głównie o prawie moralnym.
A że to znalazło uznanie dyrekcji,
świadczyło bieżące pokrywanie kosztów
oraz użyczenie wsparcia dla inwencji
budowniczych prawych z załogą pomostów.
Zaś w dowód uznania, głównie redaktora,
zrobiono zeń wkrótce kierownika działu,
zgodnie z poleceniem pana dyrektora,
który tą decyzję budował pomału.
W ten sposób ponownie mi się wydarzyła
okazja doznania wyraźnego zwrotu
w stosunku do mojej osoby - rzecz miła,
lecz mógł to być także początek kłopotów.
Mając już za sobą realne doznanie
niejednej, rzekomej ludzkiej życzliwości,
przywykłem nieufnie traktować uznanie,
jeśli nie pojąłem jego celowości.
Ja dobrze wiedziałem z własnego przeżycia,
że w warunkach naszej nowej egzystencji,
często windowano człowieka z ukrycia,
aby go następnie zniszczyć w konsekwencji
lewego koloru w sferze wyobraźni,
albo wyznawania niewłaściwej wiary,
bo to w czasie zwykłej, choć ludzkiej bojaźni,
stanowiło przykład nieprzydatnej miary.

Oczywiście z czasem, mój brak zaufania
ulegał zmiękczeniu prawem stałej jazdy
po wszystkich wydziałach, bez oznak łamania
przodującej siły - pulsującej gwiazdy.
Już mi się zdawało, że tutaj dożyję
godnego dobrnięcia do granicy znoju,
a twarz w nurcie Odry ochłodzę, obmyję,
stroniąc od podłości bezsensownych bojów.
Niestety, to były tylko me złudzenia,
że październikowy przełom da owoce,
które w przyzwolonych mózgach i marzeniach,
wypełniały wiarą nieprzespane noce.
Stało się inaczej. Strach przed "większym bratem"
oraz uwierzenie w skuteczność doktryny,
kazało unikać zwady z bratem - katem,
by nie zepchnąć strzępów swego "ja" w maliny.
Powracały stare prawa i wymogi,
partyjność stwarzała możliwość kariery,
co pewnie skracało propagandy drogi
w przekraczaniu trudnej dla innych bariery.
Z czasem powróciło wszystko do swej normy,
dyscyplina nadal stanowiła credo,
które wzbogacało życie w różne formy,
zdobiąc je w nakazy oraz ludzką biedą.
Zmieniło się trochę na szczycie tej góry,
lecz na dole nadal zwodzono lud prosty,
który z nienawiścią spoglądał na mury,
za którymi rządy sprawowali oszy.
A kiedy ponownie pospolita małość,
zaczęła rej wodzić w tworzeniu przyszłości,
to ta na czerwono malowana całość
stawała się faktem, mknącym ku nicości.
Prawo naginano do podłych zamierzeń,
od nowa zaczęto szukać wrogów ludu,
a w skrytości ducha i pijanych zwierzeń,
wciąż oczekiwano jakiegoś w tym cudu.
Likwidując drogi przemiany głoszone,
że czujni i zwarci wrogów zwyciężymy
i wierząc w te brednie zniszczyli "wrzeczono",
potępiając głównie jego narodziny.

Zaś redaktorowi oświadczono butnie,
że im nie potrzeba przywódców duchowych
i będą tępli bezwzględnie, okrutnie
wrogów o *odcieniach* antynarodowych.
A skoro tą groźbą straszył sam sekretarz,
komitetu partii jedynej w zakrędzie,
jako uzurpator wszechwładzy i lekarz
dbający o zdrowie psychiczne w układzie -
partia, władza, siła - jako taran czasu
i przewodnia gracia z dopustem wszechwiedzy,
stanowiło wyrok na garstkę pariasów,
którzy siali prawdę już tylko na miedzy.
Słuchając pogroźek sekretarza Kłosa,
nietrudnym już było określić ich stutek,
jaki pewnie czekał ruganego bossa
i pogłębiał wokół panujący smutek.
To już była mowa typowych prostaków,
pyszenie wystrojonych pustosłowiem w cynizm,
nie znoszących białych wśród czerwonych znaków,
uznających tylko poddańczy kretynizm.
Oczywiście skutek dyktatorskiej bajdy,
przyłożył bezwzględnie pierwszemu z gazety,
którego historią stały się już rajdy
mknące po wybojach od mety do mety.
Wnet wypowiedzenie z pracy doręczono
nie siląc się nawet na uzasadnienie
przyczyn tej decyzji, którą uzgodniono
w przyjacielskiej zmowie gubiącej sumienie
dwóch przednich kacyków - to jest sekretarza
oraz dyrektora, który w swej karierze
pozorami wiedzy, prymityw przetwarzał
na dymną zasłonę, brnąc w czerwonej wierze.
W taki o to sposób ponownie się stało
to, czego po prostu nikt się nie spodziewał,
a mnie się w nawale myśli wydawało,
że znowu ktoś podły, przyjaciela sprzedał.
Tylko cztery lata dane mi tu było
doznawać przyjaźni w serdecznych układach,
z którymi naprawdę wiele się tworzyło
i wiele uczyło też na ludzkich wadach.

Tym razem odejście mej skromnej osoby zaskoczyło wszystkich oraz przeraziło, kiedy w psim pośpiechu "fotelowe żłoby" mieli zaszczyt uznać, że się powróciło do wypróbowanych ubeckich sposobów jak wykańczać ludzi, którzy przeszkadzają, a przeciwko którym nie było dowodów, że to właśnie oni wbrew prawu działają. Z przykrością zegnałem wszystkich poraz drugi, przyjaciół serdecznie, a wrogów z pogardą, za ciągle rosnące niespłacone długi i skrywanie uczuć za podwójną gardą. Ponownie mi przyszło szukać zatrudnienia i przedstawiać mebie w życiowym porządku, a nie ujawniając obaw z zagrożenia, zachować niezbędną granicę rozsądku. Tym razem to było zbyt chamskie zagranie, abym mógł ominąć urząd moźnowładcy - sekretarza partii, przed którym ci dranie składali mi stale hołd wiernopoddania. Ma złość na osoby społecznej pogardy, pozwoliła szarpnąć spokój dygnitarza, który, wyznam szczerze, wcale nie był twardy i w całości racją wobec mnie wyrażał. Potem gdzieś zadzwonił. Szybko się dogadał i polecił sprawnie ~~sprawnie~~ załatwić bez sporu, a następnie grzecznie miejsce pracy wskazał, gdzie chętnie mnie przyjął nie szczerbiąc honoru. Dziękując odszedłem pełen satysfakcji, że mimo podłości moich przeciwników, wyszedłem zwycięsko z owej chamskiej akcji, spychając w rynsztoki małość bolszewików. Zaś ja wnet trafiłem do Spółdzielni Pracy szewskiej Specjalności, na stołek prezesa, co mi pozwoliło zupełnie inaczej zacząć sprawnie działać w nowych interesach. Przywykanie trwało krótko, bezboleśnie. Porządek przybierał ośmienny kierunek, który uzgodniłem, aby móc bezpiecznie stworzyć tej spółdzielni godny wizerunek.

Spółdzielnia nieduża spełniała usługi,
jak dotąd jedynie szewskich specjalności,
co niepozwalało likwidować długi,
ani nie zmniejszało groźby upadłości.
A więc mnie przypadło ratowanie kramu
przed niechybną śmiercią w erze socjalizmu
oraz nieuchronnym kończeniem się stanu,
który ponoć krzywił start do komunizmu.
Być może to dla mnie miało być przestrogą,
abym zmienił własne widzenia i взгляды,
bo jeśli nie spełnię układow z zakłogą,
ostatecznie przyznam, że popełniam błędy,
będąc nieprzydatny w sferze kierowania
zespołami ludzi, którzy zawierzyli,
że oni są siłą godną prostowania
marszu w którym nagle zbył groźnie zbcoczyli.
Ja to rozumiałem i dobrze wiedziałem,
co mnie mogło spotkać w razie niespełnienia
tego, co tym razem wykonać musiałem,
aby się wykazać sprawnością tworzenia.
I tak się zaczęło. Spółdzielnia podjęła
masową produkcję damskiego obuwia.
Również rozpoczęto trud nowego dzieła -
produkcję tapczanów, zmieniając ruch żółwia
w bieg ku nowej skali własnego znaczenia.
Zakłoga spółdzielni sukcesem wzmocniona,
wnet nazwę zakładu też sensownie zmienia
w szewsko-tapicerską, z plajty uwolniona.
W taki oto sposób podjąłem wezwanie,
jednocząc wytwórców w dobrze zgraną pakę,
która wnet pojęła, gdzie złośliwi dranie
zastawiają sidła, by nas wpędzić w drakę.
Nowa gra w sukcesy trwała przez dwa lata,
do chwili gdy osły - półanalfabeci,
na rozkaz jakiegoś z zarządu warieta,
podjęli decyzję, swym sposobem krecim.
W kosekwencji dranie realizowali
swój haniebny program mnożenia głupoty,
co nadal ich rzady umocni, utrwali,
w stale dryfującej łodzi na kłopoty.

Dla wyższego celu, nakazem przeszłości,
połączono w naszą jakąś dryfującą
i okalającą graficą arabości
spółdzielnię w teledzi, swój tytuł kończącą.
W taki oto sposób nieuczliwi dranie,
co z stewskego stołka przeszli na fortele,
według swoich racji trąfając nagranie,
powtarzali stare swe podłe fortele.
Trod polegał na tym, że skoro z dwóch jedna
powstała spółdzielnia, to nakazem chwili
było ugodnienie, która postać panza
nowy stołek władny rozumem zasili.
A więc z dwóch prezesów mógł pozostać jeden,
co wnet także sprawnie na czas ustalono.
Pozostał ten, który wypracował biedę
w miejscu swych sukcesów, skąd go odprawiono.
Takim to sposobem, sprawa oczywista,
prezesem się stał lichy szum z zawodu,
a odziedziczył od niego pan - ekonomista,
który nie pasował do tego barłoga.
Nowy był partyjnym, działaczem oddanym,
choć mało wiadcącym na czym to polega,
że kiedy się stawia na czas zakłopotany,
nagle wszystko kol i nie nie dolega.
Skoro jednak takie działanie jest godne
i powszechnie zwane - oddaniem idei,
lepiej było słuchać temu co wygodne,
rekujące lepsze z tego, co czas dzieli.
A dzielono wszystko swą miarą uznania
tego, co w teorii zwano socjalizmem,
dającą możliwość do przeznaczenia
na rzecz wyższej normy swobodnej komunizmem.
Nowy prezes wiernie słuchał tym zasadom,
które z prynitywa czyniły wadliaka
oraz bez zastrzeżeń poddawał się radom,
nawet gdy kazano mu chodzić na raka.
Zaś to, że spółdzielnia znów stała w dołku,
nie miała w stosunku do wadniejszych celów
żadnego znaczenia, bo przecież na stołku
siedział wierny sługa z czerwonych szeregów.

W tak widzianym świecie nie było już miejsca
dla mnie, znaczonego skazą wroga ludu,
który choć odcierpiak, nie miał praw do szczęścia
i nie mógł już liczyć na łaskawość cudu.
W tym świecie liczenie na wyrozumiałość
oraz na uczciwą moralną szczerłość,
było absurdalnym liczeniem na prawość
tych, co już od dawna gępi sprawiedliwość.
A skoro tak było, nie protestowałem
i godząc się z trefnym działaniem niecnoty,
moim wrogiem śmiało zrozumieniem grałem,
że mi nie po drodze jest do tej chołoty.
Odszedłem nie tracąc pewności na drogę,
którą mi upstrzono ostrością wybojów,
bo moje odejście burzyło pogodę,
lecz ja przywykając, nie bałem się progów.
Dlatego bez żalu ruszyłem przed siebie,
jako peras któryś bezrobotny z woli
tych, wśród których stale w życiorysach grzebie
prostak i kanalia w swej kapusia roli.
Miesięcznym spacerkiem wypełniałem życie,
poszukując nowej mety - zatrudnienia,
lecz aby pragnienia spełnić należycie,
musiąłem pokonać wyrzuty sumienia,
które jak pijawki wysysały soki
tworzące niezłą szczerłość ambicji,
a ta swą wariacją pomniejszała kroki
wiodące mą skromność w niepewność kondycji.
Nigdy nie musiałem zadziwiać "na chana",
raczej swoją skromność dając na plan pierwszy,
a to prawie wcale nie brało barana,
który do wyboru miał horyzont szerszy.
Ostatecznie goniąc niemalże na oślep,
przypadkowo wpadłem na kumpla Łuczaka,
któremu nakazał los życiowy postęp
i go bez żenady wpasował do fraka.
On był kierownikiem działu kadrowego
w zakładach, skąd ongiś byłem wywieziony
na otwarcie w życiu rozdziału nowego,
jaki mnie wzbogacał, choć był potępiony.

Tym razem rozmowa dotyczyła tego,
co mnie przeginało na różne sposoby,
choć to okazja do przyzwoitego
sondażu możliwości znajomej osoby.
Zawzięcie pytałem oraz poznawałem
to wszystko, co było godne mej uwagi.
Chciałem się upewnić, że w tym co słyszałem
jako propozycje, nie ma jakichś blagi.
Będąc przekonany, po dłuższym gadaniu,
że kolega szczerze dawał propozycję,
przytaknąłem zgodą nowemu wezwaniu,
które mogło wzmocnić mą słabą kondycję.
Ochoczo przyjąłem koleżeńską pomoc,
bo nią mogłem pewniej wesprzeć swe starania,
bez czego niepewnym stałby się ten owoc,
który miałby rodzić kolejne wezwania.
Powrót do starego miejsca zatrudnienia
mógł być dla mnie trudny oraz też niepewny,
bo w wybranym dziale, na rzecz odrzucenia,
już działał Kościelniak sposobem bezczelnym.
Lecz ja z jakimś dziwnym, wewnętrznym uporem,
dążyłem do tego niepewnego celu,
który mówiąc szczerze, stał mi się honorem
mimo, że usilnie odradzało wielu,
co to mi życzliwie starali się pomóc.
Mimo to świadomie, z całą mocą woli,
pragnąłem powrócić już bez trepów, onuc,
jakie mi wpisano do skazańca doli,
użyczonej właśnie w tym szubrawym miejscu
i także dokładnie przez tych samych ludzi,
którzy też nie chcieli wspomnieć o nieszczęściu,
co to ich sumienia będzie z nowa brudzić.
A ja tą okazją chciałem im przypomnieć,
że to ich głupota, podłość oraz małość,
pozwoliły ongiś szubrawcom zapomnieć,
iż to co czynili stanowiło zadość
planowanej umowy dwójga sprzedawczyków,
pospolicie zwanych przyjaźnią kapusiów,
którzy z pospolitych, brudnych uliczników,
stali się przywództwem nieporadnych strusiów.

Kościelniak natychmiast zaczął swoje granie, aby sprawiedliwy nie był w jego planie, bo jego działanie, miało dwie przystanie - w jednej się zgłaszało zapotrzebowanie, a w drugiej liczone oraz przeliczano to, co się przestępczym zagranie zdobyło, oraz ile komu, też tam ustalono za to, że w zespole sprawnie się grzeszyło. Lecz mimo sprzeciwu i jawnej niechęci, na wniosek kadrowca, nieznanym mi bliżej dyrektor mnie przyjął, do działań zachęcił, obiecując z czasem ustawienie wyżej. Odtąd jako starszy znów ekonomista, osadzony w znanym dziale inwestycji, jako zawodowy przecież specjalista, wzmacniałem pozycję praworządnych myśli. Przyznaję, że to mi się też udawało mimo, że niektórzy cichaczem coś knuli, a wobec mnie głupio się wypowiedano, iż moja poprawność czasem rozum nuli. Mnie to nie smuciło, bo wiedziałem pewnie, że stałem się teraz postacią odważną, która samym faktem istnienia, już dzielnie wpływała na wszystkich, byśmy żyli prawdą. Oczywiście było to tworzenie czegoś, co nie przylegało do przestępczej paki, jaką od lat wielu jednoczyła wielość przestępczych sukcesów w zgodzie i bez draki. A teraz się nagle wszystko rozpadało, bo niektórzy śmielsi zaczęli się cofać i mogli już szczerze, bez obawy, śmiało, mówić jak tu dotąd kazano im kochać wszechwładnego szefa, szubrawca, kanciarza, którego z pogardą, lecz musieli słuchać oraz mu pomagać, choć on ich obrażał i nawet na zimne kazał im wciąż dmuchać. Coraz głośniejsze było o sposobach, jakie stosował Kościelniak w kanciareckich zagraniach, pożerając zawsze stosy szmalu takie, które mu tworzyli inni na kolanach.

Dziwiłem się szczerze, nie pojmując tego, jak to wolni ludzie dali się ujaźnić jednostce krańcowo przecież odmiennego pojmowania prawa, by bliźnich cyganić. Sprawa polegała na oszukiwaniu dyrekcji zakładu w sposób wyjątkowy, bo pod pozorami szczerości w działaniu, tworzono gangsterski system łapówkowy. Najpierw było sprawne szukanie odmowy tego, co powinno wykonać właściwe biuro projektowe - oddział zawodowy, by koszty projektu były sprawiedliwe. Jednak gdy się miało takie dwie odmowy, że biuro zlecenia już przyjąć nie może, wówczas było prawne angażować głowy w systemie umownym tym, kto w tym pomoże wykonać prywatnie, lecz odpowiedzialnie. Wówczas Kościelniaczek zlecał wykonanie technicznych projektów tym razem już sprawnie, za ściśle dograną cenę w swoim planie. Zaś u siebie w biurze tworzył fikcję prawa - powoływał zespół z własnych pracowników, który miał rzekomo, choć fachowość wszawa, wykonać zlecenie wielu projekcików. Ten zespół był fikcją, choć umowa była prawnym dokumentem zawartej umowy. Tymczasem zlecone projekty tworzyła kadra tego biura, co dała odmowy, potwierdzając braki w mocy przerobowej. A kiedy zlecenie było wykonane, Kościelniak je zgarniał w imię władzy swojej oraz w jej imieniu czynił odebrane. Potem była lista płacy dla zespołu, na której przestępcy składali podpisy, a skoro nie wniesli żadnego mozołu, czynili to tylko jako chytre lisy, którym z łaski herszta, za wsparcie przestępstwa, Kościelniak wypłacał po czterysta złotych, pochwalając dzieło rzekomego męstwa po stronie zależnej od niego hołoty.

Następnie należność za ową robotę,
wypłacał faktycznym wykonawcom dzieła,
na co wystarczyło, dzieląc całą kwotę
sprawnie po połowie. Jedna część ginęła
wnet w jego kieszeni, by w złodziejski sposób
bogacić się cudzym, o grube tysiące.
Drwił w bezczelny sposób z poszczególnych osób,
dzięki którym przeżył dni wzbogacające.
A że tym sposobem zyski były pewne,
i z góry wiadome były wysokości,
coraz częściej rosły koszty niewspółmierne
do faktycznych potrzeb oraz ich ilości.
Mając w garści własnych pracowników działu,
za marne łapówki z tytułu współpracy,
Kościelniak był szefem mafijnego klanu,
zdając sobie sprawę z tego, co to znaczy.
On kryminalista, zdawał sobie sprawę
ze skutków będących wynikiem działania,
które jako ciągłe wojowanie z prawem,
mogą dnia pewnego wziąć za tyłek drania.
Tym razem on wiedział, że moje przybycie
może stać się zwrotem w owej sytuacji,
w której zło żądziło się na samym szczycie,
w oparciu o stały fałsz interpretacji.
Był to wyzysk głupków idących w łatwiznę,
z pełnią przeświadczenia, że źle nic nie czynią,
bo szef mając chody, każdą myśl naiwną
stłamsi już w zarodku i obawy miną.
Kościelniak wygrywał ten prymityw wiary,
że on jest wszechmocny, bo współdziała z górą,
a wszelkie działania, jak spec doskonały,
potrafi prostować pod każdą złą chmurą.
Na nic się nie zdmyły moje zaprzeczenia
i próby odmiennej zasady myślenia,
że to, co im zleca często do zrobienia,
jest jedynie świństwem godnym potępienia.
Stale przegrywałem, mimo słusznych racji,
bo chęć do łapówek była stale mocna,
a Kościelniak nie chciał swojej degradacji,
skoro ta działalność, wciąż była owocna.

O tym, że przeciwny byłem tym działaniom,
stałe donoszono szefowi by wiedział
kto za, a kto przeciw określał się draniom,
bo z nich każdy musiał wiedzieć na czym siedział.
Były to zagrywki przykre, niepojęte,
dla tych co swą pracę traktowali godnie
i nie chcieli wspierać to, co było wstrętne
wobec ich przekonań głoszonych swobodnie.
Szubrawiących jednak to nie przekonało,
bo nadal zależnie od potrzeby planu
zagrywali w kanty, a to oznaczało,
że tych na poboczu mieli za pacanów.
Takie stosunekczki panowały w dziale,
w którym przewodzili półanalfabeci,
na niespotykaną bezczelności skalę,
niby karuzela wirujących śmieci.
Tymczasem dyrekcja sporo już wiedziała,
na temat przestępczych działań tego działu,
lecz odwagi nadal nie okazywała,
dochodząc do prawdy szczególnie pomalu.
W konsekwencji, śpieszna zmiana dyrektora
nastąpiła wcześniej od działania prawa,
a to pozwoliło skłodziejom od nowa
poszerzać swą twórczość i zabawa trwała.
Nowym dyrektorem był jakiś przybłęda,
partyjny cwaniaczek, lump oddany sprawie
jedności ze Związkiem, a miłość ta wzięta
była z dawnych kresów w czerwonej oprawie.
Dla mnie to nie miało żadnego znaczenia,
ponieważ nie znałem tej jakości ziela,
bo różnica wieku wszelkie kojarzenia
gubiła w ggle wspomnień, które czas wybielał.
Nie mi nie mówiło dziwaczne nazwisko,
nigdy nie ujęte chociażby wspomnieniem,
tych co równym wiekiem znałem bardzo blisko,
a to raczej było pospolitym cieniem.
Ale skoro czasy zmieniły nam wszystko,
a ludzi mieszano działaniem historii,
to co było z dala, znalazło się blisko
i rosło jak chciano, dla nowych teorii.

Tym razem pewniejsze stawały się względy dla ludzi odważnych, bardziej przedsiębiorczych, którzy nawet kradnąc, bogacą poglądy o radosnym bycie wszystkich budujących. A skoro ten pogląd był częścią portretu nowego zarządcy - towarzysza, pana, wszystko co nosiło znamiona tupetu, traktowane było jako gra udana. To zaś pozwalało w bardzo krótkim czasie, rozszerzyć bogactwo fałszowanych dźwięków, na skalę symfonii słyszanej na trasie, wiodącej ku lepszej przyszłości bez lęków. Smiałość przywłaszczania stała się powszechna w logicznym obrazie, że tu wszystko nasze a skoro istota ludzka nie jest wieczna, bardzo się śpieszyli w działaniu Judasze. Nowe obyczaje stawały się *treścią* czerwonej kapliczki, gdzie modły odprawiał, wzbogacając wiarę modlitewną pieśnią o związek nasz bratni i wiernych spowiadał towarzysz Forycki, dobrze wszystkim znany, tym razem sekretarz pierwszy, najważniejszy, dający dowody, że umie być cwany, bo zawsze wśród lepszych bywał wciąż "lepszejszy". Też czasu nie tracił znany nam Kościelniak, zawzięcie szukając bliższego kontaktu włożył gdzie się dało, jak jedyny pewniak w odegraniu ważnej roli tego aktu, który ostatecznie określi spełnienie w najnowszym układzie znaczenia i władzy. Chodziło mu o to, aby żadne cienie nie mogły malować kolorami sadzy jego osiągnięcia, które przecież były znane i widziane. Tymczasem te lewe, wbrew niektórym kłamcom, też przecież służyły lepszemu działaniu o poważne cele. W tej jednak materii niezbędnym już było pojmowanie wyższych spraw i wszelkich związków, które bez gotówki nic by nie złożyło w pełne wykonanie trudnych obowiązków.

Takie tłumaczenie było czymś na teraz,
co raczej mówiło o tym co już było,
a przyszłość n^arazie to li tylko wyraz,
za którym bezpiecznie różności się kryło.
Aby jednak mogło być zgodnie z zamiarem,
każdy cwaniak własnym, wymyślnym sposobem,
stawał się szczególnym, przyrodzonym darem,
wywpać żadaną przyjaźń z komandorem.
Nie inaczej działał, płynąc na tym statku,
Kościelniak - kierownik, którego zadaniem
było bez żenady, w odmienionym światku
zależć sobie miejsce znaczone uznaniem.
Tak jak przewidywał, wnet się to spełniło,
kiedy zgodnie z wolą swego pryncypała,
wybrali się razem, bo potrzebą było
pilne rozeznanie, jak wygląda sprawa
zwiększenia kredytów na rzecz inwestycji,
które w owym czasie były atrybutem
uznania, znaczenia oraz tej pozycji,
co to grę o władzę wiodła lewym skróttem.
Kto miał jakiś atut o szerszym znaczeniu,
mógł odważnie stawiać i walić po banku,
bo w tym czasie wszystko, nawet w zbrodni cieniu,
bywało sukcesem, lub ciosem po karku.
Nie biorąc udziału w tym bulgocie fusów,
do łaski nowego przywódcy - kacyka,
nie śpieszno mi było by w składzie lizusów,
tam gdzie nie potrzeba, też swe palce wtykać.
To mógł dobrze czynić tylko Kościelniaczek,
bo wnet mu się dało razem z pryncypałem
wyjechać służbowo oraz posłać maczek
i z władzą się zjednać duszą, sercem, ciałem.
A skoro pryncypał nie miał tej odwagi,
aby własnym gestem spowodować ubaw,
uczynił to koleś, wzniesiony do rangi
głównego alfonsa do mieszania w brudach.
Były dziewczyneczki, buzie i tyłeczki,
był śmiech i rozpusty bezsensowne trele.
Potem taniec w "betach" pod wpływem wódeczki
i tak się tworzyło delegacji cele.

A kiedy wrócili cichaczem z imprezy,
już sobie mówili przez "per ty" jedynie,
co było znaczące, lecz nikt im nie wierzył,
że był to znak glorii w ich ~~z~~ służbowym czynie.
Tak rodził się nowy układ sił w zakładzie,
lecz sposób tworzenia wcale się nie zmienił,
bo i teraz wszystko brnęło w swym nieładzie
stanowiąc gwarancję, że motłoch uwierzy.
Towarzysz dyrektor miał swego goryla,
organizatora intymnych rozrywek,
a Kościelniak teraz szczyt marzeń przeżywał,
stając się prawicą do wszelkich zagrywek.
To też mu stwarzało bezpieczne warunki
do tworzenia dalszych pomysłów na forszę,
bo prawie obchodząc wszelkie posterunki
stał się nietykalnym, choć gansterokim bossem.

Taki obrót sprawy był mi nie na rękę,
bo bez dociekania czułem i wiedziałem,
że będę skazany na powolną mękę,
gdyż jego podłości doskonale znałem.
On to także wiedział i działał ostrożnie,
aby nie wywołać burzy w tym mrowisku,
gdzie wielu umiało odegrać się groźnie,
bo byli bezwzględni i zbyt głośni w pysku.
To mi pomagało przetrwać czas najgorszy
oraz pozwoliło w zgodzie z mym sumieniem,
zjednać sobie wielu sposobem najprostszym,
uczciwym stosunkiem oraz wspomoczeniem.
Czas mijał zmieniając stale pory roku,
ubywały lata, z nimi kalendarze,
wartość ludzkich doznań równo, krok po kroku,
przemierzała puste życia korytarze,
wyłożone stale niezmienną czerwienią,
która wypaczała każde dojrzenie,
nawet kiedy świat się otulał zielenią,
bo wnętrza wciąż były świątynią czekania.
Aby nie oskabić wytrwania w kondycji
fizycznej, psychicznej oraz cierpliwości,
zdołałem w tym czasie słabość swej pozycji
wzmocnić nową dozą nabytej mądrości.

Ukończyłem sprawnie w latach pięćdziesiątych wyższe studium wiedzy, tym razem praktycznej, która nagle stała się pośród wątpliwych wiodącą ku prawdzie, lecz ekonomicznej. Również w owym czasie, próbowałem szczęścia w egzaminie wstępnym, tym razem na prawo, lecz to mi nie wyszło - zabrakło przyjęcia, bo nie było miejsca mimo, że się zdało. Oficjalnie nikt mi tego nie powiedział, że jakaś komisja, rzekomo społeczna, tak postanowiła bym na tyłku siedział, gdyż to ideowo była rzecz konieczna. Lecz ja zrozumiałem o co im chodziło, bo na moim akcie pierwszej dojrzałości, było napisane to co ich zmroziło, a mnie pozbawiło w ich mózgach wartości. Na świadectwie było wpięte dla kompletu, że w latach trzydziestych, wziętych z życia mego, przez trzy lata byłem w Korpusie Kadetów imieniem wielkiego wodza - Piłsudskiego. A więc Korpus lwowski, Marszałek, historia - to nie pasowało do tych społeczników, w których zawładnęła rozumem teoria lansowana obcym słowem bolszewików. Stąd decyzja prosta - w ówczesnej strukturze, owoce sanacji szkodliwe i dzicze, były potępiane przez władzę na górze, i nie mogły trafić na studia prawnicze. Załatwiono sprawę w sposób ostateczny, nie licząc się nawet z tym, że owe studia były zaocznymi, a więc niekoniecznym było traktowanie człowieka jak trutnia. Oczywiście takie szubrawe działanie nie mogło umacniać tych, co chcieli wierzyć, że nawet w tej podłej scenerii źli dranie nie będą hamować ~~sto, co~~ trzeba szerzyć. A przecież te studia miały mi pozwolić na odmianę w czasie mego zatrudnienia oraz ostatecznie umieć się wyzwolić z więzów krępujących odwagę sumienia.

Przeszły, przeminęły wloty i upadki,
nastał czas ponurej egzystencji kłamstwa,
oraz wymuszony system marszu w kratki,
drogami zawiści i zwykłego chamstwa.
Jedni kradli, pili, strachem nie grzeszyli,
a drudzy tyrali jak bezbronne woły,
i czasem się nawet byle czym cieszyli,
bo przecież lud pracy nie był wówczas goły.
Jak faktycznie było, prawie każdy wiedział,
mimo tłumaczenia wszystkiego na opak,
i cieszył się życiem, choć na biedzie siedział,
będąc popędzany jak stajenny chłopak.
Jedynie realne były: ciągłość pracy,
socjalna ochrona matki oraz dziecka,
punktualne zawsze naliczanie płacy,
którą wypłacała miła kasjerczka.
Urlopy też były ochraniające prawem,
zaś wczasy każdemu chętnie przydzielano,
aby móc odpocząć nad morzem lub stawem,
albo nad jeziorem gdzie się opalano.
Kto miał za co jechać, korzystał z okazji
dwutygodniowego rajdu po wolności,
aby odpowietrzyć naleciałość Azji,
a siebie nasycić rozkoszą swojskości.
Z biegiem czasu stawało się normą
godząca przeróżne tęsknoty, pragnienia,
niwelując stale nostalgię potworną,
szczególnie wśród ludzi o innych wierzeniach.
Mijające lata gubiły tęsknoty,
których już nie czuły nowe pokolenia,
a te miały swoje, odmienne kłopoty
i nie czuły racji w starych biadoleniach.
Ludzie przywykali, żyli i tworzyli
w realiach im danych na jakimś etapie
historii narodu i takimi byli,
w jakie ich wtłoczyły rany ręce capie.
Rzeczywistość była taka, jaka była,
swojska pośród ludu, zdradziecka w elitach.
Na dole trud pachniał potem który myła
nowomowa trutni o diablích kopytach.

XV. RÓWNI I RÓWNIJSI

Ojczyzno, przed tobą była dalsza droga
wielu lat podobnych, niemalże bliźniaczych,
skazanych na niemoc w umęczonych nogach,
od ciągłego marszu sposobem pokracznym,
wiodącym do nikąd mimo tego krzyku,
który śmiało zwano zwykłym pustostawem.
Rosła kadra nowych, sprawdzonych kacyków,
wiernych tej idei, co kładła odłogiem
szerokie pole rodzimych możliwości
w godności, wolności, wyrosłych z historii
samookreślenia swej suwerenności,
nie kalanej żadną obcością teorii.
Niestety, świadomość pojmowania tego,
co wносиła z sobą prawna rzeczywistość,
była pogmatwana, nie czując niczego,
co mogło przywrócić jej niezbędną czystość.
Tymczasem brukano wszystko co najświętsze,
zmieniając kolory, tradycje, rocznice,
zastępując Boga i honor naprędce
w leninizm, stalinizm i wierności "pice".
A te wyniesione do odmiennej wiary,
miały w ostatecznym sztorcie naważnicy,
zburzyć bezpowrotnie świat przekonań starych
i wszystkim dać wiarę czerwonej stolicy.
Cała rzeczywistość, chylona ku stronie
zmyślonego raju na fali przemocy,
każdy dzień nadziei gubiła w pokłonie,
wiernie oddawanym sugestiom proroczym,
które obwieszczały bliskość tej godziny,
co swą zbawczą mocą da nam pojednanie
wszystkich ludów świata w kształt jednej rodziny,
wolnej od wyzysku, który sięją dranie.
Czołobitność szczytu w hierarhicznej gali,
miała odpowiednie strefy rytuału,
gdzie cieniutkim głosem swe modły śpiewali
pokorni czekając odzewu chóru.
Ten odzewszył często bywał huraganem,
który zmiatał swoim szalonym podmuchem
tych, co chcieli siebie widzieć w lepszym stanie,
a nie niedorzecznym jednością okruchem.

W tych ukłonach byli równi i równiejsi.
Jedni towarzysze chcieli być panami,
a drudzy choć z panów, ilościowo mniejsi,
wobec nowych panów byli pariasami.
Tak właśnie widziane były te stosunki,
które bezprzykładnym tumanieniem świata
zwiększały swe wpływy, a z nimi warunki
pełnej samowoli, niechcianego brata.
A ten brat przybrany w szaty komunizmu,
ustawiony w pozie super hegemonu,
prześcigał wszem znane majaki faszyzmu
oraz najpodlejsze wyczyny Nerona.
Świat prącił niezdarność swojego działania
po sukcesach wojny, które zaprzepaścił,
a hołubiąc wówczas bezwzględne drania,
teraz zimną wojnę wciąż u siebie gościł.
Zaś ci co^{po}bratniej kiblowali stronie,
zgrywali się stale niby na normalność,
a cichaczem mocno zaciskali dłoń,
wciąż licząc na odwet za obcą nachalność.
Lecz gdy przekroczono granicę rozsądku,
pograżając w biedę utrudzone masy,
nie można już było nie dojrzeć początku,
który awizował nowe, inne czasy.
I chociaż ta droga wciąż była daleka,
wschodząca nadzieja budziła uspięne
umysły i serca, a myśli oblekał
swoim tchnieniem duch wiary w życie wyzwolone.
Świadomość wracała do norm ongiś znanych,
które w jakiejś mierze pozbawiono prawa
istnienia, bo były z dawno zapomnianych
i teraz je kryła nagrobkowa trawa.
Szczytowym zdarzeniem mówiącym odważnie,
że naród nie odszedł od wyznania wiary,
która go przez wieki umacniała sprawnie,
wiodąc ku wolności przez zdarzeń opary,
stały się wypadki na poznańskim bruku,
Szał ogarnął władzę i przestraczem gonik,
a lud zagubiony wśród strzałów i huków,
pragnął skończyć z czasem, od którego $\dot{\chi}$ stronił.?

W tym czasie odwagi, nie zabrakło hieny,
która wywiedziona z kacetowskiej nory,
szybko zapomniała faszyzmu karcery
i najpotworniejsze cła życia horrory.
Licząc na łaskawą przychylność ze Wschodu,
hiena choć tahórzliwa, swą super chytrością
potrafiła wgryźć się w przywództwo narodu,
aby móc poniżać i straszyć przeszkością.
To jej powiedzenie, sklecone na prędcę,
miało oblec strachem, danym ku rozwadze,
że władza obetnie każde śmiałe ręce,
które będą godzić w socjalizmu władzę.
To powiedział człowiek, który w Oświęcimiu
miał okazję trawić wszelkie okropności,
lecz jak widać było, w swoim zagubieniu
nie odnalazł w sobie po prostu godności.
Bo on uchwyciwszy się oburącz władzy,
groził jako gieroj ucinaniem łapy
tym, którzy nie chcieli, będąc biedni, nadzy,
pętrzeć bez sprzeciwu, jak buszują capy.
To "strachy na Lachy" miały być sposobem,
gaszącym w zacynie źródła nieprawości,
które w wybuchowej formie mogły grobem
zakończyć tworzenie, świetlanej przyszłości.
Aby strach mógł rosnąć do wymiarów piekła,
uderzono w żywą masę dumnych ludzi
ludobójczą salwą, którą przemoc wściekła
budowała sukces, co krwią łapy brudził.
Lecz na nic się zdały salwy i zabójstwa.
Rósł opór narodu i niepewność jutra.
Nie było już mocy aby zamknąć usta,
choć reakcja władzy wciąż była okrutna.
Rozruchy studentów, groźne w swojej masie,
pozwalaty sądzić, że opór wciąż rośnie
i coraz dosadniej awizował w czasie,
że na horyzoncie świt rodzi się w wiosnie.
Coraz częściej można było dostrzec ludzi,
którzy odkładając zimowe okrycia,
z pełnią uwierzenia szli w słońca, co budzi
moc uroków wiosny do nowego życia.

Odwaga nie była już tylko frazesem.
Ludzka mowa często bywała wyznaniem
tego, co przez lata zniewalania biesem,
nie mogło być mową, lecz tylko jękaniem.
Teraz coraz śmielej mógł człowiek z człowiekiem,
w swoich przyjacielskich stosunkach na co dzień,
wyrównywać błędne rozumienie, krokiem
marszu do jedności, pomimo zagrożeń.
Nadal bez pokrycia prawdą, niedorzeczne
zamiary i plany pełne pustosłowa,
z odczuciami ludu nieustannie sprzeczne,
miały być gwarantem głoszonego słowa.
W przestrzeni gęstniała świadomość ludowa,
która coraz bardziej świadoma pozorów,
gubiła swą czerwień z zadbania by głowa
nie straciła reszty rodzimych walorów.
Coraz więcej prawdy o rzeczywistości,
przenikało w kręgi dotychczas uspięne,
a w gwarze pospólstwa ten objaw swojskości
znaczył, że kacyków kible rozwalone.
A miało to znaczyć, że nastaje pora,
aby zakłamania i ciągle oszustwa,
załadować sprawnie do wspólnego wora,
jako zawinione przyczyny ubóstwa.
Potem je wyrzucić na śmietnik historii,
jako podły rozdział niechlubnej przemocy,
która wzorowana na czerwonej orgii,
każdy dzień nadziei zmieniała w czerń nocy.
Brak suwerenności, stanowił kaganiec
na ustach narodu, który w świadomości
porozów wolności, czuł się jak skazaniec
pozbawiony prawa do własnej godności.
Coraz śmielsze były rozprawy z przeszłością,
odważniejsze słowa kreślące zdarzenia
okrutne w swej prawdzie, straszne potwornością,
budzące z letargu tkamszone sumienia.
To naród się budził, aby klątwę czasu,
którą nań rzucili kainowi bliźni,
zetrzeć z umęczonej duszy i z pariasów
uczynić lud wolny swej wolnej ojczyzny.

Tak zwany świat pracy, do którego również wówczas należałem, dławik się w ciasnocie, a przypięty złą fastrygą kołnierz coraz bardziej dusił, zwiężając się w pocie. Nastał nowy zwyczaj, który żartem mówił - czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy - i prawdy tej nie gubił nawet w dniach postoju, swój kryzys trawiące.

W tym czasie zwątpienia, nagle coś się stało, co miało szczególną wymowę dla ludzi, którzy od lat wielu zagrywali śmiało, aby ich godności byle śmieć nie brudził. A skoro tym razem tak się wydarzyło, że dyrektor firmy do Moskwy pojechał, to jego zastępca - głośno się mówiło, wnet na Kościelniaku sprawnie się przejechał. Znany rozrabiaka znalazł się za bramą, pozbawiony prawa wstępu do zakładu, a prawda o trutniu brzmiała pełną gamą donosów o kantach i sprawcy nieładu. Utworzono nowy wydział inwestycji, w skład którego weszły tym razem dwa działy - dział programowania dla wsparcia kondycji działu wykonawstwa, by miał przerób stały. Ponownie trafiłem na stracone miejsce, będąc powołanym znów na kierownika od programowania, a więc dla mnie szczęście nie było czymś obcym, choć los mój utykał. Kończyły się wszystkie mafijne zagrania, powracał porządek oraz dyscyplina, w sensie koleżeńskich potrzeb i poznania, że nie na złodziejstwie przyjaźń się zaczyna. Zawieść i nienawiść utraciły pole, na którym nie mogły już więcej zakwitać. Skończyły się targi o korzystne role i nikt już o trefne nie próbował pytać. Przywykając można było pewniej sądzić, że wreszcie nastały lepsze dni tworzenia, a sens ludzkiej pracy nie powinien błądzić w ciemnych labiryntach, tylko złożyć zło.

Tak chciało się wierzyć, co jednak dalekie
wciąż było od prawdy, bo kiedy powrócił
ze swej strony kultu wzmocnionym człowiekiem
towarzysz dyrektor, wnet stare przywrócił.
Powrócił zza bramy do pracy Kościelniak,
aby objąć funkcję, tym razem głównego
koordynatora, aby wierny zdechłak
mógł stanąć w kondycji do czegoś nowego.
Swojego zastępcę dyrektor w odwecie
wysadził ze stołka, lecz znanym zwyczajem,
by po znajomości w końcowym efekcie,
został dyrektorem zgodnie z obyczajem,
oczywiście w innej, dalszej miejscowości.
A więc, wilk był syty oraz owca cała,
z zachowaniem wszelkich regół i grzeczności,
byle to załoga zrozumieć zechciała.
Tymczasem lud pracy, wnet pojął zagranie
i śmiał się po kątach aż trzeszczały ściany,
bo wszyscy wiedzieli, że wiadomi dranie
zdolni byli i bembem bić, jak zwykłe barany.
Wiadomo, pryncypał nie miał w tym wyborze,
bo za żadną cenę nie chciał tracić gada,
który był jedynym dlań sprawcą humoru
i potrafił milczeć, jak szudze wypada.
Sprawdzony w jakości swojego działania,
w całości zasłużył sobie na uznanie
za twórczą intymność i zmysłowe granie,
teraz dopełnione koordynowaniem.
A to polegało na cichym jątrzeniu
oraz na fałszywym tworzeniu opinii,
aby tym sposobem dać upust pragnieniom,
które miały wskazać, gdzie kryją się winni.
To zaś pozwalało na dalsze decyzje
w zakresie powrotu do tego porządku,
który choć niechciany, miał wspomagać wizję
tego, co tworzyło wszystko od początku.
Służbę inwestycji też dosięgły łapy
żądne zwierzęcego w swych skutkach odwetu,
co miało pozwolić, aby wierne capy
wciąż były pod wodzą pókanalfabetów.

Aby wszakże było zgodne z wolą trutni,
przywrócono starą nazwę inwestycji,
a pragnąc uniknąć donosów i kłótni,
dano kierownika z czerwonej kondycji.
Zas mnie wnet cichaczem zdjęto na zastępcę,
co to wyjątkowo także krótko trwało,
bo w tym wciąż działały Kościelniaka ręce,
aby mnie utracić. To mu się udało.
A więc bez powodu, także i przyczyny,
zjechałem by stać się znów ekonomistą,
bym w jakiś czas później, rzekome swe winy
mógł tak zniwelować, aż stanę się czysty,
zdolny do współpracy. Tym razem mi dano
wyjątkową funkcję koordynatora
do spraw budownictwa, które wówczas zwano -
domków pracowniczych z woli dyrektora.
W tym nowym działaniu dałem z siebie wszystko,
aby się wyzwolić od grania na kogoś,
co mi się udało, nawet dosyć szybko,
i wówczas poczułem, jak zelżała wrogość.
Chętnie pracowałem na rzecz budujących
swe jednorodzinne domki własnościowe,
czyniąc stale pomoc na rzecz pracujących,
pomniejszając braki, wspierając budowę.
Ze strony zakładu, wszystko co niezbędne,
starłem się dostać, aby budujący
mieli zezwolenia i to co potrzebne
do budowy domku - bez gestów żebrzących.
Cztery lata trwałem na tym posterunku,
wspomagając wszystkich budujących domki,
a w efekcie tego ciągłego frasunku,
wyrastały z ziemi osiedla początki.
Wolno powstawało z trudu pracowników,
ponad studomkowe nowiutkie osiedle,
zwane Metalowców oraz Odlewników,
działających na rzecz swojej sprawy dzielnie.
Zas mnie pozostała cicha satysfakcja
z tego, że bez kłótni oraz bez rozruby,
umacniałem w ludziach wiarę, że ta akcja
hojnie wynagrodzi, ich upór i trudy.

Raz na wozie, raz pod wozem, było moim
przeznaczeniem, które na różne sposoby
stwarzało mi często w zapomnieniu swoim,
galimatias doznań mieszanej pogody.
Tak było przez wiele tych dziesięcioleci,
które los wpisywał wciąż do mego życia,
od chwili powrotu na rodzinne śmieci,
abym dał świadectwo celu swego bycia.
Dawałem je zawsze, swój pogląd bezbronny,
i o tym wiedzieli ci, co mnie poznali,
iż świat moich marzeń, jak pancerz ochronny,
ubezpieczał wnętrze nieugiętej woli.
To mnie radowało, tłamsiło, karało,
abym przeznaczony na los przeżywania,
mógł się wzmacniać duchem, kiedy skąpe ciało,
zbyt często traciło siłę do przetrwania.
Mimo to wciąż trwałem, smakując goryczy
owej doczesności, która się wplatała
w me trwanie, surowym kształtem każdej pryczy,
jaka mój kręgosłup twardo prostowała.
W tym czasie odeszła ukochana siostra,
pogłębiając smutek do głębi przepaści,
a za nią też mama, poszła szukać ojca,
po wieczności drogach, z żywą wiarą w garści.
Mój świat się zawęził, i gasły nadzieje,
że jeszcze ujrzę w krasie owych wspomnień,
które niwelując smutek i cierpienie,
sennym nawiedzeniem i głosem upomnień,
kazało nie tracić wiary i pewności,
bo one wyrosły z niewytłumaczalnej
głębi mocy ducha i wielkich miłości,
stanowiły przejście do siły realnej.
Niestety, nadzieja jak jesiennie liście,
wciąż jeszcze kładła kolorami treści,
choć nagość konarów niemal uroczyście
świadczyła, że radość już się w niej nie mieści.
Wiem, to się jawiła jesień mego życia,
pełna rezygnacji z niespełnionych marzeń,
które rozsypane po drogach przebycia,
były tylko śladem przeżytych już zdarzeń.

Córki opuściły dom młodzieńcych marzeń,
aby stworzyć własne warunki do życia,
na pełny rachunek swoich wyobrażeń
o dalszych, nieznanych drogach do przebycia.
Tak więc zgodnie z prawem ludzkich obyczajów,
rozpadła się jedność rodzinnego gniazda,
a pustka miejsc wolnych w opuszczonym rajach
wciąż przypominała, że to gaśnie gwiazda,
która wiedzie żywych wciąż tym samym traktem
przez ziemskie doznania aż do wyzwolenia,
zwanego potocznie zejściem, wspartym aktem
w sposób jednoznaczny z dróg swego istnienia.
A świadomość tego z narastaniem wieku
rośnie, przybierając moc wyrazistości,
która tworzy wizję prawdy o człowieku,
malującą obraz fizycznej nicności.
Tylko mocą ducha pozostaje jedność
wiążąca sens bycia z słabością materii,
a to wciąż wzbogaca jej słabość i mierność
na padole ziemskiej i ludzkiej loterii.
Przywykanie bywa dobrą stroną życia,
bo kiedy odchodzą bliskie i jedyne,
dojrzałe istoty, aby w swoim bycie
powtórzyć zasadę na nową rodzinę,
ono opuszczonym w określonym czasie
pozwała znormalnieć w zmniejszonym układzie
i wypełnić pustkę na skromnym atlasie
wspólnego pożycia w odmienionym ładzie.
Tak więc, czas bezwzględny prawem swej natury,
zmienił wschód na zachód na galerii trwania
w tym wielkim teatrze, gdzie kulis purpury
są tką, które chłonnie intymność kochania.
Pozostałem z żoną w świątyni dumania
o minionych waletach i częstych upadkach,
jako para druchów dalszego spełnienia
przrzeczonych ślubów we wszystkich przypadkach.
Z czasem stan ten przybrał formę normalności,
tętno wygasła, a częste spotkania
były pełne zwykłej ludzkiej ciekawości,
z tej samej miejsciny swego przeżywania.

Na zasadach prawa normalnego życia
nasz stan posiadania wzrósł o dwie rodziny,
które obdarzyły nas w nowy sens bycia,
potwierdzony krzykiem chłopca i dziewczyny.
W ten sposób przybyły nam nowe tytuły -
babci oraz dziadka, a krzyczące wnuki
pragnące pieśszoty coraz częściej osuły,
że stały się źródłem życiowej nauki.
Tak więc, był to nowy rozdział w naszym życiu,
który jednoznacznie wskazywał granicę
pewnego spełnienia, jakie w naszym byciu
każę zwolnić bieg i spuścić kotwicę.
Słusznie pomyślałem i tak się zdarzyło -
zapropozowano mi niespodziewanie,
zmiianę zatrudnienia na specjalność miłą,
która niosła z sobą ponowne wyzwanie.
Podjąłem decyzję, wyrażając zgodę
na objęcie funkcji - stażka naczelnego
pana redaktora, dbając o pogodę
Głosu Metalowca, cyklu miesięcznego.
To mi pasowało, bo ten rodzaj pracy
stanowił w mym życiu już kilka przystanków,
które pozwalały, że zawsze wśród graczy
poznawano fałsze rzekomych baranków.
Tym razem w okresie wielkich niepokojów
oraz krwawych zdarzeń na naszym Wybrzeżu,
coraz trudniej było świadczyć pomoc w znoju
prawdą, którą chciano szczerą jak w pacierzu.
Czas stawał się trudnym, prawda niebezpieczna,
psiego wężu władzy pełno było wszędzie,
ubecja pęczniała jako ostateczna
moc w swych przekonaniach nie będących w błędzie.
Realny socjalizm zadrtął w swych posiadach,
bo nawet wśród wiernych, oddanych wyznawców,
słabły zmasowane radości w paradach,
a świętych najczęściej zmieniano w oprawców.
Rosły też kłopoty w sferze finansowej,
produkcja gubiła swą sprawność na co dzień,
ekonomia w szacie raczej papierowej,
nie spełniała trudnych, planowych założeń.

Mimo to zdołałem przejęty miesięcznik
względnie szybko zmienić w peźny dwutygodnik,
aby śaden z głupich stowarzyszeń piernik,
nie mógł mi zarzucić myślowy obornik.
Oczywiście trudno było w owych czasach
zaspokoić wszystkie żądania załogi,
która podzielona w swych myślowych klasach,
najczęściej gubiła jedność wspólnej drogi.
W tym jednak działaniu rej wodzili trutnie,
którazy za swój honor uznali mącenie
i zwykle działając po chamsku i butnie,
mrzonkami uznali wszelkie wyzwolenie.
Mimo to zdołałem aż przez cztery lata
utrzymać gazetę na takim poziomie,
który choćy w części gamę bzdur przeplatał
ciągle żywą prawdą w pracowniczym gronie.
Z tego to tytułu były też przypadki
gangsterskich zagrywek w obronie szubrawców,
szczególnie z natury lewych, kościelniackich,
a ci zasłużyli na miano oprawców.
Były także próby odwracania rzeczy
przy pomocy czynnych pracowników prawa,
aby za przestępstwo uderzono w plecy
naczelnego pisma, a nie lumpa - chama.
Prokurator, który do gazety pisał,
nie uległ namowie władzy - dyrektora,
który dnia pewnego ze strachem wyczytał,
że prawo dostrzegło w zakładzie potwora.
Dyrektor brnął dalej ze swoim żądaniem,
aż to mu się wreszcie szubrawie udało,
bo tchórzliwy sędzia swoim zakłamaniem
rozgrzeszył przestępcę twierdząc, że za mało
stwierdzono dowodów, aby delikwenta
można było sądzić jedynie dlatego,
że ten się odważył podjąć co do centa
tą nagrodę, która nie była dla niego.
No cóż, takie grania już nas nie dziwiły,
bośmy ten przestępczy system dobrze znali,
lecz to było ważne, że już się jawiły
sprzeciwy tych, którzy cicho nas wspierali.

Rosnące problemy, niemal każdej klasy,
coraz intensywniej dotykały masy,
a te także śmielej sięgały po asy,
aby je odrzucić z gry o lepsze czasy.
A kiedy Wybrzeże ponownie zagrzmiąło
twardo i stanowczo, w sposób ostateczny,
przez cały kraj groźnie żądaniem powiało,
bo ten zryw narodu był życiu koniecznym.
Desperacja w czynach, to wysokość ceny
jaką trzeba płacić, by sprostać żądaniom,
które miały zmienić biedę naszej sceny
w ścieżkę świętej walki, przeciw zakłamaniu.
Zaś to stanowiło już poziom krytyczny,
który dosięgały śmiało ręce klasy,
nie znającej strachu w swym marszu taktycznym,
wspieranym przez twarde, robotnicze masy.
Tym razem przemówił cały naród polski,
stanowczo żądając zejścia z podłej drogi
fałszu i obłudy, aby swoje troski
zmienić w żyzną przyszłość, stawianą na nogi.
Naród chciał wolności, lecz nie po kryjomu,
suwerennej władzy i niepodległości,
aby stać się sobą, nie wadząc nikomu,
i działać w należytym mu sprawiedliwości.
Tym razem żądania i stanowcza wola
Gdańskiego Bastionu, wsparte mocą ludu
świadczyły, że walka na wszystkich przedpolach
przybierała jakoś powszechnego cudu.
Świat teraz usłyszał tych, których zapomniał,
spychając na krawędź doczesnego bycia,
oraz mógł podziwiać, jak ten cud się spełniał -
cud przeistoczenia do nowego życia.
Proletariat zmywał zamazane twarze
z niechcianej czerwieni, rozmazanej potem,
aby zgodnie z wiarą stanąć w jednej parze
z narodem gardzącym sierpem oraz młotem.
Ta jedność, jak burza nagła, błyskawiczna,
grzmiąc groźnie wieściła koniec z bezradnością,
głosząc, że się rodzi nowa, historyczna,
karta którą wolni zwą - **SOLIDARNOSCIĄ**.

"Solidarność" była związkiem zawodowym,
który błyskawicznie zmienił się w społeczny
ruch o wyzwolenie w wymiarze zbiorowym,
jawiący się wszystkim jako ostateczny,
na drodze wiedzącej ku lepszemu przyszłości
oraz wyzwolenia z obcego nadzoru,
aby w pełni glorii swej suwerenności,
odzyskać świadomość własnego honoru.
Tak, to była burza, wyzwolona z głębi
ludzkich serc, co rwały misterne koronki
sieci zniewolenia rozpięte wśród bredni,
przez nienasycone czerwone pająki.
Błyskawicznie rosły związkowe szeregi
w miastach i miasteczkach, wsiach i Pegeerach,
coraz żywsze były próby i przedsięwzięcia
zmierzające w maraz swarty przy napiętych sterach.
Przestrzeń między sianą a błękitem stropu
wypełniały gromkie pieśni i wivaty,
bo lud niegubiący wybranego tropu,
zraszał kłami pierwsze swej wolności kwiaty.
Rozła "Solidarność", symbolizująca
narodową jedność wobec wznieśliwych celów,
która się rodziła jak lawa gorąca
z wulkaniczną mocą potęgi kraterów.
A kiedy kraj cały doznał w swym zachwycie
żaski Stwórcy - Boga i głos jego dzwonów,
zgarbiła się obcość przeliczając skrycie
opozycję w sile dziesięciu milionów.
Tyle odnotował nowy związek członków,
gotowych do walki o swą ludzką godność
z plugawą taktyką czerwonych pająków,
których rozsądzała przede wszystkim podłość.

Również w owym czasie, też w moim zakładzie,
"Solidarność" stała się siłą wiodącą,
bo aż dziewięćdziesiąt procent w pełnym ładzie
fizycznej załogi, przeszło jednoczącą
drogę do wspólnoty, jaka się rodziła
w tle wielkiego srywu i zdecydowania,
by ta, co z letargu teraz się budziła,
nie musiała znowu tonąć w zakłamaniami.

A ja na tą chwilę czekałem uparcie
trzydzięci pięć trudnych lat swojego życia,
które wywiedzione w określonym kształcie
z niejednej gehenny, mogło w swoim szczycie
zwrócić twarz ku słońcu i w błękitnie nieba
zanurzyć swe myśli, obmyć z odurzenia
i już wyzwolone, jak kate potrzeba,
wprzęgnąć do rydwanu swego uwierzenia.
Ja również wstąpiłem do "Solidarności",
co z miejsca czyniło, że organ załogi
stał się teraz szczerym źródłem wiadomości,
uzbrojonym w nowe, już własne ostrogi.
Budowanie jednak nowego porządku,
przy wsparciu bezwzględnej większości załogi,
było przykładowym kotłem pełnym wrzasku,
pod którymi się palił ciągle ogień wrogi.
Towarzysz dyrektor, grając Dzierżyńskiego,
czynił wszystko, aby zniszczyć ruch wolności
i był przekonany, naśladowając jego,
że już wnet pokamie przeciwnikom kości.
Było to działanie pełne nienawiści
wobec tych, co sztandar wolności unieśli,
aby sen narodu nareszcie się ziścił,
zgodnie z ~~głosem~~ hymnu - narodowej pieśni.
Lecz on pan - towarzysz, przywódca oporu,
w gronie sobie wiernych wasali - gamoniów
budował plan walki w obronie honoru
i więzi przyjaźni czerwonych aniołów.
Były kazyki, gwałty, przeróżne zabiegi,
aby wszelką mocą wstrzymać bieg historii,
która wyłączała wszystkie wsteczne biegi
wiodące do nikąd na błędnej teorii.
Rozgorzała walka o wschodzące jutro,
o wolność dla ludzi, ojczyzny i kraju,
aby się wyzwolić, srywając okrutną
zależność od twórców czerwonego raję.
W końcowym efekcie sgnięciono pajaka
oraz wyrzucono razem z Kościelniakiem,
a załoga twardo pod przywództwem Baka
wyzwoliła zakład, zdobijąc bramę snakiem

powszechnie uznany, który stał się dumą,
 bo każdy z Polaków mógł się czuć Polakiem,
 a także ojczyzna swych wolności sumą,
 nie smuszaną więcej do chodzenia rakiem.
 Rozmach tego ruchu był świętością ducha,
 który wnet po brzegi wypełnił kraj cały,
 a naród wciąż dotąd poniżony, nie słuchał
 już więcej mądrości pustosłowiem zwanych.
 Wracało poczucie straconej godności,
 historycznych racji, praw i obowiązków,
 wbrew insynuacjom o grzechach słabości
 oraz nielogicznym snuciu nowych wniosków.
 "Solidarność" była teraz wszechobecna,
 rodząca przywództwo o nowym widzeniu
 tego, co nadejdzie jako treść serdeczna,
 spełniająca credo życia w wyzwoleniu.
 Świat z podziwem śledził ogromne zmagania
 narodu co począł zniżać błękit nieba,
 aby ostatecznie zebrać dusz wołania,
 które choć odeszły, pragnęły by gleba
 wyzwolonej ziemi tylnie obrodzika
 owocami zgody, miłości, jedności.
 Aby obca przemoć już jej nie wodziła
 po manowcach wrogiej niesprawiedliwości.
 Ta nagle zrodzona jedność pełnej barwy,
 teraz kopotała w wietrze sztandarami,
 białoczerwonymi symbolami prawdy,
 witanymi godnie z czcią i honorami.
 Nowy, historyczny szlak został otwarty,
 lecz nieprzewidziane były dalsze losy,
 bo wrogów nie brakło, a ich duch zażarty
 nieustannie ostrzył swej wredoty kosa.
 To były dopiero pierwsze jasne karty,
 nowego rozdziału bohaterstwa ludu,
 który stale szczyty czerwonymi harty,
 nie uległ przemocy, lecz był glorią cudu.
 Był w tym przekonaniu, że cudu dokonają
 niewyobrażalny Duch Nieskończoności
 w przestworzach wszechrzeczy, bo to On pokochał
 tych, co byli godni przeżyć cud wolności.

Cud ten przeżywały obudzone masy,
pełne dziękczynienia za wsparcie je darem
nieziemskiej jakości, co białące czasy
znaczył wiarą w siebie i wolności czarem.
Równolegle władza, wciąż przecież ta sama,
powoli wracała do swej normalności,
po chwilowym szoku zdezorientowana,
teraz oceniała swoje możliwości.
Rachunek widocznie pozwolił odważnie
zagrać na pozorach wiodących do zgody -
"Solidarność" owszem mogła działać prawnie,
jako jeden więcej związek zawodowy.
Na to była zgoda, lecz niczego więcej
władza nie dawała sobie wyrwać z kiesy,
którą nadal strzegły w postawie zwierzęcej
rodzime i obce ze wspólnoty białej.
Prawda była inna, to wiedzieli wszyscy.
Przecież niezależny oraz samorządny,
związek zawodowy w sposób oczywisty,
przede wszystkim tworzył w swej sile ogromny,
społeczny ruch ludzi zwany "Solidarność",
który swoje credo przeniósł na sztafety -
Bóg - Honor - Ojczyzna, twierdząc że ta jedność,
to był niepodległej, suwerennej wiary.
Uwzględniając ową różnicę widzenia
tego, co się stało oraz przypuszczając,
co jeszcze być może dolą nawiedzenia
czymś, czego nie sposób w ciemno przetwarzając
określić, nie myląc pozorów z faktami -
niemożliwym było przewidzieć te akty,
które wciąż mącone wschodnimi wiatrami,
pomniejszały możliwość natarcia na fakty.
Była to gra w ciemno, wsparta silną wolą
tych zdecydowanych, którzy uwierzyli,
że w tym przebudzeniu narodu ich rolą
jest utrzymać wiarę w to czego dotyli.
Wszelkimi siłami, prac ciągle do przodu,
za główne zadanie uznali dążenie
do własnej godności dumnego narodu,
który podjął walkę o swe wyzwolenie.

Wiemy, że historia już nieraz płatała
nam figla sposobem nieprzewidywanym,
i że potem była jedna, wielka chała -
zakalec pomysłów strachem sspikowany.
Po takich wypiekach, całymi latami
brnęliśmy w oparach piecowych wyziewów,
jako bardzo często zapomniani, sami,
trawiący swą słabość w pętach wrogich celów.
Tak było w trzydziestym dziewiątym, czterdziestym -
nie inaczej także i w czterdziestym piątym,
kiedy to w podzięce, kadząc smrodem gęstym,
bez wzruszeń sprzedano wiernych niewierzącym.
I znowu jak ongiś, przez kilka pokoleń
zmieniano nam barwy zwyczajów i wierzeń,
byśmy w nowej pozie ludzkich upokorzeń,
czuli na swych gardłach wciąż dławiący rzemień.
A że nas dławiono szczególnym sposobem,
wiedział dobrotliwy światek pojednanych,
który w swej wyższości nazwał się Zachodem,
a o nas zapomniał, tak jak o sprzedanych.
Był to wówczas pewien zwyczaj "ciuciubabki",
który się zamienił z czasem w zimną wojnę,
a ta choć nie krwawa, płodziła zabawki,
aby potęgować groźby - także zbrojne.
Ta zabawa trwała prawie przez pół wieku,
co było gehenną nie do opisania,
na którą nie było skutecznego leku,
lecz była świadomość braku pojednania.
Ta właśnie świadomość, stale gromadzona
w rzetelnych umysłach ludzkich mas się stała,
mocą pełną gniewu. Teraz wyzwolona,
stała się tą siłą, która właśnie trwała.
Lecz kiedy pragnienia zmieniały swe szaty,
aby przyozdobić biel skroni laurami,
wygasły gorące krzyki i wiwaty,
by nowe świtanie witać z honorami.
Nagle niebo zaszło ciemnymi chmurami,
a głosem pioruna i błyskawic sykiem,
nie dano nadziei przemówić czynami,
tłumiąc każdy zamiar wprost nieludzkim rykiem.

Był to grudzień roku osiemdziesiątego,
mroźny i rozdarty gwałtami przemocy,
zmieniający życie stanu nijakiego,
w tragiczne realia narodowej nocy.
Siły zła - niewierni, zrodzeni z podłości,
przestraszeni mocą jedności narodu,
chroniąc własne stożki, wbrew praworządności,
czyniły stan wojny, spychając do grobu
wiarę i nadzieję, narodową dumę,
jedność serc i ducha, biel i czerwień - barwy
prawości w honorze, faszerując chmurą
mękę dni i nocy, co tworzyły łagry.
Czerwone pająki pozbawione żeru
uznały, że tylko barbarzyńskim grzotem,
uderzając sprawnie, nie utracą celu,
który wciąż wspieranym sierpem oraz młotem.
Strach i przerażenie, mdła dola przeklęta,
znowu sugerowały wojenne przeżycia,
które wpasowano w własne, swojskie pęta,
tylko w czarne barwy stroiły sens życia.
Gułagów nie było, lecz nie brakło celi,
ani miejsc gotowych do internowania
godnych - solidarnych, którzy wolność chcieli
ustanowić źródłem pojednania, trwania.
Niestety, zawiodły patriotyczne hasła,
wyciszono dążność do suwerenności,
co miała być prawem, a teraz przygasała,
tłamszona rygorem hersztów od podłości.
W kraju, jak zaraza wprowadzona branka,
zmiatała tysiące wiernych i oddanych
patriotów ojczyzny, a podła łapanka
była bólem gwałtu zdradziecko pojmanyh.
To było zagranie żywcem powtórzone,
z potwornych dokonań stalinowskiej ery,
lecz teraz przez własną władzę zaliczone,
miało przegnać wolność do jasnej cholery.
A uzurpatorom prawa do wszystkiego,
wciąż się wydawało z uporem maniaka,
że nadal tworzenie cudu z byle czego,
winno być jakością każdego rodaka.

Stan wojenny w kraju mnożył los niepewnych,
łananki szarpały obraz bezpieczeństwa,
każdy podejrzany unikając wrednych,
chował swoją godność w strzelinach przekleństwa.
Przeklinaną była wówczas rzeczywistość
w całości ciemnoty, głupoty i zdrady,
które ostatecznie niweczyły przyszłość,
gwałcąc teraźniejszość, tak jak chciały gady.
Jednych zamykano w specjalnych obozach,
drugich bardziej pewnie szano w kryminiały.
Było sporo żywcem sojętanych w powrozach
lub tracących życie, gdy padały strzały.
Oczywiście sporo było przestraszonych,
wielu wyrzuconych za bramy zakładów,
wrednie potępionych i wybebeszonych,
za otwartość serca i godność przykładów.

Nie inaczej było też na nowosolskim
bruku nawiedzenia, co zwany prowincją,
swoją czas uwsteczniczenia w stylu antypolskim,
załatwiał dokładnie w układzie z ubecją.
Z miejsca rozwiązano Ewiązek "Solidarność"
we wszystkich zakładach. Zaś Szczepana Bąka -
przewodniczącego, stosując wulgarność
pospolitych szui, skuto by wyjakał
całe swoje wnętrze oraz się nie kuczkił,
że maskując rolę rozwścieczonego psa,
w zarzuconej sieci będzie nadal brudził,
oczekując glorii znów jaanego dnia.

W tym czasie pragnienia były tylko szkuda,
wpisaną na długie lata egzystencji,
bo szlak wszelkich marzeń pokryty był grudą,
trudną do przebycia dla każdej intencji.
Rozpacz rozsadzkała serca pogrążone
w tragicznej niemocy, a mroki podziemia
nie zawsze spełniały wartości złożone,
jakie skali godni, jednak bez imienia.
A przeciwnik mając w garści całą władzę,
czynił co chciał oraz jak chciał wszystko wiedział,
zaś tych co w podziemiu, chętnie strułyby gazem,
mimo że na zwałach dynamitu siedział.

Również mnie w tym czasie uraczono gwałtem,
zdejmując ze stołka szefa - redaktora,
bowiem towarzysze znów czerwonym światłem,
barwili moc treści dla prokuratora.
Aby się uwolnić od twórczego grona,
zakłócono plomby na drzwi do redakcji,
byłe "Solidarność" i tutaj gwałcona,
nie mogła powielać nadal swoich racji.
Jednak w tym przypadku przedobrzone prawo,
bo gazetę gwałtem całkiem rozłożono,
zaś mnie tym zmuszono bym myślał, jak cało
wyjść z opresji którą mi podle stworzono.
Niestety, to była potworna bezradność,
bowiem nie stwarzała nawet mdłych pozorów,
że jakoś wytrzymam, licząc na bezkarność
oraz bez uszczerbku dla swego honoru.
Ja mogłem oceniać, lecz nie mogłem wierzyć,
patrzac z przerażeniem, jak znówu miernota,
zaczęła prymityw swoich pojęć szerzyć,
przywracając wiarę do sierpa i młota.
Groźba poniżenia oraz prześladowań,
była zbyt wyraźna, by ją lekceważyć.
Pragnąc więc nie stwarzać okazji do kłowań
ze strony niewiernych, musiałem rozważyć
jedyny jak dla mnie, sposób wyzwolenia
z judaszowych zagrań - szalonych sprośności,
chcąc pewnie uniknąć krzywd i poniżenia,
po prostu nadmiaru ludzkiej bezczelności.
Tak właśnie się stało. Przejściem na wcześniejszą
swą emeryturę, zamknąłem drzwi draniom
do mojej osoby, zaś sprawą najszczęśliwszą
było unikanie doznań, które ranią.
W ten sposób zacząłem nowy etap życia,
najpewniej podobny do byle jakiego,
fastygowanego, bez dalszego szycia,
a mimo to według zwyczaju swojskiego.
Jakiś czas pisałem na tematy chwili
i przekazywałem koledze Bąkowi,
ale co z tym czynił organ sprawiedliwych,
nie wiem, bo czas na to już mi nie pozwolił.

Bo kiedy Bąk musiał pożegnać się z miastem,
gdyż mu władza stale zatrzymywała życie,
zerwały się styki, co były kontaktem,
a zaczął się okres walki o przeżycie.
Coraz bardziej rosły wszelkie niedostatki,
które namacalnie dały się we znaki
szczególnie przegrany i noszącym żatki,
emerytom z musu stroniącym od draki.
Oczywiście z czasem, obszar niedostatków
rozszerzył upstrzone strachem swe granice
i stopniowo niszczył bezradnych prostaczków,
bo jedynie chronił tylko tych na szczycie.
A wiadomo, szczyty kryte czapą lodu,
obojętne były na ludzką niedolę
i nie chciały topnieć w społecznym barłogu,
odgrywając w skali główną makro rolę.
Zacieranie śladów popełnionych zbrodni,
oraz maskowanie wszelkich niegodności,
było utrapieniem w tłumaczeniu wschodnim,
stanowiącym pewnik niezłomnej jedności.
Tym razem w jedności z niechcianą przemocą,
dla wspólnego dobra panów i wasali,
zadbano o spokój tak w dzień, jak i nocą,
aby prowokator kraju nie podpalił.
A kiedy uznano, że spokój już nastał,
stopniowo zwalniano wcześniej zatrzymanych,
dochodząc do wniosku, że czas już przerastał
sprawę uwięzionych i internowanych.
Stan wojenny gubił swe prawne pozory,
jako ta rzekoma, pewna moc kuracji,
choć wyniki badań twierdziły, że chory
mimo osłabienia nie utracił racji,
którą władza chciała unicestwić siłą.
Ten czas jednak zdziałał, że to "Solidarność"
w zniewoleniu swoim była mocą żywą,
która jeszcze mocniej wzmożła swą aktywność.
Pewnie i świadomie teraz zrozumiano,
że mimo przemocy oraz zniewolenia,
siłą "Solidarności" niczym nie zdołano
zmusić, by się zrzekła prawa do istnienia.

Nimo to wierzone, że normalność znowu
pogodzi odmienne spostrzeganie faktów,
że naród powróci, unikając sporu
w sprawie wypełnienia zobowiązań, paktów,
do jedności która będąc znakiem czasu,
koniecznością ponad narodowe prawa,
co pozwoli odejść od zbędnych hałasów,
aby spokój mogła też odczuć Warszawa.
Poza tym uznano, nie szczędząc chytrych,
że dobrze by było zmienić trasę biegu
i w miejsce rozbitej już "Solidarności",
wprowadzić odmienny związek do szeregów.
I tak też się stało. Powołano nowy,
także niezależny oraz samorządny,
w skali narodowej Związek Zawodowy,
uznany przez władze pewnym i porządnym.
Było to po prostu Ogólnokrajowe,
też Porozumienie Związków Zawodowych,
które wnet startując w pozycji bojowej,
zaczęły prym wodzić w masach utrudzonych.
Kto chciał już mógł twierdzić, że życie wróciło
w prawidłowe tory dla społecznej jazdy,
a ludzom choć w biedzie, spokojnie się żyło
nadal pod wpływami pulsującej gwiazdy.
Znowa ożył urok świetlanej przyszłości,
bajdurzenia miały zmienić podejrzenia,
że ten marsz się skończy nad brzegiem nicości,
gdzie zawisły wszystkie logiczne myślenia.
Lecz ci co gasili nadzieję narodu,
bezwzględnie deptali honor oraz wiarę,
teraz z niepokojem unikali Wschodu
aby nie uznano, że przebrali miarę.
I tak się zaczęły lata niepewności,
trudne w własnym sosie i obcym bigosie,
którymi czas raczył i rozmiękczał kości
tym, co swą świetlaną przyszłość mieli w nosie.
Śmierć kosiła władców purpurowej strony,
którzy mając siłę, nie mieli już wiary,
że czort ideolog da im do osłony
cień nowej korony, skoro pień już stary.

Dalej rok za rokiem mijał bezpowrotnie,
stale odzierany z własnej dostojności
i swoim wyglądem świadczył wielokrotnie,
że już czas najwyższy pozbyć się obcości.
Naród coraz bardziej nienawidził władzy,
która uzurpując sobie moc włodarzy
nie umiała pojąć, że biedni i nędzy
to także są ludzie, a nie smród zarazy.
Wszak zarazą była pokora, służalczość,
posłuszeństwo wobec obcego satrapy,
co przez lat czterdzieści swoją superważność
wpisywał przyjaźnią, zmywając z krwi żąpy.
Prawda choć powoli, to jednak uparcie
wypływała z głębin morza krwi niewinnych,
których ludobójca skazał na posarcie
czerwonym watachom w mordowaniu pilnych.
Coraz powszechniejszą stawała się prawda
o masowych mordach w Katyniu, Miednoje
oraz pod Charkowem, gdzie czerwona gwiazda
tonąc w ludobójstwie kryła dzieło swoje.
Już wszyscy wiedzieli w kraju i na świecie,
kto był sprawcą mordów masowych, bezbronnych,
tysiący niewinnych, ludzi zwanych przecież
jeńcami bez walki, w niewoli bez wojny.
Również i rodzimych kacyków dosięgła
prawda o sprzedajnym związku z bandytami,
których barbarzyńska naiwność przebiegła
serwowała przyjaźń mocnych z wariatami.
Stan wojenny w kraju stał się bumerangiem
będącym właściwym skutkiem tej przyczyny,
która w konsekwencji uczyniła gangiem
tych, co w miejsce zgody, skali gnój gangreny.
"Solidarność" nadal była siłą sprawczą,
wzniciającą płomień pełni wyzwolenia
z matni oszukanych sugestii, a zbawczą
stawała się walka całego ^oziemia,
które nosło święte prawa dla narodu -
suwerenność państwa, jego niepodległość,
demokrację wolnych w swym marszu do przodu
w imię wiary w Boga oraz ludzką jedność.

Był to czas okrutnych, ludzkich upokorzeń,
jeden z makabrycznych przystanków historii,
maskowany kłamstwem w tle rzekomych schorzeń,
które były skutkiem niesłusznych teorii.
Kraj nadal w czerwieni, jak w mgle z piekła rodem,
tonął nieodmiennie spychany w głębiny
zionące gangreną i rozkładu smrodem
wciąż nieustępliwej, rodzimej gadziny.
ZOMO jako ramię dyktatorskiej klikki,
wspierane wszem znaną Służbą Bezpieczeństwa,
razem z MO byli zespołem muzyki,
jaki grał swój koncert na prawie pierwszeństwa.
Lecz naród nie słuchał owej kakofonii,
bo w skrytości ducha nadal tworzył zacząyn
dla spełnienia wiary na ścieżkach historii,
zawzięcie niszczonej działaniem prostaczym.
Osiem lat oplutych przez poniewieranych,
wyklętych z czci, wiary i ludzkiej wspólnoty,
pozbawionych prawa pośród zakłamanych
uprawnień do życia, w tabunie chołoty.
A mimo to rosły wyznane w powadze
zasady trzeźwego spostrzegania racji
ludzi, co w podziemiu mieli na uwadze
jedyny i słuszny marsz ku demokracji.
Nie dzieląc znaczenia tego marszu w przyszłość,
wierni wobec sprawy jedności w godności,
spisywali w straty ową rzeczywistość,
która reumatyzmem przenikała kości.
Sytuacja w kraju goryczą skażona
wiodła poczynania niezdarne i wszawe
w labirynt bez wyjścia, a te porażone
niemocą sprzeczności rozbrajały władzę.
Potwory są wśród nas -odważnie mówiono
oraz przeliczano czas pewnie stracony,
w którym bez potrzeby tylko to łowiono,
co było zamysłem zawsze poronionym.
Także w łonie władzy czas tworzył sprzeczności,
które coraz częściej samorozgrzeszeniem
pozwalały zmieniać w miarę konieczności,
swoje przekonania bez targu z sumieniem.

Również towarzysze czerwonej stolicy,
zaczęli przemyślać swe błędy od nowa
oraz rozpoczęli remont swej kaplicy
pod nowym przywództwem mistrza Gorbaczowa.
Tym razem chodziło o ludzkie oblicze
tego, co dotychczas zwano komunizmem,
aby zniewolone dotąd ludzkie życie
stało się od nowa trochę romantyzmem.
A w tym "Solidarność" była już zaczynem,
który rósł nadzieją wielu ludów związku,
gotowych do wsparcia nowych myśli czynem,
by stać się podmiotem w zmienianym porządku.
Jawiły się nowe pomysły naprawy
tego, co czyniło człowieka przedmiotem,
aby móc przywrócić straconą moc wiary,
kaleczoną sierpem, rozbijaną młotem.
Konserwatyzm jednak nadal rządził górą,
która pragnąc przemian nie rezygnowała
z pozycji mocarstwa, którego naturą
był totalitaryzm i jego oprawa.
Nadal miał być Związek Republik Radzieckich,
może nie w czerwonym tym razem kolorze,
ale w barwach różu, unikając kiepskich
plastrow maskujących rysy na honorze.
Rodziła się nowość odważna i czysta,
a prawda o krwawej spuściznie tyranii
opuszczała mroki jako oczywista
historia podłości, ludobójstwa, kaźni.
I chociaż rozwarło mroczne bramy zbrodni,
ciągle brakowało odwagi i wiary,
że przy świetle jednej, płonącej pochodni
uda się odmienić dyktatorsko stary
system zniewalania w rzekomej jedności.
Gorbaczow wyzwalał udręczonych z matni
strachu, bezsilności, aby ludzie prości
w tworzeniu nowego byli też przydatni.
Lecz on w swojej ludzkiej i filozoficznej
koncepcji tworzenia nowego ustroju,
raczej chciał ten stary, zmieniając cyklicznie,
utrwalić w granicach czerwonego raj.

Tym razem, jak zawsze w podobnych przypadkach, różnicę widzenia wszelkich nowych przemian bywały poważne, oparte na faktach poszczególnych grup, ich odmiennych mniemań. Przeciwników było sporo i zajadłych w zwalczaniu koncepcji szczególnie pierwszego sekretarza partii, który słów odważnych bezmyślnie nie trwonik wobec byle czego. Ta walka o nowe była wyjątkowa, pełna niebezpieczeństw, fizycznych podłości, bo zwyciężyć mogła tylko wyborowa, ona z lensowanych wielu tym razem różności. Coraz śmielszą stroną była opozycja, która czując odwilż rodziła się pewnie zakładając śmiało, że rwie się granica tej niemocy, którą odrzucano gniewnie, jako relikw gwałtu i przestępczej ery, by ją ostatecznie pożegnać z radością, śląc nieodwołalnie do jasnej cholery,, mając perspektywę kreśloną wolnością. Tak rodził się nowy okres dojrzewania wyzwolonych myśli, wyzwolonych ludzi, dążących do prawa i decydowania w sprawach, które teraz czas bieżący budził. Na fali odnowy i odmiennych gestów, Towarzysz Gorbaczow w towarzystwie żony odwiedził nas także, jako kraj protestów, które były wsparciem przemian z jego strony. Już wówczas się dało wyczuwać wiew nowy wiosny powstających do wolności ludów, urzeczonych związkiem solidarnościowym, który był sztandarem społecznego cudu. Wschodnia część Europy nagle wyzwolona z gnuśnego marazmu oraz otępienia, teraz w szybkim tempie, wiarą pobudzona, wyzwalała siebie z magmy zniewolenia. Był to czas narodzin nowej wiosny ludów, nieprzewidywanej nawet w przypuszczeniach, bo to co się działo, było cudem cudów, spełniającym ludzkie prośby i pragnienia.

Ci co nie przeżyli totalitaryzmu,
nie umieli pojąć tego, co się działo
w krajach umęczonych farsą socjalizmu,
którą pod dyktando demokracją zwano.
Zaskoczony falą niepojętych wieści,
Zachód nie był pewien, co się z tego rodzi,
jaki zakres przemian oraz jakie treści
staną się gwarancją, że to mu nie szkodzi.
Tymczasem na Wschodzie, jak w wiosennych ulach,
było rojnie, głośno, bo nowa energia
rozsadzała gnuśność, a rysy na murach
wieczystych budowli, to nie pikanteria
pałacowych ozdób, lecz znaki ruiny,
co nieubłaganym były przeznaczeniem,
wydzwanianym głośno przez czasu godziny,
kreujące życie syte wyzwoleniem.

U nas, na rodzimym ugorze realnym,
doszło do mierzenia czasu na dwie dłonie,
bowiem lewa ręką gestem mniej już sprawnym,
poprosiła prawą, ocierając skronie,,
aby wspólnie zasiąść przy okrągłym stole
i podjąć starania godne mężów stanu,
które skończą wojnę na własnym padole,
a władzę podzielą według zgodnych planów.
Trzeba przyznać szczerze, pomijając wszelkie
odmienne widzenia przyszłości dla kraju,
że tym razem obie strony trudem wielkie,
zdołały pogodzić dualizm świąt w maju.
Zachowując pełną godność świętowania,
dni Pierwszego Maja i Trzeciego Maja,
ojczyzna jednością i zgodą wspierana,
wzmacniała swe siły - zdrady się nie bała.
I tak po dziesiątkach lat obcych mądrości,
przyszło wyzwolenie dojrzałe, rozumne,
wciąż jednak niepewne skalą uczciwości -
teraz narodowe, niepodległe, dumne.
Bóg - Honor - Ojczyzna, to tylko trzy słowa,
a przecież tak wiele symbolem swych treści,
które całe wieki, a teraz od nowa,
będą na sztandarach, w sercach oraz pieśni.

Obok leworęcznych, także praworęczne
złożono na akcie zgodnie autografy,
aby tym sposobem - co było konieczne,
rozwiązać nieżyteczliwe narodowi strachy.
W konsekwencji tego zgodnego działania,
wnet nowe wybory zmieniły parlament
licząc, że w jedności zacznie się wyłaniać
niezbędny porządek, likwidując zamęt.
Nowy rząd tym razem stał się wnet przykładem,
że można pogodzić odmienne widzenia
tego, co stanowi porządkiem i ładem,
bezpieczeństwem kraju, sprawnością rządu.
"Solidarność" wolna i prawnie uznana,
rozpoczęła nowy etap swego marszu,
by teraz po Gdańsku, już tylko Warszawa
była jądrem czynów wyzwolonych z fałszów.
Teraz można było wnioskować, uwierzyć,
licząc na uczciwość, przodownictwo prawdy
i słuszność zamierzeń wolą ludu mierzyć,
unikając jego buntu i pogardy.
Radość była wielka i uzasadniona,
bo wolność przybyła, choć wciąż anemiczna,
na śmiałych i mocnych narodu ramionach,
jako żywa prawda, czysta, strategiczna.
Zaczął się nowe rządy narodem,
sposobem mieszanym, raczej bez kierunku,
bo skład rządu powstał z pomieszania rodem,
oraz bez większego w tej sprawie frasunku.
Każda strona dała swoich kandydatów,
nie pytając w niczym o zdanie narodu,
co było przyczyną, że pogląd kamratów
stał się drogowskazem, wiodącym do żłobu.
A przy tym mieszanka - koktail byle jaki,
nie dawał pewności na godne rządy,
gdyż poziom koncepcji, raczej był nijaki,
stając się codziennym kraju utrapieniem.
Beznamiętność twórców i marazm myślowy
tych, co się silili na łudzenie rajem,
były materiałem często wybuchowym,
bo bezduszość była wciąż starym zwyczajem.

W dalszym czasie gruba, premierowska kreska,
przekreśliła wszelką nadzieję na lepsze,
zaś nowa działalność kondycyjnie kiepska
wciąż pozorowała to, co najważniejsze.
Narodowy obraz wytracał kolory,
świadczące o ciągłym zanikaniu klasy,
która oplatana w nadziei pozory,
przeklinała stare, jak i nowe czasy.
Zubożenie ludzi stawało się plagą,
a stale rosnąca armia bezrobotnych,
była wizerunkiem społecznym i nagą
prawdą o działaniach, tym razem odwrotnych.
W miejsce sprawnych działań, wpisano podatki,
aby przedsiębiorstwa - te prosperujące,
budowały budżet układany w kratki
z sufitowych danych, w formie szokującej.
Bez przerwy tworzono dziury budżetowe.
Najpierw w przedsiębiorstwach, które plajtowały,
powiększając stale dziury narodowe,
wciąż potęgujące finansowe chały.
Głównym hasłem życia nagle się jawiła
nowość - wolny rynek i prywatyzacja,
a z nimi szubrawców banda się rodziła
oraz im przychylna praw interpretacja.
Coraz więcej sklepów zmieniało swe szyldy,
rodziły się dziwne i obce nazwania,
bełkot zatruł radio, telewizji "bildy",
by zmienić szubrawca w pana biznesmana.
Nagle zapomniano własnego języka,
drinki pomieszały swojski kształt kielicha,
supermarket stał się łamańcem dla bzika,
któremu z przeżarcia nawaliła kicha.
Obcość się wdzierała w prymitywne głowy,
wzrok sięgał za miedzę i smukł głupie treści,
bo mózdzek cielecy i prostota mowy,
żadnego godnego sensu nie wypieści.
Szał samochodowy poraził spóółstwo,
co zrównało skalę pojmowania czynów -
kupione, skradzione, równe jak opilstwo
niezrównoważonych tego czasu synów.

Złodziejstwo się stało zawodem pewniejszym,
bo pomniejszającym bezrobotnych biedę
i było uznane tym razem koniecznym
sposobem na życie i jego potrzebę.
Zaś w tym, poważniejsze okradanie kraju
nazwano korupcją, aby przedsiębiorczych
nie obrazić w twórczym budowaniu rajów,
złodziejskim sposobem, kosztem głodujących.
Coraz więcej przestępstw było piętnem czasu,
lecz w większości żadne nie było karane,
bo ci, którzy kradli, nie bywali z lasu,
ale stanowili elity wybrane.
I chociaż wiedzieli o tym prawie wszyscy,
wiele lat minęło bez podjęcia sprawy,
a szubrawiec każdy nadal bywał czystym
biznesmanem klasy, której ród szubrawy.
Jedynie co głośnym pyskowaniem grało
i nadal w bezbożnym gubiło się stresie,
to ciągle nienawiść tego, co wracało
w wolnym dla korupcji, nie nazwanym świecie.
Jednym się zdawało, że to demokracja,
że nawet złodziejstwo to czasu realizm.
Innym się widziało, że reinkarnacja
powszechną korupcją zmienia w kapitalizm.
Lecz prawdą jedyną, w mniemaniu uczciwych,
był brak pożądanego logicznego konstruowania,
na której powinien stanąć sprawiedliwy,
dom ojczyźnej siły, z mocy konstytucji.
Bo to narodowe, wśród praw pierwsze prawo,
określi charakter sprawczo jednolitej,
która w swym nazwaniu uzasadni śmiało
narodową godność Rzeczypospolitej.
Ona z historycznych doznań i wydarzeń,
logicznym działaniem wyzwoli moc racji,
które według własnych wolnych wyobrażeń,
zbudują gmach prawej, pełnej demokracji.
I nastanie era świadomej wolności,
rozurnej poczuciem praw i obowiązków,
nie skażona niczym w swej suwerenności,
wolna od korupcji i trefnych posądków.

Rządy się zmieniały niemałe co roku,
naród tracił jasność i nie miał pojęcia,
co należało czynić, by dotrzymać kroku
tym, których działania było nie do wzięcia.
Partyjność w zasadzie była bez przyjęcia,
stanowiąc tą grzybnię, z której wyrastały
najczęściej trujące, oczekując ścięcia,
przypadkowe grzyby, jak gorycz do sprawy.
Już po czterech latach, wciąż nie dogranego
błądzenia po stale rosnących wertepach,
trudno było dojrzeć czegoś logicznego,
bo wszystko kończono na obcych wersetach.
Maraz do Europy stał się hasłem cwanych,
którzy upojeni władzą oraz mocą,
często przeżywali tragedię niechcianych,
strącanych z foteli tak dnem, jak i nocą.
Lud żądał, strajkował, głośno protestował,
nie mogąc uzyskać potwierdzenia tego,
że nie po to całe swe życie harował,
by teraz prócz biedy, nie mieć nic lepszego.
Tymczasem jedynie rozmnażaniem syte,
były grupki, które swobodą rejestru
tworzyły partyjne, już w zaraniu zgnite,
treści obłądnego mini manifestu.
Wnet w tym opętaniu przekroczone setkę
przeróżnych grupeczek, zwanych się partiami,
które wystrojone w byle jaką metkę,
mogły swoich wodzów zwać politykami.
Bezhołowie rosło w miarę poszerzania
samozwańczych kręgów, nie sprawdzonych elit,
a naród w tym zgiełku po prostu baraniał,
gubił się i cierpiał na skręt własnych jelit.
Cierpiało szkolnictwo, kultura i zdrowie,
rolnictwo sięgnęło po samoobronę,
przemysł się rozkładał za swe trudy, znoje,
emerytów wpięto w cierniową koronę.
Żłobki i przedszkola w dwóch trzecich już padły,
mimo hamowanej skutecznie aborcji,
jednak sens nadziei cienie zła obsiadły,
bo moc innych potrzeb rosła bez proporcji.

A tak zwane wolne środki masowego przekazu, rzekomo bez gwałtu cenzury, świadczyły jedynie treść nieodmiennego, zgodnego beczenia, jakby z jednej rury. Wiadomo, że prawda bywała odmienna, bo zmieniono tylko dźwięki i kolory, a sensowność treści wciąż była niezmienna, śląc swe ukłony pod stare honory. Z różnych stron naciski przerzedzały kadry, co czyniło stałą obniżkę poziomu, tej wciąż politycznej przecież awangardy, która się garbiła od ciągłych pokłonów. Wolny rynek tęzał niebывалą mocą, windując swe ceny w niebotyczne strefy, zrównując z Zachodem swoją twardość bosą, przy braku pokuty za czynione grzechy. Coraz bardziej naród stawał się ubogi, a ceny zachodnie i zarobki nasze, zawężyły młodej demokracji drogi, aby rośli w klasę rodzimi Judasze. Ci się nie martwili, że dwie trzecie ludu, w swoich utrapieniach owijanych w biedę, nie mogło odczuwać rzekomego cudu, aby móc zasilić realnie potrzebę na nowe wyznanie jedynie tej prawdy, że wszystko co mamy, to własność narodu, który nie pozwoli, by podłość pogardy miała dla swych celów, spychać go do grobu. Nie po to nasz naród zrzucił z siebie pęta, aby teraz przyjąć pozycję pariasa wobec tych, co małostkę w działaniu przeklęta, pragnie kosztem ludu, móc popuszczać pasa. Protesty i strajki - broń prostego ludu, zbyt często dawały znać o swym dążeniu, a stałe łądanie likwidacji brudów, jawiło się wyjściem na przeciw pragnieniu o rozumną jedność, sprawiedliwe rządy, parlament bez kłótni, działania rzetelne, karanie przestępców, co swoje poglądy wciskając stosują zagrania bezczelne.

Mimo tego piekła, naród swą cierpliwość
wpiął w związkowe lejce, aby równoważyć
nienawiść do kmiotków, pokój oraz miłość,
byle porywczoscią przyszłości nie zwarzyć.

Już czwarty rok wiedzie kraj ku dniom jaśniejszym,
niezmiennym sposobem powtarzanych błędów,
traktem tak jak dawniej, wcale nie pewniejszym,
że świetlana przyszłość już sięga swych zębów.
Każdy kto uchwyci kierownicę w łapy,
z miejsca obiecuje, to co nie potrafi,
a potem przywyka, iż dając ochłapy,
chce działać czas jakiś na zasadach mafii.
I tak podmieniając - ja dziś, a ty jutro,
pojutrze ja znowu, a potem ty po mnie,
dziadowskie okrycia zmieniają na futro,
aby w tej kolejce ujrzeć się ponownie.
Hołdując zasadzie, że podróże kształcą,
wyjazdy stanowią szkołę dla kierowców,
którzy familijnie o swe prawa walczą,
stwarzając pozory urzędowych kowców.
Czas mijał, a efekt tego bywał prosty,
coraz chudsze kieszeń chłopa, robotnika,
zaś inteligentom tak brody wyrosły,
że każdy wyglądem ma coś z pustelnika.
Kultura chcąc istnieć wciąż szuka sponsora,
którym często bywa goniący o kopyta, a,
dla którego właśnie nadchodząca pora,
stale o swą wartość tylko w banku pyta.
Patriotyzm - to przeszłość, raczej bez znaczenia.
Chyba, że ktoś hojnie dolarami płaci,
to warto się podjąć jakiegoś spełnienia,
gdyż pieniądź wnet życie pewnie ubogaci.
Służba poborowa do szeregów wojska,
to relikwiarz przeszłości nie mający racji,
wręcz urągający, że kraina swojska
nie stwarza wolności pełnej demokracji.
I tak balansując w owych potwornościach,
użyczono miejsca wulgarnej hołocie,
która coraz śmielej szarżując w podkościach,
naszą wizję prawa depta w czarnym błocie.

Coraz dalej idąc śladem demokracji -
słowo powtarzane w pyskówkach do ludu -
jak ongiś socjalizm, prawem biurokracji
też sugerowało wnet nadejście cudu.
Bo także i ono było pustym dźwiękiem
w czasie i przestrzeni, w których doznawanie
stało się jedynie przeklinanym jękiem
tych, co chcieli wierzyć w to nowe wyzwanie.
Powiało wiatrami niemal średniowiecza,
które burząc stare treści złych nawyków,
nie czuły w swym biegu jak dola człowiecza
stawała się szmatą w rękach polityków.
Zaś ci opętani swym marszem na Zachód,
lekceważąc tłumy wciąż sugerowali,
że przejściową słabość i chwilowy zawód,
wielkoduszość obcych zmieni dolarami.
Takim to sposobem zmieniano kapliczkę,
gdzie prawiono modły w oprawie rublowej,
na wciąż zatłoczoną, zachodnią uliczkę,
także pełną modlitw treści dolarowej.
Każda obietnica, to przecież cacanka,
a głupiemu radość - znany to już wszyscy,
bowiem pożyczanie to także zapanka
chronicznej niemocy, która zdrowie niszczy.
Bo gdzie pieniądz rządzi, nie unikniesz lichwy,
gdyż ona nieślubne dziecię kapitału,
umie tak zadziakać by złudzenia prysły,
a pacjent mógł narwieć nieświadom zawału.
Potwierdzeniem tego było spostrzeżenie,
które jednoznacznie rodziło pytanie:
skąd brali pieniądze pospolici dranie,
aby w trudnym czasie tworzyć cen huśtanie
na tak zwanym wolnym rynku - wciąż nieznanym
w sensie ekonomii i czystego zysku,
na którym najczęściej zagranicem udanym,
była pusta kieszeń i teoria w pysku.
Coraz więcej sklepów z różnością towarów,
na wystawach złuda w hasłach dobrobytu,
ceny jak przystało z zachodnich obszarów,
a zarobki z pracy z żebraczego szczytu.

Taki właśnie "rajwoch" ogarnął Wschód cały,
bo żegnając piekło dla wszystkich jednakie,
obojętnie jaki, kraj duży czy mały,
pragnął poznać niebo, nawet byle jakie.
To wywoływało nieustanne rajdy
ze Wschodu na Zachód w pogoni za zyskiem,
aby się przekonać, że te rajskie bajdy
stanowią cień życia zjednany z wyzyskiem.
Byle jaki handel z towarem na plecach,
naclegi na dworcach przy pustych łożądkach,
bez mycia, kąpieli, liczone przy świecach
wielodniowy dochód na handlowych grządkach.
Potem wymieniano cały na dolary
oraz przeliczając po kursie swej strony,
budowano z marzeń nowy segment wiary,
że był to czas trudów, ale nie stracony.
I tak powtarzano rzekome radości,
mając w zamierzeniach zamiast socjalizmu
budowanie własnej, odmiennej przyszłości
w miarę niestrawnego, lecz kapitalizmu.
To byli tak zwani handlowi turyści,
wędrujący wszędzie, gdzie zniesiono wize,
nie zawsze przyjemni i zbyt rzadko czysti,
aby ten świat nowy móc brać jak prawdziwy.
Oczywiście skutkiem takich sytuacji
rosła ilość przestępstw o różnym wymiarze,
nierzadkimi były mordy różnych nacji,
a mafie i sbrodnie szły ze sobą w parze.
Wnożyły się kanty, oszustwa i fałsze,
wzmacniając pozycje sz^uprawych rekinów,
którzy na swych działach wielorakie plansze
osadzali sprytnych, lecz zawsze psich synów.
Idąc za przykładem rajskiego Zachodu,
prestytucja miłość zmieniała na forszę,
aby w przyjemności nie było zawodu,
gdy super sardynka zadaje się z morską.
Nowy czas to pieniądz - siła nadzwyczajna,
choć często rozpustna, bywa bałamutna
i chociaż w przyczynach może być fajna,
to w skutkach się może stać bardzo okrutna.

Czwarty rok się błaiż dociąganiem pasa dla tych, co pracując wciąż nie wiedzą za co, a bezrobotnymi, przykładem pariasa, pomiatą jak sechce urzędnik "byleco". Życie jakby łaską niepewną się stało, a praca doskonałe sporym kłtem szczęścia, co w sumie niczego ludziom nie dawało, bowiem stale byli bez środków do wzięcia. Od czasu do czasu jakieś puste słowa ten i ów posyłał tym, co słuchać chcieli, bo od dobrych chęci bolała już głowa, a z tego gadania przecież nic nie mieli. Pogoda się rwała, a słowa jak grzmoty uderzały coraz mocniej oraz pewniej awizując szczerze, że grane pieszczoty nawet tych cierpliwych poruszają gniewnie. Najpierw bałaganik i utrata mienia, potem bezsensowne szukanie sposobu, aby to co jeszcze zostało wspomnieniem, łaskawością, śmierci nie zepchnęło do grobu. Oczywiście kłanstwem byłoby twierdzenie, że na tym obrazie zabrakło błękitu pogodnego nieba, bowiem zachmurzenie osiągnęło pułap najwyższego szczytu. Przecież spory zakres rodzinego handlu oraz wyzwolenie całego rzemiosła, było potwierdzeniem wyższego standardu tej społecznej klasy, co nam się rozrosła. Cały szereg mniejszych fabryczek, zakładów, sprywatyzowano w sposób pospolity, a te w ramach własnych, rzeczowych wymiarów, rozpoczęły twórczość dla swej prosperity. Nie od rzeczy także będzie również wzmianka o bossach, rekinach i innych z tej klasy, bo ona wśród grzesznych to świeża śmietanka sprywatyzowanej narodowej masy. Jedynie państwowe fabryki, zakłady, kopalnie i huty, stocznie - ludzie prości, jako ich załogi wciąż w systemie starym nie mogą ustalić pewnie swej przyszłości.

A wszystko dlatego, że ci co miesza-
li jako pierwsi waśni, związani z kerytkiem,
właściwie na niczym nowym się nie znali
i nie mogli działać z powszechnym pożytkiem.
Oni jak za dawnych, dobrze znanych czasów,
powtarzali skromnie, że muszą się uczyć,
bo wszystko co nowe, to coś z ambarasu,
w którym chcąc coś stworzyć, stare trzeba burzyć.
Tymczasem wiadomo, świadomość w zespole,
z pełnią przekonania lansowała prawdę,
że uczyć się trzeba przede wszystkim w szkole,
a nie na działaniach przynoszących szkodę.
Zaś to, że się pragnie tworzyć demokrację,
w niczym nie uprawnia, bo to tylko chęci,
które nawet wówczas, kiedy mają rację,
nie mogą być lotem, co wszystko uświęci.
Wiadomo, że Olimp był tylko dla bogów,
którzy swą mądrością budowali wiarę
w cud wszelkiego bycia, które z rodowodu
nie dawało prawa by go zmieniać w karę.
Tymczasem na swojskim olimpie mdłych masek,
żartownisze oraz cwani pozoranci,
stałe podciągali, lecz nie własny pasek,
życząc cierpliwości, tak jak ongiś "tamci".
Lecz ludzka cierpliwość ma swoje granice,
daleko groźniejsze jak zwykła głupota,
trzeba zatem wiedzieć, gdzie się kończą "pice",
a zaczyna zbędna olimpu tępota.
Wszak zmiana systemu niegodnej podłości,
w nowość - nie do końca znanej demokracji,
nie mogło być źródłem wszelkiej obcości,
by się bogaciła kosztem naszej nacji.
Mocnych, często głupich, tośmy mieli wielu,
i dobrze, że czas ten już mamy za sobą.
Ale teraz dbajmy, by nowych śmierdzielów
los nam nie przysparzał idąc trudną drogą.
Dobrze wiemy o tym, że nie biznes wiedzie,
bo on obleczony w pustkę serc i ducha,
podąża przed siebie wciąż na cudzym grzbiecie,
z fałszywym uśmiechem od ucha do ucha.

Podkreślanie znaku rzekomej równości między demokracją a kapitalizmem, stanowi o fakcie złej nadgorliwości tych, których zrodzono w czasach komunizmu. Oni kształtowani przez ideologię, która była wiarą totalitaryzmu, są skłonni pakować się w skrajne teorie, aby innych karmić po prostu czymś z "izmów". Zaś my wyzwoleni z wszelkich izmów, akcji, szalenie spragnieni rozumnej wolności, chcieliśmy przeczystej w formie demokracji opartej na prawach wybranych z przeszłości oraz na sprawdzonych bieżących wartościach, nie burzących własnej wiary, mentalności, samookreślenia, jedności w trudnościach, nie skażonych żadnym matactwem obcości. Lecz to, co się działo, stanowiło mętny obraz krajobrazu, gdzie poprzestawiano wszystkie drogowskazy, aby rozpoczęty bieg w przeciwną stronę, którą malowano rajskimi barwami - niemal nie z tej ziemi, nie zatrząśł głowami w sposób oszukany, bo prócz pustosłowa i nijakich cieni nic nie wskazywało, że będzie świetlany. Sporo się jawiło fałszywych proroków, pospolicie zwanych przewidywaczami, którzy chcąc się pozbyć niechcianych uroków, stawali się szybko tylko złodziejami. Obiecywał każdy, nie mając pojęcia jak te obiecanki móc realizować. Jedno było jasne, że rosły napięcia, a nędzą i głodem nie da się bartować. Zaś branie na trele, chociażby misternie wystylizowane, by lepiej chwytaiły, były pustosłowiem powtarzanym wiernie z poprzedniej epoki utraconej chwały. Nawet coraz głośniej i częściej słyszano, że tych co się sami zwali praktykami, nie należy słuchać i słuchać nie chciano, aby się po prostu nie stać żebrakami.

Narodowa jedność zeszła w zapomnienie,
a "kochaj bliźniego, jak siebie samego",
stało się nonsensem krytym złorzeczeniem,
aby jak najszybciej wykończyć bliźniego.
Interes, pieniądze, łobuzerskie chwytły,
oto prawidłowość nowej demokracji,
która przedsiębiorczych wyniesie na szczyty,
pogrążone w gęstych chmurach profanacji.
Zły duch tego czasu upewnił małości,
że oto nastały dni oczekiwane,
które wnet z niczego utworzą wielkości,
choć te przez uczciwość będą potępiane.
Dobro ze złem walczyć już więcej nie musi,
bo przez zło powstanie nowa jakość dobra,
a ten twórczy sposób stare dobro skusi,
bo ta nowość pojęć będzie bardziej chobra.
I tak w nowym świecie postępowych racji
komputery będą częścią ludzkiej duszy,
która zagubiona w krainie wibracji
nie pojmie, że czas ten święte prawdy kruszy.
Kiedyś było "jaśnie", później mocium panie,
co kroczył po kroczyku wiodło ku przepaści,
zaś ta w swoim czasie była jak konanie,
którego do dzisiaj u nas się nie gości.
Pamięć ludzka często niektórych zawodzi,
bo chociaż niedawno obcy nas pouczał,
że nadmiar wolności to to, co nam szkodzi,
kraj nie patrząc w przeszłość beczał oraz huczał.
Rozpamiętywanie - zbędna strata czasu,
mówiono - przytkacza pragnienie do lotu,
a czas bohaterstwa wywiedziony z lasów,
to przeszłość zawisła pośród wiejskich płotów.
Teraz odrzutowe wzloty i upadki
są dewizą czasu, postępu, kultury,
a kosmiczne rejsy, nuklearne wpadki
to to, co pozwala pruć nieba kontury.
A nad wszystkim pieniądź, jak jedyne godło,
które co niektórych oświeciło blaskiem
i w bezdenną przepaść oddanych powiodło
w pogoni za złotym, rodzącym się brzaskiem.

Na krawędzi świata powstawały raźnie
nowych demokracji łaknące bastiony,
budując z nadziei śmiało i odważnie
jakże często nowy, światek pomylony.
Pierwszy szlak wolności tracił równowagę,
najczęściej na korzyść zła i nieprawości,
które uzbrojone w chamstwo i odwagę,
wnet gotowe były do wszelkich podłości.
Starzy wyjadacze czerwonych specjałów,
szybko odmienili swoje apetyty
i traktując ludzi jak stado pacałów,
ponownie dążyli tam gdzie władzy szczyty.
I tak wnet się stało, że na każdym szczycie
nadal przewodzili znani komuniści,
dbający o własne i dostatnie życie,
jako demokraci i kapitaliści.
Ponownie, nie mądrość ani przedsiębiorczość,
stanowiły wzorzec dla nowej jakości,
lecz lewe skłonności, nachalna zaborczość,
były wartościami dla lepszej przyszłości.
Bezimienny motłoch ruszył przez granice
w pogoni za lepszym dniem swojego życia,
co można zwać było kolorowym kiczem,
tworzonym pragnieniem wszelkiego użycia.
I tak się rozpoczął historycznie nowy,
rozdział ludzkich dziejów w walce o ~~być~~ lepszy,
o nowe widzenie praw do swej obrony
przed tym, co w znaczeniu odczuć najszerszych
winno być tym prawem, co odmieni jakość
ludzkiego znaczenia z szarego przedmiotu,
w świadomą istotę, która swoją wartość,
tym razem określi prawami podmiotu.
Wszak - człowiek, brzmi dumnie, lecz tylko gdy może
doznawać społecznej godności, uznania,
za to, że swym życiem ubogaca zorro
i tworzy bogactwo wspólnego doznania.
Bo w jedności siła, odwaga i męstwo,
prawość, zrozumienie i godne działanie,
wiara i nadzieja, ofiarność, zwycięstwo -
atrybuty w walce o szczęśliwe trwanie.

XVI. U BRAM DEMOKRACJI

Piąty rok odlicza swoje dni, miesiące,
tworząc jeszcze jeden, wciąż niezrozumiały,
okres przeżywania tego co zwodzące,
jak wszystkie poprzednie przeżyte rozdziały.
Teraz, jak na scenie starego teatru,
powtarza się treści tej tragikomedii,
jaką od początku niepewnego startu,
mylnie obsadzono siłami tragedii.
Wciąż się powtarzają niepojęte sceny,
w tle niewymienionych i bezbarwnych kulis,
za którymi cwane, pospolite hieny,
nieustannie wyjąc wabią tłumy z ulic.
A te także krzyczą ochrypniętym głosem,
gwiżdżą, urągają, często głoszą brednie
i prac rozwydrzone swoim własnym głosem,
tworząc mimo woli też tragikomedie.
Zaś starzy znajomi, będąc w defensywie,
zacierają ręce i z podziwem patrzą,
jak w tej nierozumnej dotąd ofensywie,
wzyscy się nawzajem opluwaniem raczą.
Wczoraj komuniści - dziś kapitaliści,
przodująca kadra po cichu wiodąca
ku lepszej przyszłości, nową strawę pichci,
aby być jak dawniej nadal przodująca.
Trochę coś z Zachodu i trochę coś z Azji,
dziwnie poplatane w sieciach trefnych marzeń
o zbawczym rozkwicie nowej burżuazji,
bez względu na obcy kształt tych wyobrażeń.
Niektórym odbiło w bańce średniowieczem
i zrodziło nagłą tęsknotę za królem,
przekreślonym w czasie tragicznym dwuwieczem
wojen i rozbiorów - narodowym bólem.
Nawet znaleziono kogoś po kądzieli,
kto po prostu może prawem dziedziczenia
objąć tron królewski, by władzę nie dzielić
i jej trójpodziałem nie plamić sumienia.
Ponoć, aby sprawie nadać większy rozgłos,
"praktykowi władzy" dano tytuł księcia,
czyniąc tym sposobem branie kogoś pod włos
towarem ludowym, pewniejszym do wzięcia.

Rodziły się partie piwa, kuptyzanek,
opętanych diabłem, niemocą psychiczną,
gdzie każdy szaraczek, jako sobiepanek,
zajmował się własną grzędą polityczną.
Wszyscy chcieli zbawić bezpartyjny naród,
dla którego było oraz zawsze będzie
najważniejsze - praca, a z nią każdy zawód
miał być miarą życia, godną w każdym rządzie.
Zaś te pozostałe trele i morele,
nadal stanowiły tylko pustostłowie,
które nieustannie rzeczywistość miele,
aby nową dolę przeżywać na głowie.
Rosły koszty życia w normach nie do wzięcia,
jako serwowana profesja niemocy,
wiodąca traktami ludzkiego nieszczęścia,
co każde świtanie spychało w czerń nocy.
Malała cierpliwość, a krzyk coraz głośniej
podniecał kraj cały. Niepewność o jutro
i sensowność życia, świadczyła najmocniej,
że ono się stało wytartą makutką,
do której się wrzuca wszystko co popadnie,
zaś to wymieszane do granic absurdu,
nie dawało wiary iż to co jest na dnie,
wyjdzie z tej udręki bez fałszu i pudru.

Uczyć się na błędach, można kosztem własnym,
tak, aby nie tracić własności bliźniego,
a w swych możliwościach o zakresie ciasnym,
nie raczyć posornym zbawieniem drugiego.
Prawda i uczciwość, są to cechy ludzkie,
w każdym wymyślonym systemie wartości,
lecz to co tworzone, wciąż było nędzniętkie,
bo ten czas był pełen, po prostu podłości.
A przecież istnienie, to świadomość prawdy,
tej wielkiej i znanej, w serdecznych wymiarach,
którą aby głosić, uczciwość jak gwiazdy
winna promieniować na naszych sztandarach.
Tymczasem rozgardiasz, pieniądz, szubrawienie,
rabunki, kradzieże, lewe bogacenia,
zanik uczciwości oraz złożeczenie,
stanowiły fakty godne potępienia.

Zachodnie towary wypełniają rynek,
tworząc konkurencję rodzimej produkcji.
Pełno pomarańczy, cytrynek, rodzynek -
to nowa specjalność Manhattanów funkcji.
Coraz więcej obcych turystów, handlarzy,
odwiedza kraj wielu nowych możliwości,
o których niejeden biznesmenik marzy,
aby tanim kosztem dojść do zamożności.
Kraj bogaty, żyzny, nagle stał się biedny,
bo w miejsce porządku i oganowania
pracy, wydajności, ktoś jakością względny
prawomocnie orzekł; nie ma wspomagania.
Rząd jest aby rządzić, wskazywać, polecać,
doradzać, odradzać i ściągąć podatki,
a nie każdą czyjąś plajtą się podniecać
i walczyć o jakość, niemal każdej szmatki.
Lecz pozostawiając wszystko własnej mocy,
w okresie zmieniania państwowej jakości,
każdy brak ginącym logicznej pomocy,
szybko ich przybliża do granic nicości.
Plajtowanie już się stało codziennością,
pełną oburzenia i przeklętych życzeń,
pod adresem wielu gardzących mądrością,
a żyjących tylko z obcych zapożyczeń.
Cała gospodarka wtrącona w bezradność,
sędyszana zdycha, czekając ratunku,
który jak przychodzi, tworzy anormalność,
bo wszystko się dzieje w obcym wizerunku.
Obcym jest właściciel i jego kapitał,
nie zawsze pojęty nowy rozkład jazdy,
gdyż nikt się nikogo o zdanie nie pytał,
jakie będą rządzić tym majątkiem gwiazdy.
Te, co ongiś z trudu i wielu wyrzeczeń
powstało, by naród miał swe miejsca pracy,
teraz się sprzedaje, pomimo złorzeczeń
tych, których nierzadko, że są bylejący.
Z pełnią zawierzenia speknia się wskazania
jedynych mądrości, li tylko z Zachodu,
a wciąż się wybrzydza byle przykazania,
które przez pół wieku spływały ze Wschodu.

A więc tak po jednej, jak po drugiej stronie,
nie brakło uszu, wlewnych i oddanych,
którzy dla kariery, na ojczyzny łonie,
gotowi są dźwierać krzyki sprzedawanych.
Oburzenie rośnie, lecz srebra i ciągle
mają swoją wartość w sferze zachłanności,
gdzie fałsz pokaźniejszy, jak trucizna w żądle,
nieświeży groźbą śmierci, a nie smak miłości.
Jeszcze nikt nie śpiewa; niech nam żyje, wzrasta...
bo jeszcze nikogo tak nie przekonano,
że z tego, w tym czasie robionego ciasta,
powstanie smakołyk, który by lubiano.
Ogólnie rzecz biorąc, sporo pustostkowania
maskuje prawdziwość skrywanych intencji,
a w tych zamierzeniach wszelkie pustogłowania
nie muszą się martwić, że brak im inwencji.
Naród w swej większości pragnie demokracji,
lecz nie obcej uchu jakiejś kakofonii,
która jest przyczyną nędznej wegetacji
oraz źródłem biedy - posępnej rapsodii.
Lecz kto dzisiaj myśli i uparcie dąży,
aby w jego życiu i codziennych czynach,
dobre wspólne było wartością co draży
trudy dnia każdego, by mieć je w wawrzynach ?
Kto dzisiaj chce głośno krzyknąć; wolność, równość,
braterstwo! Ojczyzna, patriotyzm i wiara !?
Każe kto, bo pieniądze i wulgarna próżność
bez osłonek głoszą, że to szabość stara,
bo teraz świat pędzi w postępu zaprzęgu,
aby zmienić normy, prawa, obyczaje
i niszczyć, co bywa w możliwym zasięgu,
nie potrafi pojąć, że na głowie staje.
Mówią demokracja. Czynią kapitalizm,
gdzie podstawą bycia jest prywatyzacja.
Zaś wrogiem ludzkości, to tylko socjalizm,
a niezmiennym dobrem bywa biurokracja.
Zaś tym, co przeżyli obie wersje raju,
ogrom doznań każe uznać taką rację,
która godnym, ludzkim prawem obyczajów,
rozumnie pogodzi różność w demokrację.

Dzisiaj, patrząc w koło, najczęściej mówimy,
co nam uczyniłeś Stwórco nasz i Panie,
że my się po prostu w powodzi topimy,
widząc jak dryfują razem z nami dranie.
I tak jak przed laty, naród zatworzony
śle prośby o lepsze jutro swoje Boże
i uparcie wierzy, że już wyzwolony,
dojść do solidności potrafi i może.
Powróci porządek, prawo, bezpieczeństwo,
a ster naszej łodzi przejmą godne ręce,
aby wyznaczając dla celu pierwszeństwo,
do jego budowy włączyć każde serce.
Czas przetrzebi małe, niegodne wyjątki,
przegna to, co sieje grupotę i zawiść,
a na wrogów prawdy naiwość obrączki,
które nie pozwolą wciąż wzniesić nienawiść.
Bo zgoda buduje i jej nam potrzeba,
a nie obcych, płytkich filozofii życia,
gdzie seks i pieniądze są dewizą nieba,
która ma odmienić naszą znojność bycia.
Lecz my pamiętamy, jak już wielokrotnie
nam je odmieniano w obozach zagłady
oraz w syberyjskich katogach przewrotnie,
za nie popełnione przestępstwa i zdrady.
Nam je odmieniano Golgotą w Katyniu,
Charkowie, Miednoje oraz zesłaniami
w azjatyckie strony, tam gdzie w mroźnym cieniu
już się nie martwiono naszymi sprawami.
Bo nam po przyjaźni starano się wmówić,
że przecież jesteśmy solą tego świata,
którą choć nie chciano rzekomo zagubić,
to jednak sprzedano na prośbę psubrata.
Nasza demokracja w sposób jednoznaczny
winna głosić prawdę; "człowiek - to brzmi dumnie",
oraz unikając zamierzeń pokraccznych,
na pewno zwycięży, choć ją zwodzą durnie.
A skoro w jedności pewną bywa siła,
ona stać się musi wiedzącą w tym dziele,
Bo tego nas stale historia uczyła
i z nią nasze wspólnie przeżywane dzieje.

Teraz nie brak takich, dla których zasadą
bywa dbanie tylko o swe własne racje,
bo te pomnażają, często pachnąc zdradą,
osobiste dobra przez prywatyzację.
Zaś ta, to rzekomo walor wyjątkowy,
gdyż ma dać sprawnego męża - właściciela,
który wnet uczyni swą własność wzorowym
przykładem szybkiego wzbogacania dzieła.
Tymczasem prywatność nie mająca granic,
niektórym przysparza bezzasadne krocie,
a wysiłek reszty bywa stratą na nic,
co mogłoby zmienić bieg wydarzeń w locie.
To nie tajemnica, że w takich realiach,
nie może być mowy o szczególnych szansach,
mogących odmienić los w owych bataliach
tych, których zrównano tylko biedą w slamsach.
A slamsy nie nowość, ani bezrobocie,
Nie dodają blasku, co by uzasadniał,
aby kilku trutki zagarniało krocie,
zaś pęd ku lepszemu po stronie nas marniał.
Wolność oraz prawa, winny być dla wszystkich,
w granicach logicznie pojmovanych skutków,
lecz nie może równać, w sprawach oczywistych,
ludzi godnej miary, z losem zwykłych czubków.
Budując swą przyszłość tylko na jednostkach,
wyjątkowo sprawnych w dziele interesów,
to zamiary zwodne, bo natura swojska
nie znosi obłudnych twierdzeń i frazesów.
Przyszłość musi pewnie wyrastać z jedności
rozumienia celu do którego dąży,
w aureoli zgody i sprawiedliwości,
bo skutkami działań wszystkich nas obciąży.
Przecież naszym celem jest dobro ogólne,
sprawiedliwy podział też jego wartości
za myśli i trudy, za dążenia wspólne,
aby lepiej było całej społeczności.
Nam slamsów nie trzeba, ani bezrobocia,
również nie tęsknimy za stadem rekinów,
bo złodziejskie siupy oraz zwinność kocia,
nie stworzą nam dobra czystych, godnych czynów.

■

Wspomnienia, to perły z wielu doznań życia,
nasycone treścią przeżywanych zdarzeń
w czasie który odszedł, a teraz z ukrycia,
z głębi niepojętej strefy wyobrażeń,
przywołane jawią się jak na ekranie -
pamięci i myśli, aby kolorami,

trochę wyblakłymi, spełnić me wołanie -
prośbę o spotkanie z przeszłymi faktami.
I to się spełniło, jako ostateczna
wola mego życia. Serce mocno bije,
bo droga się zwęża, a więc jest konieczna
wiara, że się jeszcze na niej po coś żyje.
Ja to zrozumiałem, nagle w pewnej chwili,
że nadeszła pora szczerego wyznania
o tych trudach życia, które moi mili
przechodzili gubiąc ślady swego trwania.
Dzisiaj, po półwieczu owych doznań, przeżyć,
z woli Opatrzności zostało mi dane
owe wspomnianie, abym mógł odmierzyć
wartość tego czasu tym, co w nim zebrane.
Czas ten wyjątkową okazał się miarą,
która mimo wszystkich złych i dobrych zdarzeń,
umacniając myśli nadzieją i wiarą,
pozwoliła spełnić kwintesencję marzeń.
Bo to właśnie teraz, w pięćdziesiątym czwartym
roku cierpliwego wciąż oczekiwania,
los wreszcie pozwolił sposobem otwartym
opisać historię marszu i przetrwania.
I chociaż to cieszy, że strawiłem wszystko,
goniąc w swym wciąż trudnym marszu ku wolności,
radość mego ducha, jak stare zamczysko,
w nowej wizji świata czasem się nie mieści.
Bo ma droga dzisiaj jest już tylko ścieżką,
wiodącą w ostatni akt ludzkiej nadziei
pod kopułą nieba, co barwą niebieską
nasz świat od wszechrzeczy rozgwieżdżonej dzieli.
Także na tej ścieżce, razem ze mną w parze,
wciąż błędzi duch ojca, bo chociaż zaginął
gdzieś w aralskiej stronie, to myśl o nim każe
odnaleźć to miejsce, którego nie minął.

On gdzieś tam pozostał, jak innych tysiące,
o gehennie których niewiele się mówi
mimo, że ich serca w mękach kochające
tak bardzo tęskniły, gdy zły los je gubił.
Na krawędzi piekła - szalonego świata,
gdzie dobre uczucia nie były wartością,
czerwony kat męczył i zabijał brata,
gardząc jego wiarą, mową i polskością.
Ginęły tysiące mężczyzn, kobiet, dzieci,
a czas niszczył ślady miejsc ich pochowania,
nad którymi słońce oraz księżyc świeci,
rozjaśniając niebo - źródło przebaczenia.
Dzisiaj już wiadomo kto ginął w Katyniu,
Charkowie, Miednoje. Lecz nadal nie wiemy
kto i ilu w męce oraz zagubieniu,
budowało własną śmiercią rozdział niemy,
taki sam katyński, czasem boleśniejszy,
wydłużony w czasie tragedii, udręki,
zamknięty w więzieniach i jeszcze podlejszy
w zakresie przemocy i piekielnej męki.
Tam, w czerwonym raj, katowskim zwyczajem,
zrównywano masy tym samym sposobem,
a miejsca grzebania pokrywano gajem,
aby rajski spokój nie był smutnym grobem.
Obcych mordowano raczej z nienawiści,
nie gardząc podłością krwawego odwetu,
zaś swoich za nadmiar chęci by się ziszcil,
rzekomy dobrobyt, z darmością bufetu.
A skoro już ponad siedemdziesiąt latek,
nie spełniało tego zwodzającego raj,
szlag trafił komunę, a wyzwolił z klutek
tych, którzy przetrwali przystanki do gaju.
Wyzwolone masy poczuły się sobą.
Rozleciał się nagle zniewolenia Związek.
Narody zaczęły myśleć własną głową,
co teraz pozwala na nowy porządek.
Niepodległe państwa - to koniec przeszłości
krwawej, ludobójczej, katorżnej, okrutnej,
lecz aby przywrócić prawo do godności,
nie wystarczą słowa, by z natury butnej

uwolnić, rozgrzeszyć, splamione sumienia.
Przecież cały Związek wierzył w swe teorie,
a więc i członkowie z mocy polecenia
świadomie czynili ludobójcze orgie.
A teraz spychając z siebie na innego,
winę za potworne zbrodnie ludobójstwa,
każdy chce uchodzić niemal za świętego,
skrywając fakt zbrodni lawiną gadulstwa.
Są gesty i słowa w togach życzliwości,
lecz ciągle nie jawi się ten sprawiedliwy,
który czując w sobie zew sprawiedliwości,
przeklnie i potępi ów czas obrzydliwy
śmierci i podłości, gułagów i męki,
czas oplucia wiary przez bandę szatanów,
w którym słowa skargi zamieniono w jęki,
a niewinnych ludzi rżnięto jak baranów.
Na razie milczenie możnych tego świata
świadczy, że nie czują tematu tej sprawy,
a grając w pozory, gestami wariata
obiecują wsparcie biednym katom krwawym.
Jak zwykle, i teraz świat ludzi bogatych
nie chce reagować na byłe tragedie,
bo w nawale różnych zamierzeń kosmatych,
woli od tragedii seksowne komedie.
A nam, tak jak zawsze, zdaje się naiwnie,
że kiedyś nadejdą czasy zrozumienia,
które to, co było oceniane dziwnie,
zaczną zwać historią godną potępienia.
I tak zadufani w maniackim ferworze,
bez opamiętania, jak szaleni gnamy
tam, gdzie moc obłudy w rzekomym humorze
szczerze mówi; my was i tak wykiwamy.
Co z tego wyniknie, przyszłość nam pokaże,
lecz już dzisiaj widać, że coraz biedniejsza
nasza sytuacja oszczędnie żyć każe,
a sprawa zadkużeń biedy nam nie zmniejsza.
Ludzie bluźnią, krzyczą, srodze urągają,
w chwilach rezygnacji z nadziei strajkują
i opamiętania żądając wołają,
aby wreszcie przegnać tych, co źle budują.

Przed wojną, wiadomo, zwano defraudacją
pospolitą kradzież państwowych pieniędzy,
a dzisiaj korupcja szarga demokracją,
byle złodziej niebył równym naszej nędzy.
Stąd całe tabuny walczących o stołki,
pragną się ucześcić pełnego koryta,
bo przy nim są siłą nawet te matożki,
co to nic nie piszą, a o nich się czyta.
Zaś to czyni rozgłos i poszerza miarę
statusu godnego, w niczym, polityka,
którego wybrano, na społeczną karę,
aby nieustannie bruździł oraz brykał.
Stąd to powiedzenie, że sejm kontraktowy,
a każdy rząd nowy, to ofiara losu,
bo jedni i drudzy, w sposób wyjątkowy,
nie mogą się wyzbyć frazesów, patosu.
Ludzie nawiedzeni działalnością elit,
z rozpaczą sięgają po to, co niegodne,
a potem chorują na skręt własnych jelit
z myślą, że ich nie stać na życie pogodne.
Świat pracy to klasa dotknięta bezruchem,
spychana na koniec urzędowych przemian,
która wciąż się słabo wiąże z nowym ruchem,
bo ciągle się gubi w labiryncie mniemań.
A że jest bystrzejsza, jak ta na Zachodzie,
rejestruje dane o tym nowym raju,
który jej się wmawia, mówiąc o pogodzie
niosącej czar życia, przeuroczych mająów.
Prawda o tym jednak nie jest oczywista,
bo do nas z Zachodu napływają wieści
o protestach, strajkach i kapitalistach,
co w sumie maluje, treść złej opowieści.
Bezrobocie także, jako temat stały,
szantażuje klasę prostych ludzi pracy,
gdyż ono stanowi, by jej ideały
wiodły do wyboru praca - byt żebraczy.
A skoro też u nas, te obce zwyczaje
dostatecznie kreślą już swoje wartości,
naród się nie dziwi, że większość odstaje,
bo nie ma zamiaru trawić te sprośności.

I tak, jak to zawsze bywało w przeszłości,
pozostaje liczyć na odmianę losu,
nie ulec namowom, nie dać się podłości
przekabacić fałszem na pacholców bossów.
Historia uczyła i nadal nas uczy,
jak z galimatiasu wyzwolić to czyste
uwierzenie w siebie, bo cudze nie tuczy
i też nie powiedzie nas w dobro wieczyste.
A to uwierzenie, wsparte silną wolą,
na pewno wywiedzie cały kraj z marazmu,
aby dobro wspólne było naszą dolą,
a nie rozrabiactwem pospolitych błaznów.
Prawo strzec nam musi godnego porządku,
bez względu na formy z obcego obrządku,
bo to my byliśmy twórcami początku
najwyższej ustawy o społecznym wątku.
Naszym dobrem winna być Rzeczpospolita,
a więc tylko ona, rozumna i swojska,
o własnej kulturze, gdzie lud, a nie klika,
w ramach konstytucji nazwie Rzecz tą - Polska.
Tymczasem już piąty rok zerwanych żagli,
pozwala li tylko dryfować niepewnie,
a wiatr przed złą burzą do działania nagli
i ciągłą bezradność wypomina gniewnie.
To już piąta wiosna daremnej nauki
tych, co to z poprzednich zwyczajów przejęli
oszukany sposób, że do każdej sztuki
można dojść na błędach, czego się podjęli.
A że to opóźnia prawidłowość lotu,
bo żaden z nich przecież nie bywał pilotem,
coraz więcej czyniąc zbędnego kłopotu,
wciąż chcą dyrygować narodowym lotem.
I to im dotychczas jakoś się udaje
mimo, że ma miejsce w jednorocznych zmianach,
co rzekomo wygom uczyć się nie daje
i zmusza do działań w powielanych ramach.
Rosną kadry snobów, co to wiedzą wszystko,
a szczególnie w dziale narodowych pragnień
i ciągle trajlują - Europa blisko,
lecz trzeba rozwiązać nadal moc zagadnień.

Tymczasem, czas wlecze narodową dolę,
drogami o różnych drogowskazach celu,
oraz niegolonym wytrąca busolę -
tym, co wciąż są sami, a mówią za wielu.
Bo tym niegołonym stale się wydaje,
że są znachorami bieżącego losu,
który tylko jedną zasadę wyznaje -
nie ulec krzykowi zbiorowego głosu.
I tak, rok za rokiem nie spełnia wierzenia,
że ruch narodowy - solidarnościowy,
wyzwoli nareszcie wszystkie pokolenia,
tworząc nowość jako wynik wypadkowy.
Życie nas uczyło na różnych przykładach,
jak budować dobro i ginąć w najgorszym,
po to, byśmy teraz w przystępnych układach,
mogli z tych doświadczeń, sposobem najprostszym,
budować ojczysty system demokracji,
która na godności niesłabnącej wiary,
w logicznej proporcji praw do różnych racji,
narodową zgodą uświetni sztandary.
Nie pozwólmy na to, by z lewa czy z prawa,
wmawiano nam obce sposoby na życie,
bo w naszych jest rękach narodowa sprawa
i my ją musimy spełnić należycie.
Ojczyzna i naród, nowoczesne państwo,
parlament i prawo oraz rząd skuteczny,
a nad tym prezydent, aby żadne draństwo
nie mogło barłoczyć w sposób społeczny.
Nasza demokracja, nie czerwona, biała,
lecz po prostu swojska, przez naród tworzona,
z jego serc i myśli upleciona cała,
pełna wiary w przyszłość, bo białoczerwona.

Lecz nasza współczesność, bez względu na śliskie
ścieżynki nowości, mija w niepokoju,
bo świadomość tego, że nic nie jest bliskie,
zadręcza tych stale, którzy w trudzie, znoju,
zmuszani są walczyć o prawo do życia,
choć coraz mniej mają wiary i nadziei,
w realność godnego tej drogi przebycia,
co zamiast nas łączyć, nieustannie dzieli.

Przeżywając skabość, mójmy w perspektywie,
zdarzenia sprzed wojny, wojny i po wojnie,
gdyż te pozwalają sądzić sprawiedliwie,
że dzisiaj głupotą darzymy się hojnie.
A w jej kręgu małość i chroniczne złości,
nieporozumienia, podłość, skargi, żale,
stałe rozmnażanie trefnych wielmożności,
przymitywność ducha, na szeroką skalę.
Rodzi się nienawiść, uczciwość się gubi,
ludzi dobrych, mądrych, zepchnięto na boki,
a płycizna tylko kałużą się chlubi,
w której mniej widoczne są bezmyślne skoki.
Czas biegle zamienił towarzyszy w panów,
wybielając twarze czerwonych cesarów,
na szubrawych speców i jaśnie baranów,
wiodących już siebie w tło niebiańskich czarów.

A lud i świat pracy? A inteligencja -
przysłowiowe piąte kółeczko u wozu,
na którym na razie raczej impotencja
goni za środkami dla swego obozu ?
A co pozostaje dla tych, co do mety
podchodzą z godnością, choć smutne oblicza,
jako emeryci, spóźnieni niestety,
aby los swój mierzyć godną miarą życia?

Kto i kiedy powie: Nareszcie rodacy
możemy żyć godnie, pewnie i dostatnio,
bośmy odmienili swój żywot żebraczy,
w narodową jedność i życzliwość bratnią !
Wszak na to czekamy. Cały naród czeka,
aby wznieść do góry utrudzone ręce,
na znak wyzwolenia każdego człowieka,
w marszu o należne mu na świecie miejsce.